

Lynch Sarah-Kate

Nie samym chlebem

Przełożyła Bogumiła Nawrot

Niełatwo być kochającą żoną, cierpliwą matką czterolatka, doskonałą gospodynią i ogrodniczką... Ale Esme MacDougall zawsze świetnie sobie radziła nawet z pieczeniem chleba według oryginalnego francuskiego przepisu. Dostała go kiedyś od Louisa, piekarza, który nauczył ją dużo więcej, niż tylko wyrabiania ciasta. Esme dochodzi do wniosku, że tylko Louis może przywrócić sens jej życiu. Ale może warto poszukać recepty na szczęście bliżej domu.



*Na cześć oryginalnych domów,
dawno utraconych miłości
tak postponowanych węglowodanów*

Podziękowania

Zawsze lubiłam pieczywo. Cóż, muszę mieć coś, co mogę obłożyć serem, ale zanim zaczęłam pisać tę książkę, nie miałam pojęcia o pieczeniu chleba.

I gdyby nie pomoc nowozelandzkiego entuzjasty pieczenia, Deana Brettschneidera, nadal łapałabym się za głowę umączonymi rękami, pytając: „Co takiego?”. Dean zrobił wszystko, począwszy od pożyczenia mi wydawnictw encyklopedycznych, przez odbieranie późną nocą telefonów z Prowansji, po spędzenie ze mną całego popołudnia i nauczanie mnie, krok po kroku, jak się robi chleb na zakwasie. Ten człowiek przywiązuje wielką wagę do składników, metod postępowania i piękna *pain au levain*, i po prostu nie potrafię mu wyrazić swojej wdzięczności.

Podobnie Joan Richardson ze słynnej piekarni Poilâne w Paryżu była niezastąpiona w tłumaczeniu mi, czym jest tradycyjny, francuski chleb na zakwasie. Właściwie bez wcześniejszych uzgodnień umożliwiła mi przesiadywanie w piekarni przy rue Du Cherche-Midi, a jej wielkoduszności wprost nie można przecenić. Natomiast Felix, piekarz, zasługuje na medal za dzielne znoszenie mojej szkolnej francuszczyzny. Prawdopodobnie nadal zachodzi w głowę, o co mi chodziło, kiedy powiedziałam, że mąka jest na bicyklu. Kilka miesięcy po tym, jak wysiadywałam na starych, kamiennych stopniach, obserwując Felixa przy pracy, Lio-

nel Poilâne zginął w katastrofie śmigłowca i mogę sobie tylko wyobrazić rozpacz, jaką musiała odczuwać oddana ekipa piekarni. Niech pamięć o nim żyje w jego *pain au levain*, najlepszym, jakiego można gdziekolwiek skosztować, nadal pieczonym tak, jak dawniej, po objęciu sterów firmy przez córkę Lionela, Apollonię.

A tych, którzy uważają mnie za osobę o wyjątkowo bujnej fantazji za wymyślenie Domu w Chmurach, informuję, że wcale go nie wymyśliłam. Opisany przeze mnie dom stoi naprawdę, można go oglądać w nadmorskiej wiosce Thorpeness w Suffolk, tyle tylko, że w rzeczywistości kuchnia jest, co wydaje się całkiem rozsądne, na parterze. To na, prawdę bardzo ekscentryczne i cudowne miejsce i nawet gdybym się starała, nie udałoby mi się czegoś takiego wymyślić.

Wyrazy uznania dla Lindy Evans i wszystkich z Trans-world za cierpliwość i życzliwość. I dla Stephanie Cabot z William Morris UK, która jest dla mnie opoką.

Dziękuję również za pomoc Lauraine Jacobs, Rachel Scott i z przyczyn zupełnie innej natury Simonowi Barclayowi.

Jak wiedzą ci, którzy są blisko mnie, pisanie tej książki można porównać do swego rodzaju misji i po drodze napotykałam więcej przeszkód niż zwykle. Chciałabym więc podziękować moim przyjacielom i rodzinie za pomoc w ich przewycięzaniu. Kocham moją mamę, braci i siostry i cieszę się, że ich mam. A jeśli chodzi o mojego męża Marka, no cóż, słowa „naprawdę, do szaleństwa, głęboko” nie wystarczą.

Prolog

W chwili, kiedy espadryle Esme dotknęły gładkiej, kamiennej posadzki w malutkim pomieszczeniu piekarni, dziewczyna poczuła się, jak gdyby do tej pory sama była tylko na wpół upieczona.

Słodki, ostry zapach chleba na zakwasie, prosto z pieca, w którym palono drewnem dębowym, odurzył jej niczego niespodziewające się zmysły i obudził głód, jakiego nawet nie podejrzewała. Uderzył ją mocno jak obuchem, tak że ledwo mogła oddychać.

Powietrze było rozgrzane i aż ciężkie od obietnic zwyczajnych i nie takich zwyczajnych przyjemności, jakie oferuje nam życie. Czują to. Czują ich zapach. Czują na języku ich smak.

Chleb. Tak, chleb. A konkretnie *pain au levain*, specjalność zakładu. Mniejsza o bagietki, croissanty, drożdżówki z czekoladą i budyniem, o których tak niedawno marzyła. W porównaniu z jedną kromką chleba na zakwasie, pieczonego niespełna dziesięć kroków od miejsca, w którym stała, były niczym, przypominały trociny, suche i chrzęszczące w zębach. Żaden inny wypiek nie mógł nawet marzyć o tym, by dorównać urodą płaskim, okrągłym *boules* o grubej, kruchej skórce i lśniącym, miękkim miąższu.

Esme oblizwała błyszczące wargi, do ust napłynęła jej ślinka. Jadła ten chleb tutaj, w tym obcym kraju, od tygodnia, i już zdażyła się uzależnić od jego smaku, ale teraz dosłownie marzyła o tym, by znaleźć się bliżej miejsca, gdzie powstaje *pain au levain*. Aż jej się zakręciło w głowie. Powietrze wzięło ją w swoje wilgotne, słodkie objęcia i uspokoiło serce, trzepoczące się w piersiach. Miała ochotę położyć się na tej cieplej, zniszczonej podłodze, usnąć i już nigdy nie opuścić tego miejsca. Czuła się tu lepiej niż w domu. Lepiej niż w niebie.

Wszystko się zaczęło tutaj, w tym bardzo starym pomieszczeniu piekarni, wykutym w żółtym kamieniu i ukrytym pod ziemią, nad zakolem leniwie płynącej rzeki Dordogne. I jak się miała wkrótce przekonać, najważniejszy był początek, ponieważ tajemnica chleba na zakwasie tkwi właśnie w zaczynie, *levain*, żywej, oddychającej, musującej mieszaninie przeszłości i terażniejszości, dodawanej do każdej porcji mąki i wody, by przemienić ją w przyszłość. Od blisko dwustu lat w tym nagrzanym, solidnym pomieszczeniu zakwas wnosił życie w *boules* i żadne inne pieczywo w południowo-zachodniej Francji, w całej Francji, w całej Europie, nawet na całym świecie nie miało takiego smaku.

To prawda, że każdy bochenek w większości składał się z mąki ze świeżo zmielonej pszenicy oraz wody z rzeki, wijącej się w dole, i nie było w tym nic szczególnego, każdy mógł to zrobić. Ale jego duszy, istoty, kwintesencji jego niezwyklej smakowitości nie dawało się tak łatwo uchwycić. Brała się z lekko spienionego *levain* i czerpała swój niepowtarzalny zapach z przeszłości, z kruszących się, prastarych murów, ze słońca padającego na markizy w biało-żółte pasy, słabego zapachu lawendy, spływającej po schodach ze skrzynek wystawionych na zewnątrz, ze złotych snopów pszenicy na okolicznych polach i z pokoleń piekarzy, którzy go stworzyli, karmili, pielęgnowali, kochali i nim się dzielili.

Później, kiedy Esme wiedziała więcej, znacznie więcej, i kiedy jej głód został zaspokojony nie raz i nie tylko chlebem, zauważyła, że coś wręcz ciągnie ją do zakwasu, fermentującego na dnie starej, drewnianej dzieży, czekającego, by tchnąć życie w kolejną porcję *boules*.

Teraz, kiedy wiedziała, jakie potrafi czynić cuda, była tym całkowicie zafascynowana.

Bo bez zakwasu *pain au levain* wcale nie był *pain au levain*, tylko pozbawionym życia, mdłym i kluchowatym pa-gajem.

Ale jeśli do tej samej mąki i wody dodać trochę czarodziejskiego zaczynu, delikatnie domieszać sól z bagnisk Guérande, a potem dać mieszaninie trochę czasu i ciepła, wyrobić mocną dłoń piekarza, później znowu dać jej nieco czasu, a na koniec trochę ciepła, prawdziwego ciepła, i *voilà!*

Esme wiedziała, co to znaczy być mdłym i bez życia, szczególnie kiedy weszła do tego małego, nagrzanego pomieszczenia, w którym człowieka od razu oblewał pot. Mając dziewiętnaście lat i trochę piegów oraz nadal pozostając dziewicą, bardziej niż kiedykolwiek zdawała sobie sprawę z tego, czego jej brak. Była gotowa do przebudzenia. Potrzebny był tylko magiczny dotyk dłoni piekarza.

Pewnego razu, pod koniec pobytu, chociaż wtedy naturalnie nie wiedziała, jak szybko nadejdzie koniec, przybliżyła zimny słoik z cennym *levain* tuż do twarzy i wdychała jego cierpki, odurzający zapach.

- Pomyśleć - cicho mruknął piekarz swoim głębokim głosem - że będzie trochę ciebie i mnie w chlebie, który upieczesz, Esme.

Od tamtej chwili prawdziwe szczęście zawsze miało jej się kojarzyć z zakwasem.

Rozdział pierwszy

Piętnaście lat później, dwadzieścia metrów nad poziomem morza na wybrzeżu Suffolk, Esmé zajęta była przygotowaniami do smażenia konfitur z pigwy. Przenosiła właśnie naręcze dorodnych, żółtych owoców z płytkiego koszyka do kuchennego zlewu, kiedy potknęła się o psa i pigwy poleciały na wszystkie strony.

Rzuciła się przed siebie i złapała parę, ale przy okazji tak mocno kopnęła owoc, który spadł na podłogę, że odbił się od listwy i potoczył po schodach.

Trudno sobie wyobrazić coś gorszego w pięciopiętrowym domu z kuchnią na samej górze.

- Szlag by to trafił! - zakląła głośno, patrząc na pozostałe pigwy, turlające się wokół jej nóg. Na dodatek Brown zerwał się i zaczął biegać w kółko. Esmé skierowała się ku schodom. Słyszała, jak pigwa stoczyła się po ośmiu stopniach, uderzyła o ścianę na półpiętrze, a potem pokonała kolejnych osiem stopni. Była duża i niezupełnie dojrzała, więc narobiła sporo hałasu. - Na litość boską, Brown - zwróciła się z wyrzutem do ogarniętego paniką psa, który skakał za nią, roztrącając owoce leżące na podłodze. Zbiegła po schodach, a stukot jej już niemodnych pantofli od Dirka Bikkenberga jeszcze powiększył panujące zamieszanie.

Nieco zwolniła na piętrze, gdzie był pokój Rory'ego, a kiedy szykowała się do pokonania kolejnego odcinka

schodów, niespodziewanie poczuła, jak Brown trącił ją łbem z tyłu, niemal przewracając Esme.

- No wiesz - powiedziała z wyrzutem. - Albo mi się płaczesz pod nogami, albo skaczesz na dupę. Cóż za irytujące z siebie stworzenie!

- Słucham? - rozległ się z dołu głos jej teścia. Jak na człowieka z dwoma sztucznymi stawami biodrowymi, który poruszał się o lasce, potrafił chodzić zdumiewająco cicho, pomyślała Esme. Coś w rodzaju skrzyżowania pantery ze ślimakiem.

- Henry! - Speszona, walczyła z sobą, żeby się nie skrzywić.

Henry zajmował pierwsze piętro w Domu w Chmurach i rzadko zapuszczał się tak wysoko. Miał tam własną łazienkę i małą kuchenkę, a pokój dzienny, znajdujący się piętro wyżej, dzielił z pozostałymi członkami rodziny, chociaż właściwie młodszy Stackowie prawie nigdy z niego nie korzystali.

- Przepraszam za ten rumor - powiedziała, schodząc niżej, tam, skąd dobiegał głos teścia - ale potknęłam się o Browna i upuściłam pigwy, a potem ten głupi zwierzak popchnął mnie z tyłu. Nie potoczyła się aż do ciebie, prawda? Znaczy się, pigwa?

Wyłoniwszy się zza zakrętu schodów, zobaczyła, że poobijany owoc leży u stóp Henry'ego. Zauważyła, że z pigwy kapie powoli sok.

- Kto by pomyślał, że zawędruje tak daleko - zaszczębiotała, zatrzymując się kilka stopni wyżej. - I tak szybko. Może źle wykombinowaliśmy z tym kołem. Mpże powinno mieć kształt pigwy.

Henry patrzył na nią tak, jakby mówiła w jakimś obcym języku. Dość często widziała u niego taką minę, ale zanim zdążyła pożałować, że nie ugryzła się wcześniej w język, by oszczędzić teściowi irytacji, Brown śmignął obok niej, podbiegł do pigwy, obwąchał ją, po czym się odwrócił, podniósł nogę i nasikał na owoc. Oniemiała Esme gapiała się na stru-

mień psiego moczu, który po odbiciu się od ściany ściekał prosto na półbuty Henry'ego. Ponieważ był piątek, a Henry należał do ludzi pedantycznych, wiedziała, że wyczyścił je mniej więcej godzinę i dziewięć minut temu.

Henry, zdumiony, co całkiem zrozumiałe, na chwilę stracił równowagę i zachwiawszy się lekko, wpadł na ścianę i stracił portret swojej zmarłej żony.

- Na litość boską - wysapał, purpurowy ze złości, wciąż opierając się o ścianę, ale próbując stanąć prosto. - Nie stercz tak, zrób coś.

Brown wolno wycofał się wyżej i patrzył pytająco na Esme, ciekawy, czym może być owo „coś”.

- No więc? - znów odezwał się Henry, strząsając z nogawki spodni krople psiego moczu tak energicznie, jak to tylko możliwe w przypadku siedemdziesięcioletniego mężczyzny, który nie ma w miednicy prawie żadnej własnej kości. - No więc? - powtórzył.

Po chwili w Domu w Chmurach dało się słyszeć stukanie trzech par nóg o drewniane stopnie, bo Esme przemknęła obok chwiejącego się na nogach teścia i rzuciła się w pogoń za psem. Zbiegała po schodach, cały czas widząc tuż przed sobą tłusty, lśniący zad Browna. Minęła piętro, które zajmowała razem z Pogiem, pokój dzienny i dotarła na kondygnację Henry'ego, a ostatni odcinek schodów, na sam parter, pokonała, biorąc po dwa stopnie naraz.

Jak na zwierzaka, który potrafił spędzić cały dzień rozwalony przed kominkiem, wpatrując się w talerz kruchych ciasteczek, Brown, kiedy musiał, potrafił poruszać się bardzo szybko. Pokonywanie zakrętów nie było jednak jego najmocniejszą stroną i w ciasnym holu wejściowym wpadł na stolik, przewrócił go, a przy okazji stracił na podłogę wazon z okazałymi czerwonymi różami. Nie powstrzymało go to wszakże. Skierował się do drzwiczek dla kota i przez nie zanurkował, a koniec jego ogona zniknął, nim Esme wyciągnęła rękę, by go złapać i wyrwać z podłego psiego zadu.

Drzwiczki dla kota opadły z trzaskiem i w domu znów zrobiło się cicho. Na chwilę. Potem rozległ się stukot laski Henry'ego o podłogę.

- Dobra robota - oświadczył sztywno. - Pójdę po mop.

- Och, czy ty kiedykolwiek się wyluzujesz! - Esme usłyszała zza zamkniętych drzwi sypialni babci Mac gderliwy głos z akcentem dokerów. - Wyciągniesz kopyta, jeśli wiecznie będziesz zrzędził, ty stary, głupi capie.

Znieruchomiała. Spojrzała na drzwi pokoju babki, a potem na sufit. Słyszała wyraźnie jej głos, nie miała cienia wątpliwości, ale czy Henry też to usłyszał? Przez chwilę w domu panowała kompletna cisza, nikt się nie poruszał i nie odzywał, potem zaś miarowy stukot laski i szuranie nogami obwieściły całemu światu, że Henry udał się do schowka gospodarczego po szczotkę.

Esme wypuściła powietrze z płuc i postanowiła zignorować to, co przed chwilą usłyszała. Dziś rano nie miała czasu na takie rzeczy. Zostały jej pigwy (dwa tuziny) do przetarcia, okna (dwadzieścia osiem) do umycia, schody (siedemdziesiąt osiem stopni) do odkurzenia i marudny syn (czteropółletni), który zawsze przysparzał jej kłopotów, a szczególnie wtedy, kiedy źle spał w nocy. Leżał teraz na poduszce i drzemał przy oglądaniu na wideo Boba Budowniczego, ale nie będzie to trwało wiecznie.

Esme odwróciła się, by ocenić zniszczenia, i przypadkowo skierowała wzrok na własne odbicie w lustrze w holu. Zobaczyła to, czego wcale nie chciała oglądać. Spoglądały na nią w napięciu przejrzyste, zielone oczy. Wczoraj wieczorem niestarannie zmyła makijaż, więc miała czarne, posklejane rzęsy i smugi pod oczami. Rano uważała, że udało jej się upiąć na czubku głowy elegancki kok, ale teraz dostrzegła, że wcale nie jest elegancki ani w ogóle nie przypomina koka. Prawdę mówiąc, jej niesforne, miedziane loki wyglądały jak wielki motek rudej wełny, którym się bawiły rozdokazywane kocięta. Miała kolczyk tylko

w jednym uchu, szminkę na brodzie i coś jej zaschło na nosie. Wyglądała, jakby dopiero co uciekła przed nawałnicą.

Zgarbiła się, patrząc na swoje odbicie. Ciekawa była, czy wszyscy wiedzą takie zwariowane życie, jak ona. A może ona wprowadza więcej nieładu niż inni? Ściąga na siebie więcej katastrof? Słapstikowa komedia z gonieniem pigwy skończyła się, ukazując niebezpieczne lodowisko, ukryte tuż pod powierzchnią. Esme przestała snuć rozważania o swoim życiu i odwróciła wzrok od odbicia w lustrze.

Dzisiaj nie miała czasu na zgłębianie smutków, co zajmowałoby każdą wolną chwilę, gdyby sobie na to pozwoliła. Nie był to właściwy moment na roztrząsanie tragedii, która zniszczyła jej rodzinę, a potem tak nieskładnie ją posklejała.

Zamiast tego weźmie to nieprzemijające cierpienie, to dręczące wspomnienie i wyźmie je, zgniecie, stłumi tak, jak to robiła codziennie od dwóch lat, aż przestanie ją męczyć, ukrywając się w niej bardzo głęboko jak ostry i twardy cierń. Jedynie dzięki temu mogła jako tako funkcjonować. Mogła nadal chodzić, oddychać, gotować, sprzątać, śmiać się i pokazywać ludziom pogodną twarz, jakby największa tragedia w jej życiu była tylko sennym koszmarem, a nie czymś, co wydarzyło się naprawdę, co przygnało ją do tego domu, na nowe miejsce, by mogła rozpocząć nowe życie tu, gdzie nic nie przypominało jej o tamtym strasznym dniu.

I na ogół przez ostatnie dwa lata to wyżymanie i zgniatanie się sprawdzało. Jakoś żyła dalej. Pog, jej mąż, również żył jakoś dalej. Rory, ich syn, także. Każde z nich z osobna jakoś żyło dalej.

Esme stłumiła w zarodku ogarniające ją przygnębienie. Wyźmij je, upomniała samą siebie. Zgnieć. Ukryj. Postaw jedną nogę przed drugą. Trzymaj się.

Ale ostatni miesiąc był trudny. Nawet ona to widziała w tych czystych, zielonych oczach. I będzie coraz trudniej.

Dokładnie w tej samej chwili jej mąż, Pog, siedział przy biurku w swoim biurze trzy kręte ulice dalej, myśląc zupełnie to samo.

Upłynęły trzydzieści trzy dni, odkąd Esme ostatni raz upiekła bochenek chleba, i nie wiedział, jak ją nakłonić, by znów zaczęła piec. Usta miał spierzchnięte, w brzuchu mu burczało, kiedy patrzył na leżącą przed sobą kanapkę, kupioną w sklepie. Szturchnął ją świeżo zatemperowanym ołówkiem. Wczorajsze pieczywo, bez wątpienia. Pozbawione sprężystości i uroku. *Joie de vivre*. Nie błagało, by je zjeść. Leżało spokojnie, dławiąc się za długo gotowanymi jajkami i na wpół surowym bekonem.

Oczywiście próbował rozmawiać z Esme na temat pieczenia chleba, bo bardzo go to trapiło. Wiedział, co dla niej znaczy chleb na zakwasie. Ale od dnia, w którym doktor Gribblehurst wyszedł z pokoju babci Mac i powiedział, że zrobił wszystko, co w jego mocy, Esme przestała piec chleb. A kiedy Pog pierwszy raz spróbował z nią o tym porozmawiać, zobaczył panikę w oczach żony i zrezygnował. Jak, zadawał sobie pytanie, może z nią rozmawiać o chlebie i babci Mac, kiedy jeszcze tyle innych spraw wymagało wyjaśnienia? Przez ostatnie dwa lata niewypowiedziane słowa pokrył gruby kobierzec, maskując przepaść, która stawała się coraz głębsza.

Od samego początku powinien być bardziej zdecydowany, teraz to wiedział. Powinien wymusić decyzję, nieważne, jak bolesną, ale prawdę mówiąc, nie chciał być tym, który zerwie strupy z ran Esme, ponieważ bał się, że nigdy nie uda mu się potem zatamować krwi.

Wszyscy myśleli, że jest taka beztroska, taka szczęśliwa, taka silna i odporna - cóż, nawet ona sama tak uważała -ale Pog wiedział, że jest inaczej. I chciał jej pomóc. Bóg mu świadkiem, że niczego bardziej nie pragnął, ale nie chciał jej popychać, łamać, rozdrapywać drobnych, delikatnych pęknięć, które pojawiły się na twardym zewnętrznym

pancerzu od tamtego straszego dnia. Nie mógł, nie chciał robić niczego, bojąc się ją stracić - swoją wspaniałą, rezolutną, jedyną w swoim rodzaju żonę. Była wszystkim, co od tamtej pory trzymało go przy życiu. Tylko ona jedna ich wszystkich trzymała.

W żołądku zaburczało mu z głodu, ale ciastowata, pełna konserwantów kanapka, którą miał przed sobą, była równie pociągająca, jak kalosz. Bezmyślnie zaczął dziurawić smętnego, małego sandwicza, starając się nie słyszeć, jak pani Murphy umawia go na spotkania.

Esme musi zacząć piec chleb, rozpaczliwie tego potrzebował. Chleb Esme nie tylko prosił, by go zjeść, on się tego wręcz domagał. Po prostu nie można było przebywać w jednym pomieszczeniu z jej chlebem na zakwasie, by cały czas nie oblizywać ust i nie myśleć, że akurat to ma się ochotę zjeść. Nie, więcej. Że właśnie tego człowiekowi brakuje do szczęścia.

Pog spróbował sobie przypomnieć jego zapach. Minęły zaledwie trzydzieści trzy dni, a tamten dramat już zdążył się zatrzeć w pamięci. Potrafił sobie wyobrazić słoność i ostrą cierpkość octu jabłkowego. Ale to tak charakterystyczne, słodkie, ciepłe, nieopisanie smakowite coś, co sprawiało, że ślinka ciekła do ust? To coś, co wychodziło spod delikatnych i zręcznych rąk Esme? Zniknęło. Aż nie do wiary. Tak jak smakowite, pulchne bochenki o chrupiącej skórce.

W tej samej chwili w Domu w Chmurach Esme uniosła delikatne i zręczne ręce i zagarnęła szalone, rude loki. Weź się w garść, rozkazała sobie, spoglądając w lustro i pocierając oczy, by usunąć czarne cienie. Oblizwała usta, żeby nie były takie matowe, starła szminkę z brody, zdrapała to coś, co zaschło jej na nosie, i uśmiechnęła się do własnego odbicia. Był to wypróbowany sposób, by zmobilizować się do zrobienia tego, co w danej chwili należało zrobić, w tym wypadku - posprzątania całego bałaganu z podłogi.

Nogą odgarnęła na bok kawałki połamanego stolika i przykucnęła ostrożnie w kałuży śmierdzącej wody z wazonu, by pozbiierać skorupy. Wazon był prezentem ślubnym od jej szwagra Milo, tego syna Henry'ego, który wybrał sobie odpowiednią kobietę na żonę, a potem sprytnie wyniósł się do Nowego Jorku. Przez ten stłuczony wazon niewątpliwie będzie miała kolejną krechę u Henry'ego. Wiedziała, że teść uważa ją za kobietę lekkomyślną i nieodpowiedzialną. Musiało mu to bardzo przeszkadzać, myślała sobie, bez entuzjazmu zbierając z podłogi skorupy, że siedzi jej na karku wbrew własnej woli, zmuszony okolicznościami, do których powstania w najmniejszym stopniu się nie przyczynił, jeśli pominąć fakt, że źle ulokował oszczędności całego życia i na starość został niemal bez grosza, praktycznie rzecz biorąc bez dachu nad głową i z chorymi nogami.

Przypomniała sobie, że staruszek ma wszelkie powody, żeby stale być w złym humorze, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że jej pies obsikał dopiero co wyczyszczone przez Henry'ego buty.

- Hop-hop! - dobiegł ją zza zamkniętych drzwi sypialni śpiewny głos babki, dźwięczny jak dzwon. - Hop-hop!

Esme wyprostowała się, odgarnęła nogą pod ścianę resztę skorup leżących na podłodze i przechyliła głowę na bok. Rod Stewart cicho chrypiał, że ktoś puka do jego drzwi i musi być za kwadrans czwarta.

Zdecydowanie nie wyobraziła sobie tej piosenki, zdaje się, że melodia dobiegała z pokoju babci Mac. Podeszła i przyłożyła ucho do drzwi.

Ulubiony piosenkarz jej babki zawodził, że można go kochać dziś w nocy, ale rano już nie.

Esme ostrożnie otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. W pokoju panował mrok, tak jak babcia Mac zawsze lubiła. Potrząsnęła głową, by odpędzić od siebie śpiew Roda, i po omacku podeszła do okna, chcąc rozsunąć zasłony.

- Mówię do ciebie, latawico! - Głos babki wypełnił

nagle sypialnię. Esme gwałtownie się odwróciła i zobaczyła, że staruszka, siedząca na łóżku, spogląda na nią błyszczącymi oczami. Nagle poczuła silny zapach tanich papierosów Embassy Regal, ulubionych babci Mac. Esme aż dostała gęsiej skórki.

- Babciu Mac! - wyjąkała z niedowierzaniem, kiedy jej wzrok przyzwyczał się do półmroku i ujrzała twarz, którą tak dobrze знаła, że widziała ją nawet wtedy, kiedy miała oczy zamknięte.

- Tak - przyznała babcia Mac. - Zdumiewające, nieprawdaż, i do tego w moim wieku?

Esme zamrugała powiekami, przez chwilę nic nie mówiła, a potem znów zamrugała. Targały nią różne uczucia, szukając szczeliny, przez którą mogłyby się wydostać. Niedowierzenie, złość, zachwyt - wszystkie walczyły o swoje miejsce.

- Babciu Mac - odezwała się znowu, postanawiając w tym momencie stłumić niedowierzenie i pozwolić dojść do głosu zachwytowi. - Ty paliłaś!

Staruszka tylko zachichotała, w panującym półmroku jej zmarszczki na zapadniętych policzkach rozpląnęły się i zrobiły niewyraźne.

- Nie rozumiem - oświadczyła Esme. - Myślałam, że... Jak mogłaś? Chciałam powiedzieć, na miłość boską, naprawdę nie powinnaś. Bo przecież... Myślałam, że... No wiesz... Że zdecydowanie... O, cholera - zaklęła niespodziewanie. - Mam dziś jakiś dziwny dzień. - Znów wciągnęła powietrze nosem. W pokoju zdecydowanie unosił się zapach dymu papierosowego. I słychać było śpiew Roda Stewarta.

- Cóż, okazuje się, że istnieje szybki i skuteczny sposób rzucenia palenia - oświadczyła babka. - Ale nie wiem, czy mogę go polecić z czystym sumieniem.

Esme stała i patrzyła na łóżko. Wiedziała, że nie powinna na to pozwalać. Naturalnie, że wiedziała. Ale tak kochała babcię Mac. I tak jej potrzebowała! Zawsze jej potrze-

bowała. Bez babci Mac żadne wyżymanie i zgniatanie na świecie nie pomogłoby jej jakoś żyć po przeprowadzce z Londynu do Domu w Chmurach. Była jej wybawicielką. Zawsze. I może w przyszłości też nią będzie. Czyż Esme mogłaby o tym dyskutować?

Wyrzuciła ręce w powietrze i klapnęła w nogach łóżka, po czym przesunęła się, aż poczuła ścianę za plecami. Spojrzała na babkę i zapragnęła, żeby mrok przestał rozmazywać tę ukochaną twarz, by mogła ją ujrzeć wyraźnie.

- Wiesz, właśnie się zastanawiałam, gdzie chciałabym zamieszkać - oznajmiła - i pomyślałam sobie, czy przypadkiem nie tutaj z tobą, może choćby na kilka dni. Mogłabym palić papierosy, czytać magazyn „Hello!” i podglądać Ramola i jego żonę. Byłoby tak, jak kiedyś.

Ramol i jego żona byli starszami, mieszkającymi po sąsiedzku w wiatraku tuż obok Domu w Chmurach. Już samo to wydawało się dość osobliwe, poza tym byli chyba najnormalniejszą parą w całym chrześcijańskim świecie. Z całego serca nie znosili Esme i jej dziwnego domu, w którym mieszkała z rodziną. Według Ramola i jego żony Stackowie obniżali standard.

- Musiałabyś najpierw wyjść i przynieść magazyn „Hello!” - zauważyła babcia Mac. - Wprost umieram z ciekawości, jakie to nowe pomyje wylewają na głowę biednej Fergie.

Esme poczuła, jak ogarnia ją fala gorącego przywiązania. Po prostu ubóstwiała babcię Mac.

- Myślałam, że nigdy jej nie wybaczyłaś - powiedziała - że na pogrzeb królowej matki włożyła ten ekstrawagancki kapelusz.

- Och, czy musisz mi przypominać o królowej matce? Ostatnio bardzo mnie denerwuje słuchanie o zmarłych, Esme.

- Cóż, wydaje mi się, że to był pogrzeb królowej matki. - Esme pochyliła się do przodu. - Chociaż nigdy nie wiadomo, kiedy w grę wchodzi rodzina królewska, prawda? Chcia-

łam zauważyć, że nie widziałam ciała. To mógł być każdy. Wiesz, że podobno widziano księżną Dianę? Pracuje jako tancerka rewiowa w Las Vegas. Na dobrą sprawę prawdziwą królową matkę mogli wynieść z Clarence House w basenie dla chorego. Może żyje sobie w najlepsze w Blackpool, trwoniąc dochody z naszych podatków od wszystkich ciężko zarobionych pieniędzy na jednoręcznych bandytów i wyścigi.

Babcia Mac sprawiała wrażenie podekscytowanej taką możliwością.

- To nie byłoby takie złe - rozmarzyła się. - Sama chętnie bym spróbowała.

- O, nie, babciu Mac, jesteś mi potrzebna tutaj - zaprotestowała zdesperowana Esme, bo chociaż prawdopodobieństwo, że jej babka wyprowadzi się do Blackpool, było bliskie zeru, dziwniejsze rzeczy się już zdarzały i stale się zdarzają na tym świecie. - Naprawdę. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Poczuła, jak babcia Mac świdruje ją wzrokiem, jakby chciała się dowiedzieć, jak bardzo. Esme westchnęła.

- Przegrywam - przyznała się zwyczajnie, wzruszając ramionami. - Przegrywam i już. Tylko na mnie spójrz! - Jakby na poparcie tych słów właśnie w tamtym momencie kosmyk włosów wysunął się jej ze spinki i opadł na twarz.

- Przez ostatni miesiąc, babciu Mac, wiesz, odkąd... - zastanawiała się nad określeniami, które nie zdenerwują babki.

- Od wizyty doktora Gribblehursta i w ogóle... - Przez chwilę milczała, szukając właściwych słów. - Nic nie wydaje się już takie, jak powinno. Nie wiem, co robię. Nie wiem, dlaczego tutaj jestem. Niczego nie wiem. Wszystko jest jakieś ponure, mętne i dziwne. Czuję się, jakbym zaczynała się rozsypywać, a nie wiem dlaczego, i to jest przerażające.

- Wiesz, dlaczego, ty głuptasie - powiedziała jej babka.

- Tylko nie chcesz się do tego przyznać.

Esme poczuła, jak strach ściska jej serce. Czy to pragnęła usłyszeć?

- Nie chodzi o to, że nie chcę - obruszyła się. - Po prostu nie mogę. Jeszcze za wcześnie.

- Ale jeśli będziesz dłużej zwlekała - delikatnie sprzeciwiła się babka - będzie za późno. I może nie tylko dla ciebie.

- Nie mów tak - odezwała się błagalnie Esme. - Proszę cię.

W pokoju zapadła cisza, jeśli nie liczyć ledwo słyszalnego zawodzenia Roda.

- A co nowego u tego żalostnego, starego capa z góry? -Babcia Mac przeszła do rozmowy na swój ulubiony temat: o Henrym. - Nadal cię wkurza?

- Jestem pewna, że nie bardziej, niż na to sobie zasłużyłam - odrzekła Esme. - Chciałam powiedzieć, że trochę sceptycznie patrzy na świat, uważa, że nic nie umiem zrobić tak, jak należy, ale to nic nowego.

- Rozważałaś posłużenie się książką telefoniczną Londynu? - podsunęła jej życzliwie babcia Mac. - Albo zamrożonym udźcem jagnięcym, który potem przyrządzisz na kolację, czy też butelką wina?

- Myślałam o winie - przyznała się Esme - ale tylko jako o napoju. Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad ewentualnymi narzędziami zbrodni.

- Och. - Babka była wyraźnie zde gustowana. - Nie starasz się wystarczająco usilnie, Esme.

Esme z powrotem wsunęła nieznośny kosmyk w spinę. Starła się najlepiej, jak umiała.

- Esme! - Pełen niepokoju krzyk Rory'ego dobiegł z samej góry aż na dół. Rory nie lubił się budzić. Małego dręczyły okropne koszmary senne. Myśl, co też dziś mu się przyśniło, że obudził się taki przestraszony i zagubiony, i samotny, zmroziła ją do szpiku kości.

- Esme-e-e-e-e! - zawołał znów, a jego głos przenikał przez wszystkie kondygnacje domu, by ją odnaleźć. Bez względu na to, jak bardzo próbowała go nakłonić, by zwra-

cał się do niej „mamusiu”, zawsze mówił do niej po imieniu. Ramol i jego żona uważali to za zbrodnię.

- Czy mój siusiumajtek dobrze się czuje? - zapytała łagodnie babcia Mac.

- Tak - odpowiedziała Esme, wstając z łóżka, nieszczęśliwa, że musi zrezygnować z podnoszącego na duchu towarzystwa babci Mac.

I rzeczywiście radził sobie całkiem dobrze. Psycholog, do którego jeździła z synkiem co dwa miesiące do Londynu, był zadowolony z jego postępów, a szczególnie z umiejętności rozmawiania. Jak na dziecko, które nie powiedziało ani słówka do dnia swoich czwartych urodzin, kiedy to zadebiutowało zdaniem: „Wolałbym herbatnika w czekoladzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu”, znajomości języka angielskiego mogłaby mu pozazdrościć większość dorosłych.

- Naprawdę, babciu - zapewniła ją. - Jest tylko zmęczony i tyle. Słowo daję, że wszystko z nim w porządku. Nie musisz się o niego martwić.

- A więc zostajesz tylko ty - powiedziała babcia Mac. - Tylko o ciebie muszę się martwić.

Esme się uśmiechnęła.

- Och, nie wiem - odezwała się cicho. - Już jest mi lepiej.

- Naprawdę? Cóż, w takim razie może ośmielę się zapytać, czy to pigwa spadała ze schodów z takim łomotem przed chwilą?

- Skąd możesz to wiedzieć? - Esme była zaskoczona.

- Es-meeeeeee! - wydarł się na górze Rory.

- Pigwa, Esme? O tej godzinie, kiedy normalnie, jestem tego pewna, wkładałabyś do pieca twój przepyszny chleb?

- Po prostu nie mogę - oświadczyła smutno Esme. - Odkąd... od tamtego dnia... Och, babciu Mac, jestem taka... pusta.

- Ale teraz nie czas rezygnować z czegoś, co jest ci takie

drogie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek powinnaś się tego trzymać.

- Po prostu czegoś mi zabrakło - powtórzyła zrozpaczona Esme. - Zwyczajnie nie mogę... Po prostu coś zniknęło.

- Cóż, wobec tego odszukaj to, dziewczyno. Odszukaj i już. Akurat wtedy Rory rozdarł się tak głośno, że Esme nie

mogła tego dłużej znosić i przy wtórze cichnących dźwięków muzyki Roda Stewarta wyslizgnęła się z pokoju i ruszyła na górę.

Kiedy stąpając ciężko, mijała pokój Henry'ego, zobaczyła, że zniknęły wszelkie ślady katastrofy, spowodowanej dopiero co przez pigwę. Niewątpliwie teraz znów czyścił buty, jego porządek dnia uległ zakłóceniu. Napięła mięśnie pośladków, nie dlatego, że myślała o teściu, tylko dlatego, że jej przyjaciółka Alice, uzależniona od osobistych trenerów, twierdziła, że to świetne ćwiczenie w połączeniu z wchodzeniem po schodach dziesięć razy dziennie.

Nim pokonała kilka ostatnich stopni, dzielących ją od kuchni, gdzie w kącie leżał pod ulubionym kocym różowy i spocony Rory, sapała i świszczala jak stara lokomotywa. Żałowała, że chłopiec jest za mały, by wiedzieć, jak się robi sztuczne oddychanie i na niej to przećwiczyć.

I bolały ją mięśnie pośladków. Oto konsekwencje mieszkania w domu z siedemdziesięcioma ośmioma schodkami -ale za każdym razem, kiedy Esme wyglądała przez okno na ostatnim piętrze, przypominała sobie, dlaczego warto to wszystko znosić.

Wzięła na ręce spoconego, płaczącego synka i przytuliła go mocno, spoglądając na dachy Seabury nad wierzchołkami zielonych dębów, na jezioro Meare, jak nazywali je miejscowi, na wody zimnego Morza Północnego, uderzające o kamienisty brzeg i próbujące kapryśnie nie lśnić w promieniach słońca.

Pobujała na rękach Rory'ego, starając się sprawić, żeby zapomniał o swoim nieszczęściu, i wróciła myślami do po-

nurego, szarego, londyńskiego popołudnia, kiedy porzuciła swoje własne, kwitnące imperium wydawnicze, by wyciągnąć męża z biura, pojechać z nim do Suffolk i obejrzeć dom marzeń.

- Przecież to nawet nie jest prawdziwy dom! - jęknął z przerażeniem Pog.

- Daj spokój. Jesteś architektem, a więc ostatnią osobą, która wie, jak wygląda prawdziwy dom - zaczęła sobie z niego żartować Esme.

Z czasem przyznała mu rację, że budynek był rzeczywiście wyjątkowo wysoki, ale właśnie to jej się tak podobało. Przecież chcieli uciec z miasta, prawda? Przecież pragnęli zacząć wszystko od nowa?

- Ale czy nie moglibyśmy sobie kupić jakiegoś ładnego, małego domu nad morzem? - spytał nieśmiało Pog. - Jak normalni ludzie.

Tylko że nie byli już normalnymi ludźmi. Sprawily to niedawne, niewyobrażalne wydarzenia. A Esme chciała zamieszkać w Domu w Chmurach nie pomimo że był taki osobliwy, ale właśnie dlatego.

- Cała wioska jest jakaś dziwna - narzekał Pog, krzywiąc się. - Tyle tu łuków tam, gdzie powinny być linie proste, i za dużo wież i wieżyczek.

Esme przyznała mu rację, że wioska jest jak ze sklepu z osobliwościami, jakby powiedziała babcia Mac, ale dzięki temu stała się jej jeszcze droższa. Cała osada Seabury została zbudowana sto lat temu przez bogatego właściciela ziemskiego, który chciał stworzyć miejscowość wypoczynkową jak z bajki dla „porządnych” ludzi, takich jak on.

Trzeba przyznać, że trochę przesadził, pragnąc wskrzesić ducha dawno minionej epoki Tudorów, dlatego miejscowość mogła się poszczycić nadmiarem nieodpowiednich, drewnianych oszalowań, ciężkich belek, krętych ulic i dziwacznych, a właściwie w ogóle zbędnych rogów.

A nad tym ekscentrycznym skupiskiem domów i ogrodów górował Dom w Chmurach niczym olbrzymi gołębnik. Jego ściany pomalowane były na czarno i upstrzone małutkimi, białymi okienkami, z których rozciągał się widok na wszystkie strony świata. Na samej górze znajdował się wielki, kwadratowy pokój, a całość wieńczył czerwony, dwuspadowy dach.

- Uważam, że nawet gołębniki normalnej wysokości są zwariowane - rzekł Pog. - A co dopiero taki, który ma dwadzieścia metrów. I ty chcesz w nim zamieszkać?

Ów niegdyś założyciel osady-oryginał pierwotnie wymyślił ten budynek, by urozmaicić, w sposób dość drastyczny, otoczenie, a co ważniejsze, by ukryć w domu wieżę ciśnień; tu, gdzie dziś mieściły się kuchnia czy pokój dzienny, kiedyś pompowano tysiąc trzysta sześćdziesiąt pięć hektolitrów wody na potrzeby mieszkańców.

- Ukryć? - Pog niemal zemdlał, kiedy Esme podzieliła się z nim tą informacją. - Chciał zamaskować wieżę ciśnień, budując potężny gołębnik?

- Tak, dlatego na podwórzu jest wiatrak - wyjaśniła Esme, jakby to miało jakiś sens.

Oświadczyła Pogowi, że dom przemówił do niej słowami, które tylko ona mogła usłyszeć.

- Jak czekolada? - podsunął jej dość ponuro.

- Jak czekolada - zgodziła się - tylko większa.

Esme uznała Dom w Chmurach za antidotum na swoje życie, ponieważ nie mogła już dłużej go znieść. Stał się dla niej ucieczką przed tragedią, która ich dotknęła. Więc Pog, jako że zawsze pragnął jedynie szczęścia żony, uległ wkrótce i cały klan Stacków się tu wprowadził.

Rzeczywiście człowiek może dostać szału, kiedy zejdzie do samochodu i przypomni sobie, że zostawił kluczyki na kuchennym stole wysoko pod niebem, ale na ogół Esme ubóstwiała swój dom i chaotyczną zabudowę Seabury. I on,

i cała ta dziwaczna miejscowość pasowały do niej i do siebie nawzajem.

- Gdzie jest pani Brown? - zapytał Rory, przywarłszy do Esme swoim spoconym ciałkiem. - Chcę panią Brown.

Pocałowała gęste, kręcone, jaskrawopomarańczowe włoski synka i powstrzymała się przed powiedzeniem mu, że pani Brown, jak oryginalnie określał psa, została rozszarpana przez wściekłe niedźwiedzie jaskiniowe i już nigdy nie wróci. Przynajmniej nie pod postacią psa. Być może jako roślina doniczkowa, ale z całą pewnością nie jako cokolwiek z pęcherzem moczowym.

- Gdzie jest pani Brown? - Rory nie przestawał dramatycznie łkać. - Gdzie jest mój przyjaciel, mój jedyny przyjaciel? - Esme starała się uciszyć chłopca i zaczęła go kołysać. Na podłodze wciąż leżały pigwy, a na kuchennym blacie wszystko było przygotowane do smażenia konfitur.

Poczuła na twarzy słodki oddech małego dziecka i pocałowała synka w nos, ale odwrócił od niej buzię. Kącikiem oka zobaczyła jego cień, przesuwający się po szafkach kuchennych. Ścisnął jej się żołądek i poczuła niewytłumaczalną mieszaninę smutku, skrywanej tajemnicy i niewypłakanych łez.

Akurat w tamtej chwili przez otwarte okno wpadł łagodny morski wietrzyk i otworzył drzwi spiżarni, a promienie słońca, niczym snop światła latarki w atramentowoczną noc, padły na kamienny słoń, stojący na podłodze, którego zawartość bulgotała i fermentowała. Mogłaś zrezygnować ze mnie, szepnęła w porannym powietrzu, ale ja nie zrezygnowałam z ciebie.

Rozdział drugi

Babcia Mac zawsze kochała Roda Stewarta. Trzeba przyznać, że nieczęsto się spotyka, by stateczna, sześćdziesięciokilkuletnia, trzykrotnie owdowiała kobieta zapragnęła mieć taką samą fryzurę jak jej idol. Każdy ze zmarłych małżonków kojarzył jej się z jakąś piosenką Roda i wystarczyły pierwsze takty „You're In My Heart”, by ujrzała jak żywego swojego ostatniego męża, Jerry'ego O'Briena.

Kiedy miał dobry humor, był mężczyzną o wyszukanych manierach, grzecznym i czułym, ale gdy był nie w sosie, kłął jak szewc i nie krył pogardy dla katolicyzmu babci Mac, co graniczyło z chorobą umysłową, gdy się pamięta, że wcale nie była katoliczką.

- Jezus to faryzeusz i oszust, a Matka Boska - ladacznica! - wydzierał się do Esme i jej babki ze swego fotela. Oczy miał rozbiegane, farbowane na czarno włosy sterczały mu wokół łysiny na czubku głowy. - Syn Boży, dobre sobie! - parskał, sięgając po likier miętowy, jedyny alkohol, jaki uznawał.

- Dobrze usłyszałaś, Esme? - pytała ją babcia Mac, kiedy stały w przedpokoju po obu stronach otwartych drzwi do salonu. - Masz ten fragment o Jezusie?

Esme pilnie notowała każde słowo, chociaż czasami naprawdę bardzo ją nurtowała pisownia niektórych przekleństw.

Kiedy biedaczysko budził się rano z okropnym bólem głowy, zielonymi od likieru zębami i z takimi wyrzutami sumienia, że można by nimi obdzielić połowę ludzkości, babcia Mac już siedziała na łóżku, wpatrując się w męża. Natychmiast wołała wnuczkę.

- Zaczynaj, Esme - mówiła i wtedy dziewczynka otwierała notes i przystępowała do odczytywania wczorajszych bluźnierstw.

- „Do diabła z papieżem - czytała słodkim głosem - i z Najświętszą Panią też, chociaż wszyscy wiedzą, że w istocie wcale nie była panią”.

Jerry O'Brien leżał w łóżku i płakał, a babcia świdrowała go bazyliżkowym wzrokiem. Przez następny miesiąc nie brał alkoholu do ust, póki znów go nie dopadł demon likieru miętowego i wtedy wszystko się powtarzało.

- Jeden Bóg wie, ile razy w życiu zaglądał do kieliszka - mawiała potem przez długie lata babcia Mac. - Mężczyźni! To cud, że większość z nas nie jest lesbijkami.

Całym sercem jednak kochała Jerry'ego O'Briena. Często powtarzała Esme, że kiedy nie leżał nawalony jak stodoła, był najlepszym z jej mężów. Rzadko wspominała dwóch pierwszych ślubnych, ale po stracie Jerry'ego O'Briena nie potrafiła się obronić przed melancholią. Lecz wtedy nie żyła już też jej córka, Beth, matka Esme - wspaniały przykład tego, że nieszczęścia i kobiety z rodu Mac-Dougallów to bardzo kiepskie połączenie.

Beth, która nigdy nie odznaczała się dużą odpornością psychiczną, uznała, że małżeństwo, macierzyństwo, zdrada męża, rozwód i w ogóle życie jako takie niosą za sobą zbyt wiele cierpień, by je dłużej znosić. I dlatego w pewne deszczowe, londyńskie południe wyniosła się ukradkiem z tego świata, utulona do snu farmaceutyczną kołysanką. Zgodnie z wyraźnymi instrukcjami, posłano po jej żyjącą samotnie matkę, która uroniła parę łez w drodze z posepnych, owianych wiatrami brzegów Gairloch do pełnego zgiełku

St John's Wood, gdzie po raz pierwszy zobaczyła pięcioletnią wnuczkę.

Esme siedziała na podłodze w mieszkaniu sąsiadów i jadła zimną fasolę prosto z puszki. Spojrzała na babkę z uśmiechem. I tak się zaczęło ich wspólne życie.

Chociaż okoliczności pierwszego spotkania były smutne, okazało się, że całkiem im ze sobą dobrze. Beth o tym wiedziała. Babcia Mac o tym wiedziała. Ojciec Esme, który dawno temu wyemigrował do Nowej Zelandii, założył tam nową rodzinę i miał córki bliźniaczki, także o tym wiedział. Nawet Esme o tym wiedziała.

Nie minęło dużo czasu, a babcia Mac i jej wychowanka, która gdzieś po drodze przyjęła nazwisko rodowe matki, nie wyobrażały sobie życia bez siebie. Esme na ogół była zachwycona, że ma opiekunkę, która uważa zajęcia domowe za głupi żart, a miętówki za idealny dodatek do kanapek. Żyły więc sobie szczęśliwie i obu lepiej się wiodło teraz niż dawniej.

Pewnego razu dziesięcioletnia Esme wpadła do mieszkania, ciągnąc za sobą zmieszanego i onieśmiałego Jerry'ego O'Briena. Wytłumaczyła, że spostrzegła go na przystanku, widziała, jak mu uciekł autobus do Camden o 11.07, i uznała, że koniecznie powinien wypić filiżankę herbaty. Babcia Mac pomyślała, że przeżywa wszystkie święta Bożego Narodzenia naraz.

Bardzo kochała tego głupca z nieudolnie farbowanymi włosami, o śmiesznych słabostkach, bez reszty oddanego im obu. Doszła do wniosku, że los dał jej go w nagrodę za to, że matka i córka ją zostawiły. O tak, nieszczęścia to przekleństwo, co do tego nie ma dwóch zdań.

Bo babcia Mac też została porzucona przez matkę, która stwierdziła, że nie może dłużej wytrzymać na tym świecie, zbyt okrutnym jak na jej delikatną naturę. Jej córka przez całe życie bała się, czy także kiedyś nie dopadnie jej takie uczucie beznadziejności, ale zawładnęło nią dopiero w dniu,

kiedy Jerry O'Brien pożegnał się z tym światem. Po zaledwie jednym krótkim roku szczęścia jego śmierć wydała jej się zbyt wielkim okrucieństwem losu, by móc je znieść. I po raz pierwszy w życiu babcia Mac opuściła swój posterunek i przyglądała się z boku, jak pech, prześladujący jej rodzinę, zakrada się i wypełnia każdy zakamarek jej serca czarną, lepką cieczą.

Dzięki Bogu nie trwało to długo.

Uratowała ją Esme.

Nawet w wieku dwunastu lat wiedziała, że mając butelkę whisky, mnóstwo ciemnej czekolady i wszystkie przeboje Roda Stewarta z końca lat siedemdziesiątych, jakoś się wykaraskają. I miała rację.

Więc teraz jedynym celem, jaki przyświecał babci Mac na tym świecie, było sporządzenie mikstury, która w podobny sposób uratuje Esme. I wiedziała, że nie spocznie, póki nie osiągnie celu.

- Chyba żartujesz! - rzuciła Esme do słuchawki tego wieczoru, kiedy pigwy zostały już przetarte, okna umyte, schody lśniące, a Rory spał w łóżeczku. Siedziała w kuchni, w jednym ręku trzymając duży kieliszek chardonnaya, a w drugim słuchawkę. - Jemima Jones będzie pisała felietony? - spytała z niedowierzaniem swoją przyjaciółkę Alice. - Do „Sunday Times”? Ta Jemima Jones? Nasza Jemima Jones?

- Och, Es - jęknęła pulchniutka Alice, wygodnie usadowiona w swoim mocno sfatygowanym fotelu w zapuszczonym mieszkaniu w Shepherd's Bush. - Wiedziałam, że się zdenerwujesz. Dzień mi się dłużył niemiłosiernie. Myślałam, że już nigdy nie nadejdzie wieczór, żebym mogła wreszcie do ciebie zadzwonić. W dzisiejszej gazecie jest coś jakby jej życiorys.

- Chcą, żeby pisała felietony! - powtórzyła Esme piskliwym głosem. - W „Sunday Times"! Ale dlaczego?

- Ponieważ wykreowała siebie na nowo jako superkobietę, ot, dlaczego - odparła Alice. - Mam przed sobą gazetę. Czy dasz radę tego wysłuchać? To po prostu bulwersujące, Es, przysięgam. Lepiej przygotuj sobie wiadro, bo zapewniam cię, że się porzygasz.

- Przeczytaj mi to - poleciła jej Esme. - Naprawdę jest takie tragiczne?
- Odrażające.

- W takim razie czytaj!

- *Będąc mężatką z trójką dzieci* - zaczęła Alice. - *Jemima pracuje niestrudzenie...*

- „Pracuje niestrudzenie”? - Esme nie kryła oburzenia. - To jakaś pomyłka. To z całą pewnością nie Jemima, którą znamy.

- To jeszcze nic - ciągnęła Alice. - Jest tego więcej. *Jemima pracuje niestrudzenie jako wolontariuszka w organizacji charytatywnej imienia księżnej Diany. Stanowi też nieodłączny element najgłośniejszych londyńskich imprez towarzyskich.*

- Nieodłączny element? Dywan może być nieodłącznym elementem. Ona jest tylko pijawką, złopiącą koktajle! -wykrzyknęła Esme. - Na pewno pieprzy się ze wszystkimi żonatymi mężczyznami!

- Wyobrażam sobie, że teraz też z ich synami - dodała Alice. - To jeszcze nie wszystko. *Znakomita woltyżerka i malarka, która miała wiele wystaw, Jemima poświęca...*

- Znakomita woltyżerka? Och, dajcie mi wiadro!

- Esme, przestań mi przerywać, bo jest tu jeszcze cały akapit takich bredni, od których flaki się człowiekowi przewracają.

Esme zagryzła usta.

- *Jemima poświęca* - ciągnęła Alice - *tę odrobinę wolnego czasu, jaki ma, na promowanie rewelacyjnej kliniki przy Harley Street, specjalizującej się w usuwaniu szpecących blizn u dzieci, które zostały ranne w targanych wojną zapalnych punktach globu. Redaktorzy działów mody ogłosili ją „Kobie-*

ta, którą pragną ubierać wszyscy projektanci" i dlatego nasi czytelnicy już nie mogą się doczekać, kiedy ukaze się jej pierwszy felieton. Będziemy je publikować w każdy weekend w dziale „Moda”, patrz strona druga.

Przez chwilę Esme nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Zwyczajnie nie wiem, od czego zacząć - powiedziała. - Ta kobieta usuwa szpecące blizny u dzieci z targanych wojną zapalnych punktów globu? Chyba tylko wtedy, kiedy sama je najpierw oszpeci, jedza jedna. To na pewno ona?

- To Jemima bez dwóch zdań. Na dowód mam jej zdjęcia. Jest tak odpicowana, jakby jutro miał być koniec świata, Es, i taka chuda, że niemal przezroczysta. To obrzydliwe.

- Innymi słowy - wycedziła Esme przez zaciśnięte zęby - wygląda rewelacyjnie.

- Może tylko dzięki retuszowi - powiedziała Alice, ale bez przekonania, dokładnie przyglądając się zdjęciu.

- Och, nie zniosę tego. To takie niesprawiedliwe - nie wytrzymała Esme. - Akurat wtedy, gdy moje życie przemieniło się w gówno do kwadratu, ni stąd, ni zowąd pojawia się Jemima Jones i jest olśniewająca po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty z rzędu. To nie do zniesienia!

Kiedyś zatrudniła u siebie Jemimę Jones. Wiele lat temu wybrała ją spośród blisko stu kandydatek, w różnym stopniu zdesperowanych, na swoją asystentkę w magazynie „TV Now!”. Jemima nie miała za grosz doświadczenia i nie mogła się pochwalić żadnymi osiągnięciami w szkole (jeśli nie liczyć zdobycia w ostatnim roku nauki Pucharu Leggatta za dobre serce dla świnek morskich), ale była bystra, zabawna i wyraźnie chciała się uczyć. Esme, jej szefowa, opiekowała się z pozoru naiwną nowicjuską, była jej mentorką, aż pewnego razu przyłapała ją w barze w Soho, jak uśmiechała się kokieteryjnie, szepcząc coś na ucho mało rozgarniętemu wydawcy.

Następnego dnia w pracy Jemima chichotała jak pensjonarka i zapewniała, że to wieloletni przyjaciel rodziny,

a Esme nie ma się czym przejmować. Ale tydzień później Esme dowiedziała się z notatki służbowej, że Jemimę awansowano na asystentkę wydawcy. Tym samym dawna podwładna została teraz jej przełożoną.

W owym czasie Alice była recepcjonistką w „TV Now!” i tam się wszystkie poznały.

- Dasz wiarę, że ta flądra... - wysyczała Esme, stojąc przy fotokopiarce z batonikiem czekoladowym w ręce i wymachując notatką służbową przed nosem przyjaciółki. - Co za suka!

- Uspokój się - poradziła jej Alice, poprawiając kręcone, brązowe włosy. - Nie szalej, Esme. Jemima zachowuje się tak, jak my wszystkie. Życzę jej powodzenia.

Ale wkrótce zmieniła zdanie. Alice nie posiadała się z radości, kiedy dostała pracę w „TV Now!”, pierwszą, jaką udało jej się znaleźć po tym, gdy rzuciła szkołę po zejściu w ciążę z czarnoskórym didżejem z Karaibów, który zapomniał jej powiedzieć, że ma żonę i dwoje dzieci, a wszyscy mieszkają przy tej samej ulicy, co ona.

Należący do klasy średniej rodzice dziewczyny zerwali z nią stosunki, tak więc Alice samotnie borykała się z życiem, wychowując syna, Ridgeleya. W końcu znalazła pracę i los się do niej uśmiechnął. Nie tylko miała pieniądze, ale również poznała chłopaka, gońca w ich redakcji. Fred mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był napakowany, nie przeszkadzało mu, że Alice ma syna, któremu na imię Ridgeley, i że nie stać jej na opiekunki. Innymi słowy, był ideałem. Tak przynajmniej myślała Alice, aż któregoś ranka, niedługo po awansie Jemimy, weszła do magazynu materiałów piśmiennych po zszywacz i zobaczyła gołe pośladki Freda, poruszające się rytmicznie, kiedy rznął nową asystentkę wydawcy, siedzącą z rozłożonymi nogami na stosie różowego papieru formatu A4.

- Flądra - chlipała nad kopiarką, plując na wpół przeżutym batonikiem. - Suka! Dziwka! Mam nadzieję, że wpadnie pod autobus i zginie na miejscu.

Alice i Esme miały więc wspólnego wroga. Ale gwiazda Jemimy wznosiła się coraz wyżej, a jej blask przyćmił je obie. Wprowadziła na rynek szereg magazynów dla kobiet, niektóre odniosły większy sukces, inne - mniejszy. Cokolwiek robiła, towarzyszył temu wielki szum, gdyż dbała o nagłośnienie w mediach swych poczynań. W branży pracowało jednak mnóstwo zwykłych śmiertelników, którzy z trudem znosili ślady wysokich obcasów Jemimy na swoich plecach i ramionach. Alice i Esme były właśnie dwiema takimi poduszeczkami do igieł. Sześć miesięcy po awansie Jemimy przestano wydawać „TV Now!” i obie zostały zwolnione. Dla Esme był to cios, ale na szczęście miała niezły życiorys zawodowy. Alice natomiast przekonała się, że na rynku pracy jest mnóstwo samotnych matek bez żadnych kwalifikacji i bez możliwości zostawania w biurze po godzinach.

W końcu udało jej się znaleźć pracę, chociaż to zajęcie nie sprawiało jej żadnej satysfakcji - odbierała telefony do despotycznego doradcy podatkowego, o którym nigdy się nie wyrażała inaczej niż „Kinol”. Jej syn stał się teraz krnąbrnym nastolatkiem, karta Visa stale była zastrzeżona, diety zawsze przynosiły opłakany skutek, a poszukiwania idealnego mężczyzny niezmiennie kończyły się znalezieniem kogoś, kogo wyrzuciła jakaś inna kobieta - i nie bez powodu. I Esme, i Alice dużo przeszły w życiu, a chociaż teraz dzieliło je sto pięćdziesiąt kilometrów zakorkowanych autostrad i płatanina dróg krajowych, codziennie rozmawiały ze sobą przynajmniej przez pół godziny i nadal nie mogły się bez siebie obejść.

- Powinnam zajmować teraz wyższą pozycję od Jemimy - powiedziała zaniepokojona Esme.

- I zajmujesz - odparła Alice. - Ona wciąż siedzi na tej samej karuzeli, z której ty zeskoczyłaś. I może ją sobie wsadzić w dupę, jeśli jej się tam zmieści, biorąc pod uwagę to, że ta suka większość narządów wewnętrznych musi nosić

w torebce, bo z całą pewnością nie ma na nie miejsca w jej ciele.

Esme parsknęła śmiechem albo przynajmniej spróbowała to zrobić, bo wiadomości o dawnej rywalce bardzo ją zdeprymowały, o czym Alice wiedziała.

- Słuchaj, Esme, wiem, że ci teraz ciężko, i nic dziwnego, jeśli popatrzeć na to wszystko, co się wydarzyło. Ale nie przejmuj się tym, gdzie jesteś i co robisz. Życie wszędzie jest ciężkie. Wszystkim jest ciężko. I dobrze o tym wiesz.

- Napisanie raz w tygodniu felietonu do rubryki towarzyskiej nie wydaje mi się czymś szczególnie trudnym -smętnie zauważyła Esme.

- Tak, ale wyobraź sobie usuwanie szpecących blizn dzieciom, które zostały ranne w zapalnych punktach świata, targanych wojną. Myślisz, że to łatwe?"

- W taki sposób, jak robi to Jemima, przez telefon komórkowy, opalając się na jachcie na Morzu Śródziemnym, z całą pewnością tak.

- Och, Esme - westchnęła Alice. - Naprawdę myślisz, że wolałabyś żyć tak jak Jemima? Zabiłaby cię już sama konieczność wyprostowania sobie włosów. Życie w mieście to piekło, w którym aż się roi od takich zdzir, jak ona. Powinnaś się cieszyć z tego, co masz - zwariowanego domu na jakimś zadupiu, w którym mieszkasz ze swoimi bliskimi, a na dokładkę masz szaloną kozę, stadko dziwnych kur i rój bardzo złych pszczoł.

Esme się skrzywiła. Nie miała serca powiedzieć Alice, że kury nie były dziwne. W ogóle nie było już kur. Jedną zjadło coś z sąsiedztwa (nigdy dokładnie tego nie ustaliła, początkowo podejrzewała Ramolę, ale się okazało, że nie ma własnych zębów), a pozostałe cztery odeszły wkrótce potem śmiercią naturalną - chociaż nie wykluczała, że użądliły je pszczoły. Jej zwierzyniec wywoływał wesołość, przynajmniej u Alice. Okazywało się, że stworzenia, na których jej nie zależało, odznaczały się nadzwyczajną żywotnością

(króliki, kijanki), a te zwierzęta, których rozpaczliwie potrzebowała (kury, kozy), albo zdychały, albo nie dawały tego, co miały dawać, a przecież tylko dlatego je kupiła.

- Wszystko się ułoży, Esme - pocieszała ją Alice. - Trzeba tylko trochę czasu. Nie wiem, dlaczego próbuję cię przekonywać do życia na wsi, bo o wiele bardziej bym wolała, żebyś teraz była ze mną tutaj, w Londynie. Mogłybyśmy się upić w trupa zwariowanymi koktajlami i śpiewać piosenki Wham! przez całą drogę do domu. - Westchnęła, wspominając, jak właśnie to robiły, i to nie raz. - A propos, właściwie dlaczego pies nasikał na pigwę? Jeszcze mi tego nie wyjaśniłaś.

Esme podeszła do lodówki, przytrzymała słuchawkę brodą i nalała sobie drugi kieliszek chardonnaya. Pociągnęła długi łyk i poczuła, jak wino spływa jej do samego żołądka i tam się lokuje, zadowolone z siebie. Może powinna więcej pić, pomyślała.

- Nie wiem - powiedziała na głos, zastanawiając się nad karygodnym zachowaniem Browna. - Ostatnio sytuacja w domu nie jest najlepsza, złożyło się na to kilka przyczyn. Rory... jak to Rory. Sama wiesz. Biedactwo. Nie było mu łatwo, a Henry jest drażliwy jak diabli. Och, cześć, kochanie!

Uśmiechnęła się na widok Poga, którego kroki na schodach słyszała już od kilku minut.

- Witaj, moja piękna - przemówił bezgłośnie, opadając na krzesło po drugiej stronie stołu.

- A więc pigwy już przetarte - mówiła Alice do słuchawki. - Świetnie, Es. A przecież dopiero co zrobiłaś cukinie w occie. - Urwała, niepewna, co teraz powiedzieć. - A co z twoim chlebem? *Ou est le pain?*

Nie tylko Pog był zdezorientowany i zaniepokojony tym, że Esme przestała wypiekać swoje słynne *boules* na zakwasie. Według Alice chleb na zakwasie nie był niczym nadzwyczajnym, ale kiedy Esme przestała go wypiekać, zdecydowanie czegoś jej brakowało, a to ją martwiło.

- A co cię to obchodzi? - spytała Esme z wyćwiczoną nonszalancją. - I jeśli chcesz wiedzieć, pani Gladstone, która mieszka kawałek dalej, tak bardzo smakowały moje marynowane cukinie, że chce, bym w przyszłym miesiącu ofiarowała cały zapas na wentę dobroczynną.

- Prawdopodobnie zamierzają wykorzystać słoiki jako cele do rzucania kokosami - zażartowała Alice, zadowolona, że udało jej się dotrzeć do tego miejsca bez popsucia wszystkiego. - Albo umieścić je w gabinecie okropności w roli lepkiej brei, w którą wsadza się ręce. - Odważyła się posunąć dalej. - Przecież zawsze możesz upiec chleb na wentę dobroczynną.

Esme nie podjęła tematu. Wyraźnie nie miała ochoty dyskutować o tym, dlaczego przestała wypiekać chleb, ale rada babci Mac przez cały dzień nie dawała jej spokoju. Zamknęła oczy i zmusiła się do udzielenia przyjaciółce odpowiedzi.

- Nie, on jest tylko dla mnie, Alice - wyjaśniła. - Dla nas. Znaczy się, nie dla każdego. Nie mogę go produkować masowo. To coś osobistego. Jest tylko na użytek własny.

Przez chwilę panowała cisza.

- Tylko dla ciebie? - zaryzykowała Alice.

- Właściwie tak. Albo będzie. Znowu. - Esme spojrzała na Poga.

- Och, Esme! - krzyknęła Alice. - Tak się cieszę. To wspaniała wiadomość.

- Słucham? - zapytała Esme. - Czy to powiedziała kobieta, która zazwyczaj mówi: „To tylko chleb! Daj sobie z tym spokój! To nasz chleb powszedni. Ludzie smarują go masłem i dżemem, a potem zjadają”?

- Nigdy więcej tak nie powiem - przysięgła Alice. - Obiecuję. Nie będę już z ciebie kpiła. I do końca życia nawet słówkiem nie wspomnę - zaczęła mówić z francuskim akcentem - o twoim odkryciu... jak to ująć... „radości pieczenia” z Louistem, tajemniczym mężczyzną, deprawatorem

młodych, niewinnych Angielek, posiadaczem największego na świecie...

Esme roześmiała się głośno do słuchawki, jakby chciała zagłuszyć słowa przyjaciółki.

- Jesteś okropną, zaszuszoną, starą wiedźmą i nienawidzę cię - oświadczyła. - I naprawdę nie powinnaś mówić takich rzeczy o moim ukochanym mężu, skoro wiesz, jak wielkim szacunkiem cię darzy.

Pog uniósł brwi, tak jak wiedziała, że zrobi.

- Tylko się wygłupiam - wyjaśniła mu bezgłośnie Esme, wskazując telefon. - Tak czy inaczej - rzuciła do słuchawki - wystarczy o mnie. Powiedz, co słyhać u tego niewdzięcznika i lenia, Ridgeleya. Jak sobie radzi?

Alice westchnęła.

- No cóż, właśnie oficjalnie zakończył karierę szkolną -oznajmiła. - Dyrektor mu powiedział, żeby sobie poszedł i więcej nie pokazywał się na oczy. Żadne moje prośby nie wpłyną na zmianę decyzji. Zresztą nie wiem, czy udałoby mi się nakłonić tego gówniarza do chodzenia do szkoły, nawet gdyby wyrażono zgodę. Mówi, że szuka pracy, ale jak na razie nie widać, żeby cokolwiek znalazł.

Esme się roześmiała.

- Alice, daj chłopakowi szansę. Chyba pamiętasz, jak to jest, kiedy się ma szesnaście lat, co? Ty w jego wieku zdążyłaś już się przespać z połową mieszkańców Chiswick.

- No właśnie - zgodziła się z nią Alice - i popatrz, dokąd mnie to zaprowadziło. Przypomnij mi, żebym ci powtórzyła tę rozmowę, kiedy Rory będzie nastolatkiem, dobrze?

Pog siedział przy kuchennym stole i obserwował Esme, rozmawiającą z przyjaciółką. Poczł wielką ulgę, że jego żona zachowuje się bardziej jak dawna Esme. I jeśli słuch go nie mylił, żartowała sobie na temat chleba. Czyżby to znaczyło... Nie śmiał wierzyć, że kilka słów powiedzianych przez Alice mogło sprawić, by Esme otrząsnęła się z depresji, która ostatnio przybrała niepokojące rozmiary. Ale był pewien, że znów

dostrzega w jej oczach błysk, którego ostatnio brakowało, a to dobrze wpłynęło na jego skołatane serce. Postanowił jednak, że nie będzie jej zwracał głowy. Nic nie powie i tylko nie będzie tracił nadziei, że pewnego dnia w domu znów zacznie pachnieć tak, jak powinno, świeżym chlebem. Kiedy Esme w końcu pożegnała się z Alice, co zawsze trochę trwało, i odłożyła słuchawkę, Pog wstał z krzesła i podszedł do żony. Pocałował ją w kark, wdychając zapach jej skóry.

- Pachniesz tak smakowicie, że ma się ochotę cię schrupać - powiedział, tuląc się do niej.

- To nie ja, ty głuptasie. - Roześmiała się, delikatnie oswobodziła się z jego objęć i pochyliła do piekarnika, gdzie apetycznie bulgotał *coq au vin*. - To ulubione danie waszej lordowskiej mości.

- Świetnie - zachwycił się Pog, zacierając ręce, i znów usiadł za stołem. - A więc jak ci minął dzień?

- Cóż, jeśli później będziesz miał okazję - powiedziała jego żona, nakładając mu na talerz winny sos - możesz pogawędzić z ojcem o tym, w jaki sposób twój uroczy pies dziś rano objawił swoje skrywane uczucia do niego, wykorzystując w tym celu buty Henry'ego.

- Och - jęknął, zsuwając się na krzesło. - A więc to był jeden z tych dni!

Esme postawiła przed Pogiem parujący talerz z jego ulubionym daniem i przesunęła palcami po potarganych, brązowych włosach męża. Były rozkosznie gęste i rosły we wszystkie strony, co tak lubiła, szczególnie kiedy sięgały kołnierzyka, tak jak teraz. Pog mierzył metr dziewięćdziesiąt i był wyższy od niej, więc kiedy siedział, korzystała z okazji, by pobawić się jego włosami. Miał najcudniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Nie mocno zarysowaną ani klasyczną, tylko po prostu najcudniejszą. A także duże, brązowe oczy i gładkie, pociągłe policzki. Przypominał miękkiego misia i był łagodny, co sprawiało, że wszystkie kobiety jej go zazdrościły i chciały za męża.

- Hugonie Stack - zwróciła się do niego oficjalnie, nie posługując się zabawnym przezwiskiem, które nie wiadomo skąd się wzięło. - Każdy dzień jest jednym z takich dni. Ale jeśli największym zmartwieniem jest obsikana pigwa, to powinnam się uważać za szczęściarę.

- Obsikana pigwa? - spytał Pog, skonsternowany. Esme się roześmiała i ten dźwięk sprawił, że napięcie

i niepokój po całym dniu pracy minęły jak ręką odjął. Nalała mu wina i stuknęli się kieliszkami. Każde myślało o czym innym, ale obydwójce uśmiechali się zadowoleni, że przeżyli kolejny dzień.

Uda mi się, myślał Pog, patrząc, jak Esme zlizuje dużą czerwoną kroplę z kącika ust. Uda się, póki ją mam. Co z tego, że spędzę resztę życia, projektując toskańskie loggie dla grymaśnych emerytów zamiast nagradzanych drapaczy chmur dla międzynarodowych korporacji. To tylko praca. I prawdę mówiąc, bardziej mu się podobała, niż przypuszczał. Interesy szły dobrze. Telefon dzwonił bez przerwy od dnia, w którym pani Murphy wywiesiła tabliczkę „Architekt” przed biurem przy głównej ulicy Seabury.

Któż by pomyślał, że właśnie w tej części Suffolk będzie taki popyt na remonty? Wydawało się, że w co drugim domu potrzebne jest solarium albo wanna z hydromasażem, albo nowa kuchnia, albo dodatkowa kondygnacja. A jego klienci byli właściwie jak haust świeżego powietrza w porównaniu ze sztywniakami, z którymi miał do czynienia w Londynie. Tutaj nikt nie krzyczał, niewiele osób zmieniał koncepcje, wszyscy bez wyjątku płacili rachunki i parzyli dobrą herbatę. Było tu inaczej, ale może to i lepiej. Nie miał nic przeciwko temu, by robić to, co teraz. Dopóty, dopóki ma Esme. Póki światełko błyskało.

Kiedy nazajutrz o szóstej rano zadzwonił budzik, Esme otworzyła oczy. Serce za szybko jej waliło, a uwierający cierń bólu nie pozwalał normalnie oddychać. Chleb. Zmusiła się do myślenia o chlebie. Leżała i czekała, aż to słowo ją uspokoi.

I tak się stało. Chleb. Znow zamknęła oczy i pomyślała o słoju zakwasu, fermentującego w spiżarni. Jak mogła sobie odmawiać jego pocieszycielskiej mocy przez ostatnie tygodnie? Co sobie wyobrażała? Ból jak gdyby się zmniejszył. Esmę zaczęła przebierać palcami, jakby już wyrabiała ciasto. Głęboko wciągnęła powietrze w płuca i wyślizgnęła się z łóżka.

Pog przesunął się tam, gdzie pościel była ciepła, i uśmiechnął się przez sen. W łazience Esmę wsunęła stopy w fioletowe, puchate kapcie, które nie podobały się nikomu poza nią, zdjęła białą koszulę nocną z bawełny i włożyła podkoszulek bez rękawów, spłowiały, różowy, bawełniany sweter i stare, podarte na kolanie dżinsy, w których było jej najwygodniej.

Zaczesała włosy do góry i spięła je z boku - elegancki kok będzie musiał poczekać jeszcze jeden dzień - po czym cicho szurając nogami, poszła do kuchni. Nie włączyła światła, tylko wymacała zapalki, by zapalić świece, strategicznie rozmieszczone w kilkunastu różnych punktach pomieszczenia.

Przez chwilę stała, chłonąc atmosferę, jaka zapanowała w kuchni, wypełnionej subtelnym, nastrojowym światłem. Jak jej było źle bez tych poranków przy świecach. W dole za oknem migotały światełka Seabury, morze połyskiwało w tym, co pozostało z blasku księżyca. Otworzyła drzwi spiżarni i wyciągnęła puszkę mąki, specjalnie dla niej zmielonej na żarnach w młynie w Pakenham, a potem sięgnęła po wagę i ulubiony dzbanek. Wszystko stało na swoim miejscu, czekając, jakby nigdy nie zrezygnowała z pieczenia chleba. Odmierzyła mąkę, wdychając pszeniczny aromat niczego, a zarazem wszystkiego, potem wsypała ją do wielkiej, ceramicznej miski i dołała wody, jaka płynie tylko w kranach w Suffolk.

W końcu wzięła słoje z zakwasem i wolno podniosła wieko, po troszeczkę wypuszczając jego ostry, kwaskowaty zapach. Babcia Mac miała rację. Nie pora teraz zrezygnować z czegoś, co było jej tak drogie. Teraz należało się tego trzymać. Upajała się zapachem. Och, jak jej było go brak!

Odmierzyła potrzebną ilość pianistego eliksiru, dodała go do miski z mąką i wodą, po czym zanurzyła ręce w mieszaninie. Była zimna i dłonie jej poczerwieniały, kiedy dotykały poszczególnych składników, mieszając je w misce. Przeciskała je przez palce, żeby wolno rozpoczęły swoją podróż, by przemienić się w coś znacznie lepszego.

Przez pięć minut w milczeniu rozrabiała dłońmi mąkę, wodę i zakwas. Wysilek sprawił, że przestała czuć poranny chłód i zrobiło jej się ciepło. Inni posługiwali się mikserem albo elektrycznymi mieszadłami do ciasta, ale nie Esme. Chciała czuć mieszaninę pod palcami, chciała czuć, jak każda cząsteczka ulega transformacji.

W końcu, kiedy wszystkie składniki się połączyły, tworząc zwartą, jedwabistą masę w postaci jednej, gładkiej kuli, wyjęła ją z miski na drewnianą stolnicę i zostawiła na chwilę, a przez ten czas nakarmiła słój z zakwasem. Dodała do niego wodę i mąkę w równych częściach, by uzupełnić to, co zabrała, i następnego dnia znów mieć z czego czerpać. Najwyraźniej Pog robił to za nią, bo zaczyn był w doskonałym stanie, mimo że go zaniedbywała. Skąd mąż wiedział, że Esme wróci do pieczenia, skoro ona sama nie była tego pewna? Przez ostatni miesiąc budziła się rano i nie czuła nic poza rozpaczą... straciła zapach do pieczenia chleba, nie miała po co zrywać się skoro świt.

A potem babcia Mac z za zasłony dymu Embassy Regal wydała jej polecenie i Esme znów znalazła się tam, gdzie jej miejsce, z rękami po łokcie zanurzonymi w cieście. Dziękowała Bogu, że tak często zanudzała Poga kazaniami na temat zakwasu. Dzięki temu wiedział, że eliksir odznacza się wilczym apetytem. Gdyby zapomnieć go nakarmić, skurczyłby się i stracił kolor, tłumaczyła mężowi, a za karę dałby tylko płaskie, byle jakie pagaje. Ale gdy go pielęgnować i o niego dbać, wyrośnie i rozkwitnie, nagradzając wszystkich dorodnymi, wspaniałymi bochenkami, pulchnymi i smakowitymi.

Odstawiła słój z powrotem do spiżarni, niemal żałując, że już nie będzie cieszyła oczu jego widokiem, a potem wrzuciła do moździerza garść płatków morskiej soli i rozdrobniła je ciężkim tłuczkiem, przy okazji wydobywając z nich zapach nadmorskich fiołków z odległych bagien Bretanii. Zawsze czuła ich woń, nawet jeśli nikomu innemu się to nie udawało. A dziś rano pachniały cudowniej niż kiedykolwiek.

Wypiekanie własnego chleba na zakwasie wymagało dużo czasu. Kiedy Esme uznała, że ciasto jest wystarczająco dobrze wyrobione, zostawiała je na dwie godziny do wyrośnięcia, a potem znów zagniała i formowała bochenek, który wkładała do wiklinowego koszyka, wyłożonego płótnem, gdzie wolno rósł przez następne trzy godziny. W końcu wkładała go do pieca, by podać na południowy posiłek.

Ale na razie czekało ją jeszcze dużo pracy. Drugie wyrabianie ciasta sprawiało, że chleb nie był zwyczajny, tylko wyjątkowy. Ten etap Esme najbardziej lubiła. Zapominała się w znajomym rytmie wyrabiania ciasta.

Posypała solą okrągłą kulę, leżącą przed nią, i zaczęła ją wolno ugniatać na zniszczonej stolnicy. Delikatnie ją obracała, naciskała dłonią i zagarniała, zawsze w tym samym kierunku. Poczowała, jak sól szczypie ją w palce, i mocno zaczęła uciskać i zagarniać ciasto, aż stało się mniej wilgotne, nie takie lepkie, nie takie chrzęszczące, a gładsze i elastyczniejsze w dotyku. Niedoświadczeni piekarze prawdopodobnie do tej pory już dodaliby mąki, uznawszy, że ciasto zanadto przywiera do stolnicy i jest zbyt mokre, ale Esme wiedziała, że dzięki temu jej chleb ma właśnie taki wyjątkowy smak. Poczowała mrowienie w palcach, które znów znalazły się w swoim żywiole. Uciskała i zagarniała ciasto, czując, jak zmienia się jego faktura.

Jak jej to poprawiało nastrój. Jak koło niepokój, który czuła w środku. Sprawiało, że czas się cofał, lata przesuwają się po sinusoidzie czasu, uśmierzając ból i torując drogę do przeszłości, tak słodkiej i pociągającej.

Rozdział trzeci

Miała dziewiętnaście lat i była dojrzała do zerwania, kiedy razem ze swoim najlepszym przyjacielem, Charliem Ed-mondsem, prysnęła z Londynu, gdzie spędzenie lata z całą pewnością nie należało do przyjemności, do małej wioski w południowo-zachodniej Francji. Venolat przycupnęło nad rzeką Dordogne, która w tym miejscu tworzyła zakole w kształcie końskiej podkowy.

Prawdę mówiąc, Charlie wolałby pojechać na wakacje do cieszącej się większą popularnością Prowansji, a jeszcze lepiej na modną Riwierę, gdzie - jak powiedział Esme - obydwójce mogliby poznać podstarzałych, nazbyt spalonych słońcem mężczyzn, mających więcej pieniędzy niż rozumu, aby potem wieść beztroskie życie kto wie jak długo.

Esme często sobie myślała, że przyjaźń z gejem ma jeden minus: nierzadko konkurowali o tych samych chłopaków, a ona zawsze, ale to zawsze zajmowała w tej rywalizacji zaszczytną drugą pozycję. Charliemu z miejsca nikt nie potrafił się oprzeć, podczas gdy Esme zaczynała się podobać dopiero po bliższym poznaniu.

Tak czy owak lekko piegowata Esme nie szukała zasuszonych osiemdziesięciolatków i dlatego z chęcią skierowała się ku mniej znanemu zakątkowi Francji. Trzy lata temu babcia Mac po wygraniu pokaźnej sumki w bingo zabrała ją nad Dordogne, chociaż całe życie powtarzała, że nigdy

nie pojedzie do kraju, w którym kobiety noszą swoje pieski w torebkach.

Babcia Mac była bardzo staroświecka w kwestii torebek. Miała ich siedem, wszystkie ze skaju w różnych kolorach, ale o identycznym fasonie. Nigdy nie wyszła z domu, nie przewiesiwszy sobie jednej przez ramię, zupełnie jak królowa.

W torebce zawsze nosiła ten sam zestaw niezbędnych rzeczy: portmonetkę, dwie chusteczki, futerał na okulary, szminkę - zawsze bardzo zużyta bez względu na to, jak długo ją miała, opakowanie twardych cukierków, bilet sieciowy i zdjęcie z autografem Davida Hasselhoffa, amerykańskiego aktora z serialu „Słoneczny patrol”, na którego wpadła w sklepie Marks and Spencer na Oxford Street w 1987 roku.

Esme nigdy nie zapytała, co skłoniło babcię Mac do kupna biletów lotniczych do Bordeaux, ale obie były zachwycone wszystkim, co z tego wynikło. Zapłaciły masę pieniędzy za kurs taksówką do uroczego, rozpadającego się Chateau de Rocques w pobliżu malowniczego rejonu uprawy winorośli St Emilion i natychmiast zakochały się bez pamięci w tych okolicach: babcia Mac dlatego, że cały czas padał deszcz, dzięki czemu czuła się jak w domu, a Esme dlatego, że bujna, elegancka zieleń i wolno płynąca rzeka przemawiały do jej romantycznej natury. Uważała, że jest tu tak, jak powinno być na francuskiej wsi. Wiekowe, kamienne mosty nad zwierciadłem wody; pofałdowane, zielone równiny i ogromne bele siana; ciche wioski koloru piasku z wyblakłymi okiennicami koloru morza. Urzekł ją każdy skrawek tej ziemi.

Ku zaskoczeniu ich obu, babcia Mac, zwolenniczka tradycyjnych posiłków, składających się z porcji mięsa i trzech warzyw, rozsmakowała się w ślimakach i gęsich wątróbkach. Uroczyście sobie przyrzekły, że będą tu wracały każdego roku, ale - zdaniem babci Mac - Nancy Bowden ze Swiss Cottage wymyśliła nową metodę oszukiwania, która

sprawiła, że nikt poza tą starą jędzą nie mógł się cieszyć wygraną w bingo. Nie będzie więcej wycieczek zagranicznych, oznajmiła babcia Mac, póki Nancy nie zmożę żylaki w połączeniu z papierosami bez filtra.

- Opaleni staruszkowie będą musieli poczekać - oświadczył melancholijnie Charlie, kiedy trzy lata później razem z Esme pędzili wąskimi, wiejskimi drogami południowo-zachodniej Francji. - Należało się spodziewać, że mój stary będzie miał dom w takiej części Francji, gdzie za żadne skarby świata nie pokazałby się żaden młody, zdrowy mężczyzna.

- Lepiej uważaj, żeby ciebie tutaj nie oglądano, i to jako zimnego trupa, jeśli nie będziesz się trzymał prawej strony drogi - powiedziała Esme. Aż jej zbieleły kostki u rąk, tak mocno się trzymała deski rozdzielczej. - Można zwariować, jadąc z tobą samochodem! Zresztą zamknij się. Masz szczęście, że twój ojciec ma domy na zbyciu.

Ojciec Charliego był „kimś” w bankowości, nosił elegancki garnitur, mówił z akcentem ludzi z wyższych sfer i posiadał niezliczone mnóstwo rzeczy, które akurat „spadły mu z nieba”.

Odkąd Esme znała Charliego, były to między innymi: biały volkswagen golf, cztery supernowoczesne zmywarki, dwa konie wyścigowe i osiemnastometrowej długości jacht „Demelza”.

Przejechała przynajmniej trzy i pół tysiąca kilometrów golfem, była świadkiem, jak jedną ze zmywarek instalowano w mieszkaniu jej babci, wygrała trzy funty czterdzieści siedem pensów, stawiając na kasztana, i spaliła sobie nos, płynąc pewnego pięknego dnia na pokładzie „Demelzy”.

Nigdy zbyt dociekliwie nie wypytywała Charliego, kim dokładnie jest jego ojciec, ponieważ wiedziała, że przyjaciel naprawdę nie miał o tym zielonego pojęcia, a ponieważ był przyzwoitym facetem, kierującym się w życiu własnymi, ale niezłomnymi zasadami moralnymi, gdyby się

dowiedział, czym naprawdę zajmuje się jego staruszek i okazałoby się, że to coś nagannego, poważnie ograniczyłby korzystanie z tych wszystkich dobrodziejstw, które mu ofiarowano.

Wycieczka do Francji spadła im niemal jak z nieba, jak wszystko inne zresztą, kiedy pewnego wieczoru rozmowa zeszła na temat letnich wakacji. Właśnie sączyli drinki z ojcem Charliego i jego nową przyjaciółką K'Lee, dwudziestoletnią modelką bielizny, wzrostu prawie metr dziewięćdziesiąt.

Charlie lubił mieć obok siebie Esme, gdy ojciec prezentował mu swoją aktualną przyjaciółkę, ponieważ przysięgał, że w przeszłości, kiedy spotykał się z nimi bez świadków, nikt potem nie wierzył w prawdziwość jego relacji.

K'Lee była dobrym przykładem przyjaciółki, jaką korpulentny, łysiejący, bogaty pięćdziesięcioparolatek mógłby zechcieć sobie wyszukać. Oszczędziła mu jednak fatygi, gdyż pracowała jako barmanka w klubie, którego był członkiem.

Tego wieczoru, kiedy przedstawiono ją Charliemu i Esme, przysłała w butach na siedmiocentymetrowych obcasach, górowała więc nad wszystkimi obecnymi, i w sukience (a raczej w ścierce do naczyń, jak później skomentował Charlie), zrobionej z czegoś, co wyglądało jak kłęb rybackich sieci, mocno opinających jej wyjątkowo apetyczne krągłości.

Obcasy i długie nogi sprawiły, iż wydawało się, że krocze K'Lee jest na wysokości oczu wszystkich obecnych w pokoju, a kiedy się jeszcze okazało, że nie nosi majtek, prawie wszyscy cały czas mieli wzrok utkwiony w tej partii ciała modelki.

Esme, tradycyjnie ubrana na czarno, siedziała jak zahipnotyzowana. Charlie też. Sam pan Edmonds zachowywał się, jakby jego przyjaciółka była najzwyczajszą dziewczyną pod słońcem.

- Charlie, bądź tak dobry i przyrządź dla K'Lee Campari z dietetyczną colą i kulką lodów waniliowych - poprosił w pewnej chwili.

Esme zaniósła się od śmiechu, uważając to za żart, ale kiedy nikt się do niej nie przyłączył, speszona uciekła do kuchni, gdzie Charlie już szukał składników, by przygotować drinka.

- To jeszcze nic - oświadczył i pokręcił głową, wrzucając do szklanki gałkę białych lodów. - Miał kiedyś taką, która piła wyłącznie retsinę ze świeżo wyciśniętym sokiem z marchwi. Szkoda, że jej nie widziałas, Esme. Cała była ja-skrawopomarańczowa. I bardzo owłosiona.

Charlie ubóstwiał później analizować te spotkania, ale podczas nich nie okazywał nic poza nienagannymi manierami i nieodpartym urokiem osobistym, którymi szafował obficie w równych ilościach.

- Uważasz, że to jakiś problem? - zapytała go Esme po jednym ze szczególnie pamiętnych wieczorów z panem Edmondsem oraz bardzo zmęczoną i egzaltowaną chorwacką diwą operową. - Może próbuje cię zaszokować albo coś w tym stylu.

- Wielki Boże, nie! - wykrzyknął Charlie z pełnym przekonaniem. - Guzik go obchodzi, co myślę. Uważa, że one wszystkie są jak najbardziej normalne.

- Ale w porównaniu z twoją matką normalne to one nie są - nie zgodziła się z nim Esme.

Wiedziała ze zdjęć, że matka Charliego była właśnie taką kobietą, po której można by się spodziewać, że poślubi korpulentnego, łysiejącego, bogatego pięćdziesięciokilku-latka, a potem będzie patrzyła, jak drzwi domu prawie się nie zamykają, bo stale pojawiają się w nich kolejne przyjaciółki męża, tworząc korowód najbardziej nieprawdopodobnych postaci.

- Och, mama była normalna tylko na zewnątrz - wyjaśnił Charlie. - Razem z Esme zastanawiamy się, gdzie spę-

dzieć letnie wakacje - powiedział chwilę potem, wręczając K'Lee jej drinka. - A jakie wy macie plany?

- Ja podpisałam kontrakt w Niemczech - zakomunikowała dziewczyna - i mam nadzieję, że dostanę się do letniej szkoły językowej w Kolonii. Zdałam egzamin pierwszego stopnia z niemieckiego, ale ponieważ prawie nigdy tam nie wyjeżdżałam, więc...

- Trąciła rozpuszczające się w szklance lody długim, czerwonym paznokciem i uśmiechnęła się lekko.

Esme mało się nie udławiła swoim sauvignon, ale Charlie jak zwykle nawet się nie zająknął, tylko obwieścił:

- Cóż, musimy odświeżyć nasz francuski. - Zrobił minę winowajcy. - Dlatego oboje myślimy o Francji.

- Naprawdę? - ucieszył się pan Edmonds. Spędził większość wieczoru, rozmawiając przez telefon, i nikt nie zauważył, kiedy do nich podszedł, może z wyjątkiem K'Lee, bo Esme dostrzegła, że złapał teraz modelkę za lewy pośladek. - Tak się składa, że akurat zostaliśmy właścicielami nieruchomości we Francji - oznajmił. - W jakiejś małej miejscowości, o której nigdy nie słyszałem, nad rzeką Dordogne. Moglibyście we dwójkę tam pojechać i obejrzeć dom - zaproponował pan Edmonds. - Posprzątać, przygotować do sprzedaży, coś w tym rodzaju.

I tak kłamstwo, które miało im uratować twarz przed przyjaciółką pana Edmondsa - znacznie bardziej łebską, niż na to wyglądała, zapewniło Charliemu i Esme idealne wakacje. Był tylko jeden szkopuł: żadne z nich właściwie nie znało francuskiego.

Esme miała dobre usprawiedliwienie - uczyła się go tylko przez rok, potem z niego zrezygnowała na rzecz lekcji szycia. Charlie jednak nie mógł powiedzieć tego samego. Miał francuski przez pięć lat i nawet utrzymywał, że zdał jakiś egzamin, ale zdaje się, że jego słownictwo ograniczało się do nazw potraw i napojów. Oboje jednak się zgodzili, że to prawdopodobnie powinno im wystarczyć.

Przybyli do wioski pewnego skwarne lipcowego popołudnia po męczącej jeździe z lotniska samochodem, który miał wszystkie guziki do klimatyzacji, tylko brakowało mu samego urządzenia do obniżania temperatury.

Charlie zawsze był beznadziejnym kierowcą, a tym razem prowadził samochód jeszcze gorzej z powodu straszliwego kaca, którego zawdzięczał bardzo długiej i obfitującej w atrakcje nocy, spędzonej w West Endzie. Był zmęczony i drażliwy, Esme też czuła się zmordowana, a do tego trochę ją gnębiły wyrzuty sumienia i niepokój, że na tak długo zostawiła babcię Mac samą. Dotąd nigdy nie rozstawały się na dłużej niż tydzień. Wiedziała, że to głupie, ale i tak czuła się podle.

- A co będzie, jak ją brutalnie zaatakują dzikie gęsi albo napadnie jakiś morderca z siekierą? - lamentowała, ale Charlie tradycyjnie już nie okazywał współczucia nikomu poza sobą.

- Na litość boską, Es. Prawdopodobnie niczego bardziej nie pragnie, niż żebyś dała jej spokój, by mogła się wybrać na podryw do najbliższego sklepu. Przestań się zamartwiać i proszę, otwórz okna z tyłu, bo się ugotuję.

Nie to Esme chciała usłyszeć, a zresztą, jak zauważyła, babcia Mac nigdy nie ukrywała swoich wypraw na podryw przed rodzoną wnuczką.

- Byłam świadkiem trzykrotnych umizgów, bardzo udanego małżeństwa i zabiegów pół tuzina mniej ważnych absztyfikantów - oświadczyła. - Wiem, jak to jest, kiedy starzy ludzie uprawiają seks, i, jak dobrze wiesz, raz nawet byłam tego świadkiem.

- Oooch - jęknął Charlie, natychmiast się rozchmurzając. - Opowiedz mi o marynarzu Billu, proszę!

Ale Esme nie dała się namówić na powtórzenie historii o tym, jak przyłapała babcię z „gościem z za granicy”, najwyraźniej spotkanym w bibliotece w St John's Wood w dziale poświęconym szkockiej kuchni, który jest wpraw-

dzie skromny, ale jak się okazało, przyciąga wiernych zwolenników. Zanim znaleźli drogowskaz do Venolat, właściwie przestali ze sobą rozmawiać. Rozmarzona Esmé wyglądała przez okno, zachwycając się bujną zielenią, złotem i przypalonym oranżem mijanych okolic.

Wyglądało tutaj odrobinę nierealnie, jakby jakiś zdolny malarz poznał jej najskrytsze sny i biegł przed nią, w szalonym pośpiechu przemalowując krajobraz, żeby nadać mu dokładnie takie odcienie i faktury, jak sobie wymarzyła.

Westchnęła. Gdyby wszystkie jej marzenia spełniały się w taki sposób!

- Hurra! - wykrzyknął Charlie. - Jesteśmy prawie na miejscu!

Drogowskaz do Venolat skierował ich w górę, w bok od pofałdowanych pastwisk, w wąską, wijącą się ku niebu drogę między drzewami, przyczepioną do zbocza całkiem stromego wzgórza.

- Jeszcze jeden zakręt i przysięgam, że się wyrzygam - jęknął pięć minut później, bardzo blady, ale Esmé go uciszyła, bo kiedy samochód pokonał zakręt, ocieniony koronami prastarych drzew, przed jej oczami ukazał się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie widziała w życiu.

Droga, którą jechali, częściowo była wykuta w skale, wiszącej nad nimi i zasłaniającej wioskę, kiedy do niej dojeżdżali. Teraz jednak miejscowość dumnie i malowniczo rozciągała się przed obojgiem, jakby zadowolona z tego, że pozwoliła dwójce turystów dotrzeć do siebie drogą, która była niewiele szersza od ich zasapanego renaulta.

- Charlie - szepnęła Esmé. - Jak tu ślicznie!

Na lewo od nich wznosił się kościół, jasnożółty i pełen majestatu w popołudniowym słońcu, a po drugiej stronie słonecznego placu smutny żołnierz z brązu stał przed kamienną tablicą ku czci poległych mieszkańców wioski.

Dalej, po obu stronach wąskiej ulicy pochylały się nad nimi dwupiętrowe domy, a okiennice w kolorze rozbielonej morskiej zieleni stanowiły obramowanie skrzynek, ciężkich od kwiatów.

Esme opuściła szybę w oknie i wdychała zapach - z całą pewnością lawendy i jaśminu, a poza tym upalnego lata i może też kawy.

- Powiedział, że gdzie to jest? - spytał Charlie. Zły humor minął mu jak ręką odjął.

- Mówił, żeby skręcić w lewo obok fontanny i spytać w *auberge*, cokolwiek to znaczy - Esme powtórzyła to, co jej powiedział pan Edmonds.

- Myślę, że coś w rodzaju oberżyny - wyjaśnił Charlie - tylko większe.

Ulica w tym miejscu stała się szersza i znaleźli się na malutkim placu z fontanną, skapaną w słońcu, w której leniwie pluskała woda. Po prawej stronie droga prowadziła pod łukiem i wyjeżdżało się nią z wioski; przed nimi, po drugiej stronie wodotrysku, inna - jeszcze węższa od tej, którą przyjechali - wiała się w górę po zboczu. Z lewej strony biegła jeszcze jedna droga, przy której przycupnęła najbardziej malownicza piekarnia, jaką Esme kiedykolwiek widziała.

Drzwi na samym rogu zwrócone były w stronę fontanny, a osłaniała je przed słońcem markiza w biało-żółte pasy, nad którą było wypisane po prostu: *Boulangerie*. Skrzyńki w oknach po obu stronach wejścia pomalowano na ten sam żółty kolor, co pasy markizy, a wypełniały je czerwone pelargonie i miniaturowe krzaczki lawendy.

Sklep był zamknięty, ale Esme mogłaby przysiąc, że czuje słodki, drożdżowy zapach świeżo pieczonego chleba, wciąż unoszący się w powietrzu.

- A oto i *auberge* - oznajmił Charlie, zjeżdżając w bok zaraz za piekarnią, by się zatrzymać przed malutkim hotelem o murach porośniętych winną latoroślą, z dyskretnym szyldem.

- *Auberge* to hotel? - spytała Esme, wysiadając z samochodu, i przyjrzała mu się ciekawie.

Gdyby się okazało, że domostwo pana Edmondsa nie nadaje się do zamieszkania, z całą pewnością w razie potrzeby można się było tutaj zatrzymać.

- Taki, w którym sprzedają oherzyny, jak się sama za chwilę przekonasz - autorytatywnie oświadczył Charlie i wszedł do środka.

Obydwoje wyszli pięć minut później z kluczem do domu, który najwyraźniej był zaraz za rogiem. Uprzednio zamówili stolik na wieczór w *auberge*. Okazało się, że restauracja serwuje stały zestaw potraw, idealne rozwiązanie dla takiej pary, jak oni, mającej kłopoty z porozumiewaniem się po francusku.

Udało im się po bardzo skomplikowanych manewrach postawić samochód na mikroskopijnym parkingu, wskazanym im przez właściciela *auberge*, i wyładowali z bagażnika rzeczy.

- Chodź za mną - polecił Charlie i poprowadził Esme w górę uliczką, a potem przeszedł pod kamiennym łukiem, za którym - jak się okazało - był prywatny dziedziniec na tyłach dwupiętrowego domu z ciemnymi, lakierowanymi okiennicami.

Charlie zatrzymał się, postawił torby przed podwójnymi drzwiami, otworzył je, a następnie pchnął znajdujące się za nimi drugie oszklone. Weszli do chłodnego, białego holu. Z lewej strony zniszczone, kamienne schody prowadziły na górę, a na wprost mieli coś w rodzaju salonu, ale z ogromnym, podwójnym łóżem, przechylającym się na jedną stronę.

Dom był umeblowany prosto, lecz bardzo gustownie i panował w nim przyjemny chłód.

- To mój pokój - oświadczył Charlie. - Będzie tu największy ruch, więc najlepiej, jak zamieszkam na parterze.

Esme klepnęła go w ramię.

- Skąd wiesz? - spytała. - Może się okaże, że ja jestem największą ladacznicą, jaką kiedykolwiek widziano w Ve-nolat, i będę każdej nocy sprowadzała do domu całe tabuny Francuzów?

- Es - odparł sceptycznie. - Jeśli przyrowadzisz do domu jednego, to i tak będzie cud.

Charliemu nigdy się nie nudziły rozmowy o jej cnocie. Uważał, że przez pięć lat, bo tyle się znali, zrobił więcej, niż do niego należało, by pomóc Esme w jej wysiłkach pozbycia się dziewictwa. Osiągnąwszy krytyczny wiek dziewiętnastu lat, bardzo się wstydziła swojej niewinności, ale miała zbyt romantyczną naturę, by po prostu pozbyć się kłopotu, nie czekając na rycerza w lśniącej zbroi.

- Szukam właściwego mężczyzny - przypomniała mu Esme opryskliwie. - Zapomniałeś, że jestem wyjątkową dziewczyną?

- Racja - powiedział Charlie, wchodząc po schodach. - Słuchaj, czy nie widzisz tu przypadkiem fotoreportera z „National Geographic”? Niedługo będą o tobie pisali artykuły, Esme. Jesteś gatunkiem wymierającym.

Znaleźli się na pierwszym piętrze, gdzie stał długi, ciemny dębowy stół z ośmioma krzesłami, a okno wychodziło na małą uliczkę, którą dopiero co przyjechali. Z drugiej strony była kuchnia, tak bogato wyposażona, że wątpili, czy skorzystają chociaż z jednej piątej urządzeń. Z boku drzwi z okiennicami prowadziły na taras. Stamtąd Esme zobaczyła cudowną, zieloną dolinę i zakole rzeki, która leniwie przez nią przepływała.

- Jesteśmy w raju - oznajmiła uszczęśliwiona. - Niech Bóg pobłogosławi twojego staruszka, Charlie! Nie trzeba tutaj nic robić. Spójrz, jak cudownie! Możemy się byczyć przez całe lato, jeść ser i pić wino.

Charlie wzruszył ramionami i wziął jej torby, po czym ruszył dalej po kamiennych schodach na ostatnie piętro, gdzie ujrzeli sypialnię na poddaszu, w której były olbrzy-

mia szafa, osobna łazienka oraz łoże z baldachimem i moskitierą.

- No cóż, jeśli nie przyciągniesz nikogo takim pokojem - powiedział - to nie ma dla ciebie nadziei.

Postawił jej torby na podłodze i razem rzuciwszy się na olbrzymie łoże, w milczeniu obserwowali stary, drewniany wiatrak, z cichym stukotem obracający się nad ich głowami.

- Charlie - zwróciła się Esme do niego - coś czuję, że to będą nasze najwspanialsze wakacje.

- Też myślałem, że to czuję - odparł - ale potem się okazało, że to tylko gazy. Mówię ci, to przez te cholerne koktajle z szampanem.

- Ty i twoje gazy! Naprawdę, czy to jedyne, o czym myślisz? Ja mówię, no wiesz, o wielkiej przygodzie. I jestem do niej gotowa.

- Zdaje się, że odpowiedniejszym zwrotem byłoby „umieram z niecierpliwości” - zauważył z przekąsem Charlie. - Myślisz, że będzie wielki, czarny i zwisający jak u zwierząt gospodarskich?

- Nie! - zaprzeczyła Esme. - Chociaż może. Byłoby całkiem niezłe, prawda? Ale nie wiem. Nie będę wiedziała, dopóki go nie zobaczę.

Charlie westchnął i zamknął oczy, bo łupanie w głowie zgrało się idealnie ze stukotem wiatraka w górze.

- Esme, jesteś taka naiwna - odezwał się po chwili. - Nigdy go nie znajdziesz, jeśli będziesz czekała, aż pojawi się na białym rumaku i poprosi, żebyś mu naoliwiła karwasz. Powinnaś zadowalać się nędznymi resztkami, jak my wszyscy.

- Nie, nie, nie - zaprotestowała Esme. - Chcę, żeby był nadąsany, kapryśny i milczący jak James Dean w „Buntowniku bez powodu” albo Marlon Brando w „Na nabrzeżu”.

- Raczej Marlon Brando teraz - odrzekł złośliwie Charlie i Esme dała mu kuksańca w bok.

- Albo jak młody Paul Newman. - Westchnęła. - Czyż nie byłoby fajnie?

- No jasne - zgodził się z nią entuzjastycznie. - Jeśli pojawi się młody Paul Newman, będę z tobą walczył o niego.

- To nie fair - stanowczo oświadczyła Esme. - Możesz mieć każdego, kogo zechcesz. Bardzo dobrze wiesz, że młody Paul Newman, napalony czy nie, nie wybrałby mnie, gdyby mógł mieć ciebie.

- Nieprawda, Es - nie zgodził się z nią Charlie. - Problem nie polega na tym, że faceci nie wybierają ciebie. To ty nie wybierasz ich. Zdecydowanie jesteś za bardzo wybredna. Czekasz na fajerwerki, fanfary, strzały na wiwat, a tak się nie zdarza, naprawdę.

Nie miał w sobie choćby odrobiny romantyzmu. Uważał miłość i seks za jedno i to samo, a miejsce się nie liczy. Należy korzystać z okazji i kto by się przejmował resztą!

- Może tobie nie - poprawiła go Esme - ale ja jestem inna. Nie chcę tego robić, oparta o automat z papierosami, z głową pełną ekstazy, w byle jakim nocnym klubie, w którym śmierdzi moczem.

Charlie, wciąż leżąc z zamkniętymi oczami, uśmiechnął się na tę myśl.

- Ale kto twierdzi, że jakiś głupi żabojad będzie bardziej wyjątkowy od innych, Es? Na przykład od tego chłopaka z banku, Gordona, którego ci naraziłem?

Gordon był ostatnim z wielu zdecydowanie nieodpowiednich przyjaciół Charliego, których próbował, bez powodzenia, skojarzyć z Esme.

- Ten obrzydliwy arystokrata? - zapiszczała Esme. - Nosił halsztuk, Charlie! I bał się dotykać klamki u drzwi. Prawdopodobnie uciekłby z krzykiem, gdybym spróbowała wziąć go za rękę, nie mówiąc już o przespaniu się z nim.

- Zawsze mi się wydawało, że jest jakiś dziwny - zgodził się z nią Charlie. - Już sam ten halsztuk budził niejaki wątpliwości, ale w połączeniu z awersją do klamek...

Esme się roześmiała.

- To wcale nie jest śmieszne - zaprotestowała, chociaż było. - Chciałam powiedzieć, że być młodym i czystym jak lilia to jedno. Ale ja mam już dziewiętnaście lat. Wkrótce stanie się to smutne.

Charlie otworzył oczy i odwrócił się na łóżku w jej stronę.

- Cóż, jeśli naprawdę będzie bardzo źle - oświadczył zupełnie poważnie - gotów jestem się poświęcić dla ciebie, żebyś nie musiała się wstydzić. Ale uprzedzam, że tylko raz robiłem to z kobietą i nie jestem pewien, czy dobrze się na tym znam.

- Robiłeś to raz z kobietą? - spytała Esme, zdumiona, że nie wiedziała nic wcześniej. - Myślałam, że jesteś gejem od drugiego roku życia.

- I się nie myliłaś - zapewnił ją Charlie. - Ale kumpel, z którym chodziłem do szkoły, miał siostrę, Phoebe. Przysięgam, że była to najrozkoszniejsza czternastolatka, jaką widziałem w życiu. - Uśmiechnął się z rozmarzeniem na samo wspomnienie.

- Czternastolatka? - pisnęła Esme. - Ty wstrętna, napalona ropucho!

- To ona miała czternaście lat - wyjaśnił Charlie. - A ja wtedy skończyłem dopiero trzynaście. Zabawiliśmy się w pewien weekend, kiedy nocowałem u nich w domu, i muszę przyznać, że podobało mi się to całe obściskiwanie, ale nic poza tym. Naprawdę dziwne. Tak czy owak, mówię poważnie, Es. Jeśli chcesz już mieć za sobą to coś, żeby móc się uważać za normalną dziewczynę, zrobię to dla ciebie, chociaż prawdopodobnie będę musiał przedtem dużo wypić, a poza tym trzymać przed sobą zdjęcie młodego Paula Newmana.

Esme pochyliła się nad nim i złożyła mu na policzku siostrzany pocałunek.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem - powiedziała - w niesamowity i perwersyjny sposób. I dziękuję za twoją

wspaniałomyślną ofertę. To zdjęcie Paula Newmana prawdopodobnie i mnie ułatwiłoby sprawę. Jednak - usiadła i zaczęła rozczesywać splątane włosy - poczekam na kogoś prawdziwego.

Charlie westchnął.

- W takim razie - podsumował - lepiej idźmy się czegoś napić.

Wiele, wiele godzin później, wczesnym świtem, biegła do domu pustymi uliczkami Venolat, wdychając ciepłe, nieruchome powietrze i starając się za wszelką cenę zapomnieć „No Woman No Cry” Boba Marleya, które się do niej przyczepiło.

Razem z Charliem zaczęli wieczór od apetycznej, pysznej kolacji z trzech dań i butelki *vin de pays* w *auberge*, nim odkryli malutki bar ukryty w bocznej uliczce, kiedy po posiłku zwiedzali wioskę.

Tam natknęli się na grupkę rozbawionych Kanadyjczyków, do których później dołączyła jeszcze bardziej rozbawiona grupka holenderskich turystów. Wieczór zakończył się około czwartej nad ranem. Esme stwierdziła, że bardzo wysoki księgowy z Toronto, w grubych okularach i z takimi zębami, że mógłby jeść jabłko przez słupki oparcia krzesła, jak powiedziałyby babcia Mac, nie będzie jej rycerzem w lśniącej zbroi.

Wtedy czuła się już tak, jakby wypita całe *vin* w *pays* i chętnie położyłaby się spać. Charlie miał jednak inne plany, więc Esme pożegnała się ze wszystkimi i udała się w kierunku domu.

Świeże powietrze sprawiło, że wino wywietrzało jej z głowy, a kiedy jej loki przestały śmierdzieć papierosami, które wszyscy palili, co jest nieodłącznym elementem każdego wieczoru, spędzanego poza domem, ogarnął ją doskonały nastrój i ucieszyła się, że w końcu została sama.

Sama. Jej czarne sandały o plastikowych podeszwach uderzały o bruk, wystukując rytm, który odbijał się od

ścian domów po obu stronach uliczki. Sama. Miło by było jednak, pomyślała Esme, pójść teraz do domu i kochać się aż do wschodu słońca z jakimś zachwyconym nią mężczyzną, który rano karmiłby ją czekoladkami Hagen Daaz i całował jej pieprzyk tuż poniżej lewego obojczyka.

Ale księgowy z Toronto nie jest tym mężczyzną, tego była całkowicie pewna. Może się myliła, jeśli chodzi o swoją gotowość. Venolat to niewielka miejscowość, uświadomiła sobie, i bardzo możliwe, że spotkała już wszystkich tutejszych mieszkańców. Weszła na plac, cicho podeszła do fontanny, przysiadła na niej i zanurzyła dłoń w zimnej, czystej wodzie.

A więc się myliła. Patrzyła rozmarzonym wzrokiem na wodę i obserwowała zmarszczki, które powstały, gdy zanurzyła w niej rękę. Nagle w powietrzu uniósł się najbardziej rozkoszny zapach i zaatakował wszystkie jej zmysły, jakby tylko czekał, aż Esme usiądzie i przestanie się poruszać, by wyrzucić na niej tym większe wrażenie.

Skierowała twarz w stronę księżycy i głęboko nabrała powietrza w płuca. Ależ naturalnie, *boulangerie!* Piekł się chleb, a ona siedziała i wdychała jego zapach. Sama nie wiedziała, dlaczego pomyślała, że to prezent tylko dla niej.

Odwróciła się nieco, ukryta w cieniu fontanny, i spojrzała w stronę *boulangerie*, gdzie teraz dostrzegła słabe światło, wydobywające się przez drzwi za ladą.

Zamknęła oczy i znów wzięła głęboki oddech, rozkoszując się słodkim, ostrym i kwaskowatym zapachem wokół. Jakże był inny od tego, który czuła, kiedy przechadzała się wzdłuż alejki z pieczywem w Waitrose, szukając białego, krojonego chleba tostowego z konserwantami, ulubionego pieczywa babci Mac! Babcia Mac nie uznawała pieczywa, które przynajmniej przez dziesięć dni nie zachowywało świeżości.

Skrzypienie zardzewiałych zawiasów i uderzenie drewna o drewno wyrwało Esme z zamyślenia. Otworzyła oczy

i lekko pochyliła się do przodu, by wyrzeć zza fontanny, choć nadal pozostała ukryta w jej cieniu. W pierwszej chwili pomyślała, że śni, albo że sprawiły to wino lub blask księżyca, a może ten słodko-kwaśny zapach splątał jej figła, więc zamrugła powiekami i policzyła do trzech. Lecz kiedy znów otworzyła oczy, to, co zobaczyła, sprawiło, że aż zabrakło jej tchu z wrażenia.

O drzwi opierał się mężczyzna ze snów Esme. Padało na niego z tyłu światło z *boulangerie*, a z przodu oświetlał go blask księżyca. Mąka przyprószyła mu czarne, kręcone włosy, ciemne oczy miał utkwione w papierosie, którego skręcał.

Nie potrafiła powiedzieć, skąd to wiedziała. Wiedziała, że jest gotowa, lecz nawet w bajkach królowy nie spotykają swoich królewiczów na wiejskim placyku. Musiała go zdobyć albo on ją. Ale Esme i tak wiedziała, po prostu wiedziała i już, że to mężczyzna, na którego czekała, bo drżały jej kolana, czuła łaskotanie w żołądku, w ustach jej zaschło. Jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś takiego jak teraz.

Nigdzie nie było widać puciołowatych cherubinków, wokół jej głowy nie świstały strzały, w powietrzu nie rozbrzmiewały anielskie chóry. Na pewno jednak ktoś potracił struny innej harfy. Głęboko w Esme ktoś trącił jakąś strunę.

Siedziała nieruchomo jak posąg, niemal bojąc się oddychać, żeby ta chwila nie minęła. Zagryzła dolną wargę i była zdumiona, kiedy na języku poczuła słony smak. Wydawało się, że wszystkie jej zmysły zostały postawione w stan najwyższego pogotowia; jej kubki smakowe wyprężyły się na baczność.

Kryjąc się tak w cieniu i wpatrując w mężczyznę, poczuła jakieś dziwne łaskotanie. Zrodziło się gdzieś głęboko i dotarło do serca, które powitało je silnym, rytmicznym biciem, jakby nigdy do tej pory nie biło, jak należy. Aż ją zabolalo. Naprawdę. A potem poczuła, jak krew płynie przez jej serce każdą żyłką, każdym najmniejszym naczyniem

włoskowanym, i naznacza policzki piętnem kogoś, kogo ogarnęło bardzo niebezpieczne pożądanie.

Mężczyzna (a może był to chłopak?) leniwie uniósł skręconego papierosa do ust, pod gładką brązową skórą ramienia dostrzegła napinające się ścięgna. Potem wolno przesunął językiem wzdłuż kleju na skraju bibułki papierosowej, a kiedy to zrobił, uniósł wzrok i skierował go na Esme.

Niemal skamieniała, próbując nawet powstrzymać krążenie krwi w żyłach. Z pewnością nie mógł jej widzieć. A jeśli ją zobaczył, co powinna zrobić? Wstać gwałtownie i zachowywać się tak, jakby go nie podglądała, czy pozostać nieruchomo, bo może wcale nie patrzył na nią, tylko na fontannę? Dlaczego, ach, dlaczego nie wiedziała, co zrobić?

Chociaż ogarnęła ją panika, zobaczyła, jak chłopakowi opadł na czoło ubrudzony mąką, czarny kosmyk i zdaje się, że połaskotał go w kącik oka.

Znów przeniósł spojrzenie na papierosa; wyjął z kieszeni zapalniczkę, uniósł skręta do ust i zapalił go. Serce zamarło jej na chwilę, kiedy przyglądała się jego przystojnej twarzy, przez moment rozjaśnionej płomieniem zapalniczki.

Zaciągnął się głęboko, rozkoszując się każdą chwilą, a potem wolno wyjął papierosa z ust i opuścił rękę wzdłuż ciała. Wzruszył ramionami - była pewna, że do swoich myśli - a potem uniósł głowę i wolniutko, wolniutko rozciągnął usta w uśmiechu tak olśniewającym, że Esme zakręciło się w głowie i bała się, że zemdleje. Do tej pory dość sceptycznie traktowała opowieści o utracie przytomności, przekonana, że to coś wyimaginowanego, co spotykało wyłącznie bohaterki książek Barbary Cartland, zbyt mocno ściśnięte gorsetami.

Ale siedząc teraz na gładkim, wciąż ciepłym kamiennym murku przed tym zachwycającym nieznanym, który ciemnymi oczami wypalał w niej dziurę na wylot, Esme poczuła się tak, jakby za chwilę miała się osunąć zemdlona na ziemię.

Było tak, jakby opróżniono ją ze wszystkich wcześniejszych emocji, by zrobić miejsce dla czegoś absolutnie cudownego i nowego. Czegoś niezwykle silnego. I bardzo namiętnego.

To była chwila, na którą czekała całe swoje życie.

Było to tak śmiesznie romantyczne i tak nieprawdopodobnie nierealne, że przez moment zwątpiła w istnienie siebie i jego, i tego czegoś. Uczucie słabości minęło, na jego miejscu pozostała jednak ta dziwna pustka, odrobina mdłości i niezachwiana pewność, że naprawdę dzieje się coś wyjątkowego.

Mężczyzna, chłopak, zjawa, ktokolwiek to był, odwrócił wzrok w inną stronę, znów zaciągnął się papierosem, a wolną rękę wsunął do kieszeni jasnych, płóciennych spodni. Był nagi do pasa i mogła dostrzec kontury jego żeber i kości biodrowych. Harfa w dolnych partiach jej ciała znów zadźwięczała. Potem, ku jej zachwytowi, mężczyzna zaczął gwizdać, początkowo cicho, a potem coraz głośniej. Nie rozpoznała melodii, nie musiała. Zapach chleba, wygląd tego mężczyzny, melodia, którą gwizdał... Zmysły Esme zostały wystawione na działanie zbyt wielu bodźców i usłyszała w głowie dzwonek. To nie sen, pomyślała. To się dzieje naprawdę.

Cicho wstała i wyszła z cienia. Mężczyzna jej marzeń znów uniósł wzrok, zobaczył ją i melodia zamarła mu na ustach, kiedy napawał oczy jej wyglądem, a potem znów wolno rozciągnął wargi w tym olśniewającym, oszałamiającym uśmiechu. Uniósł jedną rękę w geście, który mógł być pozdrowieniem albo przywołaniem. Esme, która nagle uświadomiła sobie, że trawi ją wprost nieznośna tęsknota -nie mogła uwierzyć, że nie czuła tego wcześniej - zrobiła mały krok w jego kierunku, a wtedy blask księżyca zatańczył na jej włosach.

Był to tak czarowny moment, że przez chwilę myślała, iż zaraz wybuchnie płaczem, chociaż tak jak jej babka, bardzo rzadko pozwalała sobie na łzy.

I nagle czar prysnął.

- Jasna cholera! - usłyszała z tyłu głos Charliego. - Ci Holendrzy są bardzo bezpośredni. Z trójką w łóżku jeszcze jakoś bym sobie poradził, ale z piątką? Na litość boską, przecież jestem Anglikiem. - Czknął głośno, a stukot jego butów, nierówno uderzających o bruk, wyraźnie świadczył, że nie był zupełnie trzeźwy. - Co to jest ten pastis, kurde? Nie wiem. Ohyda! Es? Co ty tu robisz?

Esme odwróciła się do niego tylko na chwilę, ale kiedy znów spojrzała w kierunku *boulangerie*, mężczyzna zniknął, a w nieruchomym, nocnym powietrzu słychać było jedynie smutne stukanie drewna o drewno. Jej sen rozplątał się na jej oczach jak zapomniana na deszczu akwarela: w jednej chwili przedstawiała krajobraz niewiarygodnej urody, w następnej przemieniła się w wielobarwną plamę, szybko znikającą w czarnych, zimnych strugach wody.

Zdawało jej się, że światło w piekarni przygasło. Blask księżycy stracił to swoje „coś”. Musiała wyteńczyć wszystkie zmysły, by przypomnieć sobie zapachy, które zaledwie przed minutą wypełniały jej głowę, zostawiając niewiele miejsca na cokolwiek innego.

Charlie chwiejnym krokiem podszedł bliżej, a Esme jakby wrosła w ziemię. Jej zielone oczy niemal wypełniały całą lekko piegowaną twarz; odwróciła się w stronę przyjaciela, by spojrzeć na niego z nieukrywaną niechęcią. Nawet tak bardzo pijany, zorientował się, że coś jest nie w porządku.

- Słuchaj no, Es - odezwał się. - Dobrze się czujesz? Co się stało?

Znów zerknęła w kierunku drzwi piekarni, ale zjawia zdecydowanie zniknęła. Pochłonął ją mrok.

- Chleb - powiedziała słabym głosem, pragnąc, by obraz znów się pojawił. - Patrz. - Wskazała palcem *boulangerie*.

Charlie, chwiejąc się na nogach, wciągnął nosem powietrze.

- Boże, nie mów mi o jedzeniu, bo się porzygam. -

Wzdrygnął się. - A propos, co to jest pastis? Obrzydlistwo. Chodź, Esme, wracajmy do domu.

Wolałaby zostać tu, gdzie jest, i poczekać, aż chłopak z piekarni wyjdzie znowu. Ale wokół panowała taka cisza. Taki spokój. Może jej się to tylko przyśniło. To wszystko było bardzo dziwne. Charlie zachwiał się i znów czknął. Uświadomiła sobie, że może ostatecznie najlepszym rozwiązaniem jest pójść do domu.

Kiedy jednak jakiś czas później leżała w łóżku, czując zawroty głowy od czerwonego wina, pleśniowego sera i wydarzeń minionej nocy, nie mogła zapomnieć o młodym piekarzu. Wiedziała, że to głupota leżeć w łóżku i podniecać się wspomnieniem jednego spojrzenia - nie, poprawiła się, dwóch - i paru uśmiechów, rzuconych przez zupełnie nieznanego mężczyznę, jeśli w ogóle uśmiechał się do niej.

Ale jaką grzeszną przyjemność odczuwała, założywszy, że te uśmiechy były przeznaczone dla niej.

I to jakie uśmiechy! Esme zdusiła jęk, przewracając się na wielkim łóżu, i przypomniała sobie czarny lok, opadający na czoło młodego piekarza. Wyobraziła sobie, jak wyciąga rękę i odgarnia mu to pasmo ciemnych włosów za ucho. Wyobraziła sobie, jak się nachyla do niego i całuje miejsce, gdzie przed chwilą był ów kosmyk. Wyobraziła sobie, jak ciepłymi, wilgotnymi ustami całuje brwi nieznanego, a jej język niczym wąż przesuwają się po jego policzku aż do warg.

Przez chwilę smakowała go w swoich marzeniach, a potem usnęła i pozwoliła nieświadomemu umysłowi wyobrażać sobie dotyk rąk tamtego mężczyzny w miejscach, których do tej pory nie dotykał nikt poza nią.

Rozdział czwarty

Esme, starsza o sześciu chłopaków, jednego męża i cięższa o pięć kilogramów (głównie w pasie), siedziała za stołem kuchennym wysoko w chmurach, cała się trzęsąc ze złości podczas lektury pierwszego felietonu Jemimy Jones.

Był niedzielny ranek. Jak tylko Pog się obudził, posłała go do herbaciarni Meare po gazetę, chociaż ostatnią rzeczą, której pragnęła, było jej przeczytanie. Gazeta leżała więc najpierw w nogach łóżka, potem na koszu na brudną bieliznę, potem na stole kuchennym, potem w koszu na śmieci, aby w końcu znów wylądować na stole.

Pog, będąc świadkiem tego wszystkiego i domyślając się, co to może znaczyć, szybko wycofał się do szopy w ogrodzie, zostawiwszy Esme siedzącą za stołem i wpatrującą się uporczywie w dział „Moda”. W końcu porwała gazetę i otworzyła ją, by zobaczyć, jak blondwłosa Jemima uśmiecha się do niej zagadkowo. Na jej twarzy nie było ani jednej zmarszczki, wyglądała dziewczęco i w ogóle olśniewająco. Esme jeszcze nigdy w życiu nie miała ochoty tak komuś przyłożyć, jak w tamtej chwili.

Kiedy w piątek całowałam mojego najdroższego Cosmo na dobranoc - przeczytała - spojrzał na mnie i powiedział zachwycająco: „Czy wszystkie mamusie są takie śliczne, jak ty?”.

Esme znów rzuciła gazetę na stół. Aż ją świerzbiła ręka. Spojrzała na zegar. Wyrobiła ciasto na chleb prawie godzi-

nę temu. Może je zacząć wyrabiać drugi raz trochę wcześniej.

Pog wprawdzie nic nie dał po sobie poznać, ale najwyraźniej był zachwycony, kiedy wczoraj w południe zobaczył świeżutki bochenek chleba. Jadł go tak, jakby nigdy w życiu nie miał nic w ustach, a sama Esme obudziła się tamtego ranka podniecona, a nie, jak to ostatnio stało się normą, przygnębiona. Dobrze było znów wrócić do wypiekania chleba.

Pokazała język Jemimie i podeszła do szafki, na której stała miska z ciastem, lśniąca od oliwy, którą ją wysmarowała, żeby ciasto nie przywierało.

Wzięła w ręce ciepłą, gładką kulę i ostrożnie położyła ją na stolnicy, a potem obiema dłońmi zaczęła nadawać bochenkowi właściwy kształt. Posypała stolnicę garścią mąki i jednym wprawnym ruchem przekreśliła ciasto na drugą stronę, obtoczyła je w mące i delikatnie umieściła we wcześniej przygotowanym koszyku, wyłożonym ściereczką. Nie był to oryginalny, francuski, wiklinowy koszyk, ale przez te wszystkie lata babcia Mac do perfekcji opanowała sztukę zastępowania jednych rzeczy innymi. Esme wykorzystywała więc zwykły koszyk na pieczywo, który wyklepała starymi lnianymi ściereczkami.

Ciasto leżało w formie. Teraz będzie wyrastało w swoim tempie. Esme sprzątnęła kuchnię, usiadła za stołem i znów wzięła gazetę.

Miałam na sobie złoty kostium Calvina Kleina i szpilki Jimmy'ego Choo - dowiedziała się -gotowa byłam do udania się do hotelu Dorchester na jedną z imprez dobroczynnych, ale w tamtej chwili zapragnęłam zwinąć się w kłębek obok mojego synka i zwyczajnie przeleżeć w jego łóżku całą noc, delektując się jego miłością do mnie. Z bólem serca wręczyłam au pair książkę („Tajemnice kuchni” autorstwa Anthony'ego Bourdaina - Cosmo marzy, żeby zostać kuchmistrem!) i wymknęłam się z domu.

Esme znów rzuciła gazetę i wstała, żeby sobie zaparzyć herbatę. Cosmo? Jak tytuł czasopisma? Starła się stłumić irytację. „Tajemnice kuchni”? Ile lat ma to dziecko?

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytała Rory'ego, który chyba setny raz oglądał „Shreka”. Jak większość matek przysięgała sobie kiedyś, że żadne z jej dzieci nigdy nie będzie godzinami siedziało przed telewizorem, ale chłopiec obudził się w nieznośnym humorze i nie miała siły walczyć z nim o pilota.

Rory jej nie odpowiedział. Ciekawa była, czy rozkoszny Cosmo ogląda filmy na wideo i udaje, że nie słyszy, jak matka go o coś pyta. A może przynosi ukochanej mamie śniadanie do łóżka, potem zaś prasuje jej atlasowy peniuar i sypie płatki różane na podłogę, by mogła po nich przejść do łazienki! Napila się herbaty, westchnęła i znów opadła na krzesło.

Nie jest łatwo być superkobietą, co niewątpliwie wiele z was sobie uświadamia - mędrkowała Jemima. - Pracującą zawodowo matkę absorbuje tyle spraw, że dni mijają jej w zawrotnym tempie. Cóż, jednego dnia chodzi w płaszczu Nichole Fahri i botkach do kostek, aż tu nagle nie wiadomo kiedy wybucha wiosna... Mam szczęście, że mogę liczyć na pomoc mojego męża Gregory'ego, pracującego w bankowości; żeby mi ulżyć, zatrudnił dwie niańki, kucharza, kierowcę i ogrodnika. Dzięki temu łatwiej nam wyjść z domu, by wywiązać się ze zobowiązań towarzyskich, i nie musimy odmawiać naszej trójce uroczych dzieci uwagi, na którą tak zasługują.

- Suka! - rzuciła półgłosem Esme, znów odkładając gazetę. Nie mogła się zmusić do przeczytania jednego słowa więcej. - „Trójka uroczych dzieci”, akurat!

- Dziadek mówi, że nie wolno mówić „suka”, chyba że ma się na myśli psa - odezwał się Rory ze swojego ulubionego miejsca, poduchy przed telewizorem.

Do wszystkich uczuć, które już targały Esme, teraz doszedł jeszcze wstyd.

- Przepraszam, skarbie - powiedziała - ale czasami to naprawdę jedyne właściwe słowo.

Rory wstał, wyłączył telewizor i usiadł przy stole. Sięgnął po torbę płatków śniadaniowych, które matka już wcześniej dla niego przygotowała. Lubił zaraz po przebudzeniu zjeść grzanekę, a dopiero później płatki z mlekiem. Nic nie mogło go przekonać do zmiany tej kolejności.

- Kto jest suką? - spytał.

- Pewna pani, z którą kiedyś pracowała twoja mamusia. Była dla niej bardzo niedobra, a nawet podła, i prawdopodobnie zostanie nowym premierem - wyjaśniła Esme słodkim głosem.

- A co się stało Tony'emu Blairowi? - spytał Rory z buzią pełną płatków śniadaniowych. - Palant.

Esme spojrzała na syna, posypując mu cukrem mleko. Jego marchewkowe włoski ostro kontrastowały ze zgaszonymi żółciami, bielą i jasnym drewnem.

- Rory - powiedziała, obeszła stół i usiadła obok chłopca. - Wiesz, że dorośli mogą robić i mówić rzeczy, których małym dzieciom nie wolno robić ani mówić, prawda?

- Tak - odrzekł Rory i niespieszony jadł dalej.

- Więc musisz też wiedzieć, że nie wolno ci powtarzać tego, co mówimy o innych ludziach, szczególnie jeśli to coś złego lub niepochlebnego, ponieważ możesz nie rozumieć dokładnie, dlaczego w ogóle czasami jesteśmy źli i zachowujemy się nie tak, jak należy.

Rory spojrzał na nią z naganą.

- Pani Monk mówi, że źli ludzie zazwyczaj są w głębi duszy smutni, i powinno nam być ich szkoda - oznajmił, wycierając buzię pulchną rączką.

Pani Monk była przedszkolanką i zadufaną w sobie starą sekutnicą, ale Rory ją lubił i Esme bardzo się pilnowała, żeby nigdy nie krytykować tej jędzy w jego obecności.

- Jaką perukę nosi w tym tygodniu pani Monk? - zapytała. - Brązową czy rudą?

Rory zastanawiał się chwilę.

- Ma nową - odpowiedział. - Tak jakby srebrną. Bardzo ładną.

Naprawdę potrafił być bardzo słodki, pomyślała Esme, uśmiechając się pobłaźliwie. Jej wzrok padł na leżące na stole zdjęcie Jemimy.

- Rory - spytała - czy uważasz, że twoja mamusia jest ładna?

Chłopiec podniósł miseczkę, wypił mleko do końca i wzruszył ramionami.

- Ładniejsza od pani Monk? - podpytywała go Esme.

- Pani Monk ma wąsy - odrzekł. - Wszyscy są ładniejsi od niej. Tylko peruki ma ładne.

- W takim razie - ciągnęła Esme - może w porównaniu z innymi mamusiami. Jestem tak samo ładna? Czy ładniejsza?

Rory spojrział na nią, odsuwając krzesło.

- Inne mamusie mają bardziej błyszczące włosy - oznajmił jedynie.

Wziął słoik miodu i łyżkę, które Esme wcześniej zostawiła na blacie szafki, i wyciągnął w jej stronę. W pierwszej chwili pomyślała, że nigdzie się nie ruszy, póki Rory nie udzieli jej właściwej odpowiedzi, ale stwierdziła, że byłoby to dziecinne. Tak samo, jak wyjaśnianie, że kręcone włosy nigdy nie są tak lśniące jak proste. To kwestia sposobu odbijania światła.

- Chodź - powiedział Rory i razem zeszli na dół. Na trawniku przed domem podbiegł do nich Brown. Zbliżyli się do wiklinowej furtki i stanęli, z bezpiecznej odległości podejrzliwie spoglądając na ul.

Pszczoły tworzyły gniewny kłęb obok swego domku, pomalowanego w białe i niebieskie pasy. Pog zapłacił za niego majątek, a potem spędził cały weekend, by go pomalować tak, żeby pasował do ogrodu Esme, w którym rosły niebieskie irysy, lawenda, róże i hortensje. Zdecydowała się na hodowanie pszczół, bo wymarzyła sobie, że będzie

podawała swoim bliskim prawdziwe, wiejskie śniadania: świeżo upieczony chleb, jaja prosto od kur i gęsty, ciemny miód z własnej pasieki.

Jak na razie udało jej się jedynie z chlebem. Kury odmówiły znoszenia jaj, potem wyzdychały, a w ciągu sześciu miesięcy, odkąd mieli pszczoły, tylko Pog podszedł do ula na odległość mniejszą niż dziesięć metrów. Przy tej okazji został szesnaście razy użądłony, nim uciekł niemal z płaczem, a Esme obserwowała go od furtki, wpadłszy w histerię. Gdyby co nieco poczytali na temat pszczół - i to zanim je kupili - dowiedzieliby się, że nie zapewnili im odpowiednich warunków do składania miodu. Tylko ciekawość ciągnęła je do ula.

- Tato, pszczoły! - krzyknął Rory w ten niedzielny ranek w kierunku szopy. Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich głowa Poga.

- Uważajcie! - zawołał i zamknął drzwi.

Esme przyglądała się szopie. Mieli pięciopiętrowy dom, ale Pog wolał siedzieć w swojej byle jak skleconej, małej budzie. Ona sama zajrzała do tego miejsca tylko kilka razy: było tam ciemno, zimno, stało pełno kartonów, narzędzi i słoików z jakimiś płynami, z których sterczały pędzle malarskie. W jednym kącie Pog uwił sobie coś w rodzaju gniazdka; miał tam krzesło, przykryte starym brezentem, i szafkę zawaloną jakimiś papierzyskami. Skrzynka na jabłka służyła mu za stolik, trzymał na nim elektryczny czajnik i zapas herbaty. W całym pomieszczeniu unosił się dziwny zapach, Esme przypuszczała, że starych nawozów, które latami wsiąkały w ściany. Za każdym razem, kiedy wchodziła, mąż zachowywał się bardzo osobliwie, jakby bezprawnie wtargnęła na teren prywatny. Więc jak już sprawdziła, że nie jest to jaskinia rozpusty ani meta dealera narkotykowego, przestała gó tam niepokoić.

- Mężczyzna musi mieć swój azyl - tłumaczył za każdym razem, kiedy Esme jęczała, że tak dużo czasu tam spędza.

I prawdę powiedziawszy, nie mogła mu żałować tej odrobiny prywatności. Niemal pod każdym względem był idealnym mężem: przystojnym, dobrym, kochającym, wyrozumiałym, szczodrym i łagodnym. Pomyślała sobie przelotnie, stojąc teraz i patrząc na ciemną szopę, że ostatnio odsuwa się od niego w łóżku, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Naprawdę działo się z nią coś niedobrego. Oto leżały przed nią wszystkie składniki idealnego życia, teraz jednak, bardziej niż kiedykolwiek, nie potrafiła ich połączyć. Czy przeszłość już zawsze będzie się kładła cieniem na wszystko, co ich czeka w przyszłości?

- Dlaczego są takie złe? - spytał Rory i znów skupiła uwagę na pszczołach, gniewnie brzęczących wokół swego domu. Brown, od czasu incydentu z pigwą zachowujący się wprost wzorowo, też zwrócił łeb w stronę Esme, jakby również chciał poznać odpowiedź.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparła Esme obu, zapominając, że „niech mnie diabli” to kolejny zwrot, którego Rory nie powinien używać w obecności pani Monk. - Zapewniłam im wszystko, o czym tylko pszczoły mogłyby marzyć. Mają ten śliczny ul. Na litość boską, widziałam gorsze rzeczy w „Elle Decor”. Wszędzie, gdzie spojrzeć, kwitną kwiaty, gałęzie drzew wprost uginają się od rajskich jabłuszek i pigw, więc nie powinny mieć trudności ze zdobyciem pyłku. Nie wiem, co im nie pasuje.

- Może nie chcą mieszkać w ulu, który wygląda jak dom - podsunął zamyślony Rory.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Esme, patrząc, jak chłopiec obserwuje pszczoły.

- Może chcą mieszkać w takim ulu, jaki jest w książce o Kubusiu Puchatku - powiedział. - No wiesz, w kształcie sosnowej szyszki. - Spojrzał na nią z wyrzutem. - Może nie wiedzą, że to ich dom. Mogą myśleć, że zabłądziły. - Znów spojrział na rozgniewane pszczoły. - Albo że je ktoś porwał.

Esme patrzyła na jego drobną, bladą buzię i zmarszczone czoło. Piegi wydawały się ogromne, jakby unosiły się

w przejrzystej wodzie. Czy kiedykolwiek będzie wiedziała, co się dzieje w tej małej główce? Czy kiedykolwiek przestanie się o niego martwić? Poczwała, jak wzbiera w niej matczyna miłość, i niemal drgnęła od ukłucia bólu, które zawsze jej towarzyszyło.

- Nie sądzę, żeby pszczoły były takie mądre - odrzekła uspokajająco, opierając się pragnieniu uściskania Rory'ego, bo wiedziała, że synek tego nie cierpi. - Prawdę mówiąc, jestem pewna, że gdzieś czytałam, że w królestwie pszczół nie zdarzają się porwania. Przypuszczam, że w pszczelim języku nawet nie istnieje takie słowo. Wiedziałaś o tym? Ale może masz rację, jeśli chodzi o ul. Może powinniśmy poszukać takiego w kształcie sosnowej szyszki, jak myślisz?

Rory oddał jej słoik i łyżkę.

- Wszystko mi jedno - oświadczył. - Zresztą i tak nie lubię miodu.

Była to prawda. Nigdy nie lubił miodu. Przyszedł z nią tylko dlatego, że nie chciał, aby go ominął kolejny wielki atak pszczół. Proszę, błagała Esme w duchu pszczoły, proszę, uspokójcie się i pozwólcie nam podejść bliżej. Proszę, niech dziś coś się potoczy tak, jak należy. Ale bzyzące owady w jakiś sposób wyczuwały, że prawie wszyscy w domu wolą marmoladę, więc dalej były poirytowane.

Rory odwrócił się i zaczął iść w kierunku domu, lecz nie odszedł daleko, gdy przypomniał sobie o czymś i odwrócił się do Esme. Brown jak zwykle nie odstępował go ani na krok.

- To nieprawda, że pszczoły mają mały rozumek - oświadczył nieco oskarżycielskim tonem. - Nie są duże i mają rozum w sam raz dla siebie. - Patrzył na nią zaczepnie i lekko wysunął podbródek, jakby czekał, żeby mu się sprzeciwiła, chociaż miał absolutną rację.

- Kiedy byłeś malutki, wierzyłeś we wszystko, co ci mówiłam - powiedziała z wyrzutem Esme.

- Henry wypożyczył mi z biblioteki książkę o pszczołach - oznajmił jej syn. - Teraz sam dużo wiem.

- No tak, ale mam rację, jeśli chodzi o to, że nie znają słowa „porwanie”! - zawołała Esme do jego pleców.

Wiedziała, że Rory idzie poszukać Henry'ego, który mógł odnosić się opryskliwie do niej, ale był wzorem cierpliwości i poświęcenia, kiedy bawił się z wnukiem, którego ubóstwiał. Przypuszczała, że powinna być za to wdzięczna losowi, i na ogół była.

Weszła po schodach, żeby się upewnić, czy jej syn i teść się odnaleźli, a potem porwała „Sunday Times” z podłogi w kuchni i zbiegła do pokoju babci Mac. Dopiero na samym dole przypomniała sobie, żeby napiąć mięśnie pośladków.

Jak tylko otworzyła drzwi do mrocznego pokoju, uderzył ją smród Embassy Regal. Rod budził Maggie May, bo wydawało mu się, że ma jej coś do powiedzenia.

- Nie mam dużo czasu - zaczęła, siadając w nogach łóżka. - Nie uwierzyłabyś, jaki okropny bałagan jest w pokoju Rory'ego, poza tym od kilku dni nie robiłam prania. Na podłodze leży stos, przypominający coś z dawnego odcinka „Dr Who”. Właściwie przemienia się już w kompost. W ogrodzie też mam dużo do zrobienia. Należałoby polać napalmem grządkę warzywną i już dawno powinnam pozbierać kozie bobki. To wredne stworzenie wypróżnia się najszybciej ze wszystkich istot, jakie znam, nie wyłączając mojego męża i syna, co już o czymś świadczy.

- Cóż, jeśli nie masz dla mnie czasu... - zaczęła babcia Mac wyraźnie dotknięta.

- Nie bądź niemądra - zaprotestowała Esme. - Zawsze znajdę dla ciebie czas. Spójrz. - Zaszeleściła gazetą. - Pierwszy felieton Jemimy Jones. Ma chłopczyka imieniem Cosmo, który ją pyta, czy wszystkie mamy są takie śliczne jak ona.

- Brednie - oświadczyła rzeczowo babcia Mac. - Brednie, brednie, brednie. Co jeszcze pisze?

- *Próby pogodzenia pracy zawodowej i obowiązków domowych to coś dobrze znanego wielu brytyjskim kobietom - przeczytała Esme z głupawym uśmiechem na ustach. - Nasza rodzina z całą pewnością nie jest tu wyjątkiem. Jedyna różnica polega na tym, że nasze dzieci są nad wyraz dojrzałe i mają większy iloraz inteligencji od swoich rówieśników, więc możemy im wytłumaczyć, nie powodując potoku łez i napadów złości, dlaczego tatuś zawsze wraca z pracy dopiero wtedy, kiedy one już leżą w łóżeczkach, a czasem nie ma go w domu i rano. Och, zdaje się, że to bardzo zdrowo. Ale wracajmy do naszego wspaniałego czterolatka... Ma dopiero cztery lata? ...i jego rozczulającego pytania. Kiedy wróciliśmy do domu z hotelu Dorchester, gdzie - niech mi wolno nadmienić - Camilla wprost błyszczała (ciekawe, co też robi Karol, że tak rozkwitła?), zakradłam się do pokoju Cosmo i spojrzałam na synka, zwiniętego w kłębek w swojej malutkiej replice ferrari Michaela Schuma-chera. Och, a więc nie stać ich na prawdziwego? Tamtego wieczoru spotkałam wiele najrozmaitszych matek - czytała dalej Esme. - Bogatych i biednych, niskich i wysokich, młodych i o włosach przyprószonych siwizną. Rozmawiając z Cherie (tak, z tą Cherie!), stwierdziłam nagle, że właściwie wszystkie jesteśmy takie same. Próbujemy utrzymać w całości materię życia, nieważne czy to złotogłów, czy całkiem zwyczajne płótno. „Tak, Cosmo, szepnęłam mojemu cudownemu synkowi, pogrążonemu we śnie. Tak. Wszystkie mamusie są tak piękne, jak ja. Każda na swój własny, wyjątkowy sposób”.*

Esme opuściła gazetę na kolana i zaczęła uderzać głową w ścianę, spoglądając na sufit. Nie mogła dalej czytać.

- O co jej, u diabła, chodzi? - spytała babcia Mac. -, „Materia życia”? Myślałam, że to rubryka towarzyska, a nie jakieś cholerne kółko krawieckie.

Esme potrząsnęła głową, przygnębienie wypływało każdym porcem jej skóry.

- Esme! - zwróciła się do niej ostro babcia Mac. - O co chodzi?

- Nie wiem - odpowiedziała zgnębionym głosem. - Zwyczajnie nie wiem. Ale czuję się okropnie, babciu Mac. Okropnie. - Głos uwiązał jej w gardle i starała się odzyskać nad nim kontrolę. - Do tej pory tak dobrze się trzymałam. Byłam taka silna. - Urwała. - Znów zaczęłam piec chleb, tak jak mi kazałaś, i było cudownie, mój Boże, cudownie. Poskutkowało. Naprawdę. Przestałam widzieć wszystko w czarnych barwach.

- Ale? - spytała babcia Mac.

- Ale wciąż nie opuszcza mnie to straszne uczucie. Och, nie wiem. - Esmę starała się znaleźć właściwe słowa. - Zupełnie, jakby gdzieś w środku bardzo mnie swędziało, a nie wiem gdzie, więc nie mogę się podrapać. Ale z drugiej strony nie mogę się na niczym skupić, bo mnie swędzi. Czy miałaś kiedyś takie uczucie, babciu?

- Cóż, raz oblażyły mnie pchły - odrzekła babcia Mac. -Przeszły na mnie z bardzo wrednej kotki Pam, którą przyprowadził twój dziadek Mac. Zdaje się, że wtedy stosowało się roztwór tlenku cynku i wody wapiennej.

- Ja ci się zwierzam z najgłębszych, naj mroczniej szych myśli, a ty potrafisz mi doradzić tylko roztwór tlenku cynku i wody wapiennej?

- Uważasz, że twoje najgłębsze i naj mroczniej sze myśli są takie fascynujące? Nie mam pojęcia, o co ci chodzi z tym swędzeniem i drapaniem, Esmę. Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, sama musisz sobie pomóc. Wygadywanie bzdur o jakiejś cholernej egzemie donikąd nas nie zaprowadzi, na miły Bóg.

Nic dziwnego, że Rory lubił Shreka, pomyślała Esmę. Wściekle zielony potwór prawdopodobnie kojarzył się chłopcu z jego prababką. Nie da się dyskutować z babcią Mac.

- Po prostu chcę być taka, jak dawniej - powiedziała tylko. - Chcę chodzić na imprezy dobroczynne w hotelu Dorchester, pić fikuśne koktajle z Cherie Blair i zwyczaj-

nie dobrze się bawić. - Westchnęła. - Ale wszystko zostało tak okropnie skażone tym, co nam się przydarzyło, że nie wiem, co zrobić. Nie potrafię sobie wyobrazić, że znów mogłabym być tamtą dawną, normalną Esme.

- Och, Esme! - W głosie jej babki wcale nie słychać było współczucia. - Tamtą kobieta nie była taka znowu nadzwyczajna.

- Babciu Mac!

- Cóż, pora, żebyś zaczęła liczyć się z faktami, dziewczyno. Nie możesz znów nią być. Jej już nie ma. Prawda, że to, co cię spotkało, uczyniło z ciebie kogoś innego, ale nikt z nas nie może cofnąć czasu i zmienić biegu wypadków. Co się stało, to się nie odstanie, Esme. Musimy pogodzić się z losem i znaleźć sposób, by mimo wszystko jakoś dalej żyć.

- A nie uważasz, że przez ostatnie dwa lata właśnie starałam się tak postępować? - spytała Esme. - Ktoś inny na moim miejscu miałby wszystkiego dosyć, a najchętniej skończyłby ze sobą, i Bóg mi świadkiem, że też miałam na to ochotę. Ale żyłam dalej, a przynajmniej próbowałam żyć dalej.

- A przez ostatni miesiąc?

- Ten ostatni miesiąc to twoja wina! - zawołała Esme. - Dobrze o tym wiesz. Nie dam sobie rady sama. To za trudne. Czuję się opuszczona przez wszystkich.

- Och, a więc za mało dla ciebie robię, tak? Cóż, może jeszcze mam wstać i zatańczyć ci jakiś żywy, szkocki taniec? Mniejsza o moje dwa udary i niedawne ciężkie zapalenie płuc.

Esme udała, że nie usłyszała jej odpowiedzi, i ze złością zaszeleściła gazetą.

- Cóż, mogę cię zapewnić, że Jemima Jones na pewno mi nie pomaga. Pojawiła się z trójką uroczych dzieci, nowiutką karierą zawodową i bez śladu kurzych łapek.

- Zamierzasz zrzucić winę za ten napad wściekłości na Jemimę Jones?
- z niedowierzaniem spytała babcia Mac.

- O, tak, to działa. To naprawdę wspaniale pomaga. Świetnie! Brawo!
- W pokoju rozległo się głębokie westchnienie.
- Słuchaj, Esme, możesz wskazywać palcem każdego, kogo tylko chcesz, ale myślę, że wiesz, że jeśli chleb nie chce rosnąć, to trzeba sprawdzić użyte składniki.

Esme milczała.

- W twojej mące są wołki zbożowe, dziewczyno.
- Niczego nie ma w mojej mące, babciu Mac.
- Mówię ci, że są wołki zbożowe.
- To nie ma nic wspólnego z wołkami zbożowymi!
- Tu chodzi tylko i wyłącznie o wołki zbożowe.
- Niech będzie, ale nie chcę mówić o wołkach zbożowych.
- Cóż, nie licz na to, że zaczniesz się lepiej czuć, dopóki nie porozmawiasz o wołkach zbożowych, Esme. A do tego czasu nie przychodź do mnie i nie zwracaj mi głowy swoimi bezustannymi narzekaniami.

Atmosfera stała się napięta. Gdzieś w tle Rod śpiewał „Sailing”, a zapach dymu papierosowego wypełnił szczelinami w tapecie.

Tę grobową ciszę przerwał dzwonek telefonu na górze. Esme podniosła się z łóżka, złapała „Sunday Times” i wybiegła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

- W porządku, Henry! - zawołała, biorąc po dwa stopnie naraz. - Odbiorę.

Wbiegła do pokoju dziennego na drugim piętrze - woda z wazonu, rozbitego podczas gonitwy z pigwą, spowodowała, że aparat na parterze nie działał - chwyciła słuchawkę po ósmym sygnale i wydyszała:

- Esme Stack!
- Nigdy się nie przyzwyczaję do tego śmiesznego nazwiska - rozległo się w słuchawce. - Naprawdę, Es. MacDou-gall było całkiem dobre.
- Charlie! - krzyknęła zachwycona Esme. - Mój Boże, wprost nie mogę uwierzyć. Gdzie jesteś?

- Wciąż w Hongkongu, moja droga, ale już niedługo tu zabawię. Jestem w drodze do domu - dasz wiarę? Mniejsza o SARS, gorzej, że nigdy się nie połapałem, jak posługiwać się pałeczkami. Przekłety wynalazek. Ale bardzo zasmakowałem w mięsie węży. W ich skórze zresztą też. Właściwie ostatnio przypominam gada, i w środku, i na zewnątrz.

Esme się roześmiała, słuchając tych głupot.

- Och, Charlie, nie masz pojęcia, jak dobrze znów cię słyszeć - powiedziała. - Naprawdę.

- A co dopiero, gdybyś mnie zobaczyła! Wtedy czułabyś się chyba jak w siódmym niebie - zauważył nieskromnie. -Przylatuję we wtorek i pomyślałem sobie, że mógłbym przyjechać na weekend do najbardziej zabitej deskami wiochy. Na własnej skórze doświadczyć tego, o czym pisze Good Life, Felicity Kendall i jej podobne. Zjeść trochę *iva-sabe*, hodowanego bez nawozów sztucznych czy cokolwiek tam masz, i może wychylić szklaneczkę czy sześć wina z mniszka.

Esme zapewniła go, że dostanie alkohole wszelkiego rodzaju oraz jedzenie, które z pewnością zostało zmodyfikowane genetycznie. Kiedy odłożyła słuchawkę, aż drżała z przejęcia, myśląc o wizycie Charliego. W końcu coś będzie dobrze! Charlie nie miał w sobie za grosz wrażliwości, ale zawsze pojawiał się wtedy, kiedy go najbardziej potrzebowała. Jeśli ktoś szukał ramienia, na którym mógłby się wypłakać, nie mógł liczyć na Charliego, ale jeśli chciał, żeby go rozśmieszyć i sprawić, by na chwilę zapomniał, że chciałby się wypłakać, Charlie był niezastąpiony.

Dobiegły ją z dołu głosy, a potem stukanie laski i szuranie nóg Henry'ego.

- Wychodzimy - zawołał jak zwykle oschle.

- Dobrze! - odkrzyknęła Esme.

Usiadła na swoim nadmiernie wypchanym fotelu i znów zaczęła się zastanawiać, czy da radę poczytać jeszcze trochę tego, co napisała Jemima. Czy uda jej się trzymać od

niej z daleka? Dlaczego tak ją interesują szczegóły życia tamtej, które jedynie sprawiają, że ona, Esme, czuje się jeszcze bardziej do niczego? To chore.

Otworzyła gazetę na drugiej stronie. Ciekawa była, co teraz robi mały Cosmo. Przynosi pokój Bliskiemu Wschodowi i leczy raka?

- Och, pierdol się, ty głupia krowo! - zaklęła i rzuciła gazetę na podłogę.

- Słucham? - rozległ się głos od strony drzwi. To był oczywiście Henry, a Rory stał tuż za nim.

- Przedtem powiedziała też „suka” - poinformował Rory dziadka.

- To prowokacja policyjna - zaprotestowała Esme. - Myślałam, że was nie ma w domu! Chyba można przeklinać, kiedy jest się samemu, co?

Henry i Rory bez słowa spojrzeli na siebie. Esme przewróciła oczami.

- Przepraszam. Przepraszam. Co się stało?

- Hugo zaproponował przed obiadem spacer nad morze - poinformował ją Henry, jak zwykle mówiąc z zasznurowanymi ustami.

- Świetny pomysł - pochwaliła Esme, wstała, zmierzwiła pomarańczowe loki Rory'ego i rzuciła uśmiech teściowi w nadziei, że dzięki temu trochę odtaje. - Zanim wrócicie, upiekę chleb i podgrzeję zupę. Będą na was czekały w ogrodzie.

Rory rzucił jej dziwne spojrzenie, a potem wziął dziadka za rękę i sprowadził go po schodach.

- Woli chleb od spaceru nad morze - powiedział, kiedy szli przez trawnik do szopy Poga. - Ale nie szkodzi.

Henry milczał.

Pog, słysząc ich, wyjrzał ze swojego azylu. Mina mu zrzedła, kiedy zobaczył, że nie ma z nimi Esme.

- Szykuje obiad - wyjaśnił Henry. Przedstawiciele trzech pokoleń rodu Stacków razem z Brownem wyszli

przez furtkę i ruszyli ścieżką w dół, w stronę krętej drogi, która biegła obok Meare, a potem nad morze.

Seabury było naprawdę wymarzonym miejscem w takie słoneczne niedziele. Po Meare pływały kolorowe łodzie, w których siedziały, wiosłując z różnym stopniem wprawy, pary spędzające tu wakacje czy też kłócące się rodziniki. Natomiast miejscowi starali się zachowywać rezerwę i unikać kolizji.

Niebo było bezchmurne i tak błękitne, jak to tylko możliwe, słońce przygrzewało, wiaterek poruszał liśćmi potężnych dębów, rosnących wokół jeziora.

- Przepiękny dzień. - Pani Coyle uśmiechnęła się do nich, sprzątając okruchy babeczek ze stołu przed herbaciarnią. - Pani Stack nie wybrała się na spacer z panami?

- Jest zajęta w kuchni - odpowiedział smętnie Pog, unosząc brwi. Cała czwórka odwróciła się, by spojrzeć na Dom w Chmurach, widoczny nad wierzchołkami drzew. Z tego miejsca wyglądał ponuro i nieprzystępnie.

- Nie ma pokoju dla bezbożników, co? - Pani Coyle puściła do nich oko. - Słyszałam, że w tym roku niezwykle jej obrodziły warzywa. Wczoraj rozmawiali o tym moi goście. Nie mogłam ich uciszyć!

Pog uśmiechnął się i trzej Stackowie ruszyli dalej.

Esmę powszechnie uważano za najdziwniejszą ogrodniczkę w całej wschodniej Anglii. Nic nie rosło tak, jak się tego spodziewała, ani nawet tam, gdzie się tego spodziewała. Jej cukinie zbulwersowały Ramola i jego żonę, ponieważ miały kształt olbrzymich fallusów, łącznie z jądrami, bo zaatakował je jakiś pasożyt. Wycieczka Amerykanów specjalnie się nawet zatrzymała, by zrobić zdjęcia. Pokazano je też w lokalnym programie telewizyjnym. Wyrósł tylko jeden karczoch z setki, którą zasadziła. Esmę taka była z tego dumna, że go nie zerwała, i w nocy zjadła go koza. Przy okazji pożarła też jeden kalosz Rory'ego, a potem dostała sraczki i zabrudziła cały teren.

Trzej panowie Stack dotarli na rozgrzaną, kamienistą plażę i zdjęli buty i skarpetki. Rory, podniecony lekkim wietrzykiem, migotliwym, niebieskim oceanem i ogłuszającym ujadaniem rozhukanego labradora, biegał tam i z powrotem, rozchlapując wodę na samym brzegu, wymachując rękami i krzycząc do siebie.

Henry i Pog usiedli na drewnianej ławce u stóp piaszczystych wydm i przyglądali się chłopcu.

- Twoja matka nigdy nie lubiła morza - ni stąd, ni zowąd powiedział Henry, czym kompletnie zaskoczył syna. - Denerwowało ją. No wiesz, te fale wciąż bijące o brzeg i temu podobne bzdury.

Zmarła ponad dwadzieścia lat temu, ale myślenie o Grace sprawiało Henry'emu taki ból, że na ogół nie potrafił się na to zdobyć. Zazwyczaj trzymał wspomnienia o niej zamknięte głęboko w głowie jak w sejfie, gdzie udało mu się też wepchnąć wszystkie przykre uczucia, którym wołał nie stawiać czoła.

Wiedział, że jego synowie cierpieli przez to, że nie potrafił się z nimi podzielić swoim smutkiem. Ostatecznie stracili matkę, a mieli dopiero po dwadzieścia kilka lat. Ale on stracił żonę, miłość swego życia, cel istnienia. Jak mógł pocieszać synów, kiedy jedyne, co miał ochotę robić, to wyc i pomstować na niesprawiedliwość losu, wygrażać pięściami Bogu albo temu, kto obdarzył Grace uszkodzonymi genami? Zostawił więc synów samym sobie.

Milo, pierworodny, znalazł pocieszenie w pracy zawodowej i w małżeństwie, zdaniem Henry'ego zawartym raczej z rozsądku, z koleżanką-brokerem, która nie miała idiotycznych loków na głowie, miała za to szerokie biodra, idealne do rodzenia dzieci. Mieszkali teraz w Ameryce, robili wszystko zgodnie z planem, byli zabezpieczeni i szczęśliwi, nikomu nie sprawiali kłopotów.

Hugo był inny, i to od zawsze. Rozmarzony, łagodny i tolerancyjny, według Henry'ego bardziej się wrodził w Grace. Też mu się udało w życiu, choć może nie do końca.

Henry pomyślał o Esme i zacisnął zęby. Ta synowa od samego początku nie przypadła mu do gustu. Miała rację, twierdząc, że teść uważa ją za kobietę kapryśną i nieodpowiednią na żonę dla młodszego syna. Był chłodny, zimowy wieczór, kiedy Hugo pojawił się w rodzinnym domu w Kent. Oczy mu błyszczały, policzki miał zaróżowione. Przyproceedził ze sobą tego roztrzepanego, pełnego życia, beczelnego rudzielca, wystrojonego w sztuczne futro i męskie buty. Była zdenerwowana, wypła za dużo szampana i sama się poczuła głupio, kiedy palnęła, że porzucą swoją tak zwaną karierę dziennikarską, by robić bikini ze skór przejechanych kotów. W dodatku to wcale nie była prawda.

Nie mógł się do niej przekonać. Irytowali się nawzajem jak źle dobrane koła zębate i nigdy nie udało im się znaleźć wspólnej płaszczyzny porozumienia. Za dużo mówiła, a Henry, szczególnie po śmierci Grace, stał się milczkiem. Entuzjazm Esme go przytłaczał. Wszystko to tylko mu przypominało, że już dawno stracił wszelką radość życia.

Na domiar złego, nie dość, że podupadł na zdrowiu, to jeszcze znalazł się w ciężkiej sytuacji materialnej w wyniku złych inwestycji, robionych za radą zięcia sąsiada, zarządzającego funduszem powierniczym. Ten facet, niestety, zbyt dobrze maskował swoje skłonności do hazardu. Ostatecznie Henry nie miał innego wyjścia, tylko sprzedać swój domek w Kent, by spłacić długi.

Wiedział, że Esme bardzo się przejęła jego trudnym położeniem i nalegała, żeby się do nich wprowadził, ponieważ akurat rozpaczliwie szukali kogoś uczciwego do opieki nad domem. Hugo niezbyt się palił do tego pomysłu i nawet raz Henry podsłuchał, jak Esme surowo przypominała jego synowi, że od tego się ma rodzinę. Jeśli mogą się opiekować babcią Mac, obdarzoną trudnym charakterem i w dodatku beczelną, to z całą pewnością mogą się też zaopiekować takim dżentelmenem, jak Henry.

Jego duma została urażona, poczucie godności doznało uszczerbku i nie potrafił się zdobyć na wdzięczność wobec Esme za jej dobroć. Podczas tego wszystkiego, co wycierpieli, trzymał się z boku, chociaż wcale siebie za to nie lubił. Ale teraz już nie można było nic zmienić. Stał się więźniem własnej zgryzoty i wyrzutów sumienia i nie mógł się od nich uwolnić. Nie wiedział, jak odbudować most między sobą i następnym pokoleniem.

- Nie wiedziałem o tym - odezwał się Pog, utkwivszy wzrok w linii horyzontu. Czuł się niezręcznie, stąpając po tak niepewnym gruncie. - O mamie. I morzu.

Henry nic nie powiedział. Chciał sięgnąć dalej, ale zwyczajnie przekraczało to jego możliwości. Spojrzał przez plażę na Rory'ego; jaskraworude włosy chłopca odcinały się od niebieskiego morza. Gdy biegał w płytkiej wodzie, białe strzępy piany fruwały przed nim w powietrzu.

Serce Henry'ego, które przepęłniały nieopisany ból i gorycz, wezbrało miłością do wnuka. Rory'ego nie zawiedzie.

Rozdział piąty

- Po prostu nie mogę przestać o niej myśleć - oświadczyła Esme w następną sobotę, schroniwszy się w pokoju babci Mac w oczekiwaniu na przyjazd Charliego. - Ma troje dzieci, którym nadała imiona od tytułów czasopism! Jest słodki, kochany, rozkoszny Cosmo i ten drugi o imieniu George Quentin, w skrócie GQ, który uwielbia matematykę i zamierza się poświęcić bankowości, a najstarsza, Marie Claire, marzy o karierze modelki, jak tylko straci swój dziecięcy tłuszczczyk, przekłuje sobie uszy i wyprostuje zęby. Biedna dziewczyna, babciu Mac. Wyobraź sobie, mieć Jemimę za matkę!

- Esme, przestań gadać o Jemimie Jones. Naprawdę głowa mi od tego pęka.

- Ale, babciu Mac, chodzi mi tylko o to, że...

- Powiedziałam! Zostaw tę biedną kobietę w spokoju.

- Biedną kobietę? Och, chciałabym mieć takie problemy, jak ona.

- Nie możesz sobie dać rady z własnymi, Esme, a co dopiero mówić o problemach innych.

- Przestań się mnie czepiać!

- To przestań się o to prosić!

Esme aż oniemiała z oburzenia. Odkąd zamieszkały razem dwadzieścia dziewięć lat temu, ani razu się nie pokłóciły. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy miały odmienne zdanie na

jakiś temat. Gdy Esme była nastolatką, żartowały sobie nawet, że są „praktycznie siostrami”, co usłyszały w wywiadzie z podstarzałą żoną pewnego rockmana i jej córką. Dość śmieszne, kiedy tak mówią przedstawicielki dwóch pokoleń, a już zupełnie osobliwe, gdy chodzi o babkę i wnuczkę.

Tylko raz doszło między nimi do ostrzejszej wymiany zdań, kiedy w szkole zaczęto dokuczać trzynastoletniej Esme, że nie ma rodziców, tylko dość niemodnie ubraną, ekscentryczną starszą panią, która przyjeżdża po nią do szkoły motorem z przyczepą, a na drugie śniadanie daje jej kanapki z czekoladkami miętowymi.

- Nie lubisz jeździć przyczepą? - spytała ze zdumieniem babcia Mac zapłakaną wnuczkę. - Cóż, można temu bardzo łatwo zaradzić, kupując bilet autobusowy. Jeszcze coś?

- Tak - odrzekła ze szlochom Esme. - Nie sprzeczasz się z nauczycielami na temat mojej inteligencji. Wcale nie jestem taka mądra. Normalne matki nie radzą córkom, żeby głosiły własne poglądy czy też lekcewały nauczycieli, którzy nie wiedzą, o czym mówią.

- Przepraszam bardzo - powiedziała babcia Mac. - Esme, widzę, że masz przeokropne problemy. Ciekawa jestem, czy nie byłoby ci lepiej w domu dla niechcianych rudzielców?

Esme od razu obeschły łzy i tylko prychnęła głośno i przeciągle, słysząc taką propozycję. Bolało ją, że koledzy się z niej wyśmiewają, i postanowiła podzielić się tym zmartwieniem z babką. Ale kiedy już to zrobiła, zrozumiała, że mieć opiekunkę, która jeździ na motorze, wkłada czekoladki do kanapek i uważa swoją wychowanekę za wybitnie zdolną, w gruncie rzeczy wcale nie jest takie złe.

Babcia Mac była nietuzinkowa.

- Cóż, jeśli zamierzasz się tak zachowywać - zdenerwowała się Esme - to sobie pójdę. Właściwie nie wiem, dlaczego w ogóle siedzę w tym ciemnym, dusznym pokoju i z tobą rozmawiam. To śmieszne.

- Och, rozchmurz się, każdego można uzdrowić diugimi i kosztownymi sesjami terapeutycznymi - zażartowała babcia. - Chociaż osobiście, jak wiesz, zawsze byłam wielką zwolenniczką leczniczych właściwości suszonych śliwek.

- To nie było śmieszne o tych sesjach terapeutycznych, babciu Mac - oświadczyła Esme, wstając i szykując się do wyjścia.

- Zgadzam się, ale wcale nie żartowałam, mówiąc o suszonych śliwkach - rozległ się za nią piskliwy głos.

Na korytarzu Esme wpadła, dosłownie, na Henry'ego, który właśnie wrócił do domu, odprowadziwszy Rory'ego do Annabelle Ashton. Annabelle była jedynym dzieckiem w wieku Rory'ego, któremu jej synek okazywał choćby minimalne zainteresowanie. Teść spojrzął nad ramieniem Esme, która się zaczerwieniła, kiedy zza drzwi dobiegł głos Roda, zapewniającego, że dziś jest ta noc.

- Wiesz, że powinnaś coś z tym zrobić - burknął teść i ruszył na górę po schodach. - Otwórz ten pokój. Wpuść do niego trochę świeżego powietrza.

- Zamknij jadaczkę! - Esme usłyszała wyraźnie zza drzwi wrzask babci Mac, ale głośny warkot drogiego samochodu, miażdżącego żwir przed domem, chyba zagłuszył te słowa.

Wybiegła na podwórze i zobaczyła, jak Charlie, siedzący na miejscu dla kierowcy w czarnym kabriolecie audi, gapi się na Dom w Chmurach.

- Jasna cholera, staruszko! - krzyknął, wyraźnie będąc pod wrażeniem. - To rzeczywiście wygląda jak fallus. Hugo to wybrał czy ty? - Odsunął drogie okulary przeciwsłoneczne na czoło i przyjrzał się jej, kiedy biegła w jego stronę. - Wyglądasz jak zawsze fantastycznie - wykrzyknął, wyskakując z samochodu, i uścisnął ją z całych sił, udając, że wypływa jej włosy. - Boże, jak dobrze cię widzieć, Esme.

- Sam też prezentujesz się całkiem, całkiem - powiedziała, wyswobodziwszy się z jego objęć.

Wyglądał bardzo chłopięco z długimi, rozjaśnionymi na końcach włosami, które opadały na czoło. Na opalonej skórze wokół oczu dopiero pojawiła się zapowiedź kurzych łapek. Uderzyło ją, że Charlie przypomina młodszego, wyższego, przystojniejszego Hugh Granta. - Czy to Prada? - spytała, nie mogąc wyjść z podziwu. - Od stóp do głów? Mój Boże, jaką niepowetowaną stratę poniósł z twojego powodu świat heteroseksualny, Charlie!

- Za to, moja droga - odparł Charlie z szelmowskim uśmiechem - jestem darem niebios dla reszty. Spóbij myśleć o tym w taki sposób.

- Wciąż odpierasz ich ataki wielką lagą, co? - zażartowała sobie z niego. - Czy pod tą koszulą jest wielki, ciężki złoty medalion? Czy nie powinieneś odpiąć guzika czy dwóch, by się pochwalić swoją owłosioną klatą?

Charlie roześmiał się i objął ją ramieniem tak, że mogła się do niego przytulić.

- Zaprosisz mnie w końcu do środka czy na górę, czy też co robisz, żeby się dostać do tej monstrualnej budowli? Co, u diabła, skłoniło cię do przeprowadzki na to niesamowite zadupie, Es? Coś podobnego mogli wymyślić tylko bracia Grimm, wszystko kręte i powyginane, nie mówiąc już o proporcjach.

Esme się roześmiała. Dlaczego mężczyźni w taki sposób reagowali na Seabury? Te wielkie niezguły bały się wszystkiego, co było choć odrobinę niezwykle albo oryginalne. Nie odpowiedziała Charliemu, tylko oprowadziła go po swoim królestwie, zaczynając od osobliwego zwierzyńca i niekonwencjonalnego ogrodu warzywnego.

Ku jej zdumieniu, bardzo mu się spodobała szopa Poga.

- Mówisz, że jest tylko dla niego, dla nikogo więcej? - spytał, wyraźnie pod wrażeniem. - Bombowo. Czy dużo czasu tam spędza?

- Zwykle siedzi tam przez cały weekend - odpowiedziała Esme. - Ale w tej chwili pracuje nad jakimś ważnym

projektem, więc dzisiaj jest w biurze. - Dopiero teraz dotarło do niej, że była tak zaabsorbowana własnym cierpieniem, że nawet nie spytała męża, co takiego projektuje. Zdaje się, że pracował przez kilka ostatnich sobót.

Chrzęst opon na zwirowym podjeździe sprawił, że spojrzęła na mikrobus pełen emerytów z domu starców z miejscowości leżącej na południe od Seabury. Zatrzymał się po drugiej stronie drogi. Nie było to rzadkie zjawisko, Esme już od jakiegoś czasu pokazywała turystom, gdzie rosną największe dynie na świecie, a uradowani staruszkowie pstrykali zdjęcia. Ale Charlie był bardzo rozemocjonowany, szczególnie kiedy z wiatraka wyszła żona Ramola i zaczęła krzyczeć, wymachując ścierką.

- Co tu się dzieje, u diabła? - koniecznie chciał wiedzieć.

Esme zmarszczyła nos i skrzywiła się, patrząc na staruszkę.

- Biedaczka, postradała rozum - powiedziała. - Myśli, że po nią przyjdą, więc dostaje ataku szału na widok każdego pojazdu.

Zachowanie żony Ramola zaczęło wzbudzać niepokój Charliego.

- Nie powinnaś jakoś zareagować? - spytał, krzywiąc się.

Esme pokręciła głową.

- Spróbowałam raz, ale skończyło się tym, że podrapała mi twarz. Zaraz wyjdzie Ramol i ją zabierze. Jest głuchy, więc trochę to potrwa.

I rzeczywiście, po chwili staruszek w podartym swetrze i w grubych okularach na nosie pojawił się w drzwiach i siłą wciągnął do środka swoją chudą, awanturującą się żonę.

Wycieczkowicze z mikrobusu pstrykali zdjęcia jak szaleni, a Esme zaprowadziła Charliego do domu.

- Nie śmieć się - powiedziała. - Kiedyś ja i Pog też będziemy tak wyglądali.

Szybko minęła pokój babci Mac, z lekceważeniem machając ręką, i zaprowadziła gościa do Henry'ego, żeby się przywitali. Henry potraktował przybysza z grzeczną obojętnością. Potem poczęstowała Charliego w kuchni obiadem -chlebem na zakwasie i domową zupą minestrone. Jadł, aż mu się uszy trzęsły, chociaż cały czas utrzymywał, że robi mu się niedobrze, kiedy wygląda przez okno na ostatnim piętrze Domu w Chmurach.

Później zmusiła go, by poszedł z nią do Ashtonów po Rory'ego, który namalował cztery obrazki, wszystkie utrzymane w tonacji bardzo ciemnego brązu. Według relacji Peggy Ashton, przez cały dzień nie odezwał się ani słówkiem, ale z apetytem zjadł obiad i teraz stał spokojnie, kiedy pełna życia, blondwłosa i niebieskooka Annabelle zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go na pożegnanie.

Charlie wyraźnie nie wiedział, o czym można rozmawiać z małym chłopcem, kiedy wracali w pełnym słońcu do domu. Nigdy jeszcze nie widział Rory'ego, na wiadomość o ciąży Esme powiedział, że jest uczulony na małe dzieci, co wkrótce potwierdził, uciekając na drugi koniec świata. Podczas krótkich pobytów w Anglii umawiał się czasami z Esme na koktajl, zazwyczaj daiquiri z wanilią, utrzymywali też kontakt, sporadycznie dzwoniąc i pisząc do siebie, ale jeszcze nigdy nie widział jej w domowych pieleszach.

- A więc Annabelle jest teraz twoją dziewczyną? - spytał w końcu Charlie Rory'ego i klepnął go w ramię.

Chłopiec spojrzał na niego niechętnie.

- Nie - odpowiedział.

- Pamiętaj, nigdy nie jest za wcześnie na te rzeczy - zażartował Charlie.

- Na jakie rzeczy? - zapytał malec.

- Na to, by spotykać się z dziewczynami, ty głuptasie -odparł Charlie. Rory spojrzał na matkę.

- To tylko pogawędka towarzyska - wyjaśniła mu. - Nie

ma właściwie znaczenia. Prowadzi się takie rozmowy, bo tego wymagają zasady dobrego wychowania.

- Bardzo dziękuję - krzyknął dotknięty do żywego Charlie.

- Cóż, Charlie, nie ma sensu wypytywać czterolatka o jego życie seksualne - syknęła Esme.

- Jeśli to nie ma znaczenia, to dlaczego się o tym mówi? - spytał Rory.

Esme się roześmiała, a Charlie zwrócił się do niej:

- Ten mały chłopiec mówi tak, jak stara Szkotka. - Nagle urwał i zrobiło mu się głupio. - Bardzo przepraszam, Es...

- Nie ma za co - powiedziała Esme, złapała Rory'ego za rączkę i zaczęła biec truchcikiem, chociaż miała buty na wysokich obcasach. - Chodź, kochanie. Zdaje mi się, że widziałam kolorowo zapakowane prezenty na tylnym siedzeniu samochodu wujka Charliego.

Kolorowo opakowane prezenty okazały się czymś, co przełamało lody między Rorem i Charliem, ponieważ były wśród nich trzy karabiny. Do tej pory Dom w Chmurach stanowił strefę zdemilitaryzowaną - we wszystkich książkach o wychowaniu pisano, że należy tak postępować - ale prawdę mówiąc, Esme poczuła ulgę, zobaczywszy, że jej syn reaguje tak, jak zareagowałyby każdy mały chłopiec: policzki mu się zaróżowiły i natychmiast zaczął strzelać do wszystkiego, co się rusza, nie wyłączając jej, owiec, pszczoł, Browna, a nawet Henry'ego, który udał niezadowolenie, ale w głębi duszy był zaskoczony, że karabin-zabawka wygląda jak prawdziwy.

Ale to jeszcze nie koniec prezentów. Dla Poga znalazła się koszula Paula Smitha, której - co Esme wiedziała - jej mąż nigdy nie włoży, nawet gdyby wyglądał w niej fantastycznie, a dla niej Charlie kupił flakonik perfum Must Cartiera i balsam do ciała (naturalnie, pamiętał), których kupowaniem już dawno przestała zawracać sobie głowę.

A na koniec wyciągnął dwie butelki Cristala i chyba najgrubszego skręta, jakiego kiedykolwiek widziała, chociaż właściwie minęło ładnych parę lat od czasów, kiedy paliła skręty.

- Wybacz, Esmo, ale przyjechałem tutaj tylko na jedną noc - wyjaśnił Charlie, otwierając pierwszą butelkę szampana, kiedy tylko odpakowali wszystkie prezenty. - Staruszek coś dla mnie zaplanował i naprawdę nie mogę się od tego wykręcić. Wiesz, jak to jest.

- Och, Charlie! - Esmo nie kryła rozczarowania. - Myślałam, że zostaniesz dłużej. Mamy sobie tyle do opowiedzenia. Nawet nie wiem, co robisz. Nic nie wiem. Nie możesz zostać przynajmniej jeszcze jeden dzień?

Charlie przybrał surową minę starszego brata i podał jej kieliszek.

- Daj spokój, Es - zaczął jej perswadować. - Nie rób scen. Nie mogę i już. Mamy tylko jedną noc, więc lepiej wykorzystajmy ją jak najlepiej, dobrze?

Esmo się odęła.

- Cóż, nie mogę tak wcześnie zaczynać pić - oznajmiła, kręcąc głową na widok francuskiego szampana, i nie wzięła kieliszka. - Muszę jeszcze nakarmić staruszków, wykapać i położyć spać małe dzieci.

Charlie ujął jej dłoń i zamknął ją na kieliszku.

- Nie wygłupiaj się - powiedział. - Jeszcze tu przyjadę. W przyszłym tygodniu, jeśli mnie zechcesz. Wiedz, że teraz już zostanę w Londynie, jeśli mi się uda, to do końca mojej kariery zawodowej. Es, nie każ mi się czuć winnym, bo wiesz, że nie jestem w tym dobry.

Esmo nieco odtajała.

- Ja każę ci czuć się winnym? - spytała życzliwszym tonem i mocniej ścisnęła kieliszek z szampanem. - Dajesz się ponosić emocjom, ty stary błaznie!

Charlie uśmiechnął się swoim filmowym uśmiechem i nalał sobie szampana.

- No, teraz lepiej - oświadczył. - Napijmy się w końcu, na litość boską, człowiek może umrzeć z pragnienia w tym kraju.

Pog przyszedł do domu tuż przed ósmą, zmordowany po całym dniu bardzo nudnych, nieoficjalnych spotkań z kilkoma członkami lokalnej rady, która, ku jego wielkiemu zdumieniu, podpisała z nim kontrakt na upiększenie głównej ulicy Seabury. Zajęło im prawie sześć miesięcy zadecydowanie, że jest właściwym człowiekiem do tego zadania, a teraz w ciągu trzech tygodni chcieli mieć plany i kosztorysy. Kiedy wrócił do domu, Charlie i Esme już zdążyli wypić obie butelki szampana i wypalić połowę wielkiego skręta.

Leżeli na wznak na podłodze w pokoju dziennym, śmiejąc się histerycznie, chociaż nie pamiętali z czego. Pog stłumił uczucie odtrącenia, które go ogarnęło na ten widok; ostatecznie lubił, kiedy Esme się śmiała. Lubił widzieć ją szczęśliwą. Żałował, że to nie on sprawił, że tarzała się po podłodze ze śmiechu, ale gdyby miał wybierać między Charliem a nikim, to wołał Charliego.

- Gdzie tata? - zapytał, uściskawszy dłoń gościa i przyjąwszy w prezencie od niego, raczej z rozbawioną miną, koszulę Paula Smitha. Odkładając ją na niski kredens, zauważył, że jest o numer za mała, a do tego fioletowa, czyli w jedynym kolorze, którego naprawdę nie cierpiał.

- Chyba poszedł do pubu - powiedziała Esme, siadając, i wytarła oczy. - Był trochę poirytowany, że w domu jest hałaśliwy gość - ciągnęła, kiedy Charlie znów zaczął się śmiać. - A potem zaczął się zachowywać protekcyjnie i wygłosił pogardliwą prognozę, dotyczącą naszego jutrzejszego samopoczucia.

Charlie pękał ze śmiechu. Pog też się uśmiechnął i nagle Esme w jednej chwili wytrzeźwiała i poczuła się podle. To nie jego wina, że Henry był taki zrzędlawy. A mąż wyglądał na zmęczonego i skrepowanego. Nie chciała, by czuł się wykluczony. Nigdy nie chciała, żeby czuł się odtrącony.

- Rory już śpi - poinformowała go, nagle otrzeźwiawszy. - Chyba zyskał nowego najlepszego przyjaciela.

Spojrzała na Charliego, który uśmiechał się z triumfującą miną, patrząc na Poga.

- Cóż, pewnie do niego zajrzę - powiedział Pog. - Znaczy się, do taty w pubie. Pomogę mu wrócić do domu. Pozwolę wam we dwójkę nadrabiać zaległości. Co o tym myślisz, kochanie? - Znów się do niej uśmiechnął i Esme poczuła niemal nieprzewartą ochotę, by wtulić się w ramiona męża i wyszeptać mu to wszystko, co wiedziała, że chciał od niej usłyszeć.

- Charlie zostanie u nas tylko jedną noc - zakomunikowała zamiast tego. - Tylko jedną.

Charlie znów zaczął się hałaśliwie śmiać, ściskając się za brzuch i tarzając po podłodze.

- Jutro musi się zgłosić do szpitala psychiatrycznego na badania - ciągnęła Esme. - Jak widzisz, ma niezupełnie po kolei w głowie.

- Jeśli to tylko nie jest zaraźliwe - powiedział uprzejmie Pog i zauważył, że kiedy Charlie tarzał się na dywanie, koszula wysunęła mu się ze spodni, odsłaniając opalony, muskularny brzuch. - Do zobaczenia - pożegnał się, czując, jak pasztecik z mięsem wieprzowym i pączek z galaretką, które zjadł na podwieczorek, ciężą mu w żołądku. - Bawcie się dobrze.

Kiedy jego kroki na schodach ucichły i rozległo się odległe trzaśnięcie drzwiami, Charlie usiadł i spróbował się opanować.

- Cóż za bulwersujące zachowanie - odezwał się, ocierając oczy rękawem koszuli. - Nic dziwnego, że biedak uważa mnie za skończonego imbecyla.

- Nie mów głupstw - powiedziała Esme. Z trudem wstała i podała rękę przyjacielowi. - To nie dlatego uważa cię za skończonego imbecyla. - Charlie jęknął i pozwolił pomóc sobie wstać.

- Naprawdę? - spytał.

- Och, na litość boską, zamknij się - ofuknęła go Esme, kierując się ku schodom. - Nic takiego sobie nie myśli. Pog taki nie jest. Jest zbyt dobry. Jezu, w tym domu naprawdę jest cholernie dużo schodów. Chodź, Charlie. Kuchnia wygląda, jakby przeszedł tędy huragan. Lepiej posprzątam, zanim wróci Pog. - Razem wdrapali się po schodach i weszli do kuchni, gdzie Charlie klapnął na krześle, a Esme oceniła spustoszenia, jakich dokonała, szykując ciasto czekoladowe dla Rory'ego na podwieczorek.

- A niech mnie, ale syf - jęknęła i wzięła się do sprzątania stolnicy. - Czy to moja robota? - Zmywarka gapiała się na nią złośliwie, świeżo zmyte naczynia błyszcząły i przypominały, co z niej za flejtuch, że wcześniej ich nie wyjęła. Wolno i ostrożnie, żeby niczego nie potłuc, bo trochę się upiła szampanem, opróżniła zmywarke, by ponownie ją napełnić naczyniami, które ubrudziła, piekąc ciasto.

Wytarła blat szafki i zaczęła grzebać w zamrażarce, by znaleźć coś, czym mogłaby jutro nakarmić rodzinę.

- Hurra! - krzyknęła triumfalnie, kiedy w końcu znalazła udziec jagnięcy pod mrożonym groszkiem, który wysypał się z torebki, i pudełkiem na wpół rozmrożonych lodów na patyku.

- Gdzieś tutaj powinien też być sos miętowy własnej roboty - mruknęła, wyciągając z włosów kawałek lodu, i znów zanurkowała w zamrażarce. - Szkoda, że nie widziałeś, jak urosła moja mięta, Charlie! Myślę, że amerykańscy astronauty widzieli ją z kosmosu. - Przekładając stare opakowania po margarynie, znalazła w końcu to właściwe, wyciągnęła je z dumną miną i uniosła w górę, żeby Charlie mógł obejrzeć.

Gapił się na nią z nieodgadnioną miną.

- O co chodzi? - spytała, wycierając jakiś kłaczek, który może miała na nosie, i sprawdzając ręką włosy, żeby się upewnić, że nie przyczepiło się tam nic galaretowatego, mielonego ani przeterminowanego. - Nie patrz tak na mnie!

Charlie otrząsnął się z zadumy.

- Wcale tak na ciebie nie patrzyłem - zaprotestował.

- Owszem, patrzyłeś - upierała się Esme. Nagle przypomniała sobie, że wieczorem nie uzupełniła zakwasu porcją mąki i wody. Sięgnęła do spiżarni po słój. - Patrzyłeś tak, jakbyś mnie widział pierwszy raz w życiu.

Charlie się roześmiał.

- Nie, tylko się zamyśliłem.

- A o czym myślałeś? - zaczęła się dopytywać Esme, przyciskając słój do piersi.

- Myślałem, jaka jesteś niesamowita - odpowiedział cicho Charlie. - Ot, co myślałem.

- Niesamowita? - powtórzyła za nim Esme. - Ja? - Nie to chciała mu powiedzieć. Zaczęła wolno odkręcać wieczko.

- Tak, ty głuptasko, ty - potwierdził Charlie. - Po tym wszystkim, co przesłaś, nadal wydajesz się taka... bo ja wiem... szczęśliwa.

- Szczęśliwa?

Właśnie w tej chwili wieczko puściło, a cierpka słodycz i kwaśna ostrość zawartości słoju uderzyła Esme prosto w twarz. Szczęśliwa? I w tym momencie mgła, spowijająca ostatnie piętnaście lat, opadła, a Esme zobaczyła siebie wyraźnie, jak stoi w tamtej małej, francuskiej piekarni, owinięta w miękkie płótno barwy kakao, rozkoszując się każdą kroplą potu piekarza, mieszającą się z jej potem, i drżąc ze szczęścia, że jest kochana.

Wtedy była szczęśliwa.

Postawiła słój na kuchennej szafce i wspomnienie zniknęło, zostawiając ją oszołomioną i bez tchu.

- Esme? - odezwał się Charlie, zaniepokojony. - Co się dzieje? Wszystko w porządku?

- Szczęśliwa? - wykrztusiła. - Myślisz, że jestem szczęśliwa?

Charlie się zmieszał.

- Cóż, tak, na swój sposób, w wiejskim domu-gołębniku,

odmrażając mięso i uprawiając najzdrowsze na świecie dynie, pomimo, no wiesz, tego wszystkiego, co się wydarzyło.

Ból, tak przenikliwy, że Esme nie potrafiła powiedzieć, skąd się wziął, wypełnił jej piersi i wydostał się na zewnątrz w postaci gwałtownego szlochu. Oparła się o kuchenną szafkę i ku przerażeniu własnemu i Charliego, zanosła się płaczem.

- O, Boże. - Zerwał się z krzesła. - Esme, co się stało? Czy mam po kogoś pójść? Esme, proszę. Nic ci nie jest? Kurde, kurde, kurde. Czy mam sprowadzić Poga? Och, Esme!

- Jestem złą matką - szlochała Esme - i okropną żoną, i wstrętną synową. Do tego jeszcze babcia, och, babciu Mac... - Z oczu płynęły jej duże łzy, płakała rozżalona na cały świat, niemal nieświadoma, że Charlie niezręcznie próbuje ją pocieszać.

- Bardzo mi przykro - powiedział tak kojąco, jak tylko umiał. - Nie powinienem był nic mówić. Wcale nie jesteś niesamowita. Skądże znowu. Przepraszam, Esme, to przez tego szampana. Wcale nie jesteś szczęśliwa, teraz to widzę. No bo jak to możliwe? Cóż za skończony głupiec ze mnie, by coś takiego twierdzić. Boże, co za cham. Świnia. Nieczuła świnia. Chętnie bym się stłukł na kwaśne jabłko, naprawdę. Boże! Co się ze mną dzieje? Może źle się czuję po długim locie, chociaż wróciłem pięć dni temu, czy może cztery, a w zeszłym miesiącu byłem przeziębiony...

Esme uniosła mokrą od łez twarz i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Skończyłeś już? - zapytała go głosem pełnym żalu, ale jej łzy już zaczynały obsychać.

- Do diabła, tak. - Charlie odskoczył i załamał ręce. -Tak. Zupełnie skończyłem. Całkowicie. Kompletnie. Och, Esme. Co mogę zrobić?

- Możesz mi podać chusteczkę. - Pociągnęła nosem. -I przestać chrzanić.

Z szybkością błyskawicy wyciągnął z kieszeni jedwabną chusteczkę i podał ją Esme.

- Proszę - powiedział. - I możesz uznać, że od tej pory na sto procent przestałem chrzanić. Finito. Kaput.

Esme się roześmiała i wydmuchała nos.

- Przepraszam, Charlie - powiedziała tak smutno, że podszedł bliżej, wziął ją w ramiona i mocno przytulił, żałując, że nie wie, co mógłby zrobić, by poczuła się lepiej, i przysięgając sobie, że gdyby wiedział, co można zrobić, to by to zrobił.

- Jesteś dobrą matką - zapewnił, jej loki łaskotały go w brodę. - I dobrą żoną. Naprawdę. Ty i Pog tworzycie idealne małżeństwo.

- Nieprawda - zaprzeczyła Esme, oswobodziła się z jego objęć i oddała mu chusteczkę. - Nieprawda. To znaczy tak, Kocham go, Kocham go z całego serca, naprawdę, przysięgam, ale zwyczajnie nie wiem, czy uda nam się znów normalnie żyć, Charlie. Tyle się wydarzyło.

Kiedy wydmuchała nos, znowu otoczył ją unoszący się w kuchni ostry, cierpki zapach zakwasu. Poczowała kolejne ukłucie tęsknoty za dawnym, prostym życiem.

- Ale ze wszystkich ludzi, jakich znam, Esme, ty najbardziej zasługujesz na szczęście.

- No cóż - westchnęła, a łzy znów napłynęły jej do oczu - zaczynam myśleć, że może już miałam okazję być szczęśliwa, Charlie. I może już nie będzie mi dana druga taka szansa.

- Ależ na pewno będzie ci dana, Es. Musisz w to uwierzyć.

- Ostatnio już sama nie wiem, co myśleć - ciągnęła, gdy duża, okrągła łza potoczyła jej się po policzku. - Jedyne rzeczy, których jestem pewna, wydają się niedostępne, zatrzaśnięte w przeszłości. Chciałam powiedzieć, że wtedy pojawiła się moja wielka szansa na szczęście. No wiesz, w Venolat.

- W Venolat? - zapytał Charlie z niedowierzaniem.

- Tak, w Venolat - szepnęła Esme w odpowiedzi.

- Och, Esme. Chyba nie myślisz o Louisie. Po tylu latach?

- Tak, Charlie. Wciąż myślę o Louisie. Po tylu latach.

Rozdział szósty

Kiedy w Venolat nastał ranek, przez szpary w okiennicach wpadł do sypialni snop światła, który trafił Esme prosto w prawe oko. Obudziła się i pierwsze, o czym pomyślała, to śniadanie.

Wzięła prysznic i zeszła na dół, starając się nie zwracać uwagi na łupanie w głowie. Charlie siedział na tarasie przed domem, opalając się i popijając sok pomarańczowy wprost z plastikowej butelki. Wyglądał cudownie. Wcale nie jak ktoś, czyja wątroba jest twarda jak kamień, a pokryte sadzą płuca wypełnia smoła.

- Dzień dobry - zawołał radośnie. - Odespałaś zaległości? Esme się uśmiechnęła i przesunęła palcami po włosach,

jakby istniał choćby cień nadziei, że kiedykolwiek uda się je wyprostować czymś innym poza najsilniejszymi, najbardziej cuchnącymi środkami chemicznymi.

- Pomyślałam sobie, że mogłabym pójść do piekarni - odpowiedziała - i przygotować nam coś na śniadanie. Na co masz ochotę?

Charlie z przejęcia usiadł prosto na krześle z kutego żelaza.

- O, tak, proszę pani - powiedział tonem ucznia szkoły prywatnej. - Coś z kremem budyniowym i coś z lukrem, jeśli można.

- Charlie, jesteśmy we Francji, a nie na filmie Merchant Ivory - przypomniała mu, biorąc sok ze stołu, i też napiła

się prosto z butelki. - I o ile się nie mylę, Francja chyba specjalnie nie słynie z kremu budyniowego i lukru. Chyba lepiej jest znana z... - Spojrzała na niego znacząco.

- Sosów? - próbował zgadnąć Charlie.

- Z czego jeszcze? Zrobił głupią minę.

- Nie znęcaj się nade mną, Esme, dziś rano nie jestem w najlepszej formie.

- Z pieczywa - powiedziała Esme. - Z francuskiego pieczywa. I croissantów. I maślanych bułeczek drożdżowych. I...

- Dobrze, dobrze, tak, oczywiście - przerwał jej Charlie. - Wszystko, co chcesz, byleby to było coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Esme wzięła portmonetkę i zbiegła po schodach. Mijając wielkie lustro koło drzwi, przystanąła, żeby się przejrzeć, ale nie przyznała się do tego nawet przed sobą.

Włożyła dziś białą sukienkę, którą kupiła na pchlim targu na Portobello specjalnie na wakacje. Była na cienkich ramiączkach z koronki, co podkreślało smukłość szyi Esme. Odślaniała jej znośne obojczyki (łącznie ze znamieniem). Przez cieniutką, przejrzystą bawełnę można było dostrzec jej dziewczęce piersi, nieskrępowane stanikiem. Sterczały zuchwale, ale nie bezwstydnie, i naprawdę było je widać tylko wtedy, kiedy szczególnie się wyteżyło wzrok.

Delikatne piegi na jasnych ramionach pasowały do sukienki, podobnie jak długie, gęste, kręcone włosy. Ponieważ zawsze wyglądała jak modelki preraphaelitów, nigdy jej się to nie podobało. Ponieważ zawsze wyglądała jak modelki preraphaelitów, zawsze chciała wyglądać jak Michelle Pfeiffer w „Niebezpiecznych związkach” albo jak wokalistka Swing Out Sister z czarnymi, błyszczącymi włosami, obciętymi na pazia. Wiedziała, że to w pełni normalne. Wszystkie dziewczyny z prostymi włosami chcą mieć kręcone, a wszystkie dziewczyny z lokami chcą mieć proste włosy, i żadnej, ale to żadnej nie podobają się własne nogi, chociaż

Esme lubiła swoje stopy, chociaż za nic nikomu by się do tego nie przyznała. Miała smukłe palce średniej długości, ładne paznokcie i zgrabne kostki. Sprzedawcy butów nie mogli się nachwalić jej nóg.

Jednak tego ranka Esme, ukradkiem nakładając przed wyjściem błyszczący na usta, pomyślała ze zdumieniem, że podoba się sobie od stóp do głów. Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak się czuła.

Nie zawsze była zadowolona z tego, że jest młoda, ruda i piegowata, ale musiała przyznać, że z wiekiem coraz mniej się tym przejmuje. Prawdę mówiąc, od czasu do czasu nawet się cieszyła, że nie ma włosów mysiego koloru i brzoskwiniowej cery, ponieważ takich dziewczyn spotykało się na pęczki. Kiedy była małą dziewczynką, cierpiała z powodu swej odmienności, ale w miarę jak dorastała, stwierdzała, że coraz bardziej jej się to podoba, a nawet to wykorzystywała. Pomyślała, że może w końcu zacznie się wyróżniać swoją urodą, jedyną w swoim rodzaju.

Wyszła z domu na palacę, poranne słońce i skierowała się w stronę *boulangerie*. Żołądek jej się ścisnął i uznała, że to efekt wczorajszego obżarstwa. Jakiś głosik jednak szeptał, że to może być coś poważniejszego. Coś apetycznego, ale nie do jedzenia. Coś ponętne, lecz ciężkostrawnego. Coś rozkosznego i przepyszne.

Im ów szept stawał się głośniejszy, a piekarnia była bliżej, tym Esme bardziej zwalniała kroku. Pomyślała sobie, że to śmieszne wiązać jakieś nadzieje z niewinnym spacerem po pieczywo. I dziecinne. Ostatecznie przecież tylko idzie do miejscowej *boulangerie*, prawda? Na litość boską, po prostu jest głodna. Ale na co ma ochotę?

- Opanuj się - upomniała samą siebie na głos, czym przestraszyła drepczącą w jej stronę drobną staruszkę z dużą, papierową torbą, z której unosił się silny zapach świeżego pieczywa. - Och - bąknęła, uśmiechając się przepraszająco, kiedy zobaczyła minę kobiety. - *Je suis...*

Ale słówko „przepraszam”, które miała na końcu języka, uznało, że jest mu tam bardzo dobrze, więc Esme zakończyła swoją wypowiedź słowem „*Bonjour*”, a stateczna matrona przyspieszyła kroku i niemal galopem minęła dziewczynę, nie patrząc na nią.

- *Je suis désolée!* - krzyknęła za nią Esme, nagle przypomniawszy sobie potrzebny zwrot grzecznościowy, i z zapalem go powtórzyła do zgarbionych pleców kobiety. -*Je suis désolée!* - Staruszka zniknęła za rogiem i Esme znalazła się sama przed drzwiami do *boulangerie*.

Głupotą byłoby nie wejść, powiedziała sobie. Przecież musi przygotować śniadanie. No właśnie. Po prostu. Ostatecznie to prawdziwe życie, a nie bajka. Idzie do piekarni po pieczywo. I tyle.

Pchnęła drzwi i niemal znów zemdląła, kiedy owionął ją ten zapach. Był taki... nie mogła się zdecydować... może zapraszający? Poczujący? Satysfakcjonujący? Nie. Ponętny? Może. Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze nosem. Rozpoznała drożdże i ciepło, i być może szczyptę cynamonu, i słodycz, której nie potrafiła zdefiniować, i nieodłączną ostrość soli. Prawdę mówiąc, mogłaby przysiąc, że odurzający aromat zawierał charakterystyczne cechy morskiego wybrzeża.

Za ladą akurat nikogo nie było. Na drewnianych półkach leżały rzędy dużych, brązowych, okrągłych bochenków, jeden obok drugiego, zwróconych do niej niczym uśmiechnięte twarze. Nie zobaczyła innego pieczywa, żadnych bagietek, tylko te pulchne, okrągłe chleby, kosz *crois-santów* i dzwonek. Esme poczuła, że drży, kiedy ujęła go w dłoń i ostrożnie zadzwoniła. Cichy dźwięk wydał jej się ogłuszająco głośny.

Stała ponad minutę, ale nic się nie wydarzyło, więc podniosła dzwonek i znowu nim potrząsnęła, tym razem energiczniej.

Usłyszała, jak gdzieś w głębi piekarni trzasnęły drzwi, a potem rozległ się odgłos szybko zbliżających się kroków.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, poczuła, że pieką ją policzki, i próbowała je zmusić, by odzyskały swój zwykły kolor. Odgłos kroków stawał się coraz wyraźniejszy i Esme musiała zwalczyć nagłą chęć odwrócenia się na pięcie i opuszczenia biegiem piekarni, by zostawić za sobą tylko słabą woń Must Cartiera, których flakonik „spadł z nieba” ojcu Charliego. Używała tych perfum wyłącznie na szczególne okazje. Ich zapach płynął w powietrzu do brązowych *boules* chleba, sugerując, że tutaj była, ale nie udowadniając tego.

Ktoś pospiesznie wyszedł przez drzwi z siatką (znowu to uderzenie drewna o drewno!) i Esme zaniemówiła ze zdumienia. Czy to możliwe?

Te same ciemne włosy, podobne czarne oczy, uśmiech, który przypominał tamten, widziany ostatniej nocy, ale nie był tak olśniewający. Mężczyzna był znacznie starszy, a przy tym miał posturę mniej więcej dwa razy potężniejszą od sylwetki chłopaka, który tak ją wczoraj zafascynował.

- *Bonjour, mademoiselle* - przywitał ją wesoło starszy piekarz. - *Qu'est-ce que vous voudrais?*

- Och - bąknęła Esme, nagle nie umiejąc poskładać fragmentów swojej szkolnej francuszczyzny w coś, co choć trochę przypominałoby zdanie. - Poproszę *croissant* - wy-dukowała ze swoim miękkim, niepewnym akcentem mieszkanki Wysp Brytyjskich. - Chciałam powiedzieć: *s'il-vous plaît*. Cztery. - Uniosła w górę trzy palce. - *Quatre*.

Mężczyzna się roześmiał.

- Angielka? - spytał, wkładając cztery okazale bułeczki do papierowej torby. Esme skinęła głową. - Zatrzymała się pani w Venolat? - Znowu skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała. - Bardzo tu ładnie. *C'est bon*. Podał jej torbę.

- Jeszcze czegoś sobie pani życzy?

Życzyłabym sobie wiedzieć, gdzie jest pańska młodsza, szczuplejsza, atrakcyjniejsza wersja, westchnęła w duchu.

Ale nic nie powiedziała, tylko zaczęła się z uwagą rozglądać wokół, wyraźnie dla zyskania na czasie, bo sklepik był niewielki i można było zobaczyć wszystko, co miał do zaoferowania, w ciągu sekundy.

- Jaka jest specjalność zakładu? - zapytała. - *Qu'est-ce que la spécialité de la maison, de la boulangerie?* - Skrzywiła się, torturując ojczysty język starszego mężczyzny, który patrzył na nią ciepło i życzliwie.

- Nasza specjalność jest niewyszukana - odrzekł - ale dobra. - Wziął z półki jeden z okrągłych, brązowych bochenków i podał go Esme. Spojrzała na niego niepewnie.

- Proszę powąchać - zachęcał piekarz, podtykając jej bochenek pod sam nos. - Proszę powąchać!

Esme zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Poczowała ten sam drożdżowy zapach, który ją owionął, gdy weszła do piekarni. I sól. I jeszcze coś.

- Jabłka? - spytała piekarza, otworzywszy oczy. - *Pommes?*

Korpulentny mężczyzna uśmiechnął się szeroko i przez chwilę widziała jakiś diabelski błysk w jego oku, podobny do tamtego, który zauważyła ostatniej nocy.

- Tak, tak! - Skinął głową, ucieszony, że zgadła. - Mało osób się tego domyśla. Robimy ten chleb, *pain au levain*, na zakwasie z jabłek. Bardzo starym. Nieźle, jak na *Anglaise!* Dobrze. Dobrze. - Uszczęśliwiony, zawinął chleb w arkusz papieru i podał go Esme. - Dla pani - oznajmił. - Za nic. Chciałem powiedzieć za darmo.

- Ależ nie mogę tego przyjąć - zaprotestowała Esme. - Musi mi pan pozwolić zapłacić.

- Zapłaci pani za croissanty - oświadczył piekarz. - Dwanaście franków, dziękuję, *mademoiselle*, ale *pain au levain* to prezent ode mnie. Odwdzięczy mi się pani, przychodząc tu jeszcze, dobrze?

Esme zaczęła grzebać w portmonetce, szukając drobnych. Rozpaczliwie pragnęła zapytać o tamtego. Co z chło-

pakiem? Ale to pytanie nie przeszło jej przez usta. Nieśmiało wzięła chleb i bułki i uśmiechnąwszy się do starszego, grubego piekarza, wyszła z *boulangerie*.

Każdego ranka szła do piekarni. Każdego ranka wmawiała sobie, że nie ma to nic wspólnego z chłopakiem. Każdego ranka pytanie: gdzie on jest? - groziło, że wystrzeli z niej jak zygzak błyskawicy, ale zamiast tego tkwiło w niej, krążąc niczym ciemna, gradowa chmura, wściekła i groźna.

Po tygodniu obraz chłopaka, którego obserwowowała z za fontanny, zaczął blaknąć i stał się niewyraźnym wspomnieniem. Zgubiły się szczegóły. Zastanawiała się, czy rzeczywiście widziała jego kości biodrowe? Albo koniuszek różowego języka, kiedy lizał bibułkę papierosową? A może pamięta to wszystko z filmu, oglądanego w Londynie? Może, myślała ponuro, księżyc spletał jej okrutnego figla i złośliwie ukazał puciołowatego piekarza w średnim wieku jako mężczyznę jej marzeń, mężczyznę, który - była tego taka pewna - czekał właśnie na nią.

Cholerny księżyc. Komu to potrzebne, myślała ponuro pewnej nocy, leżąc w łóżku i czekając, aż sen uwolni ją od katuszy.

Dwa dni później coś się jednak wydarzyło. Kiedy Esmę się obudziła, jej pierwsza myśl nie dotyczyła mężczyzny z jej snów, tylko *pain au levain*. Obudziła się, czując jego smak, czując sprężysty miąższ w ustach i chrupiącą skórę pod zębami. Wciągnęła powietrze przez nos, żeby sprawdzić, czy zapach chleba dochodzi z piekarni aż do jej pokoju, i kiedy poczuła, jak załaskotały ją ślinianki, stwierdziła, że tak.

Wyskoczyła z łóżka, włożyła pośpiesznie parę starych, męskich spodni do gry w krykieta i białą podkoszulkę bez rękawów, po czym zbiegła po schodach. Charlie spał w swojej norze na parterze, ale wiedziała, że będzie jej bardzo wdzięczny, kiedy po przebudzeniu zobaczy, że czeka już na

niego świeże pieczywo. Po pierwszym ranku zrezygnowali z croissantów i zamiast nich kupowali wyłącznie chleb na zakwasie. Jedli go ze świeżymi powidłami śliwkowymi, które im dał Gerard z *auberge*. Na obiad mieli kawał sera brie ze sklepu na rogu, gdzie handlowano wszystkim, od wędek po powieści Dickensa. Rozsmarowywali go na *pain*, popijali butelką bordeaux i planowali, co zwiedzą po południu albo gdzie się będą włączyli.

Walczyli o skórkę. Skórka sprawiała, że Esmę łaskotały kubki smakowe. Skórka była chrupka i twarda, i miała mocny, niemal serowy smak. To skórka stanowiła wizytówkę chleba na zakwasie. Mięsz, sprężysty i lśniący, miał niemal słodki smak, natomiast w skórcie zdecydowanie wyczuwało się ostre, cierpkie nuty octu z jabłek i drożdży.

Myśl ta dodała Esmę skrzydeł, gdy dziewczyna niemal pofrunęła do *boulangerie* i ślinka już jej napłynęła do ust. Wyłoniła się zza rogu i wpadła przez drzwi do wnętrza, a jej wzrok od razu pobiegł w stronę zadowolonych, uśmiechniętych bochenków, leżących na starym, drewnianym regale.

Otworzyła usta, żeby poprosić o chleb, ale *boulangier* odezwał się pierwszy.

- Aha - powiedział głosem tak jedwabistym, że słuchając go, miała wrażenie, że spowija ją miękki atłas. - Dziewczyna z długimi, rudymi włosami.

Esmę stała z otwartymi ustami, ale nie wydobył się z nich ani jeden dźwięk.

To nie był stary, gruby piekarz, z którym ucinęła sobie pogawędki o pogodzie przez ostatni tydzień. To jego młodszy, szczuplejszy cień, bohater jej marzeń w blasku księżyca. Stał przed nią i zachowywał się, jak gdyby nigdy nic.

Z bliska, w świetle dziennym, okazał się jeszcze bardziej urodziwy, niż go sobie wyobrażała, a śmiało puszczała wodze fantazji. Nawet przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie był wysoki, chyba właściwie tego samego wzrostu, co ona, może mierzył parę centymetrów więcej. Uznała, że

nie miał takich okrągłych bioder, jak ona, i chociaż tym razem nosił bawełnianą koszulkę, nie wątpiła, że jest muskularny i silny.

Oczy miał ciemne i błyszczące jak kałuże czegoś tłustego na podjeździe, na czym można się poślizgnąć w modnych butach. Skóra, brązowa jak orzech włoski, wydawała się równie gładka na ramionach i szyi, jak na twarzy, która wyglądała, jakby prawie wcale nie wymagała golenia.

- Jestem Louis - przedstawił się. - Louis Lapoine.

Esme zamknęła usta i przełknęła ślinę, ale nie wiedziała, co należałoby teraz zrobić, więc tylko stała, oddychając głośno, a serce waliło jej w piersiach.

Louis się uśmiechnął, jakby był przyzwyczajony do takiej reakcji. Sięgnął po bochenek, udarł kawałek papieru i zawinął w niego chleb.

- Wujek mi powiedział, że tego lata jest pani jedyną Angielką, która nie pyta o bagietki - odezwał się, kładąc pakunek na ladzie.

Esme spojrzała na chleb, a potem znów na młodego mężczyznę. W gardle tłoczyły jej się słowa, które wcześniej zamierzała powiedzieć w takiej chwili, ale nie mogła ich z siebie wydusić.

- Ma pani szczęście, że trafiła pani do nas, jeśli lubi pani *pain au levain* - dodał cicho Louis. - Już prawie nikt go nie piecze.

Esme oblizwała spierzchnięte wargi i bardzo się starała normalnie oddychać. Nie umyła dziś twarzy ani nie zrobiła nic z włosami, które sterczały jak naelektryzowane.

- Przepis pozostaje w naszej rodzinie od dwustu lat -ciągnął Louis, jakby prowadzili normalną rozmowę. - Przez cały ten czas nie uległ zmianie. To rzadkość, prawda?

Esme, zbulwersowana własnym beznadziejnym zachowaniem, zaczęła kiwać głową jak kukła, myśląc jednocześnie, że nie spryskała się dezodorantem, nie pomalowała ust błyszczkiem, i w ogóle zachowuje się jak skończona idiot-

ka, chociaż wreszcie nadeszła chwila, na którą tak czekała. Znowu oblizła nieumalowane usta, przełknęła ślinę i zmusiła się do powiedzenia czegoś.

- Jest piękny - udało jej się w końcu szepnąć, patrząc na chleb na ladzie i myśląc, że słowa, które wypowiedziała, są zupełnie niewłaściwe.

Louis nic nie powiedział. Patrzył tylko na nią, unosząc lekko kąciki ust jakby z rozbawienia albo niepokoju. Esme nie mogła dłużej znieść swojego zachowania, więc pochyliła się sztywno i złapała chleb, a pieniądze, które już miała przygotowane, z brzękiem wypadły jej z ręki. W końcu rozkazała sztywnym nogom, by ją obróciły i wyprowadziły ze sklepu.

- Jeśli przyjdzie pani dziś o północy - rzucił od niechcienia Louis, czym ją tak zaskoczył, że znieruchomiała w drzwiach - wszystko pani pokażę.

Odwróciła się i znów na niego spojrzała, w pełni świadoma, że musi wyjątkowo się starać, by nie okazać, jak bardzo tego pragnie. Pytając uniósł brwi. Wolno skinęła głową. Wtedy on się uśmiechnął i zniknął za drzwiami z siatką (trzask!).

Wydawało jej się, że stała w drzwiach piekarni i gapiała się całą wieczność. Oczy utkwiała tam, gdzie jeszcze przed chwilą widziała młodego mężczyznę, i czekała na jakiś znak, że to, co wydawało jej się, że się wydarzyło, stało się naprawdę. I chociaż nie doczekała się tego, słowa Louisa nadal rozbrzmiewały jej w głowie, świadcząc, że to prawda, że poprosił ją, by spotkała się z nim o północy, to jej wszystko pokaże.

Jakie to rozkoszne.

- Chce ci wszystko pokazać? - jęknął Charlie, kiedy Esme wskoczyła na łóżko, obudziła go i powtórzyła słowo w słowo rozmowę w *boulangerie*, pomijając tylko moment, gdy stała z głupią miną, zapomniawszy języka w gębie. - Powiedziałaś: „Jest piękny”, a on zaproponował: „Jeśli przyjdzie pani dziś o północy, wszystko pani pokażę”? Cie-

kaw jestem, co znaczy to „wszystko”. - Charlie usiadł i potarł zaspane oczy.

Esme skinęła głową i wzruszyła ramionami, zagryzając usta i aż dygocząc w środku z podniecenia.

- Wprost nie mogę uwierzyć - wykrztusiła z drzeniem. - To jak sen, Charlie. Szkoda, że go nie widziałeś. Jest takim niesamowitym... - Poszukała odpowiedniego słowa. - Samcem.

Charlie spojrział na nią z szacunkiem.

- Mówisz jak prawdziwa dziwka - oświadczył z aprobatą. - Proszę o szczegóły.

- No cóż, jeśli temu twojemu głupiemu przyjacielowi, noszącemu halsztuk i bojącemu się klamek, dać trzy punkty, to Louis ma ich dziesięć.

- Dajesz Gordonowi trzy punkty? Rozumiem.

- Każdemu mężczyźnie, który chodzi po tym świecie, nie krzywi się na mój widok i ma wszystko, co powinien mieć mężczyzna, daję trzy punkty - powiedziała Esme. - Chociaż prawdopodobnie Louisa nie powinnam oceniać według tej samej skali, co kogoś takiego, jak Gordon. Stanowi klasę sam w sobie. Och, jest wprost cudowny, Charlie. Nie potrafię ci tego opisać! Jeszcze nigdy się tak nie czułam. To coś wprost fantastycznego. Ach! - Zabrakło jej słów i padła na łóżko, roześmiana od ucha do ucha.

Charlie spojrział na nią zaintrygowany.

- Tylko nie daj się ponieść emocjom, staruszko - ostrzegł ją. - Ostatecznie to tylko twoje hormony obudziły się z uśpienia, trwającego całe dotychczasowe życie. Na miłość boską, dopiero co poznałaś tego faceta. Jeśli można to w ogóle tak nazwać.

Esme prychnęła.

- I kto to mówi! Ty nie zawracasz sobie głowy, by poznać połowę facetów, których bzykasz.

Charlie się nie roześmiał.

- Właśnie dlatego, że tylko ich bzykam. Nie wysiaduję

całymi dniami, marząc o nich i wyobrażając sobie, jak idę środkiem nawy w prześlicznej białej sukni i pelerynce z futra i w mufce, podczas gdy moja matka gra „Oto idzie oblubienica” na starych, rozstrojonych organach.

Esme aż zatkąło. Wewnętrzny dreszczyk emocji ustąpił miejsca niewielkiemu, ale gniewnemu drzeniu.

- Nie zarazisz mnie swoim cynizmem - oświadczyła, nie potrafiąc ukryć, jak ją zranił. - I na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam ci, że nie mam matki, więc jeśli chodzi o grę na starych, rozstrojonych organach, mogę liczyć tylko na ciebie.

Wstała z łóżka i zaczęła się zbierać do wyjścia. Poczowała jednak wyraźną ulgę, kiedy kątem oka zobaczyła, że Charlie zrobił skruszoną minę.

- Przepraszam - powiedział i złapał ją za rękę. - Nie zamierzam bardziej demoralizować świata, niż to już zrobiłem do tej pory. Nie chcę tylko, żeby ktoś cię skrzywdził, Es, albo rozczarował. Sama musisz przyznać, że masz dość duże oczekiwania. Ale dla potrzeb tej dyskusji załóżmy, że Louis chce ci tylko pokazać, jak się piecze chleb.

- Nie potrafię sobie wyobrazić niczego, co bardziej pragnęłabym zobaczyć - oświadczyła Esme i wcale nie kłamała. No, prawie wcale.

- Dobra - zgodził się Charlie. - Dobra. Wierzę ci. Rozumiem cię. Zrobię i powiem wszystko, co chcesz, żebym zrobił i powiedział.

Spojrzeli na siebie i dawna serdeczność powróciła. Esme zabrała z łóżka bochenek chleba.

- Naprawdę wyobrażasz sobie, jak idziesz w białej pelerynce z futra i w mufce? - spytała przyjaciela.

- Tylko wczesną wiosną - odpowiedział Charlie bez zmruczenia oka.

Dziesięć minut przed północą pewnością Esme, że Louis jest fantastyczny pod każdym względem, ustąpiła miejsca głębokiemu przekonaniu, że wszystko sobie wymyśliła

i chyba powinna, w interesie piekarzy na całym świecie, udać się na bezglutenową wyprawę na Syberię.

Charlie wyszedł na poszukiwanie kolejnych chimerycznych Holendrów, zostawiając Esme samą z jej walącym sercem, kłębiącymi się myślami i połową butelki chablis, którą opróżniła między ósmą a wpół do dziesiątej, oczywiście tylko w celach leczniczych, jak zapewniała samą siebie.

Dwie minuty przed północą wybiegła z domu, czując się jak Kopciuszek, i wcale nie była pewna, czy przypadkiem nie zastanie w *boulangerie* starszego, grubego piekarza, pogwizdującego z zadowolenia.

Kiedy wyszła z za rogu, zobaczyła, jak w fontannie odbija się słabe światło z wnętrza piekarni. Zaszło jej w gardle, kolana się pod nią ugięły, ale zmusiła się, by iść dalej, przyrzekając sobie, że teraz nie zachowa się tak beznadziejnie jak rano.

Gdy znalazła się pod markizą w białe i żółte pasy, jakaś postać wyłoniła się z cienia. Esme widziała wyraźnie tylko żarzący się koniuszek papierosa. Zatrzymała się, a ten ktoś wyszedł na światło księżyca. To był Louis.

Esme aż osłupiała, słysząc swój śmiech. Radosny, beztroski i szczęśliwy, odbił się rykoszetem od domów wokół placu i zgrabnie spoczął u stóp Louisa.

- Miałem nadzieję, że pani przyjdzie - przemówił tym swoim aksamitnym, lekko uwodzicielskim głosem.

- Miałam nadzieję, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam - odpowiedziała Esme, czując ulgę, że nie straciła języka w gębie.

Zaczerwieniła się, ale miała nadzieję, że Louis tego nie widzi, pochyliła głowę i spojrzała na jego stopy. Miał na nogach białe, płócienne espadryle, widziała kostki jego nóg. Nagle zrobiło jej się żal, że nigdy nie całowała tej części ciała jego ani żadnego mężczyzny.

Louis rzucił niedopałek papierosa na ziemię i zgniótł go butem, hipnotyzując ją miękkim ruchem biodra.

- Próbowałem zgadnąć, jak pani na imię - powiedział. -Nie przedstawiła się pani.

- Esme - powiedziała Esme. Zrobił zdumioną minę.

- Esme? - powtórzył. - To francuskie imię? Esme nie potrafiła przekonująco go okłamać.

- Nie, szkockie - wyjaśniła. - Tak wołano na teriera szkockiego, który należał do sąsiadki mojej matki. - Nie musiał tego wiedzieć, ale nie mogła się powstrzymać, by nie mówić dalej. - Potracił go samochód - szczebiotała. -Teriera. Sąsiada. To bardzo smutne.

Louis spojrział na nią z zaciekawieniem i się roześmiał.

- Cóż, równie dobre imię, jak każde inne. Proszę za mną - powiedział.

- Pokażę pani, jak jest w środku.

Wyciągnął rękę, a Esme z niemal nieprzyzwoitą skwapliwością podała mu dłoń. Kiedy poczuła ciepło jego palców, mogłaby przysiąc, że doznała wstrząsu, a gdy zacisnął je na jej nadgarstku, bała się, że zupełnie straci głowę. Jego dotyk, jego pierwszy dotyk, ta mikroskopijna cząstka niego sprawiła, że Esme błagała, modliła się o więcej. W samym sklepie było ciemno, słabe światło prześwitywało przez drzwi z siatką. Louis je pchnął i znaleźli się w wąskim korytarzu z kinkietami na ścianach, w którym przyjemnie pachniało chlebem - dawnym i terażniejszym.

Na końcu korytarza minęli zamknięte drzwi. Tuż za nimi znajdowały się kręcone schody, bardzo stare, po których tak długo już chodzono, że pośrodku utworzyły się gładkie wgłębienia.

Schody trzymały się kurczowo dwóch ścian, w połowie zakrecały i zaprowadziły Esme i Louisa prosto do serca piekarni.

Przez chwilę Esme tylko stała i chłonęła wszystko: zapach, smak, obietnicę tego, co nadejdzie. Oblizwała błyszczące wargi, do ust napłynęła jej ślinka.

Strop w piwnicznym pomieszczeniu był zaokrąglony, jakby stanowił fragment olbrzymiego sklepienia kolebko-

wego, cegły miały kolor od złotobrazowego na dole, przez czekoladowobrazowy w środku do czarnego jak smoła na samej górze. Zapach był kuszący, tak intensywny, że niemal mogła go dotknąć, powietrze ciężkie i gorące. Cieszyła się, że włożyła tylko cienką, białą koszulkę na ramiączkach, spódnicę i espadryle. Trzy godziny, które poświęciła na wybór stroju, ostatecznie nie okazały się stratą czasu.

Główne pomieszczenie piekarni było mniejsze, niż to sobie wyobrażała Esme. Pod jedną ścianą stała maszyna miksująca ze stali nierdzewnej, obok niej znajdował się długi, drewniany stół, teraz pusty, jeśli nie liczyć warstewki mąki i staroświeckiej wagi z kompletem odważników.

Naprzeciwko były drewniane półki, a w głębi pomieszczenia, za małym łukiem Esme dostrzegła piec opalany drewnem, ale nie taki, jakie się widuje w londyńskich pizzeriach.

- Od blisko sześciuset lat zawsze ktoś tu piekł chleb - powiedział Louis, patrząc tam, gdzie kierowała wzrok Esme, chłonąca to wszystko. - Najpierw mnisi, mieszkający w Venolat. Wiedziała pani, że kiedyś był tu klasztor? A od stu osiemdziesięciu dziewięciu lat piekarnia należy do rodziny Lapoine'ów.

Esme narysowała na oproszonym mąką stole esy-floresy, a potem spojrzała na swoje białe od mąki palce. Chciała dowiedzieć się więcej o piekarni, o chlebie. A przede wszystkim chciała się dowiedzieć czegoś więcej o nim.

- Dobrze pan mówi po angielsku - odezwała się.

. - Moja najlepsza przyjaciółka jest Angielką - wyjaśnił Louis. - Jej rodzice przenieśli się tutaj, kiedy obydwoje mieliśmy po trzynaście lat, to znaczy siedem lat temu. Ja ją uczę francuskiego, a ona mnie angielskiego. Dobrze sobie nawzajem pomagają, prawda?

Spojrzał na koszulkę Esme w taki sposób, że dziewczyna była pewna, że porobią się jej pęcherze na skórze.

- Dobrze, że ubrała się pani na białe - pochwalił ją. - Dzięki temu nie wróci pani do domu brudna.

Och, ale ja chcę wrócić do domu brudna, powiedziała Esme w myślach. Bardzo, bardzo brudna. Tak brudna, żebym już nigdy nie mogła się domyć.

Louis podchwycił jej spojrzenie, a potem popatrzył na zakurzony, stary zegar i cmoknął.

- Pora zaczynać - oznajmił. - Jeśli usiądzie pani na schodach, będę panią widział i wyjaśniał, co robię. Dobrze?

Zdjął bawelnianą koszulkę i Esme zobaczyła jego żebra, obciążone gładką, opaloną skórą, i jedwabiste, czarne włoski pod pachami. Od tego widoku dostała gęsiej skórki na całym ciele.

Odwrócił się tyłem, a ona policzyła mięśnie i ścięgna na jego plecach. Poruszały się, kiedy podnosił ręce, by otworzyć zsymp, biegnący od sufitu. Do stalowej miski popłynął strumień mąki. Louis zamknął zsymp, odkręcił kran, zamontowany w ścianie, i napełnił ocynkowane wiadro wodą, którą następnie też wlał do miski.

Włączył maszynę i pomieszczenie wypełniło się łagodnym, rytmicznym sapaniem.

- Tutaj - powiedział Louis, wcale nie musząc podnosić głosu, by przekrzyczeć hałas - trzymamy nasz zakwas, czyli *levain*. Wie pani, co to jest?

Esme pokręciła głową; lśniące, czyste, dwukrotnie potraktowane odżywką loki nadal drgały, chociaż już przestała się poruszać. Louis odwrócił się i uśmiechnął, kiedy to zobaczył.

- Do chleba na zakwasie, czyli *pain au levain*, jak go nazywamy, nie dodaje się drożdży, tak jak do bagietek czy innego pieczywa. Robimy własne drożdże, nasz własny środek spulchniający, *levain*, wykorzystując bakterie zawarte w powietrzu, w tym powietrzu. Po raz pierwszy zrobiono go sto osiemdziesiąt dziewięć lat temu z soku z trzech jabłek z jedyne drzewa, należącego do mojego prapraprapradziadka.

Louis się roześmiał; dla Esme był to tak słodki dźwięk, mimo akompaniującego mu warkotu maszyny, że wydał jej się śpiewem.

- Praprapraprapra? - powtórzył. - Dobrze mówię? Chyba tak. - Obserwowała jego poruszające się pod skórą łopatki, kiedy zanurzył ręce w mieszaninie. - Tak czy owak -ciągnął - właśnie wtedy powstał *levain* albo *chef*, jak go nazywają niektórzy, na przykład mój wujek, i codziennie wykorzystujemy go do robienia chleba, trochę zostawiając na następny dzień. Naturalne drożdże w *chef* stają się coraz silniejsze i po tylu latach, jak pani widzi, otrzymujemy z nich bardzo smaczny chleb.

Esme sobie wyobraziła, jak przesuwając palcami wzdłuż jego pleców.

- A jak w ogóle do tego doszło, że kiedyś użyto soku jabłkowego do wypieku chleba? - spytała.

- Sok jabłkowy fermentuje, sfermentował dzięki naturalnym drożdżom, zawartym w powietrzu w Venolat - wyjaśnił Louis, wyłączając maszynę. Wyciągnął mieszadło i zaczął wyrabiać ciasto rękami. - Po paru tygodniach pradziadek dodał mąkę i wodę, codziennie dodawał trochę mąki i wody, aż *chef* rozpoczął swoje własne życie. W końcu zrobił się na tyle silny, że kiedy mój pradziadek dodał do niego jeszcze więcej wody i mąki, wytwarzał gaz, który sprawiał, że chleb wyrastał.

Esme siedziała jak zahipnotyzowana i patrzyła na płatki jego uszu, mając ochotę je schrupać.

- A skąd wiedział, że zakwas jest wystarczająco silny?

- Po prostu wiedział - odpowiedział Louis. - Poza tym zapewne nie miał ładnego koloru i nie pachniał najładniej, tylko ostro, jak ocet.

Miał prześliczne łokcie.

- A nigdy nie zrobił się tak śmierdzący, że trzeba go było wylać i zacząć wszystko od początku?

Louis odwrócił się w jej stronę. Na czole połyskiwała mu cieniutka warstewka potu, czarny lok przykleił się do skroni.

- Nie, nie, nie - powiedział. - Nie szkodzi, jak śmierdzi. Nigdy nie wyrzucilibyśmy zakwasu. To dzięki niemu chleb

Lapoine'ów smakuje jak chleb Lapoine'ów. To nasz specjalny składnik. *Serçe pain au levain*. Dzięki temu jesteśmy tym, kim jesteśmy.

Esme stłumiła pożądanie i się zawstydziała. Oto on próbuje podzielić się z nią swoją pasją, a ją jedynie stać na zadawanie idiotycznych pytań. Jej twarz musiała wyrażać konsternację, bo spojrzenie Louisa złagodniało.

- Chciałem powiedzieć, że akurat to mamy. Gdybyśmy mieli coś innego, nie robilibyśmy naszego chleba, tylko coś innego. *Tu comprends?*

Uśmiechnął się do niej i Esme dostrzegła małą żyłkę, pulsującą na jego skroni. Nagle ogarnęło ją pragnienie, by go pocałować.

- Teraz zostawię to ciasto na dwie godziny - poinformował ją Louis, odwrócił się w stronę stołu i wyciągnął spod niego olbrzymią, drewnianą skrzynię na kółkach - i będę szykował ciasto w *pâtissier*.

Pochylił się nad starą skrzynią, a wzrok Esme przesunął się wzdłuż jego pleców, zapamiętując każdą wypukłość. Poczowała, jak kropla potu ścieka jej po plecach, i uniosła włosy, leżące jej na karku. Wietrzyk, dmuchający lekko od strony schodów, przyniósł chwilę wytchnienia od gorąca.

Louis wziął w dłoń kawałek ciasta i rzucił go na wagę. Nawet nie czekał, aż szalki znieruchomieją, bo i tak wiedział, że ciasta jest tyle, ile trzeba. Powtarzał tę czynność, za każdym razem biorąc dokładnie tyle ciasta, ile należało, i w pewnej chwili Esme roześmiała się na głos.

- Skąd pan wie? - zapytała.

Louis, nie przerywając pracy, wzruszył ramionami - z tyłu wyglądało to bardzo kusząco.

- Czy nie mówicie: praktyka czyni mistrza? - spytał. - Pracuję tu, odkąd skończyłem siedem lat. *Boulangier* zna się na takich rzeczach.

Kiedy blat był pełen kopczyków ciasta odpowiedniej wielkości, Louis wyciągnął spod stołu stos wiklinowych

koszyków z płóciakiem w środku. Z każdego kocyka ciasta po kolei formował bochenek, który wkładał do koszyka. Potem z drugiego końca pomieszczenia wytoczył niski stolik na kółkach i położył na nim koszyki jeden na drugim, po cztery w jednej warstwie. Następnie zaczął wypełniać ciastem kolejne koszyki i powtarzał to, aż zużył całe ciasto, a stos koszyków tak urósł, że był wyższy od niego.

Rytm jego pracy działał na Esme hipnotyzujące. Każdy ruch, każda chwila były zaplanowane. Przemykał się między koszykami i unosił się nad nimi niczym smuga dymu, całkowicie skupiony na tym, co robił. Esme patrzyła na niego jak urzeczona. Była jej bliska każda kropla potu na jego ramionach.

Prawie godzinę nie odzywali się do siebie, w końcu Louis ostrożnie owinął stos koszyków wielkim kawałem płótna i odwrócił się do Esme.

- Przeciąg to wróg *pain au levain* - powiedział. - Ale ja muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

. Stał na stopniu obok Esme i znów wyciągnął rękę. Ogarnęła ją panika, że to oznacza, iż Louis chce się z nią rozstać. Może naprawdę chciał jej tylko pokazać, jak się piecze chleb. A nawet nie spróbował zrobić tego, na co czekała. Poszła za nim po schodach, starając się nie okazywać swojego ociągania. Czy naprawdę odeśle ją do domu, by dalej miała śnić o dotyku jego dłoni?

- Co tutaj jest? - spytała, grając na zwłokę, kiedy znaleźli się na górze obok zamkniętych drzwi.

Louis spojrział na nią tymi swoimi ciemnymi oczami i otworzył drzwi, po czym przekreślił kontakt i całe pomieszczenie zalało blade światło. Była tu mąka. Duże, białe worki z pylistym, białym proszkiem stały pod wszystkimi czterema ścianami. W pomieszczeniu panował niesamowity zapach, jakby niczego, ale zdecydowanie czegoś. Esme zadrżała, chociaż w magazynie było przyjemnie ciepło. Na dole, w gorącej piekarni, spocila się, i teraz ziębiła ją każda

kropelka potu na skórze. Słyszała, widziała, smakowała rzeczy, jakich nie знаła, ale mogłaby przysiąc, że czuje zapach pszenicy, z której zrobiono mąkę.

Odwróciła się, żeby zapytać Louisa, skąd jest ta mąka, ale stał tak blisko niej, że jedyne, o czym mogła myśleć, to jak smakują jego usta. Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich siebie, wyraźnie drżącą z oczekiwania, a kiedy położył jej dłoń na ramieniu, ledwo się powstrzymała, żeby nie krzyknąć.

Bardzo delikatnie pieścił palcami jeden punkt na jej ramieniu, aż odniosła wrażenie, jakby wypalił dziurę w tym miejscu. Esme pomyślała, że za chwilę mu się wyrwie, ale zamiast tego zaczęła nieznacznie się do niego przysuwać, aż dzieliła ich minimalna odległość. Wodził palcami w górę i w dół po jej lekko zgiętej ręce, bo położyła dłoń na udzie, i zataczał wolniutko kółeczka na łokciu.

Stopniowo przesuwając palce w górę jej ramienia. Cały czas patrzyli na siebie, ich piersi jednocześnie unosiły się i opadały.

Pragnie mnie, pomyślała Esme, i ogarnęła ją taka fala ciepła, że prawie się cofnęła. Jeszcze nigdy nie pragnęła kogoś, kto też jej pragnął. To była chwila, którą należało się rozkoszować i przedłużać w nieskończoność.

Była to też chwila zgłębiania tego, co nowe. I oszołomiona swoją wiarą w to, co czuje, to ona zbliżyła twarz do jego twarzy i odszukała wargami jego usta.

Miały smak chleba. Były jednocześnie słodkie i gorzkie, a przy tym cudownie, szelmowsko, rozpustnie ciepłe. Napawała się nimi. Nie mogła się od nich oderwać.

Czuła się jak musująca tabletką witaminy, kiedy ją się wrzuci do wody. Wydzielala pęcherzyki. Rozpuszczała się. Tak rozpaczliwie go pragnęła.

Louis jęknął i przyciągnął ją bliżej do siebie. Językiem przesuwając po jej równych, białych zębach, wsunął rękę pod koszulkę i przyciskał dłoń do lepkich, spoconych pleców

Esme. Przytuliła się do niego mocniej. Przywarła do niego biodrami. Chciała się znaleźć w nim. I już nigdy nie wyjść. Ogarnęło ją gwałtowne pożądanie.

Drugą rękę wsunął pod jej wilgotne włosy na karku i przygarnął ją do siebie. Przesunęła palcami po jego mokrych plecach, przyciągając go zapamiętale, chociaż już stali tak blisko siebie, jak to tylko możliwe. Zachwiali się lekko, ale nie przestali się całować.

Louis napierał na nią udami, zmuszając ją, by wolno się cofała, i Esme mu na to pozwoliła. Pozwoliłaby mu na wszystko, żeby tylko nie odszedł. Kiedy łydkami uderzyła o coś twardego, na chwilę oderwała usta od jego ust. Jak jej ich brakowało! Położył ją na stercie worków z mąką i sam wdrapał się na nie. Esme znów wyciągnęła ręce, przywierając do niego całym ciałem. Jak mogła przez te wszystkie lata żyć bez pocałunków Louisa, kiedy teraz nie mogła bez nich wytrzymać nawet jednej chwili? Odgarnęła mu z twarzy mokre włosy, odsunęła kosmyk, który przez całą noc miał na czole, i przesunęła językiem po pulsującej żyłce na skroni. Znów jęknął i położył się na niej, wtulając głowę w jej szyję.

Poczuła na sobie ciężar jego ciała, drogi był jej każdy jego kilogram, każdy gram.

Louis uniósł głowę, a Esme pocałowała go w ucho, w szyję i potem znów odnalazła jego usta. Jej pocałunek był pełen pożądania, które wciąż potężniało. Och, być całowaną przez tego mężczyznę! Esme chciała, żeby to się nigdy nie skończyło. Chciała więcej. Poczuła, jak Louis przesuwa palcami po jej brzuchu, a potem wsuwa dłoń pod koszulkę. Jego ręka przebiegła po żebrach Esme i odnalazła sutek. Wolno rysował na nim kółka tak czule, że napięte struny harfy w Esme niemal pękły. Jak drugi sutek domagał się tych pieszczot! Louis zsunął się na podłogę i spojrzał na Esme błyszczącymi oczami, ale zacisnęła powieki, by delectować się każdym jego dotknięciem. Poczuła, jak uniósł jej spód-

nicę na biodra i dotknął językiem jej brzucha, zrobił kółko wokół pępka, a potem przesunął się wyżej, na piersi, aż w końcu jego usta znalazły ów samotny sutek, błagający o zainteresowanie.

Na chwilę odpłynęła stąd. Po prostu przeniosła się gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie była. Nie potrafiła opisać tego słowami. Tam było jak w niebie. Kiedy wróciła na ziemię, Louis wsunął rękę pod jej spódnicę, a potem pod majtki. Lekko uniosła biodra, prawie wstrzymując oddech, żeby mógł je zsunąć. Było to coś zupełnie naturalnego. Wiedziała, co robić, i kiedy. Nie bała się, nie miała wątpliwości, choreografia była idealnie opracowana, a ona dobrze знаła swoje kroki.

Palce Louisa też. Była jak ciasto w jego rękach, w rękach piekarza. Rosła pod wpływem jego dotyku. A kiedy ją całował i gładził, wyzwoliła się ze swojego ciała, opuściła piekarnię, wioskę, świat, i zaczęła się unosić wśród gwiazd, czując coś, czego nie czuła jeszcze nigdy.

Pragnie mnie, coś w niej śpiewało, kiedy ich biodra się zetknęły. Jęknęła tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Rozdział siódmy

Kiedy o szóstej rano zadzwonił budzik na czwartym piętrze Domu w Chmurach nazajutrz po tym, jak Esme urządziła sobie imprezę z piciem szampana i paleniem trawki, serce biło jej o wiele za szybko. Ale przynajmniej tym razem mogła zrzucić winę na Charliego i jego hojność w dostarczaniu środków, przy których przyjemnie mija czas.

Jej lęk był jakby umiejscowiony wyżej niż normalnie, ale starała się o tym nie myśleć. Chleb, powtarzała sobie, chleb.

Wyślizgnęła się z łóżka, lekko się krzywiąc na łupanie w głowie, i ku swemu zdumieniu zobaczyła, że wciąż ma na nogach pantofle - i nic poza tym. Spojrzała z poczuciem winy na Poga i ściągnęła buty, obiecując sobie w duchu, że już nigdy nie weźmie do ust kropli alkoholu, niczego nie zapali ani nie będzie namawiała Charliego, by przyjechał do nich na weekend, w ogóle już nigdy się do niego nie odezwie. Zapomniała o tym, że jest niebezpieczny. A teraz nie była gotowa na takie wyzwania.

Grzebiąc w komodzie w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do włożenia, kiedy się ma kaca, wyjęła kremowy, bawełniany golf, który już dawno się zdefasonował, ale za to zrobił się niezwykle miękki, więc - wiedziała o tym - przyjemnie będzie poczuć go na skórze, która wydawała się delikatna, wrażliwa i nadmiernie ściągnięta.

Kiedy ostrożnie usiadła na łóżku i wsunęła stopy w kapcie, usłyszała za sobą głośne parsknięcie, świadczące o tym, że Pog się obudził. Przekręcił się, pociągając nosem, otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć, chociaż jeszcze był zaspany. Na twarzy miał odcisnięte ślady od poduszki, z jednej strony głowy sterczały mu sztywne, niesforne włosy. Tak bardzo przypominał małego chłopca, tak bardzo był podobny do Rory'ego, wyglądał jak Rory, identycznie jak Rory, że Esme przez chwilę czuła w całym ciele coś gorącego i dławiącego i zastanawiała się, czy to zniesie.

- Dobrze się czujesz? - spytał ją Pog zachrypniętym głosem dorosłego mężczyzny. - Wszystko w porządku?

- Ciiii... - szepnęła i poczuła ukłucie bólu, że darzy go tak beznadziejną miłością. - Jeszcze wcześniej. Pora na pieczenie chleba. Ty możesz sobie jeszcze pospać.

Natychmiast zamknęły mu się powieki, a uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy. Esme posłała mu całusa i skierowała się do drzwi.

Wydawało jej się, że usłyszała, jak mówi do niej: „Kocham cię, Esme”, ale kiedy się odwróciła, leżał nieruchomo, pogrążony we śnie.

W kuchni poruszała się cicho, jedynie przy świetle swych ulubionych świec, które rzucały bajkowe cienie na wszystkie ukochane przedmioty: sokowirówkę, durszlak, wazon z różowymi i białymi peoniami, stary dzbanek pełen drewnianych łyżek i mątevek.

Ranek był bezchmurny, ale wietrzny, przez okienko, wychodzące na wschód, widziała ramiona wiatraka w sąsiedztwie, poruszające się bezszelestnie i z gracją w porannym powietrzu.

Wyciągnęła ze spiżarni słój z zakwasem i przypomniała sobie, co się wydarzyło ostatniego wieczoru. Aż się wzdrygnęła. Co powiedziała. Jakie to miało znaczenie. Zmusiła się, by o tym nie myśleć, pogwizdując bezgłośnie, kiedy wyciągała puszkę z mąką, bardzo się starając, żeby pszeniczna

woń nie dotarła do jej świadomości i nie zaczęła wciskać się tam, gdzie były ukryte wspomnienia.

Trzymając zakwas jak najdalej od nosa, umieściła wszystkie składniki w wielkiej, brązowej misie, a potem przystąpiła do wyrabiania ciasta miarowo, rytmicznie, aż zaczęło przypominać bochenek. Położyła go na szafce, dodała do zakwasu mąki i świeżej wody, wytarła rozsypaną mąkę i odstawiła puszkę i słój na miejsce w spiżarni.

Dodała sól, a potem podciągnęła rękawy, by wziąć się do powtórnego wyrabiania ciasta.

Kiedy robiąc to, poczuła dotyk własnej skóry, obudziły się wspomnienia, ale szybko je odsunęła. Przecież to śmieszne! Od piętnastu lat piekła chleb na zakwasie i nie miało to nic wspólnego z Louistem. Nigdy. No, może trochę, na samym początku, ale nie teraz. W jej zakwasie nie zostało już nic z tamtego z Venolat, a jeśli nawet, to tak mało, że nie miało to znaczenia. Może krztyna, ale w ogólnym rozrachunku to się nie liczyło. Nie wstawiała przez te wszystkie lata o brzasku, by czepiać się żalonych resztek, pozostałych po jej pierwszej miłości. To było wieki temu i od tamtej pory tyle się wydarzyło. Tyle rzeczy, które nie miały nic wspólnego z Louistem. Po rozstaniu z nim zaliczyła karierę zawodową, ślub, macierzyństwo i przeżyła tragedię, przy której ta spowodowana przez niego przypominała ugryzienie komara.

Więc dlaczego teraz zajmował tyle miejsca w jej myślach?

Wcisnęła dłoń w ciasto i zaczęła je wyrabiać, czując, jak staje się pod jej palcami coraz gładziej i bardziej jedwabiste. Skrzywiła się na wspomnienie tego, jak się nad sobą użalała. Co, u diabła, ją opętało ostatniej nocy?

Ciasto pod twardą i silną ręką Esme przypominało obnażone ciało człowieka. Na przykład miękkie wałeczki na jej własnym brzuchu. Przez chwilę wyobraziła sobie opalony palec na swojej białej skórze. Ślady zębów bez skiero-

wanego do wewnątrz siekacza, co stanowiło znak rozpoznawczy jej męża. Zwodniczy blask dawnego szczęścia znów stanął jej przed oczami.

Weź się w garść, powiedziała sobie, natłuszczając miskę, i ostrożnie włożyła do niej ciasto, by wyrosło. Weź się w garść.

Poczuła ciekłą warstewkę potu na czole i kiedy podniosła rękę, by go zetrzeć, zobaczyła Charliego, opierającego się o balustradę schodów. Nie miał na sobie nic poza szortami. W rękę ścisnął, jeśli się nie myliła, gazetę. Wyglądał jak okaz zdrowia.

- Pracuj. Mogę tu stać i przyglądać ci się przez cały dzień - odezwał się, przeciągając samogłoski.

- Dzień dobry - powitała go Esme, mając nadzieję, że nie wiedział, o czym myślała. - Co tam masz?

- Poszedłem pobiegać, żeby wytrzeźwieć - wyjaśnił Charlie, idąc przez kuchnię. - „Przywłaszczyłem sobie” gazetę przed herbaciarnią.

- Zabieraj ją ode mnie! - wrzasnęła Esme, wymachując ścierką. - Wyrzuć ją do kosza! Nie chcę na nią patrzeć!

- Uspokój się, staruszek - powiedział Charlie i z gracją opadł na krzesło, po czym rozłożył gazetę na stole. - To „Sunday Times”, nie „Sport”.

Stojąc w drugim końcu kuchni, Esme zobaczyła spoglądającą na nią ze zdjęcia Jemimę. Na jej twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Esme znów rozboleła głowa. Ogarnęły ją mdłości.

- Pamiętasz Jemimę Jones? - spytała Charliego. - Tę intrygantkę, przez którą straciłam pracę w „TV Now!”?

- Tę ładną blondyneczkę z nogami do samej ziemi? Tak, pamiętam ją. - Charlie skinął głową.

Esme trzepnęła ścierką w kierunku zdjęcia olśniewającej kobiety na pierwszej stronie.

- Nadal jest ładna, nadal jest blondyneczką, nadal ma nogi do samej ziemi, a teraz została jeszcze matką wspania-

łych dzieci, chodzi na każdą przeklętą imprezę w kraju i pisze o tym.
- W „Sunday Times”? Naprawdę? - Charlie był wyraźnie pod wrażeniem. - Wydaje mi się, że to dokładnie to, co kiedyś robiłaś ty.

Ponieważ była to prawda, nic dziwnego, że Esme się wściekła. Opadła na krzesło i wzięła stronę z „Modą”.

- Gdyby to był ktoś inny, nie przeszkadzałoby mi to, naprawdę - zapewniła go, rozkładając gazetę. - Ale niektórzy ludzie dostają od życia wszystko, a to niesprawiedliwe. Nie powinno się cudownie wyglądać i jeszcze do tego mieć szczęścia. To budzi niechęć.

Jemima uśmiechała się do niej, miała na sobie złote bikini, kości jej bioder były ostre jak brzytwa, za nią skrzył się niebieski basen w jakiejś nowej, modnej miejscowości na Malediwach.

- *Słońce i twarz bez zmarszczek nie idą z sobą w parze* - przeczytała Esme - *ale kiedy się dostaje zaproszenie na przelot pierwszą klasą do najnowszego, luksusowego hotelu Tossa Krokera na przyjęcie z udziałem czterech setek urodziwych ludzi i na kolację, na której serwują homara, przyrządzonego na pięćdziesiąt sposobów przez Gordona Ramseya, Alaina Ducas-se'a wraz z całym tabunem pomocników, człowiek zwiększa dawkę filtru Ambre Solaire i wrzuca japonki do torby Birkin!*

- Och, na litość boską! - nie wytrzymała Esme, ale Charlie był pogrążony w lekturze stron, poświęconych finansom.

- *Przyznaję się bez bicia* - czytała dalej - *że miałam dość mgliste pojęcie o tym, gdzie leżą Malediwy, póki się tam nie znalazłam. Zobaczyłam tam Jodie Kidd, Josepha Fiennesa, jednego czy dwóch Hiltonów, Bryana Ferry'ego i Helenę Christensen, popijających nad basenem perriera, a raczej powinnam powiedzieć laurent-perriera z malutkich buteleczek. Ostatecznie nieważne, gdzie się jest, ważne, z kim tam się jest.*

Toss dokonał cudu, tworząc ten skromny, mały pałac o trzystu pięćdziesięciu pokojach, z dziewięcioma restauracjami, trzema barami, dwoma nocnymi klubami i taką masą projektów Philippe'a Starcka, że reszta świata może się czuć pozbawiona jajowatych wanien. A przy tym miał tyle zdrowego rozsądku, by podkupić Christiena, cudotwórcę z centrum odnowy biologicznej w Claridge'u, więc nawet paznokieć u najmniejszego palca u nogi został obcięty i wypolerowany.

I zaledwie za sto funtów można oddać mocz do analizy w siłowni Matta Robertsa, by się dowiedzieć, czy powinno się biegać na ruchomej bieżni czy też ćwiczyć jogę na macie. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób to ustalają - skupiłam się wyłącznie na przyjmowaniu płynów.

- Kto mówi „przyjmować”? - spytała Esme. - Nikt, ot co.

- *A propos płynów* - kontynuowała Jemima - *chciałabym zaznaczyć, że martini to martini i nie można go niczym zastąpić. Jeśli użyć sake, nie jest to saketini, tylko płyn do płukania ust. A jeśli ma się na imię Bruce, nie jest to brucetini, tylko coś, co można znaleźć w „laboratorium” Matta Robertsa na Malediwach. Jeśli ktoś ma dość wyobraźni, żeby wymyślić nowego drinka, to na litość boską, niech też wysili się na nadanie mu jakiejś nowej nazwy.*

- Co złego jest w nazwaniu martini, przyrządzonego z sake, „saketini”? - koniecznie chciała wiedzieć Esme, więc zaczęła szarpać gazetę Charliego, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Cóż, jeśli jest przyrządzone z sake, to nie jest martini - powiedział Charlie. - To zupełnie inny drink, a do tego prawdopodobnie niezbyt smaczny.

- Och, zamknij się - mruknęła gniewnie Esme. - Jeśli zamierzasz się zgadzać ze wszystkim, co pisze Jemima, możesz zająć się swoimi akcjami i obligacjami.

- No dobrze, przeczytaj mi kawałek, a obiecuję, że nie zgodzę się z nią.

- *Tajemniczo niestarzejący się Lothario Jeffrey Timms* -przeczytała na głos Esme - *wydał w tym tygodniu wysokoenergetyczne przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin w willi przyjaciela w Little Venice. „To naprawdę zdumiewające, powiedziała do mnie w holu pomarszczona blondynka. Razem chodzilis'my do szkoły, a ja już skończyłam czterdzieści sześć lat”.* - Charlie parsknął śmiechem, a Esme spiorunowała go wzrokiem. - *Pan Timms witał gości w drzwiach, robiąc gwiazdy i stójki na rękach, co było tym bardziej podniecające, że miał na sobie kilt, pod który nie włożył bielizny. Ale i tak był bohaterem wieczoru, póki pracownicy firmy cateringowej nie podpalili wołu. Pojawili się miejscowi strażacy w pełnym rynsztunku, a bił od nich prawdziwie młodzieńczy urok. Na ich tle przyrodzenie pana Timmsa wydało się, ogłędnie mówiąc, trochę zasuszone i zwiędnięte.*

Charlie nie mógł ukryć rozbawienia.

- To wcale nie jest śmieszne! - powiedziała Esme.

- Ależ jest! - parsknął. - Stary, pomarszczony Jeffrey Timms z zasuszonym i zwiędniętym fiutem, robiący w holu gwiazdę? Normalnie uznałabyś to za przekomiczne.

- Nieprawda.

- Prawda!

- Nieprawda.

Akurat wtedy pojawił się Rory i wybawił ich od ciągnięcia tej dziecinnej sprzeczki. Stał na szczycie schodów w stroju karateki. Włosy, zauważyła Esme, miał starannie zaczesane do tyłu i o ile się nie myliła, przyglądzone odrobiną żelu do włosów, który ciągle kupowała Pogowi. Ciekawa była, gdzie się podziewał ten specyfik, bo z całą pewnością nie trafiał na głowę jej męża.

- Cześć - powiedział malec z udawaną nonszalancją.

- Wcześniej dzisiaj wstałeś - zauważyła Esme, zaskoczona wpływem, jaki wywierał Charlie nawet na tak małego chłopca. Czy to normalne? Boże! A jeśli Rory jest gejem? Zastanawiała się nad tą ewentualnością, gdy rzuciwszy ga-

zete, z roztargnieniem przygotowywała synkowi śniadanie. Właściwie, kiedy rozważyć wszystkie za i przeciw, chyba wolałaby, żeby był gejem. Ostatecznie mały Cosmo Jones z całą pewnością jest gejem i nikomu to nie przeszkadza. Rory mógłby pracować razem z Pogiem jako dekorator wnętrz i nigdy żadna nastoletnia wnuczka sąsiadów nie za-szłaby z nim w ciężę, nie nosiłby brudnych dżinsów, sprawiających wrażenie, że za chwilę zsuną się z bioder, ani przepoconych bluz, ani baseballówki daszkiem do tyłu.

Odgłosy, jakie dobiegały ze spiżarni, gdzie myszkował jej syn, sprowadziły ją z powrotem na ziemię. Rory pojawił się z dzbankiem w białe i niebieskie paski.

- Bardzo ładny - pochwaliła go Esme, przyglądając się mu. - Nowoczesny, a zarazem autentycznie w stylu retro. Dlaczego wybrałeś właśnie ten, kochanie?

- Bo tylko tego mogłem osiągnąć - odpowiedział szczerze Rory. - Chodź.

- Wiesz co - powiedziała jego matka. - Mam świetny pomysł. Może zabierzesz Charliego, pokaże ci, jak się doi kozę.

Zanim przyjaciel zdążył drwiąco prychnąć, Rory już złapał go za rękę i pociągnął ku schodom. Charlie odwrócił się do Esme z zaniepokojoną miną.

- Ile znowu stopni? - jęknął. - Co to jest koza? To takie coś z zakręconym rogiem pośrodku głowy?

- To jednorożec, ty głuptasie - odezwał się Rory. - One nie istnieją naprawdę.

- Pomocy, Esme! - żałośnie jęknął Charlie.

- Jestem pewna, że twój czar działa tak samo na zwierzęta, jak na ludzi - oświadczyła Esme ze słodkim uśmiechem. - Potraktuj to jako wyzwanie, Charlie. A teraz idź już i zrób, co trzeba, Rory ci pomoże. Aha, koło drzwi są kalosze. Zdecydowanie polecam, żebyście je włożyli. - Nie zdążyła pozbiierać kozich bobków.

Ukroiła pajdę wczorajszego chleba, który smakował chyba jeszcze lepiej niż taki prosto z pieca, posmarowała

go serem pleśniowym i przecierem z pigwy, naląła sobie filiżankę herbaty i przysunęła kuchenny stołek pod jedno z malutkich okienek, żeby mieć dobry widok na to, co za chwilę będzie się działo w ogrodzie.

Ze swojego punktu obserwacyjnego pod chmurami Esme dostrzegła, jak koza spięła się cała, gdy podniosła łeb znad dopiero co posadzonych nasturcji, którymi się zajadała, i zobaczyła zbliżających się do niej ludzi.

Jednak ku zdumieniu Esme, kiedy Charlie i Rory podeszli bliżej, koza zamiast uciec z największą szybkością w najbardziej dogodnym kierunku, najczęściej tam, gdzie akurat był Brown, została na swoim miejscu. Kiedy znajomy mały chłopiec i obcy mężczyzna zbliżali się do niej, przyglądała im się tylko z zainteresowaniem, przechyliwszy łeb na bok wcale nie wojowniczo, ale raczej kontemplacyjnie.

- Chyba cholerny urok Charliego Edmondsa nie działa na kozy - powiedziała Esme sama do siebie i przysunęła głowę do okna, a Brown, pragnąc być jak najdalej od kozy, przycisnął pysk do kolana Esme. - Nie do wiary!

Tymczasem Charlie i Rory podeszli na odległość pięciu metrów do zwierzęcia. Wtedy Rory'ego najwyraźniej opuściła pewność siebie; zatrzymał się i wręczył dzbanek gościowi.

Rory wskazał zad kozy, a spojrzenie Charliego podążyło za palcem chłopca. Esme popijała herbatę, kiedy przyjaciel ostrożnie zrobił jeszcze jeden krok. Koza zerkała na niego niemal kokieteryjnie. Esme widziała jej pysk. Mogłaby przysiąc, że to cholerne zwierzę trzepotało powiekami, kiedy Charlie podszedł i wolno, wolniutko, najwidoczniej zgodnie z instrukcjami Rory'ego, zaczął się pochylać ku koziemu zadowi, trzymając dzbanek w wyciągniętej ręce.

I właśnie wtedy rozkoszne stworzenie odwróciło się szybko jak błyskawica, uniosło obie tylne nogi i kopnęło Charliego tak mocno w jądra, że zachwiał się, wypuszcza-

jąc naczynie z ręki. Potknął się o łopate, leżącą w trawie, i klapnął tyłkiem na ziemię zaraz u stóp Rory'ego, ściskając się oburącz za krocze i najwyraźniej bardzo cierpiąc.

Esme przestała się złośliwie uśmiechać. Zerwała się na równe nogi, stołek z piskiem przesunął się po podłodze, gdy rzuciła się do schodów i pognąła na dół, krzycząc w panice:

- Pog! Pog! Ta cholerna koza ubodła Charliego! Brown truchtał za nią, kiedy pokonywała dwa stopnie

naraz, żeby było szybciej, ale i tak zajęło to dużo czasu. W korytarzu złapała raketę tenisową i wyskoczyła przed dom. Okrążywszy go, zobaczyła, że koza stuka kopytem w ziemię, najwyraźniej szykując się do szarży na swojego wroga i jego małego towarzysza.

- Ty cholerna suko! - wrzasnęła Esme, biegnąc w ich stronę, i ze złością cisnęła w zwierzę raketą tenisową. Charlie siedział, blady i wstrząśnięty, ale przynajmniej przytomny, a Rory kucnął za nim, udając odważnego, ale wyraźnie przestraszony.

Rakieta tenisowa poszybowała w powietrzu i spadła daleko od zwierzęcia - Esme nigdy nie potrafiła rzucać do celu - ale koza i tak ją zobaczyła i wcale jej się to nie spodobało. Przestała się interesować tamtymi dwoma, zmrużyła wredne oczka i wdzięcznie niczym baletnica skierowała się ku bezbronnej Esme. Ta aż zamarła. Odwróciła się i zobaczyła Henry'ego, który właśnie wyszedł z domu, czerwony na twarzy, i szedł w ich stronę, wymachując laską. Chociaż bała się kozich rogów i kopyt, jeszcze bardziej przeraziła ją myśl, że naprowadzi rozjuszone zwierzę prosto na kulejącego teścia i będzie musiała żyć ze wszystkimi tego konsekwencjami. Zmusiła się więc, żeby się odwrócić i pobiec w drugą stronę. Starając się nie słyszeć coraz głośniejszego stukotu kopytek kozy za sobą, pomyślała, że jeśli uda jej się dotrzeć do furtki, prawdopodobnie zdoła przeskoczyć przez płot, chociaż miała na sobie o numer za małe dzinsy, a potem pobiec do wiatraka.

- Na pomoc! - zawołała, gdy rozdrażnione zwierzę się zbliżyło. Koza miała bardzo ostre rogi i Esme ogarnęła histeria, gdy sobie wyobraziła, jak przebijają jej pośladki i wrywają wielkie kawały ciała. - Na pomoc! - Jej pupa nie była może najładniejsza, niemniej Esme była do niej przywiązana.

Płot znajdował się na wprost w odległości jakichś dziesięciu metrów. Esme wyciągała nogi, ciężko sapiąc z wysiłku. Była tak blisko! Ale niewystarczająco blisko. Poczula, jak coś rozrywa materiał jej dzinsów z tyłu tuż poniżej lewego kolana. Wpadła w panikę, potknęła się i wywaliła jak długa, krzycząc rozpaczliwie. Usłyszała przerażający szczęk, a potem mrozący krew w żyłach pisk i głuche uderzenie, które nie miało nic wspólnego z jej upadkiem.

Z trudem łapiąc powietrze i całkowicie zdezorientowana, Esme uświadomiła sobie, że wciąż żyje, a wokół panuje dziwna cisza. Odwróciła się i zobaczyła Charliego, stojącego nad nieruchomą kozą, wyciągniętą jak długa niebezpiecznie blisko jej nóg. Łopata, którą trzymał, wciąż lekko drżała, więc Esme doszła do wniosku, że koza musiała dość mocno oberwać.

Zanim zdążyła pomyśleć, przemówić lub się poruszyć, zza rogu domu wyłonił się kuśtykający Henry, bardzo zasapany i poruszony, a nieufny Rory szedł z tyłu.

Esme obserwowała jego twarzyczkę, kiedy oglądał leżącą bez ruchu kozę. Język zwisał jej z pyska, z nosa leciała krew. W tej samej chwili w oknie na trzecim piętrze ukazała się mokra głowa Poga, który akurat brał prysznic. Zmrużył oczy, jakby niezupełnie rozumiał, co widzi.

- Co się stało? - spytał.

Henry jeszcze nie odzyskał tchu, Charlie wciąż był oszołomiony tym, że mógł popełnić tak bezwzględny czyn, a Esme nadal przeżywała huśtawkę emocji: konsternację, przerażenie i histerię.

Tylko Rory zdołał udzielić odpowiedzi swojemu ojcu.

- Koza nie żyje, tatusiu - zakomunikował znacznie spokojniej, niż można by się spodziewać. - Kopnęła Charliego w jaja, więc ją zabił.

Esme głęboko zaczerpnęła powietrza i spojrzała na Poga, który zmarszczył czoło i zrobił surową minę.

- Nie mówi się „jaja”, Rory - zwrócił mu uwagę. - To niegrzecznie.

Trochę się zdziwiła, że mąż jedynie strofuje syna, i to tak delikatnie, w sytuacji, kiedy przyjaciel rodziny właśnie ukatrupił ich kozę. Nie wydawało jej się to całkiem na miejscu.

- No cóż - zauważyła, wstając ostrożnie, i zaczęła szukać na swoim ciele śladów poważnych obrażeń. - Wiesz, co powiedziałyby babcia Mac.

Spojrzała na Rory'ego. Twarz chłopca przez kilka sekund była bez wyrazu, aż nagle rozjaśniła się tak jak wtedy, kiedy słońce przedrze się przez chmury w smutny, szary dzień, zmieniając cały krajobraz.

- Morrrderrrstwo! - wykrzyknął entuzjastycznie ze szkockim akcentem, po czym spojrzał z dumą najpierw na matkę, następnie na dziadka, a w końcu na Charliego. -Morrrderrrstwo!

Przez ułamek sekundy panowała cisza, a potem Charlie i Esme jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Rory, nie posiadając się z zachwytu, że zrobił na nich takie wrażenie, zaczął skakać wokół martwej kozy, wykrzykując:

- Morrrderrrstwo! Morrrderrrstwo! Pog odszedł od okna.

Henry potrząsnął głową z oburzeniem i nie zwracając na nikogo uwagi, sztywno podszedł do kozy, po czym szturchnął ją laską.

Wtedy to diabelskie stworzenie wystraszyło ich wszystkich śmiertelnie, zrywając się na nogi i udowadniając, że jest jak najbardziej żywe. Esme wrzasnęła, Rory schował się za dziadka, a Charlie zasłonił rękami bolące przyrodzenie, by się ochronić przed nowym atakiem.

Koza jednak zupełnie straciła swoją dotychczasową złośliwość. Stała niepewnie, chwiejąc się na nogach, a potem zamrugła powiekami i wolno ruszyła przed siebie, jak młoda, zdenerwowana pani domu, która próbuje odzyskać panowanie nad sobą po wypiciu zbyt wielu wódek z tonikiem.

Esme i Charlie stali i patrzyli, kiedy zwierzę, minawszy ich, dalej szło prosto w stronę domu, aż uderzyło głucho w ścianę.

- No cóż - odezwał się Charlie. - A więc jednak nie morderstwo, co? Wygląda na to, że nawet nie nieumyślne spowodowanie śmierci.

Henry minął go, ciężko podpierając się na lasce. Musiały go boleć biodra po tak szybkim marszu po schodach, uświadomiła sobie Esme i przez chwilę zrobiło jej się żal teścia.

- Chociaż wszyscy uważacie, że to bardzo zabawne - oświadczył zimno Henry - chyba dobrze byłoby zabrać to biedne stworzenie do weterynarza.

Pog wychylił głowę przez okno dwie kondygnacje niżej niż poprzednio, czyli na półpiętrze między poziomami zajmowanymi przez swego ojca i babcię Mac.

- Powiedziałeś „do weterynarza”? - spytał. - Naprawdę, tato, uważasz, że to konieczne? Dziś niedziela, to będzie kosztowało majątek.

- Koza została bardzo mocno uderzona w głowę łopata - wycedził Henry przez zęby. - I wygląda na to, że straciła wzrok. - Spojrzał na Charliego. - Przynajmniej powinniśmy ją zawieźć do weterynarza, na wypadek gdyby się okazało, że trzeba skrócić jej cierpienia.

Charlie przez chwilę miał zamiar zaproponować, że jeszcze raz posłuży się wspomnianym narzędziem ogrodniczym, ale zrezygnował. Zamiast tego postanowił oczarować Henry'ego.

- Naturalnie, proszę pana - przyznał. - Ma pan absolutną rację. Osobiście zawiozę kozę do weterynarza i pokryję

wszystkie związane z tym koszty. To wyłącznie moja wina. Najmocniej przepraszam. - Poklepał zwierzę po grzbiecie, dość niezdarnie, i dał znak Rory'emu, żeby podszedł i mu pomógł.

Esme się odwróciła, żeby pomóc Henry'emu, ale zbył ją wzruszeniem ramion i pokuśtykał z powrotem do domu.

Spojrzała w górę tam, gdzie ostatnio widziała Poga, i zobaczyła, że wciąż tam stoi i im się przygląda. Uśmiechnęła się do męża.

- Nie martw się, Pog - powiedziała. - Wszystko pod kontrolą.

Parę godzin później, kiedy już Charlie zawiózł kozę do weterynarza swoim czarnym kabrioletem - wywołując w wiosce niemalą sensację - i gdy się okazało, że zwierzę rzeczywiście jest ślepe, ale poza tym jak najbardziej zdrowe, Charlie i Esme siedzieli w kuchni, pijąc herbatę i na nowo przeżywając to, co się wydarzyło.

- Cóż, nie sądzę, żeby Nigella Lawson cię przebiła, Es. Naprawdę powinnaś pisać felietony do gazety.

- Nie wspominaj przy mnie o pisaniu felietonów - ofuknęła go Esme. - Ty wredny zwolenniku Jemimy Jones!

- Nie uważam, żeby Jemima Jones stanowiła problem - oświadczył.

- Boże, mówisz tak samo, jak babcia Mac! Charlie się zmieszał, ale ciągnął dalej.

- A wracając do wczorajszego wieczoru - powiedział ostrożnie - martwię się o ciebie, moja droga.

Esme odstawiła filiżankę na porządnie wyszorowany dębowy stół, czując się bardzo zażenowana.

- To wszystko przez tego szampana - wyjaśniła pospiesznie. - Wcale tak nie uważam. Nie rozumiem, dlaczego wygadywałam takie brednie. Bóg jeden wie, skąd mi się to wzięło. Tu nie chodzi o Louisa, Charlie. To było całe lata świetlne temu. Prawdopodobnie nie poznałabym go, gdybym się na niego natknęła, a on nawet mnie nie pamięta.

Byłam tylko bohaterką wakacyjnego romansu numer sto siedemnaście.

- Nieprawda - odparł Charlie z taką nietypową dla siebie czułością, że Esmę poczuła się niezręcznie.

- Po prostu czasami - przyznała - kiedy nie mogę sobie ze wszystkim poradzić, zaczynam się zastanawiać i tyle.

- Nad czym się zastanawiasz?

- Zastanawiam się, jak by to było, gdyby wtedy w Venolat sprawy potoczyły się inaczej, gdyby wynikło z tego coś innego. Gdybyśmy zostali razem. To głupota, naprawdę, Charlie, ale gdy jest mi ciężko, przypominam sobie, jak byłam w nim zakochana, i jak mi było cudownie. To takie silne, przemożne i wszechogarniające uczucie, naprawdę wspaniałe. I ciekawa jestem, jak by to było znów poczuć coś takiego. - Rozmarzyła się. - Nic nie może dorównać tamtemu uczuciu, Charlie. Było takie mocne. Nic nie może go zniszczyć. Sprawiało, że wszystko wydawało się po prostu idealne. - Urwała, bo nagle poczuła się obnażona i głupia. - Cóż, wiesz, co mam na myśli. Ostatecznie jesteś znawcą, zakochujesz się co pięć minut.

Charlie zrobił głupią minę.

- Nie nadaję się do rozmowy o miłości, Esmę. Nie poznałbym jej, nawet gdyby się pojawiła i ugryzła mnie w tyłek. Raczej ograniczam się do pożądania. To mniej skomplikowane.

- Charlie, przez te wszystkie lata musiał być ktoś, kto sprawi, że czuleś się chory, przygnębiony i szalony, wszystko naraz.

Charlie się roześmiał.

- Dlaczego ktokolwiek pragnąłby się tak czuć? To musi być okropne. Naturalnie, że pociągali mnie różni mężczyźni i chciałem zdzierać z nich ubranie i te rzeczy, ale to, co opisujesz, to coś strasznego. Dlaczego ktoś chciałby pragnąć czegoś takiego? Nie pamiętam, żebyś przeżywała coś takiego, kiedy poznałaś Poga. Prawda?

- Pog to co innego - odrzekła Esme. - Kocham go całą duszą i całym sercem, naprawdę, poza tym wiem na pewno, że on kocha mnie bardziej niż kogokolwiek na całym świecie, ale - nie spodobało jej się to słówko - ale to nie to, co wtedy z Louisem.

Charlie spojrział na stary zegar kolejowy na ścianie nad głową Esme i odsunął krzesło.

- Rety, muszę się już zbierać - powiedział. - Przepraszam, że nie mogłem ci bardziej pomóc, Es, ale wiesz, że w poważnych sprawach jestem beznadziejny. Bardzo chciałbym jeszcze zostać i ogłuszyć twoją owcę albo amputować żądła twoim pszczołom, ale prawdę mówiąc, jestem już wykończony po oślepieniu kozy, więc powinienem ruszać w drogę. - Okrążył stół, by ją pocałować na pożegnanie, a potem zobaczył Jemimę w złotym bikini, wciąż leżącą bezwstydnie na stole.

- Jasny gwint, to ona? - szepnął. - Muszę przyznać, że ma ładne cycuszki. Wygląda fantastycznie, prawda, Es? Cóż, rozumiem, dlaczego jesteś poirytowana. Wygląda olśniewająco. Boże, spójrz na te buty, musiała za nie zapłacić majątek, z tysiąc dwieście funciaków.

Kiedy do Esme dotarło, że Charlie wcale nie żartuje, tylko naprawdę jest pod wrażeniem, porwała ze stołu gazetę i zgmiotła ją ze złością.

- Dziękuję ci za wsparcie, Charlie - powiedziała. - Ta kobieta drażni mnie swoimi sukcesami, a jedyne, na co cię stać, to patrzeć pożądliwie na jej pantofle i silikonowy biust, z którym i tak nie wiedziałbyś, co robić.

Charlie wyrwał jej gazetę i ją rozprostował.

- Niechętnie ci to mówię, ale naprawdę nie uważam, żeby był silikonowy - oświadczył, przyglądając się wymienionym partiom ciała Jemimy z tak bliska, jak to tylko możliwe, by nie widzieć wyłącznie kolorowych punktów. - Naturalnie nie znam się na tym, ale mimo to...

Esme wyrwała mu gazetę i przedarła ją na pół.

- Nie wiem, dlaczego czujesz się taka dotknięta - ciągną! Charlie. - Jemima Jones równie dobrze może być obrażona na cały świat, że nie mieszka na wsi w wielkim gołębniku. To tylko kwestia wyboru, Essie. Ty wybrałaś po swojemu, a ona po swojemu. I tyle. Tylko ona ma lepsze buty.

Esme klepnęła go, wcale nie żartobliwie, w tył głowy.

- Gdybym potrzebowała rady cholernego dalajlami - powiedziała - zaprosiłabym na weekend jego, a nie ciebie. I nie miałabym dziś takiego strasznego kaca. A teraz wynocha.

Rozdział ósmy

-Właśnie przyłapałam Ridge'a, jak bzyka dziewczynę z sąsiedztwa! - krzyknęła Alice do słuchawki tydzień później. -W swoim pokoju, o dziesiątej rano. W niedzielę! I to kogo? Tę cholerną panią Miller. Och, Es, co ja mam zrobić?

- Uspokój się, uspokój się - próbowała ją ułagodzić Esme. - Która to ta Miller? Ta, co popija dzin od samego rana, czy ta myszka, bibliotekarka?

- Ani jedna, ani druga - odparła Alice. - To seksowna, wyzywająca dziwka, która od niedawna jest mężatką i mieszka piętro wyżej.

- A niech mnie - szepnęła Esme. - Ta, która poślubiła tego napakowanego, muskularnego, potężnego i gwałtownego kickboksera?

- Tak - jęknęła Alice. - Co ja mam zrobić? Jeśli napakowany, muskularny, potężny i gwałtowny kickbokser się o tym dowie, zgniecie Ridge'a jak karalucha.

- A niby skąd ma się o tym dowiedzieć? Przecież ani ona mu nie powie, ani Ridge, jak przypuszczam. I ty też nie, mam nadzieję. Jak myślisz, Alice?

- Myślę, że ciężko być matką nastolatka - poskarżyła się Alice i głos jej się załamał. - Nie czuję się wystarczająco dojrzała. Wszystko robię nie tak, on zresztą też. To okropne. To jakby się prowadziło wojnę albo coś w tym rodzaju, ale bez ONZ. Podobało mi się macierzyństwo, kiedy

był malutki, miał jedynie mnie i mnie kochał. Przepraszam, Esme. Wiem, że nie powinnam ci zawracać głowy, ale musiałam o tym komuś powiedzieć.

- Och, Alice! - wykrzyknęła Esme, bardzo współczując przyjaciółce. - Ridge nadal cię kocha. To przez te hormony. To normalne bzykać wszystko, co się rusza, kiedy się jest w jego wieku. Ty byłaś taka sama.

- Ale ty nie! - krzyknęła Alice. - Oszczędziłaś sobie tego. Wiesz, że cię ubóstwia. Jestem pewna, że żałuje, że to nie ty jesteś jego matką. Patrzy na waszą kochającą się rodzinę z domkiem na wsi, na twojego czulego męża, na waszego labradora, i zastanawia się, dlaczego on nie może mieć tego wszystkiego.

Esme była zaszokowana.

- Dom wymaga sprzątnięcia przez cały boży dzień - powiedziała. - Pies wykorzystuje swój pęcherz moczowy w charakterze oreża, a ja wcale sobie tego nie oszczędziłam, tylko byłam opóźniona w rozwoju. Wiesz, że po prostu nigdy nie podobał mi się żaden chłopak, któremu ja się podobałam, aż, no wiesz, poznałam Louisa. I to wcale nie było dobre. Nigdy tak naprawdę o nim nie zapomniałam. Prawdopodobnie powinnam dać się przelecieć jakiemuś przyszczatemu chłopakowi z sąsiedztwa, kiedy miałam szesnaście lat. Mieć to już za sobą i móc zacząć normalnie żyć.

Alice zaczęła ciszej pociągać nosem.

- Wciąż nie możesz zapomnieć o Louisie?

- Czasami - przyznała Esme, żałując, że o tym wspomniała. Co Louis robi w jej myślach, w jej rozmowach? Przez cały tydzień z nim walczyła. Ale podobnie jak te niewidzialne drobiny mąki z Velonat wciąż były zachowane w jej słoju z zakwasem, tak okruchy Louisa wciąż tkwiły, wżarte i niemożliwe do usunięcia, w samej Esme. - No, może częściej niż czasami. - Zagryzła dolną wargę, starając się przerwać te zwierzenia. - Ale nie za często - ciągnęła lek-

kim tonem. - Myślę o nim w tej chwili tylko dlatego, że był u mnie Charlie i w pewnym sensie odgrzebał wszystko.

- Jak to, „odgrzebał wszystko”?

Dlaczego się nie zamknęłam, zapytała Esme samą siebie.

- No wiesz. Rozmawiając o Venolat i chłopaku, którego tam zostawiłam. Odgrzebując tamte okropne, dawne uczucia. Och, to takie głupie, że szkoda o tym mówić, Alice. To żałosne!

- Jakie znowu „okropne, dawne uczucia”? Prawie nic mi nie mówiłaś o Louisie.

Alice i Charlie nigdy tak naprawdę nie przypadli sobie do gustu i przez długie lata rywalizowali, dość dziecinnie według Esme, o jej przyjaźń. Początkowo myślała, że wzajemna animozja tych dwojga może maskować ukryte zainteresowanie, ale się myliła. To była tylko wzajemna niechęć i ostatnio okazało się, że lepiej trzymać ich od siebie z daleka.

- To nic takiego - powiedziała Esme z rozdrażnieniem. -Tylko śmieszne marzenie kobiety w średnim wieku, które pomaga jej oderwać się od codzienności i przy którym szybciej upływa czas między czyszczeniem piekarnika, prasowaniem, szorowaniem sedesów i podobnymi zajęciami.

- Marzenie? - powtórzyła Alice z naciskiem. - Cóż, według mnie to coś więcej niż trochę o kimś myśleć. Według mnie to dużo więcej.

- Czy możemy już o tym nie mówić? - spytała Esme. -Jestem pewna, że znasz znacznie bardziej podniecające opowieści o nieszczęśliwie zakochanych i nieszczęśliwie porzuconych niż ja.

Alice, poszukując mężczyzny, który mógłby stać się autorytetem dla jej syna, a od czasu do czasu ją przelecieć, kilka lat temu zaczęła nałogowo biegać na randki w ciemno. Początkowo, kiedy Ridge poszedł do szkoły i dotarło do niej, że nie musi do końca życia pozostać sama, wyobrażała

sobie, że spotka przystojnego, dobrze sytuowanego mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, którego mogłaby poślubić i być może założyć z nim rodzinę.

Dziesięć lat później wymagała jedynie, by nie rzucali się na nią w ciągu pierwszych dziesięciu minut i płacili przynajmniej za to, co sami wypili.

Próbowała szczęścia w biurach matrymonialnych, klubach towarzyskich, na wieczorkach dla samotnych i trzy-minutowych randkach, odpowiadała na ogłoszenia matrymonialne w „Guardianie”, „Financial Times” i „Time Out”. Nie pamiętała nawet, w ilu była barach, kawiarniach i pizzeriach, znała każdy zakręt i zakole Tamizy, na tyłu była rejsach rzeką, do tego przeszła na ty z bileterem z London Eye. Ale przez te wszystkie lata Alice, a następnie Esme dowiedziały się, że żaden odpowiedni samotny mężczyzna, którego przyjaciółka byłaby gotowa poślubić i z którym chciałyby mieć dzieci, nie korzysta z usług biura matrymonialnego, nie jest członkiem klubu towarzyskiego, nie chodzi na wieczorki dla samotnych ani trzypięciominutowe randki, nie zamieszcza ogłoszeń matrymonialnych w „Guardianie”, „Financial Times” i „Time Out” ani na nie nie odpowiada.

Na ogół spotykała mężczyzn żonatych albo wyjątkowych dziwaków.

Kilka lat temu w ciągu zaledwie jednego tygodnia miała randkę z nałogowym hazardzistą, karłem, dwoma alkoholikami, jednorękim tapeciarem (poważnie) i albinosem, którego zapach wywoływał łzawienie.

Po pięciu latach zrozumiała, że w taki sposób nigdy nie pozna przyszłego męża. Ale po pięciu latach odkryła również, że randka w ciemno jest tańsza niż wypożyczanie filmów i na ogół bardziej zabawna.

Teraz robiła to wyłącznie dla rozrywki.

- Nie mówiłam ci? - rzuciła do słuchawki. - W czwartek myślałam, że trafiłam na jakiegoś normalnego. Przedtem trzy razy z rzędu spotkałam się z takimi, co to mieszkają

z mamusiami. Słowo daję, nawet jeśli już do końca życia nie zobaczę ręcznie dzierganego rozpinanego swetra w kolorze musztardowym, to i tak widziałam ich za dużo. W czwartek poszłam do Rockwell przy Trafalgar Square -och, muszę cię tam zabrać, kiedy będziesz w Londynie. No i wyobraź sobie, wchodzi przystojny facet, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, gęsta czupryna, elegancki garnitur. Naturalnie ani przez chwilę nie pomyślałam, że to on.

- A buty? - spytała Esme.

- Skórzane pantofle z dziurkami - odpowiedziała Alice. Doświadczenie ją nauczyło, że jeśli podczas randki w ciemno poświęcić jedną sekundę na oglądanie butów partnera, na ogół można sobie oszczędzić długiej i ogłupiającej rozmowy na temat tajemnic funkcjonowania metra.

- No i?

- I w końcu staje się jasne, że czeka na kogoś, a ja modłę się w duchu: Boże, spraw, żebym to była ja. Więc wstaję i pytam go, czy ma na imię Andrew. On patrzy i uśmiecha się do mnie wręcz olśniewającym uśmiechem, Esme, a potem mówi: „Wielki Boże. Nie spodziewałem się kogoś takiego!”. Tak czy owak, usiedliśmy razem, postawił mi drinka, wódkę z kolendrą i miętą, i porozmawialiśmy sobie jak normalni ludzie o George'u W. Bushu. Niemal się posikałam ze szczęścia, już myślałam: „Nie wierzę własnym oczom - to ideał!”. W pewnym momencie facet mówi: „Dość tej gadki szmatki, chodźmy na górę do mojego pokoju!”.

Esme aż pisnęła z podniecenia.

- No i co zrobiłaś?

- Cóż, od ostatniego razu minął już ponad rok, on był cudowny, podobał mi się jak cholera, więc spytałam: „Zatrzymałeś się tutaj?”, a on na to: „Wszyscy się tutaj zatrzymaliśmy”.

- Jacy wszyscy? - chciała wiedzieć Esme.

- No właśnie - odrzekła Alice. - Wstaje, bierze mnie pod rękę i prowadzi do windy, a wtedy zobaczyłam prysz-

czatego głupka w jaskrawożółtym skafandrze, trzymającego siodełko od roweru i rozglądającego się po sali, jakby kogoś szukał.

Esme jęknęła ze współczuciem.

- Jeszcze jeden Andrew? - domyśliła się.

- Jeszcze jeden Andrew - potwierdziła Alice. - Okazało się, że Andrew w skórzanych butach z dziurkami to prawnik z Edynburga. Przyjechał na jakąś ważną konferencję i był pierwszy w kolejce do prostytutki, którą razem z kolegami zamówili. Wziął mnie za nią!

- Pomyślałaś, żeby to zrobić? - spytała Esme.

- Czy pomyślałam? Zaproponowałam mu to i wiesz, co odpowiedział?

- A czy chcę wiedzieć?

- Oświadczył: „Mogę to mieć za darmo w domu. A tutaj chcę za to zapłacić. I w tym rzecz”.

Esme musiała się zgodzić, że to okropne. Szczególnie kiedy się okazało, że z właściwym Andrew Alice była już kiedyś na randce w ciemno. Nie poznała go, póki nie zaczął opowiadać o swoim chomiczku, Nigelu, który zdechł, kiedy Andrew miał czternaście lat, co wywołało u niego uraz psychiczny, który wyglądał na trwały. Co gorsza, wcale jej nie poznał.

- To dobre - musiała przyznać Esme. - Ale wyobraź sobie, że poszłabyś na górę i przespała się z tym okropnym prawnikiem, a potem on rzuciłby ci pieniądze.

- Tak - odparła cierpko Alice. - Wyobraź sobie, jakie to straszne. No i dobrze. Wystarczy jeden cudzołożnik w rodzinie. - Westchnęła.

- A co zamierzasz zrobić z nastolatkiem cudzołożnikiem?

Alice odchrząknęła.

- Ma szlaban do końca życia - oznajmiła. - I przez tydzień nie pozwolę mu oglądać Sky TV.

- Och, to naprawdę będzie dla niego nauczka - zgodziła

się z nią Esme. - A jak myślisz, co będzie robił z wolnym czasem, kiedy piętro wyżej mieszka seksowna sąsiadeczka, tylko nasłuchująca twoich kroków na klatce schodowej, by móc w negliżu zapukać do twoich drzwi i pożyczyć trochę soli?

Alice jęknęła.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała żalonym tonem. -Co jest przeciwieństwem szlabanu?

Wszedł Rory. Jego gładkie czoło przecinała zmarszczka, spojrzał na matkę poważnie swoimi brązowymi oczami.

- Przepraszam, Esme - przerwał jej grzecznie.

- Chwileczkę - powiedziała do Alice, odsunęła słuchawkę od ucha i przyciągnęła do siebie synka, by go pocałować. Pachniał psem, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

- O co chodzi, kochanie? - spytała go.

- Chcemy iść na ryby.

Esme wyjrzała przez okno. Poranna mgła, która przez cały ranek utrzymywała się na drzewach, uniosła się, ukazując nieskazitelnie błękitne niebo.

- Na Meare? Świetny pomysł. Będę na ciebie patrzyła przez lornetkę tatusia, dobrze? Możesz wziąć swoją piracką flagę i mi pomachać.

Rory zrobił zawiedzioną minę.

- Nie pójdziesz z nami? - zapytał.

- Za chwilę muszę włożyć chleb do pieca, skarbie. Będzie gorący i chrupiący, tak jak lubi tatuś, akurat na wasz powrót. No, biegnij i baw się dobrze. - Pocałowała go w marchewkowe loki. - Złap dla mnie wieloryba! - wykrzyknęła za synkiem i znów przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Nie pójdzie - oznajmił Rory Henry'emu, który czekał na wnuka przed drzwiami do swojego pokoju.

- Nie pójdzie - powiedział Henry Pogowi, kiedy poszli po niego do szopy.

- Musi włożyć chleb do pieca - wyjaśnił Rory, ujmując ojca za rękę.

Cała trójka w milczeniu skierowała się nad Meare.

Poranna mgła najwyraźniej zniechęciła wiele osób, nad wodą nie było jeszcze nikogo. Kaczki skupiły się pod stołem piknikowym, czekając na okruchy.

Pog zepchnął drewnianą łódkę na płytką wodę i pomógł wsiąść Henry'emu, potem wsadził Rory'ego i jego wędkę, w końcu wskoczył sam i wziął wiosła. Jak większość mieszkańców, płacili pięćdziesiąt funtów rocznie pani Coyle za prawo do korzystania z łodzi zawsze, kiedy chcieli, jeśli turyści nie czekali w kolejce. Mniej więcej raz na dwa tygodnie, o ile pozwalała pogoda, wypływali na jezioro, ale w kilku ostatnich wyprawach Esme nie brała udziału.

Było cicho, jedyne, co słyszeli, to szczekanie psa w oddali i odgłos wiosła, uderzających o wodę. Rory siedział twarzą do ojca, dziadek za nim. U stóp chłopca leżała wędka, jego uwaga skupiona była na Domu w Chmurach, widocznym nad drzewami.

- Tatusiu? - Odwrócił się plecami do ojca. - Czy z Esme dzieje się coś niedobrego?

Pog nie przestał wiosłować, nawet nie zmienił rytmu.

- Nie, Rory - odpowiedział, unikając spojrzenia ojca. - Z Esme nie dzieje się nic niedobrego. Wszystko w porządku.

Wiosła zanurzały się w wodzie i wynurzały, wielkie krople z głośnym pluskiem opadały na gładką taflę jeziora. Henry zakasłał.

- Płakała w pokoju babci Mac - zakomunikował Rory.

- W pokoju babci Mac? - spytał Pog od niechcienia. - Jak to?

- Sam słyszałem - odrzekł chłopiec. - Czasami też się śmieje. Prawda, dziadku?

Pog spojrzał nad głową Rory'ego na ojca i unióśł brwi. Henry wzruszył ramionami. Pog westchnął.

- Mamusia jest smutna, synku - powiedział. - Ale nic jej nie będzie. Trzeba jej pozwolić trochę się posmucić.

- Jak długo? - spytał Rory.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze Pog. - Ale znów piecze chleb, a to dobry znak, prawda?

Henry poczuł, jak ogarnia go panika, wywołana taką otwartą rozmową o uczuciach. Było tego za dużo jak na jego skrytą naturę.

- Zdaje mi się, że właśnie widziałem karpia, Rory - powiedział. - Masz przynętę?

Pog przestał wiosłować, położył sobie wiosła na kolanach i podał synowi plecak.

- Esme nade wszystko lubi piec chleb, prawda, tatusiu? - spytał Rory, wyciągając z plecaka twardą przylepkę. Jego małe paluszki miały trudności z nabiciem kawałka chleba na haczyk.

- Nie nade wszystko, Rory. Po prostu to jest bardzo dla niej ważne. Tato, możesz mu pomóc? Skaleczy się. - Pog znów zanurzył wiosła w wodzie i delikatnie zawrócił łódkę do miejsca, gdzie Henry widział karpia.

- Dlaczego?

- Dlaczego to jest dla niej ważne? No cóż, znasz tę historię, Rory. Kiedy mamusia była jeszcze młodą dziewczyną, pojechała do Francji i piekarz dał jej magiczny składnik na ten wyjątkowy chleb. Od tamtej pory go piecze.

- Dlaczego?

Pog sam zadał Esme to pytanie, kiedy ją poznał, a później jeszcze wiele razy. A ona zawsze jedynie uśmiechała się tym swoim tajemniczym uśmiechem i mówiła: „Bo sprawia, że dobrze się czuję”.

- Bo sprawia, że dobrze się czuje - wyjaśnił teraz synowi.

- Dlaczego?

- Och, Rory, czy musimy się w to bawić?

- No właśnie, myślałem, że mamy łowić ryby - zauważył opryskliwie Henry.

Było coś w tonie jego głosu, co zabolalo Poga. Ze zdumieniem stwierdził, że skrępowanie ojca sprawiło, iż jemu

samemu żołądek podszedł do gardła. Czyżby przemieniał się w człowieka, który pragnie udawać, że nie widzi, co się dzieje na jego oczach? Uważał, że słusznie postępuje, dając Esme czas, by zagoiły się jej rany. Ale jeśli się myli? Jeśli już za długo pozwolił jej się smucić? A może sam zachowuje się jak Henry?

Pog spojrział na Dom w Chmurach i poczuł, jak to wszystko, co chciał powiedzieć żonie, pod pływa na powierzchni, zatrzymując się tuż pod nią jak krokodyl zanurzony w wodzie, niebezpieczny, ale niewidoczny. Nie, on jest inny. Zna swoją żonę. Esme po prostu potrzebuje jeszcze trochę czasu. Był tego pewien.

- Wiesz, co? Kiedy złowimy ryby, pójdziemy do pani Coyle i kupimy trochę czekoladek domowej roboty, dobrze? - zaproponował, obracając łódkę. - I niedzielną gazetę. To powinno poprawić mamie humor.

Ale humor Esme już się poprawił dzięki Charliemu Edmondsowi, który właśnie zadzwonił i zaprosił ją na jutro na obiad do Londynu.

- Pora zmieść pajęczyny z twoich odświętnych szmatek, panienko - obwieścił. - Spotkajmy się w Orrery przy Marylebone High Street. Podają tam takie małże, że na myśl o nich ślinka sama płynie człowiekowi do ust.

Dobry humor nie trwał jednak długo. Czekoladki tylko w połowie złagodziły irytację Esme, gdy Pog wręczył jej gazetę z najświeższymi ploteczkami, zebranymi przez Jemi-mę. Widocznie pierwszy felieton cieszył się ogromnym zainteresowaniem, bo wydawca dał jej do dyspozycji więcej miejsca.

- Och, chyba zwymiotuję - jęczała Esme tamtego popołudnia, siedząc na łóżku babci Mac, odganiając ręką niewidoczny dym i starając się nie słyszeć „The Killing of Georgie”. - To po prostu obrzydliwe, babciu Mac, naprawdę. Jaki tupet ma ta kobieta! Słowo daję, nie mogę uwierzyć, że to wydrukowali. Przecież chyba obowiązują jakieś zasady.

Babcia Mac jeszcze bardziej ją zirytowała swoją obojętnością.

- Nie wiem, o co to całe zamieszanie - powiedziała. - Nie wściekałaś się tak, kiedy Bridget Jones opublikowała swój dziennik.

Esme ze wstrętem odrzuciła gazetę na bok.

- Bridget Jones nie napisała żadnego dziennika - wyjaśniła - tylko Helen Fielding, a to zupełnie co innego. Po pierwsze, nie znam Helen Fielding, a poza tym, nawet gdybym ją znała, nie zmusiła mnie podstępem do zatrudnienia jej, nie przespała się potem z moim szefem, nie nastawiła go przeciwko mnie, nie zamknęła mojego pisma i nie zostawiła mnie bez pracy, na pastwę losu, podczas gdy sama stała się bogata i olśniewająca.

- A mówisz, że ta Jemima ma bujną wyobraźnię. Daj spokój, Esme, czy to, co zrobiła, naprawdę było takie złe?

- Nie wierzę, że bierzesz jej stronę - lamentowała Esme. - Gdybym stosowała takie metody, jak ona, deptała wszystkich wysokimi, ostro zakończonymi szpilkami i paliła wszystkie mosty, może teraz ja byłabym na jej miejscu. To niesprawiedliwe. To ja mogłabym pisać felietony do „Sunday Times”.

Babcia Mac ani trochę się tym nie przejęła.

- Nie wiedziałam, że chciałaś zrobić taką karierę, jak ona - powiedziała oschle. - Myślałam, że byłaś zadowolona ze swojej pracy.

- Ja ciężko harowałam! - spierała się Esme. - Musiałam tyrać dwanaście godzin dziennie, by zarobić połowę tego, co Jemima Jones dostaje za bycie intruzem od siódmej do dziewiątej i robienie swojemu małemu Cosmo balijskiego masażu pleców między zabiegami nawilżającymi na własną twarz i włosy. Po prostu wszystko tak łatwo jej przychodzi, babciu Mac. Zawsze tak było.

- A ty chciałabyś, żeby to tobie przychodziło łatwiej? Esme ledwo sama rozumiała własne rozgoryczenie, a co dopiero mówić o wyjaśnianiu jego powodów.

- Może gdyby wszystko mi przychodziło łatwiej - odparła - gdybym nie musiała pracować długie godziny, tak usilnie się starać, żeby...

- To co? - spytała ją cicho babcia Mac. - Co by to zmieniło? Esme zamknęła oczy i starała się nie myśleć o zamęcie, zamieszaniu i spustoszeniu, jakie się dokonało w jej życiu wtedy w Londynie. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje, a jej myśli były mroczne i niebezpieczne.

Otworzyła oczy i skupiła się na zdjęciu tamtej.

- Spójrz tylko, jaki wielki brylant! - zawołała, zobaczywszy nagle pierścionek na palcu serdecznym Jemimy. - Musi mieć przynajmniej dwa karaty. Jest ogromny.

- No więc jak, zamierzasz mi przeczytać, co napisała ta podła kobieta, czy nie? - zapytała odważnie babcia Mac. - Można umrzeć z nudów, słuchając przez cały dzień twojego głędzenia.

Esme zaszeleściła płachtą gazety dla większego efektu dramatycznego i zaczęła czytać.

- Co za tydzień - nie miałam ani chwili wytchnienia (dzięki za pedikiur, Christien!!). Zaczęło się w poniedziałkowy wieczór od spektaklu niezwyklej urody w otwartym po remoncie Court Theatre. Nie zdążyłam na samą sztukę - Marie Claire po raz pierwszy depilowała sobie woskiem okolice bikini i potrzebowała mojego wsparcia - ale koktajle, które później serwowano, były świetne. Spędziłam masę czasu z cudownym odtwórcą głównej roli, Linem Forbesem, sącząc courtini (!) i dyskutując o wszystkich za i przeciw bycia superutalentowa-nym. Prawdę mówiąc, chyba nadal bylibyśmy tym pochłonięci, gdyby ciężarna, niezamężna supermodelka Minty Kloss nie wywołała sensacji, pojawiając się w mikroskopijnej hawajskiej spódniczce i staniku, zrobionym z łupin orzecha kokosowego, sądząc z wyglądu, niezbyt wyrośniętych. Widocznie pomyliła zaproszenia i luau w Brixton musiało się niestety odbyć bez niej. Tak czy owak, jakby jej pojawienie się nie było wystarczającym spektaklem, jakiś czas później zaproponowa-

ła jeden ze swoich orzechów kokosowych w charakterze popielniczki. Nawet nie poczuje tej małej główki, przeciskającej się przez jej kanał rodny, taka będzie mikroskopijna. Szczęściara z niej. Boże, ona jest odrażająca!

- Nie jest taka słodka i miła jak ty. Teraz widzę, dlaczego tak cię drażni - powiedziała babcia Mac. - A propos, co to jest luau?

- Zdaje się, że to jakaś uczta z hawajskimi potrawami - wyjaśniła Esme.

- W Brixton? Naprawdę? - Babcia Mac nie mogła wyjść z podziwu. - Prowadzi ciekawe życie, prawda, ta twoja Jemima? No dobrze, czytaj dalej.

Chociaż wolałaby nakarmić gazetą swoją od niedawna ślepą kozę, Esme stwierdziła, że zainteresowały ją głupoty, wypisywane przez Jemimę.

- *Melomani rozumieją* - ciągnęła tonem, który uważała za ironizujący - *jakie miałam szczęście, kiedy następnego wieczoru zaproszono mnie na prywatny koncert w londyńskim domu lady Lucindy Grierson-Robbe, która zorganizowała specjalny występ sławnego skrzypka i dyrygenta Rostrova Millopopovicha. Osiemdziesięcioletniemu wybitnemu artyście lekarze dają tylko kilka miesięcy życia, więc występ w domu lady Lucindy można dosłownie uznać za jego labędzi śpiew. Cóż za wydarzenie. Niestety ominął mnie sam koncert, ponieważ musiałam odebrać Cosmo po lekcjach nowego tańca, ceroc, a Rostrov udał się do łóżka, nim dotarłam na miejsce. Widocznie ostatnio ma trudności z oddychaniem. Ale ta wyprawa nie była całkowitą stratą czasu, bo od mojej ostatniej wizyty lady Lucinda zmieniła wystrój wnętrza. Jest bardzo odważna, wracając do chintzu. A przy tym co za paleta deseni! Jej dom wydaje się prawdziwym szwedzkim bufetem wzorów kwiatowych. Naprawdę trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć. Jakie to nietaktowne - przerwała czytanie Esme. - Aż nie mogę uwierzyć w jej impertynencję. Możesz uwierzyć w taki brak taktu? To absolutny brak wyczucia.*

- Bądź tak dobra i czytaj dalej - poprosiła babcia Mac.

- Niestety musiałam zrezygnować z obecności na uroczystej premierze nowego filmu tego fińskiego reżysera, ostatnio wprost zasypywanego nagrodami, by móc spędzić trochę czasu z GQ, naszym starszym synem, który ma wyjątkowe zdolności, szczególnie do matematyki. Myślę, że kiedyś pójdzie w ślady swojego ojca i wybierze bankowość. Ale biednemu chłopcu dokuczają koledzy, że tyle czasu poświęca nauce. Nie powiem wam, do jakiej chodzi szkoły - to by było nie fair - ale wszyscy ci niegrzeczni chłopcy w marynarkach w niebiesko-szare pasy powinni uważać, w przeciwnym razie poczują na swoich plecach chłodnicę volvo. Tylko żartowałam!

Esme była tak zdegustowana, że rzuciła gazetę na łóżko i wyszła z pokoju. Czekwały na nią brudne rzeczy do uprania, uprane do uprasowania, uprasowane do powieszenia w szafach. Piekarnik wymagał wyczyszczenia, podłogi umycia. Musiała też zaopiekować się staruszką, pobawić się z małym chłopcem i porozmawiać z mężem. Nie miała czasu na czytanie felietonów Jemimy Jones.

Rozdział dziewiąty

Następnego ranka w pociągu do stolicy Esme zastanawiała się, dlaczego włożyła stanik La Perla z dawnych, dobrych czasów. Nosiła teraz bieliznę przynajmniej numer większą niż wtedy, kiedy go kupowała, więc fiszby wrzynały jej się w ciało.

Był nieznośny upał, za ciepło się ubrała. W pewnej chwili zrobiło jej się tak gorąco, że pobiegła do toalety i zdjęła top z mieszanki nylonu i lycry, by powietrze, wpadające przez okno, trochę ją ochłodziło, i spryskała twarz zimną wodą.

Kiedy jednak sobie wyobraziła, że w razie katastrofy kolejowej jej niemal nagie ciało zostałoby wyrzucone w pole, gdzie później zidentyfikowałby je pogrążony w żałobie mąż, z powrotem włożyła bluzkę.

Podczas porannego zamieszania nie wspomniała Pogowi, że spędzi w Londynie cały dzień. Zostawiła Rory'ego u pani McArthur, która czasami opiekowała się chłopcem w te dni, kiedy nie zajmowała się nim pani Monk, i udała się prosto na stację.

Ranek był koszmary. Rory bardzo kaprysił, biodro wyraźnie dokuczało Henry'emu, więc nad jego głową unosiła się czarna chmura, a Pog był bez reszty pochłonięty wczesnym telefonem od Erniego Albrechta, mieszkającego przy głównej drodze do Stonyborough, który rozważał dobudowanie pergoli do swojego małego, przysadzistego domu.

W efekcie Esme była tak zdenerwowana, że prawie spaliła chleb, co jej się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Po tych wszystkich latach miała w mózgu minutnik i wciągając powietrze nosem, potrafiła wyczuć tylko po zapachu, kiedy chleb trzeba wyjąć z pieca, nawet jeśli akurat siedziała u Ramola i jego żony.

Umiała również ocenić, czy jeden ze skoków napięcia, które tak często zdarzały się w Domu w Chmurach, wpłynie na proces pieczenia, czy trzeba przykręcić piekarnik o pięć stopni, a może tylko cztery, albo czy jedna z dysz pary jest zatkana, więc skórka w tym miejscu nie będzie wystarczająco twarda i chrupka.

Tego ranka jednak była tak zajęta depilowaniem nóg woskiem, zdejmowaniem Rory'emu jego piżamy Supermana, usuwaniem pajęczyny i kawałków jakiejś pomarańczowej substancji z sierści Browna, który wlaź w coś obrzydliwego, uspokajaniem ślepej kozy, która reagowała paranoicznie na świat zewnętrzny i waliła łbem w drzwi frontowe, domagając się, by ją wpuszczono do środka, słuchaniem Poga, rozmawiającego o jakichś latarniach od powozu, a także włączaniem pralki, sprzątaniem kuchni, zrywaniem cukinii (ponieważ wczoraj przed domem zatrzymał się kolejny autobus i jego pasażerowie pstrykali zdjęcia), że z powodu nawału zajęć nos prawie ją zawiódł.

Była właśnie w ogrodzie, kiedy Henry otworzył okno i powiedział w ten swój zwykły, opanowany sposób: „Chleb, Esme”. To zdumiewające, jak dwa takie dojrzałe i soczyste wyrazy mogą zwiędnąć i umrzeć, kiedy się znajdują w niewłaściwych ustach.

W ostatniej chwili wyciągnęła bochenek z pieca. Był trochę ciemniejszy niż normalnie, ale poza tym nic mu się nie stało. Skórka będzie wyjątkowo twarda i ostra, może trochę gorzka w smaku, ale sam chleb będzie bez zarzutu, wyborny, jak zawsze. Zamierzała zamrozić pieczywo, ponieważ ani ona, ani Rory nie wrócą na obiad do domu, ale kie-

dy złapała kuchenną ścierkę i pochyliła się, żeby wytrzeć brokat z butów (skąd się na nich wziął?), popatrzyła na bochenek i nie mogła mu się oprzeć.

Po tych wszystkich latach każdy chleb, który upiekła, sprawiał, że do ust napływała jej ślinka, a serce zaczynało raźniej bić. To naprawdę było głupie. Ale i tak porwała go z blatu, zawinęła w papier woskowany i schowała do dużej torby, by obdarować Charliego. Prawdopodobnie w drodze do domu po ich wspólnym obiedzie wyrzuci chleb do kosza na śmieci, ale Esme nie musi o tym wiedzieć.

Tak czy owak, przez to wszystko nie wspomniała o swoich planach Pogowi i pocąc się teraz w pociągu, jadącym do Londynu, pomyślała sobie, że powinna mu była chociaż zostawić wiadomość. Kiedy pociąg zatrzymał się na Liverpool Street Station, dyskretnie wytarła wilgotne pachy i obciągnęła przód topu z lekko prześwitującej tkaniny. Wprawdzie nie zrobi wrażenia na Charliem, ale znowu poczuła się seksowna, a trudno jej było ostatnio czuć się seksownie, jeśli uwzględnić, że zazwyczaj była pokryta sierścią zwierząt, po pachy w kompoście albo oblepiona klejem i kolorowym papierem, podczas gdy Rory siedział w kącie i mówił tym swoim spokojnym głosem osoby dorosłej: „Przecież powiedziałaś, że wiesz, jak się robi latawce!”.

Jadąc metrem z Liverpool Street na Marylebone, czuła znajomy, dodający otuchy, ostry i słodki zapach chleba i była zadowolona, że zabrała go z sobą. Kiedyś Londyn był jak wygodny, stary płaszcz, który zawsze można włożyć i pasuje do wszystkiego, ale teraz wydawał jej się skórzany, obcisłym topem bez ramiączek, rozmiar osiem, takim, który się podziwia na kimś innym, a nawet patrzy na niego z zazdrością, ale którego samemu nigdy by się nie włożyło.

Marylebone High Street przeszła ogromną metamorfozę, odkąd Esme ostatni raz tu była. Kiedyś ta trochę zaniedbana okolica przypominała ubogiego krewnego modnych,

sąsiadujących z nią Soho i Mayfair, teraz przeobraziła się w coś w rodzaju migoczącej z daleka gwiazdki.

Gdziekolwiek spojrzeć, pootwierano eleganckie bary i kawiarnie, a także sklepy z modnymi meblami i ciuchami. Na ulicy znajdowało się tak dużo ludzi, że trzeba się było przepychać - kto by pomyślał? Spojrzała na zegarek i zdenerwowała się lekko, że zostało jej jeszcze dwadzieścia minut, zanim spotka się z Charliem w Orrery. Nie skorzystała z okazji, by jakoś przyjemnie spędzić te dwadzieścia minut, bo jej umysł wypełniały myśli o tym, co mogłaby zrobić, co powinna zrobić przez te dwadzieścia minut w domu.

Próbowała zrobić sobie spacer w kierunku restauracji, ale z natury była osobą energiczną. Znano ją z tego, że wszystko robiła z prędkością stu kilometrów na godzinę. Nawet przed zajściem w ciążę, zanim zaczęła się opiekować starszankami i zwierzętami, nie potrafiła leniuchować. W świecie wydawców prasy wszystko trzeba robić w pośpiechu, by zmieścić się w śmiesznych terminach, albo przynajmniej zanadto ich nie przekroczyć, do tego dochodziło jeszcze bujne życie towarzyskie. Chociaż redagowała niezbyt popularne czasopisma, niemniej zaproszenia nadchodziły często i w dużych ilościach, poza tym miała własne grono przyjaciół, z którymi utrzymywała bliskie kontakty, a także przyjaciół Poga.

Naturalnie macierzyństwo sprawiło, że trochę zwolniła tempo, ale niezbyt. Tak czy owak niewystarczająco, pomyślała Esme, zrezygnowała ze spaceru i ostatecznie postanowiła pojawić się wcześniej w restauracji i zamówić sobie jakiś elegancki koktajl, niewątpliwie jakiś „tini”.

W Orrery było ślicznie. Zrozumiała, dlaczego Charliemu się tutaj podoba. Restaurację urządzono z powściągliwą elegancją, przy użyciu niewielu kolorów, panowała tu cisza - dokładne przeciwieństwo samego Charliego. A kiedy czytała menu, ślinka napłynęła jej do ust.

- Pani musi być Esme - zwrócił się do niej kelner, którego wiek Esme oceniła na dwanaście lat. Zaskoczył ją tym, że zna jej imię.

- Cóż, wiem, że to dla mnie wielka rzecz iść na obiad do restauracji, ale nie spodziewałam się, że wszyscy będą o tym wiedzieli. - Uśmiechnęła się.

Kelner odwzajemnił jej uśmiech.

- Pan Edmonds dzwonił, że spóźni się pół godziny. Prosił, żeby przeprosić panią w jego imieniu. Czy zechce pani poczekać w barze? Jest tam mój kolega Michael, zupełnie sam. Nikt lepiej od niego nie przygotowuje French 75.

- Czy to ten z dzinem i szampanem? - spytała Esme. - Kiedyś wypiałam ich sześć i potem nie udało mi się odnaleźć koszulki. - Gwałtownie uświadomiła sobie, co robi: flirtuje z chłopcem, który niemal mógłby być jej wnukiem. Naprawdę za rzadko wychodziła z domu.

- Zaraz obok jest sklep Conran - poinformował ją chłopak, łaskawie puszczając mimo uszu słowa Esme - jeśli nie przepada pani za koktajlami.

W sklepie Conran snuło się pełno smukłych panienek i trudno było powiedzieć, czy tutaj pracują, czy robią zakupy. Esme wciągnęła brzuch, chociaż miała ją w tym wyręczyć bielizna z lycrą, i też starała się snuć najlepiej jak umiała.

Kiedy jednak na drugim piętrze sklepu natknęła się na niezwykle elegancki fotel Barcelona, tak się nim zachwyciła, że zapomniała o wciąganiu brzucha. Pog często pokazywał jej w czasopismach dokładnie taki sam fotel - wielki, kwadratowy, ze skóry i chromu, najwidoczniej zaprojektowany dla króla i królowej Hiszpanii, ale Esme zawsze traktowała ów mebel z pogardą ze względu na cenę: tysiąc funtów. Za fotel? Który się nawet nie rozkłada? Pomyśl tylko, ile butów i torebek można kupić za tyle pieniędzy!

Ale gdy teraz zobaczyła go na własne oczy, musiała przyznać, że wyglądał niezwykle kusząco. Zrezygnowawszy

z białego z obawy, by go nie pobrudzić, Esme rozsiadła się na czarnym, przesunęła się do samego końca i wyciągnęła nogi przed siebie, rozkoszując się wygodą i ceną.

Zamknęła oczy i przez chwilę wyobrażała sobie, że jest jakąś królową, ale niemal natychmiast zaczęło jej burczeć w brzuchu, co jej przypomniało, że wybrała się do Londynu na obiad i jeszcze go nie zjadła, a właśnie tego dokładnie domagał się żołądek. Otworzyła oczy i wstała albo przynajmniej próbowała wstać, bo coś ją trzymało z tyłu i nie pozwalało jej się podnieść.

Zdarzyło jej się to już wcześniej, ale tylko na siedzeniach wagonów pokrytych graffiti, pędzących z prędkością stu kilometrów na godzinę pod ulicami miasta. Przypomniała sobie metro i to, jak wyszła z niego na stacji Marylebone. Z jej pustego żołądka wydobyło się czknięcie paniki. Była pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że przylepiła się do fotela za sprawą czyjejś gumy do żucia.

Wzięła głęboki oddech i szarpnęła się z całej siły. Nie mogła obejrzeć fotela, więc okręciła swoją czarną spódnicę tak, że tył znalazł się z przodu, i rzeczywiście, duży kawałek, a nawet gorzej, połowa wielkiej, różowej jak pośladki pawiana balonowej gumy do żucia przykleiła jej się do spódnicy. Wolno się odwróciła, by rzucić okiem na fotel - reszta gumy rozpląszczyła się na samym środku obicia z czarnej skóry. Nie było jej bardzo dużo, ale najwyraźniej czuła się bardzo zadowolona z siebie.

Dlaczego spotykają ją takie przygody? Była gotowa się założyć, że nic takiego nigdy nie spotkało Jemimy Jones. Guma musiała jej się przykleić w metrze. Czy to dlatego sprzedawca słodczy na stacji przyglądał się jej pupie z takim uśmiechem, który omyłkowo wzięła za objaw zachwyty?

Smukła brunetka z plakietką sklepu Conran wyłoniła się zza rogu obok szybu windy, a Esme tak szybko usiadła na fotelu (uważając na gumę), że strzyknęły jej oba kolana, co zwróciło uwagę bladej istoty.

- Wszystko w porządku? - spytała, mijając ją.

- Tak, tak, w porządku. W absolutnym porządku - zapewniła ją Esme. Usłyszała panikę w swoim głosie i spróbowała ją zamaskować uśmiechem. Ekspedientka z gracją poszła dalej, patrząc w innym kierunku, i zniknęła za drzwiami obok poduszek.

- Kurrrrwa - bąknęła Esme pod nosem, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu kompletu do manikiuru dla Barbie, który dostała od Rory'ego na urodziny. Chłopiec pilnował, żeby wszędzie go ze sobą zabierała. - Kurde, kurde, kurde. - Nie uspokoiła się nawet, kiedy przypadkiem dotknęła chleba owiniętego w papier. W końcu znalazła różowe etui zapinane na suwak, wyciągnęła z niego metalowy pilniczek do paznokci, a potem osunęła się na podłogę na klęczki.

Rzuciwszy kolejne ukradkowe spojrzenie, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma kogoś z personelu, pochyliła się nad fotelem i zaczęła zeskrobywać pilniczką resztki gumy do żucia z miękkiej skóry obicia, starając się podwahać brzegi tak ostrożnie, jak tylko potrafiła.

Dobrze jej szło, gdy jej uwagę zwrócił szum windy. Ktoś wjeżdżał na drugie piętro! Jak najszybciej oderwała część gumy, stwierdzając z ulgą, że nie wyrządziła obiciu zbyt wielkiej szkody. Została malutka plamka, ale nie taka, żeby szczęśliwiec, dysponujący wolnym tysiącem funtów, zauważył ją bez szkła powiększającego.

Jadąca w górę winda szumiała i zgrzytała, aż Esme zaczęły się trząść ręce. Nie chciała się spieszyć przy tej delikatnej operacji z obawy, żeby niczego nie popsuć, ale nie chciała też zostać przyłapaną w jej trakcie. Była bardzo bliska usunięcia lepkiej masy - bardzo bliska, jednak niezupełnie.

Drzwi windy rozsunęły się ze szczękiem i Esme znów szepnęła pod nosem: „Błagam, błagam, błagam”, rozpaczliwie próbując zdjąć resztki gumy z fotela. Ostatni, uparty kawałek jakimś cudem dał się oderwać i Esme, tłumiąc

okrzyk radości, uniosła wzrok akurat wtedy, kiedy niezwykle elegancki, ciemnowłosy, ciemnooki, śniady mężczyzna wyłonił się zza rogu. Zobaczył ją, odwrócił wzrok, potem stanął jak wryty i znów na nią spojrzął.

Przez chwilę świat wydawał się jej dziwnym i nieznanym miejscem. Bardziej jak kosmos, pomyślała potem Esme, gdzie zwykle rzeczy unoszą się powoli jak na zwolnionym filmie.

Przez moment nic się nie działo, tylko gapili się na siebie z niedowierzaniem. Ale nie miała cienia wątpliwości. Od razu wiedziała, że to nie może być nikt inny, tylko on. Louis, dawno utracony Louis, powstał z prochów jej przeszłości i znalazł się teraz tutaj i na nią patrzył.

- Esme - odezwał się w końcu Louis głosem przypominającym rozpuszczoną tabliczkę ciemnej czekolady Hersheya. - Esme, czy to ty?

- Tak - odpowiedziała Esme nie tym tonem, jakim strofowała Browna, uspokajała syna, zniechęcała swoje warzywa do rośnięcia, ale głosem sprzed wielu, wielu lat. - Naturalnie, że to ja.

Znowu gapili się na siebie, niepewni, co teraz zrobić, aż Louis zrobił krok w jej stronę.

- Klęczysz na podłodze - zauważył delikatnie, przypominając Esme, gdzie dokładnie się znajduje.

Podniosła się gwałtownie, a potem popełniła zasadniczy błąd, przesuując ręką po włosach, jak to często robiła, kiedy była zdenerwowana. Tylko że teraz trzymała w dłoni pilniczek do paznokci oblepiony gumą, która gdy tylko zetknęła się z niesfornymi włosami Esme, przyłgnęła do setek mocnych, rudych loków i nie dawała się oderwać. Kiedy Esme sobie to uświadomiła, zapragnęła umrzeć. Stała z dłonią w górze, wiedząc, że ma tylko dwa wyjścia: trwać dalej w tej pozycji albo opuścić rękę, zostawiając pilniczek we włosach. Ani jedno, ani drugie nie wydawało jej się dobre.

- Esme - odezwał się znów Louis, a jego głos jeszcze pogłębił zmieszanie Esme. - Wszystko w porządku?

Spojrzała na niego, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i znów je zamknęła. Czy śni? Czy to możliwe, że kiedy jej umysł był tak pełen wyobrażeń jej francuskiego ukochanego z przeszłości, ten naprawdę się przed nią pojawił?

Właśnie wtedy Louis się uśmiechnął. Był to powolny uśmiech, który zaczął się pośrodku ust i ruszył ku uniesionym kącikom warg, skąd przeniósł się na policzki i sprawił, że Louis zmrużył oczy. Aż ją ścisnęło w środku z wrażenia.

Chociaż snuła najbardziej nieprawdopodobne fantazje, nigdy nie wyobraziła sobie czegoś równie dziwnego.

Naturalnie wyobrażała sobie - a podejrzewała, że to robi wiele dorosłych kobiet, szczególnie w takie dni, gdy są po pachy w zafajdanych pieluszkach - że pewnego dnia znów spotka swą pierwszą miłość.

I oto stał teraz przed nią mężczyzna, którego samo imię kojarzyło jej się z tęsknotą, pożądaniem i prawdziwą, najprawdziwszą miłością. Zajmował w jej myślach miejsce, jakiego nie zajmował nikt nigdy teraz ani dawniej i nikt nigdy nie będzie mógł zająć.

Oczywiście, szczególnie przez parę ostatnich lat, kiedy leżała nocą obok cicho pochrapującego Poga, wyobrażała sobie, jak płynie gondolą, a Louis siedzi naprzeciwko i gładzi jej stopy.

Oczywiście kiedy Rory nie mógł w nocy bez niej usnąć, wyobrażała sobie samotny powrót do Venolat i do dawnego kochanka. W jej wizjach Louis znowu stał, opierając się o drzwi *boulangerie*, lekko przyprószony mąką, z własnoręcznie skreconym papierosem w ustach, z miną, która zdawała się mówić: „Dlaczego tak długo kazałaś na siebie czekać?”.

Oczywiście myślała też o nim, kiedy wyrabiała chleb. Kogo oszukiwała? Za każdym razem gdy jej jasne, silne ręce wygniatały ciasto na zakwasie, który Louis dał jej już tyle lat temu, myślała o nim przelotnie, a najczęściej przy-

pominała sobie jego skórę. Jaka była gładka w dotyku. Jaki miała słony smak. To najbardziej w nim lubiła, a jedwabiste ciasto, uginające się pod palcami, zawsze jej się z tym kojarzyło. Co nie znaczyło wcale, że mniej kochała Poga. Znaczyło to jedynie, że pamiętała swoją miłość do Louisa. Bardzo dobrze pamiętała.

I oto teraz, po tylu latach, po tylu snach i fantazjach, stał przed nią i lekko zabrudzonym fotelem Barcelona, podczas gdy Esme miała we włosach czyjaś gumę do żucia Hubba Bubba.

Ręka opadła jej bezwładnie wzdłuż ciała i Esme lekko pokręciła głową, czując, jak pilniczek do paznokci chwieje się i porusza nad jej prawym uchem. Nie była przygotowana na coś takiego. Nie wiedziała, co zrobić. Nie miała pojęcia, jak się pozbyć gumy z włosów. Nie miała pojęcia, jak się zachować wobec mężczyzny, który skradł jej serce, a przynajmniej pożyczył je sobie na kilka szalonych, cudownych tygodni, a potem je złamał. Skoro zaś nie wiedziała, jak zrobić to wszystko osobno, z całą pewnością nie wiedziała też, jak to zrobić jednocześnie.

Louis chłonał ją wzrokiem. A potem po prostu zrobił jeszcze krok w jej stronę, wyciągnął rękę i ujął dłoń Esme.

- Chodź - powiedział i delikatnie ją pociągnął.

Esme poczuła jego ciepłe palce i wszystkie minione lata zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Każda komórka jej ciała drżała, ciesząc się ze spotkania, z zapomnianego uczucia, jakie budził dotyk dłoni Louisa. Ogarnęła ją nieprzeparta ochota, żeby zachłysnąć się albo krzyknąć, albo zapiszczeć, albo zrobić jeszcze coś innego. Unosiła się w powietrzu, nie wiedziała, dokąd idzie, lecz było jej to obojętne. Pozwoliła mu się ciągnąć, a wszystko, co wiedziała o sobie, rozpuściło się i spłynęło na podłogę, tworząc niewidzialne kałuże. Uświadomiła sobie, że dokądkolwiek Louis zechce ją zabrać, ona tam pójdzie. Cokolwiek zechce, żeby zrobiła, zrobi to. Mniejsza o Poga. Mniejsza o Rory'ego. Mniejsza o śle-

pą kozę, teścia i Dom w Chmurach. To było to. Jej przeznaczenie. Jej ratunek. On był tym jednym jedynym.

- Przepraszam, mademoiselle - powiedział teraz ten jeden jedyny, a jego głos wyrwał Esme z zamyślenia. Bo Louis zaprowadził ją do lady i zwrócił się teraz swoim hipnotyzującym głosem do klona brunetki, którą Esme widziała wcześniej. - Czy mógłbym na chwilę pożyczyć nożyczki? Potrzebne są mojej przyjaciółce.

Spojrzał na Esme i znów się uśmiechnął, a przy tym wystarczająco mocno ścisnął jej dłoń, by serce przestało jej bić. Potem wziął nożyczki od dziewczyny za ladą, delikatnie puścił dłoń Esme i podszedł do niej tak blisko, że Esme czuła na szyi jego oddech. Wywołało to na jej plecach taką gęsią skórę, że czuła każdy włos z osobna.

Trzymając w jednej ręce nożyczki, drugą uniósł jej włosy z karku i Esme doznała wstrząsu, gdy chłodne, klimatyzowane powietrze dmuchnęło w kropelki potu na jej szyi, którą do tej pory zasłaniały gęste, rude loki. Aż się wzdrygnęła.

Louis wolno, ostrożnie przesuwając palcami za jej uchem, torując sobie drogę przez gąszcz włosów, i mocno uciskał skórę jej głowy, wykonując malutkie, okrężne ruchy swoimi silnymi, czystymi rękami piekarza.

Będę go musiała poprosić, żeby przestał, pomyślała Esme, jednocześnie z całej siły walcząc, by nie zamknąć oczu i nie zacząć jęczeć z rozkoszy. Jestem mężatką, która za chwilę zrobi w tym eleganckim sklepie coś bardzo nieprzyzwoitego z mężczyzną, który piętnaście lat temu złamał mi serce. Będę musiała zacząć krzyczeć, żeby przestał. Ale czując jego palce na głowie, a także jego zapach, męskość i swoje podniecenie, nad którym starała się panować, nie miała sił, by mu się sprzeciwić.

Sam Louis ją wybawił. Palcami wymacał pilniczek do paznokci i przestał masować jej głowę. Zręcznie oddzielił pasmo włosów, do którego przylepiła się guma, i jednym ruchem uciął je nożyczkami, a potem podał Esme pilniczek

do paznokci wraz z przyklejonymi do niego gumą do żucia dziesięcioma centymetrami jej miedzianych loków.

To był odrażający widok, jakby coś zbyt długo leżało na dnie torebki. Esmé żałowała, że Louis nie wyrzucił wszystkiego od razu. I wtedy pomyślała, że powinna coś powiedzieć. Że nie odezwała się ani słowem po tym, jak potwierdziła, że jest tą, za którą ją wziął, kiedy go zobaczyła. Zabrakło jej słów. Słowa zobaczyły, co się dzieje w jej głowie, i uciekły gdzie pieprz rośnie. Słowa utworzyły pikietę, nie pozwalając się przez nią przedrzeć.

Louis uniósł brwi, pochylił się nad ladą i z wdziękiem wrzucił pilniczek, gumę i lok do kosza na śmieci. Potem się wyprostował i znów spojrzał na Esmé.

- Jasna cholera! - zaklęła w końcu, a serce jej zaczęło mocniej walić, kiedy Louis znowu wolno rozciągnął usta w uśmiechu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział, jakby właśnie mu podziękowała, co - uświadomiła sobie - powinna była zrobić.

- Tak, tak, oczywiście - rzuciła. Opamiętała się i połączyła słowa niemal tak, jak należy, by utworzyły całe zdanie. - Umówiłam się z Charliem na obiad. Zaraz obok - poinformowała go, jakby nie minęło piętnaście lat, odkąd ostatni raz widzieli się we trójkę. - Pamiętasz Charliego, prawda? Razem byliśmy w Venolac. A więc umówiłam się z nim... - Spojrzała na zegarek. - Właśnie teraz. - Bała się przestać mówić. Nie mogła dopuścić, by Louis jej się wyślizgnął. - Chyba nie... cóż, zawsze możesz... - Spojrzał na nią rozbawiony. - Louisie, może dołączyłbyś do nas?

Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobiła. Dlaczego? A niby czemu nie? Mając Charliego obok, z pewnością mogła zaufać sobie, że będzie się zachowywała normalnie, wróci do domu, do swoich bliskich, których kochała i którzy ją kochali. Wszystko będzie w porządku. Zresztą prawdopodobnie Louis i tak powie „nie”. Była pewna, że powie „nie”.

- Sam nie wpadłbym na lepszy pomysł - odparł i zrobił ręką gest zapraszający Esme, by poszła przed nim. - Panie przodem.

I Esme, pamiętając, że Louisowi najbardziej podobała się jej pupa, wyszła ze sklepu z taką gracją, na jaką tylko potrafiła się zdobyć, dziękując Bogu i jego absurdalnemu poczuciu humoru za to, że jej spódnica wciąż jest przekręcona tyłem na przód, więc Louis nie będzie patrzył na resztki czyjejs gумы do zucia.

Energiczny kierownik sali akurat rozmawiał przez telefon, kiedy Esme i Louis weszli na sam szczyt schodów do Orrery, ale na ich widok na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Panie Edmonds - powiedział do słuchawki - właśnie przyszła. Przekażę jej słuchawkę. Dziękuję panu. Do zobaczenia wkrótce.

Esme wzięła od niego telefon.

- Charlie? - odezwała się. - Gdzie ty jesteś?

- Och, Es - usłyszała zmęczony głos przyjaciela. - Bardzo niechętnie to robię, ale coś mi wypadło w pracy i nie wiem, czy uda mi się przyjść na ten obiad. Zdaję sobie sprawę, że specjalnie przyjechałaś do Londynu, i dobrze wiesz, że za nic w świecie nie wystawiłbym cię do wiatru, ale klient z piekła rodem zażyczył sobie spotkania o drugiej i naprawdę muszę...

- Musisz przyjść, Charlie - przerwała mu Esme, starając się, żeby w jej głosie nie można było wyczuć paniki. - Jest tutaj Louis.

Przez chwilę milczał.

- Słucham? - spytał w końcu.

- Louis - powtórzyła z takim spokojem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. - Louis, piekarz z Venolat. Pamiętasz go.

- Jezu - jęknął Charlie. - Przeklęty Michael i jego French 75! Masz omamy, Esme.

Roześmiała się, miała nadzieję, że z wyrafinowaną swobodą, biorąc pod uwagę to, że Louis stał niespełna metr od niej.

- Nie, głuptasie - powiedziała. - Naprawdę jest tu

Louis, prawdziwy Louis. Natknęłam się na niego w Conranie. Po tylu latach, dasz wiarę?

- Mówiąc szczerze, nie - przyznał się Charlie. - Jesteś pewna, że to on?

Esme spojrzała na Louisa, stojącego przy stoliku obok niej.

- Chybabym się nie pomyliła - odparła. - A ty? Trochę mnie zaskoczył, Charlie, więc zaprosiłam go, żeby zjadł z nami obiad.

- Cóż - powiedział Charlie, wyraźnie zdumiony. - Jaka szkoda, że mnie tam nie będzie, by obserwować, jak wasze uczucie rozkwita na nowo.

Esme stała na palcach i krzyczała w słuchawkę, starając się nie zacząć obrzucać Charliego stekiem najbardziej ob-raźliwych epitetów, używanych przez babcię Mac.

- Słuchaj - odezwał się w końcu spokojnie Charlie, któremu wyraźnie zaczęło się podobać jej zakłopotanie. -Uważam, że powinniście zjeść obiad we dwójkę, a ja zapłacę. Co ty na to? Mam tam otwarty rachunek i...

- Och, to absolutnie niemożliwe - przerwała mu głośno Esme i nagle uświadomiła sobie, że kierownik sali stuka piórem w stolik, starając się nie okazywać zażenowania.

- Gówno prawda - oświadczył Charlie. - Jest to całkiem możliwe. I zrobisz to. Słuchaj, Es, naprawdę muszę lecieć, pozdrów ode mnie Louisa. Pamiętaj, że chcę znać szczegóły, moja droga, szczegóły, kiedy już będzie po wszystkim, więc zadzwoń do mnie później i wszystko mi opowiedz. Och, i zamówcie łososia. - Powiedziawszy to, rozłączył się i w słuchawce zapanowała cisza.

Esme oddała telefon kierownikowi sali i uśmiechnęła się blado.

- Stolik dla dwojga gości pana Edmondsa? - spytał i skinęła głową, bojąc się spojrzeć na Louisa, ale pewna, sama nie wiedząc dlaczego, że znów się do niej uśmiecha. Jeszcze nigdy w życiu nie miała mniejszej ochoty na jedzenie niż teraz.

Kiedy już siedzieli przy stoliku, skąd widać było ładny zielony skwer po drugiej stronie ulicy i zaaferowanych przechodniów na Marylebone, Esme zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie mogła wyglądać przez okno i milczeć.

Spojrzała ukradkiem na Louisa, który nigdy nie odczuwał potrzeby wypełniania ciszy niepotrzebnymi słowami, i siedział teraz, zupełnie opanowany i bardzo zadowolony z tego, że Esme na niego zerka.

Jego włosy, nie mogła nie zauważyć Esme, były tak samo czarne jak wtedy, kiedy widziała go ostatnim razem, choć może z przodu ich linia trochę się cofnęła. Pomyślała jednak, że wciąż jest przystojny. Jakie to typowe! Nadal nosił je niemodnie długie z tyłu, ale z tym też mu było do twarzy. Te czarne oczy musiały teraz strzec tysiąca więcej tajemnic, ale tak naprawdę niewiele się zmienił. Śniada skóra pozostała gładka jak atlas - może tylko miał trochę większy zarost, a może nie.

Ubrany był w ciemnoszary garnitur z Saville Row, jasnoszarą koszulę i jedwabny krawat. Wyglądał bardzo apetycznie, co sprawiło, że Esme poczuła się źle. Jak to możliwe, że siedzi naprzeciwko niego? To chyba sen.

Obok niej wyrósł elegancki kelner.

- Pieczywo? - zapytał, podsuwając koszyk. Spojrzała przez stół na Louisa, na którego policzku pojawił się niewielki dołeczek z lewej strony.

- Czy mają państwo chleb na zakwasie? - spytał Louis.

- Nie, proszę pana - odrzekł kelner. - Tylko graham i świeże bułeczki własnego wypieku.

- Poprosimy jedno i drugie - powiedział Louis, a serce Esme po raz setny w ciągu ostatniej pół godziny szybciej zabiło. Przysięgła sobie solennie, że jeśli podczas tego obiadu nie dostanie zawału, wybierze jakąś religię, zacznie ją wyznawać i codziennie do końca życia będzie chodzić do kościoła, świątyni, synagogi czy dokądkolwiek będzie musiała.

Rozdział dziesiąty

Przez dziewiętnaście lat była płaska i mdła, ale gdy Louis dodał do niej swojego zakwasu w dusznym, słonym magazynie mąki w *boulangerie* w Venolat, Esme rozkwitła. To wszystko w niej, czego przedtem nigdy nie mogła zrozumieć, nagle nabrało sensu. Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu.

- Jeśli mi jeszcze oświadczysz, że dzięki niemu twoje życie stało się pełne, naprawdę będę cię musiał trzepnąć -zagroził jej Charlie, ale skwitowała śmiechem jego cynizm.

Pierwszy raz w życiu była szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, wprost pijana szczęściem i nic nie mogło tego zmienić. Nic nie mogło sprawić, by znów stała się dawną, bezbarwną Esme.

Louis odcisnął na niej swoje piętno i nie było już odwrotu. Gdyby nie on, mogłaby przytyć dwadzieścia pięć kilogramów i doczekać kresu swoich dni w staropanieństwie, wyśmiewając się z tego, że jest ruda i niewinna. Gdyby nie on, przekonanie, że jest zbyt wielką dziwaczką dla większości mężczyzn, mogłoby się przerodzić w złośliwość, objawiającą się krótką, niemodną fryzurą oraz butami z blaszkami. Gdyby nie on, mogłaby nigdy nie odkryć, jakie to cudowne uczucie wiedzieć, po prostu wiedzieć, bez cienia wątpliwości, że mężczyzna, którego kocha, odwzajemnia tę miłość.

To było coś innego niż przekonanie, że kocha ją babcia Mac albo Charlie, albo jej daleki ojciec na swój własny,

osobliwy sposób, czy też nawet jej zmarła matka. Oni musieli ją kochać. Od tego ma się rodzinę i przyjaciół. Ale Louis tamtej nocy mógł chwilę postać przed *boulangerie* i nawet nie spojrzeć w stronę Esme, nie mówiąc już o tym, by wyczuć jej rozpaczliwą tęsknotę i w końcu zatkać, że się tak wyrażę, dziurkę.

Esme najbardziej kochała w nim to, co on kochał w niej.

Podobały mu się jej włosy, szczególnie tam, gdzie były najbardziej skręcone i najbardziej rude, na dole, gdzie je widziało bardzo mało osób. Ubóstwiał jej piegi, wiecznie je liczył i nadawał im francuskie imiona, namiętnie całując wszystkie po kolei. Od razu zauważył jej piękne stopy. Jej pośladki idealnie mieściły się w dwóch dłoniach, gdy wygodnie mu się sadowiła na kolanach. Traktował jej piersi jak klejnoty koronne, unosił je z czcią i całował sutki, jakby to były pierścienie na grubych palcach papieża. Samo słuchanie, jak wymawia jej imię, sprawiało, że Esme przechodziły dreszcze po całym ciele. Dzięki niemu czuła się jak prawdziwa królowa z bajki, którą zawsze chciała być. Wiecznie było jej go mało, a jemu - jej.

Po pozbawieniu jej dziewictwa w zakurzonej pomieszczeniu na górze tamtej pierwszej, niezapomnianej nocy Louis zabrał ją z powrotem na dół do piekarni i obsypał mąką na stole. Waga z brzękiem spadła na ziemię, kiedy Esme potrafiła ją nogą, odważniki narobiły hałasu, odbijając się od kamiennej posadzki i tocząc w różne strony. Esme nigdy nie zapomniała tych odgłosów.

Potem, chwilowo zaspokojony, Louis wziął płócienne prześcieradło ze stosu koszyków na chleb i owinał nim Esme. Siedziała na swoim ulubionym kamiennym stopniu i obserwowała go przy pracy.

Najpierw dołożył dREW do pieca, potem sięgnął nad głowę do wieszaka, umieszczonego pod sufitem, i zdjął z niego łopatę z wystarczająco długą rączką, by móc dosięgnąć do samego końca pieca. Szybko, ale ostrożnie przewracał dwa

koszyki z ciastem jednocześnie na łopate, potem fachowo nacinał wierzch każdego bochenka ostrym jak brzytwa ra-dełkiem, trzymanym w zębach, w końcu wsuwał po dwa bochenki naraz do pieca. Na każdym kreślił ozdobną literę L.

Ciasto, wyrosnięte i omączone, gotowe i chętne, by znaleźć się w rozgrzanym piecu, przypominało Esme ją samą sprzed zaledwie kilku chwil. Tak dużo sobie obiecywało! Tak czekało na chwilę, gdy przemieni się w coś znacznie, znacznie lepszego, w coś, co było jej przeznaczeniem.

Kiedy ostatni z przyszłych bochenków znalazł się w piecu, w którym trzaskał ogień, drewniana łopata wróciła na wieszak pod sufitem, podłoga została zamieciona, odważniki odłożone na miejsce, a kosze starannie ustawione w stos pod stołem, Louis usiadł na stopniu za Esme i ją objął.

Siedzieli tak bardzo długo, całował jej włosy, policzek, ucho. W końcu uniósł głowę, wciągnął nosem gorące powietrze i zostawił Esme, by wyjąć z pieca idealne bochenki, po dwa naraz, i ułożyć je na pustych półkach.

- Widzisz, jak wszystkie ładnie wyrosły? - zwrócił się do Esme, pokazując jej dwa okrągłe, zadowolone z siebie *boules*. - Widzisz, jaką mają błyszczącą skórkę? Są idealne.

Jak kochał swój chleb na zakwasie! I jak Esme kochała go za to. Opróżnił piec, podkoszulkiem otarł pot z czoła, a potem pociągnął ją, by wstała, i pocałował długo i namiętnie, a słodki zapach stygnącego chleba okrył ich niczym ciepły pled.

W końcu Louis oderwał się od niej i szepnął, że niebawem przyjdzie jego wuj, więc powinna wrócić do domu, i że spotkają się znowu o północy albo później, jeśli woli.

Poprowadził Esme nagą i zaróżowioną na górę, do składu mąki, gdzie zostały jej rzeczy, i ubrał ją, wolno zapinając malutkie guziczki staromodnej, delikatnej koszulki. Pocałował kości biodrowe Esme i ostrożnie podciągnął jej majtki ze sklepu Marks and Spencer, a potem lekko musnął językiem skórę wokół jej pępka, łaskocząc ją.

Wymknęła się z piekarni, kiedy słońce rozpościerało pierwsze różowe i żółte palce nad wzgórzami wokół wioski. Świat był teraz znacznie barwniejszy niż kilka godzin temu, kiedy niepewnie przemykała się chyłkiem ulicami Ve-nolat. Wszystko wyglądało inaczej. Ale przecież wszystko się zmieniło. A przynajmniej już nic nie będzie takie jak przedtem.

Tamtego dnia, kiedy spała snem osoby dopiero co oświeconej i zupełnie wyczerpanej, fragmenty nocnych wydarzeń to pojawiały się w jej świadomości, to z niej ulatywały, sprawiając, że Esme aż się kręciło w głowie.

Charlie naturalnie domagał się, żeby mu opowiedziała wszystko ze szczegółami. Wprawdzie Esme zatrzymała dla siebie najbardziej intymne detale, ale bardzo chętnie podzieliła się z nim resztą.

- Naprawdę tak powiedział? - spytał Charlie z kpina, wyciągnięty obok niej na łóżku. - Powiedział, że całe życie czekał na ciebie?

Esme się zmieszała.

- Och, to brzmi tak banalnie, kiedy ty to mówisz, ale w ustach Louisa... Charlie, o, mój Boże! To dokładnie to, co pragnie usłyszeć każda dziewczyna.

- Naprawdę jesteście dziwne - oświadczył Charlie, sięgając po soczystą brzoskwinię, leżącą na nocnej szafce przy łóżku. - Bardzo się cieszę, że nie muszę się zdawać na was, żeby doznać trochę przyjemności. Obawiam się, że wtedy do niczego by nie doszło.

Ale przyznał, że był to wyjątkowo romantyczny sposób utraty dziewictwa i bez porównania ciekawszy, niż gdyby to zrobił jakiś pryszczaty gnojek z liceum w tylnych rzędach kina Swiss Cottage.

Tamtej nocy jednak Esme, pełna obaw, przemykała się chyłkiem do *boulangerie*. A jeśli go nie będzie? Albo nie zechce jej widzieć? Jak przeżyje jeszcze jedną noc, jeszcze jedną minutę bez niego?

Ale Louis stał tam, gdzie zwykle. Czerwony ognek jego papierosa zatańczył w ciemnościach, gdy go rzucił, gotów wziąć ją w ramiona, co też zrobił.

- Cały dzień czekam na ten pocałunek - odezwał się, kiedy przestał całować Esme.

Po raz pierwszy od wielu godzin poczuła, że jej serce się uspokoiło. Nie pęknie z hukiem. To wszystko działa się naprawdę. Kochali się długo, wolno, najpierw na ladzie w sklepie, gdzie Esme wykorzystwała wczorajszą *boule* w charakterze poduszki. Potem Louis podgrzał croissanty w piecu na dole i zjedli je łączywie razem z belgijską czekoladą, którą dla niej kupił. Ich apetyty były nienasycone.

- Znudzi ci się! - strofował ją Charlie dwa tygodnie później, kiedy Esme któryś raz z rzędu wślizgnęła się do domu o wschodzie słońca. - Zupełnie jakbyś jeszcze nigdy w życiu się nie kochała. - Przekreślił się i rzucił w nią przez pokój poduszką. - Och, właśnie tak jest...

- Zamknij się, ty stary, opryskliwy nudziarzu - odezwała się Esme bez grama jadu, nie mogąc się powstrzymać, by nie uśmiechnąć się szeroko. - Twoje czarnowidztwo już na mnie nie działa, zapomniałeś?

Starła się nie chichotać dziewczęco, ale nie udało jej się to. Charlie usiadł prosto, jęknął przesadnie i poklepał materac obok siebie. Przebiegła przez pokój i przycupnęła koło swojego przyjaciela.

- A jakie cuda wyczyniały palce piekarza ostatniej nocy, jeśli można wiedzieć? - spytał.

- Och, mój Boże, Charlie... - zaczęła Esme rozmarzonym głosem. - Jest boski! Jest niesamowity, fantastyczny... - Zaczęła machać rękami. Żadne słowa nie mogły oddać sprawiedliwości Louisowi.

- Źle to rozgrywasz - oświadczył dziwnie stalowym głosem Charlie. Esme odwróciła się, żeby spojrzeć na niego, i zmarszczyła czoło.

- Dlaczego tak mówisz? - chciała wiedzieć. - Jeśli coś źle robię, to właśnie chcę źle to robić!

Charlie roześmiał się ponuro i niepotrzebnie odwrócił na łóżku.

- Nie powiedziałem tego ot, tak sobie - oznajmił oschle.

- Ooooooch - zaczęła się z nim przekomarzać Esme. -Tylko mi nie mów, że jesteś zazdrosny, bo w końcu znalazłam sobie chłopaka. - Jej niepokój zniknął, wyparła go fala gorąca, która oblała ją na dźwięk ostatniego słowa.

- Cóż, jeśli masz pewność, że tak jest - odrzekł Charlie. Gorąca fala spłynęła Esme do palców nóg.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła cicho. - Spotykałam się z nim codziennie przez dwa tygodnie. Powiedział, że mnie kocha. Będę się z nim spotykała codziennie przez najbliższe dwa tygodnie, a może przez całe życie. Jeśli nie jest moim chłopakiem, Charlie, to w takim razie kim?

Charlie poprawił prześcieradło.

- A więc zamierzasz zostać w Venolat do końca życia? Czy też Louis zechce pojechać do Londynu i zamieszkać z tobą i babcią Mac?

- Wielkie dzięki, kapitanie Czarnowidzu - odrzekła Esme. - Właściwie jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

Kiedy usłyszała te słowa, wypowiedziane na głos, pożałowała, że nie ugryzła się w język. Nie rozmawiali o tym. W ogóle mało rozmawiali. Założyła, że skoro szalała na punkcie Louisa, a on szalał za nią, to znajdą jakiś sposób, żeby być razem. Przecież tak się dzieje, kiedy ludzie są w sobie zakochani, nieprawdaż?

Ale oczywiście nie mogła zostawić babci Mac w Londynie, a nie była pewna, czy babka zdecydowałaby się przyjechać i zamieszkać na stałe w Venolat, pomimo *foiegras* i ślimaków. Zresztą, minęły dopiero dwa tygodnie. Jeszcze za wcześnie, by rozmawiać o przyszłości. Teraźniejszość jest zbyt fascynująca. Ale Esme nigdy nie była niczego tak pewna, jak tego, co czuje do niej Louis. Powiedział te wszystkie

rzeczy, które chciała usłyszeć. Pieścił ją tak, jak zawsze chciała być pieszczona. Ich miłość była jak z bajki.

Tamtej nocy w piekarni, kiedy zapach ciepłego chleba znów ją oszołomił, próbowała porozmawiać z Louisem o przyszłości, ale nie udało jej się to. Za każdym razem, kiedy otwierała usta, żeby przemówić, Louis zamykał je pocałunkiem- Zapewniał, że ją kocha, nie raz, lecz kilkanaście razy, a muzyka jego słów była tak odurzająca, że Esme nie mogła się zmusić do zakłócania ich melodii.

Zaczęła próbować ukrywać przed Charliem, że jest tak beznadziejnie zakochana, i przez jakiś czas, tydzień czy dwa, udawało jej się to całkiem dobrze. Ale pewnego ranka, kiedy po długiej i upojnej nocy spędzonej z ukochanym wślizgnęła się przez podwójne drzwi i skierowała ku schodom, panującą ciszę zmaćił głos Charliego.

- Esme, czy nie wydaje ci się to dziwne - spytał - że Louis nigdy cię nie zaprosił do siebie do domu? Że scenerią waszej żarliwej miłości jest tylko miejsce jego pracy?

Zobaczyła go, jak siedzi na łóżku, zagryzając usta, szary na twarzy, z czarnymi cieniami pod oczami. Ledwo go poznała. Wcale nie przypominał beztroskiego Charliego, jakiego kochała.

- To nieprawda - odpowiedziała.

Dwa razy wymknęli się z piekarni i kochali na łące powyżej wioski, w świetle księżyca. A raz zjechali ze wzgórza furgonetką i nago kapali się w rzece. Nie podzieliła się tymi szczegółami z Charliem.

- Mieszka ze swoim wujem i ciotką - wyjaśniła. - Są Francuzami.

Zignorował ostatnią, nieistotną uwagę i ciągnął tonem pełnym troski:

- A czy jego wuj w ciągu dnia nie jest w piekarni, Es? Czy wtedy nie mogłabyś się spotkać z Louisem u niego?

Esme poczuła niemile łaskotanie. Nie była pewna, czy to przypadkiem nie strach.

- Próbujesz się mnie pozbyć? - spytała. - Do czego zmierzasz?

Charlie, zazwyczaj beztroski, spojrzał na nią z poważną miną, co było do niego niepodobne.

- Nie, Esme - odrzekł. - Do niczego nie zmierzam. -Przez chwilę milczał. - Po prostu martwię się o ciebie i tyle. Chodzi tylko o to, że... - Urwał.

- Chodzi tylko o to, że co dokładnie?

- Chodzi tylko o to, że jako ktoś, kto bzykał się z wieloma mężczyznami, Esme, a nie zawsze okoliczności były sprzyjające, muszę stwierdzić, że jeśli Louis nie zaprosił cię do swojego domu, to prawdopodobnie ma po temu ważny powód.

Esme przez chwilę zastanawiała się, czy się nie pohamować, ale gniew zawrzał w niej zbyt gwałtownie.

- Co się z tobą dzieje?! - wydarła się na niego. - Dlaczego zawsze musisz być tak cholernie podły? Czy naprawdę trudno ci uwierzyć, że Louis może być do szaleństwa we mnie zakochany?

Charlie próbował ją uspokoić, ale nie udało mu się to.

- Tylko dlatego, że rzniesz wszystko, co się rusza, i jest ci obojętne, czy twój kochanek nie jest przypadkiem szczęśliwym mężem i ojcem trójki dzieci albo księdzem katolickim, nie znaczy, że reszta ludzi jest taka niezrównoważona i zboczona - wściekała się Esme. - Zatrzymaj swoje zgorzkniałe i okropne podejrzliwe myśli dla siebie, ty wielki pedalski skurwysynu. - Zabrakło jej tchu i zaczerpnęła głęboko powietrza, co ją nieco uspokoiło. - Może niektórzy -odezwała się już bardziej opanowanym głosem - mają dość szczęścia, by spotkać tę jedną, jedyną osobę na świecie, która jest dla nich stworzona, Charlie. I tylko dlatego, że ty osobiście uważasz taką sytuację za coś odrażającego, wcale nie znaczy, że nie może się to zdarzyć. Nawet mnie.

Serce waliło jej w piersiach. Była bardzo rozżalona. Nigdy z nikim się nie kłóciła i kochała Charliego nad życie.

Patrzył na nią trochę dotknięty, ale w jego oczach nadal nie było widać ani odrobiny skruchy.

- Przepraszam, że cię nazwałam wielkim pedalskim skurwysynem - powiedziała, a potem się odwróciła, pobiegła na górę, rzuciła się na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę, zacisnęła dłonie w pięści i zamknęła oczy.

Prawda była taka, że chociaż przez tych kilka niebiańskich tygodni ciało Esme nie pragnęło od Louisa niczego więcej poza jego ciałem, w jej głowie zrodziły się pierwsze wątpliwości.

Dlaczego nie zaprosił jej do siebie do domu, zastanawiała się. Już jej powiedział, że mieszka na drugim końcu Ve-nolat, w połowie drogi do sąsiedniej miejscowości, zbyt daleko, żeby tam mogła pójść na piechotę, a potem też tak samo wrócić. Miała ochotę nalegać, zrobić z tego większą aferę, ale coś ją powstrzymało i zamiast tego tylko się do niego przytuliła, by znów go smakować. Ale to nie znaczyło, że owa drobna wątpliwość, która mogła być strachem albo nie, zniknęła. Wcale nie.

Tamtej nocy została w domu i wczesnie położyła się spać, za co jej krańcowo wyczerpany organizm był wdzięczny, a o świcie cichutko zeszła po schodach i pobiegła do *boulangerie*. Louis akurat wyciągał *boules* z pieca.

- Esme! - zawołał na jej widok. Natychmiast odłożył łopatę i podszedł do niej. - Co się stało? Martwiłem się. Nie wiedziałem... - Miał tak nieszczęśliwą minę i był taki rozdrażniony, iż przeklęła samą siebie za to, że miała jakieś wątpliwości i pozbawiła się jego obecności przez te wszystkie godziny.

Ręka, którą objął Esme w pasie, aż ją parzyła, taka była gorąca. W tamtej chwili Esme pragnęła jedynie możliwie jak najszybciej móc się rozkoszować jego gładką skórą.

- Usnęłam - skłamała zmieszana. - Dopiero co się obudziłam.

Przesunął palcami po jej ciemnych cieniach pod oczami i spojrzał na nią pytająco.

- Esme, brakowało mi ciebie - powiedział. - Pomyślałem, że może... że może mnie już nie chcesz.

- Chcę cię, Louisie - zapewniła go głosem ochrypłym z tęsknoty.

Przyciągnął ją bliżej i wtuliwszy głowę w piersi Esme, zaczął całować jej bawełnianą bluzkę.

- Dziękuję - szepnął. - Dziękuję.

- Zaraz przyjdzie twój wujek - przypomniała mu, czując się jak zdrajczyni. - Może się spotkamy, kiedy skończysz pracę? U mnie w domu.

Louis odsunął się od niej, a coś, nie była pewna co, błysnęło w jego oczach.

- Dla odmiany mam ochotę zrobić to w łóżku - zażartowała.

- Nie podoba ci się *boulangerie*? - zapytał.

- Kocham *boulangerie* - odrzekła - ale mam mąkę w takich miejscach, o istnieniu których nawet nie wiedziałam. A bardzo wygodne łóżko jest zaledwie sto metrów stąd. Czy istnieje jakiś powód, dla którego...? - Nie dokończyła pytania.

Louis rozejrzał się po piekarni.

- Lubię to robić tutaj - odpowiedział zwyczajnie. - Zupełnie jakby się było w środku jednego z naszych *boules* Lapoine'ów, no nie? Bezpiecznie, nic nam nie grozi.

- Póki ktoś go nie rozkroi i nie zje kromki - zauważyła Esme. - Ostatecznie po to się piecze chleb.

- Tak, tak - zgodził się z nią Louis nieco zmieszany. - Naturalnie. Po to się piecze chleb.

- A więc zobaczę cię za godzinę lub coś koło tego? - zapytała go Esme. - Pierwsze drzwi po prawej stronie, za sklepionym przejściem tuż obok *auberge*. Będziesz musiał głośno pukać, żebym cię usłyszała z mojego pokoju.

Louis uśmiechnął się na jej propozycję i serce Esme stopniało jak wosk.

- Może za dwie godziny - powiedział, a potem sięgnął do regału i podał jej świeży bochenek. - Zjedz go. Ostatecz-

nie po to się go piecze, *oui?* - Przycisnęła chleb do piersi, a jego ciepło sprawiło, że poczuła się lepiej.

W podskokach wróciła do domu. Zatrzymała się w nogach łóżka Charliego, by poinformować przyjaciela, że niebawem przyjdzie Louis, a ponieważ jego pokój nie był odgradzony ścianą od korytarza, niech Charlie będzie tak dobry i zachowa się kulturalnie, jeśli przyjdzie mu ochota na rozmowę, a najlepiej, jak uda, że śpi.

- Zdaje się, że wielkie pedalskie skurwysyny są w tym niezrównane - dał się słyszeć spod poduszek zduszony głos Charliego.

Esme głośno przełknęła ślinę, postanowiła jednak nie kontynuować rozmowy i poszła na górę, gdzie natychmiast usnęła. Dopiero jakiś czas później obudziło ją pukanie do drzwi. Owinęła się prześcieradłem i tanecznym krokiem zbiegła po schodach, by wpuścić miłość swego życia. Louis przyniósł miseczkę świeżych i soczystych truskawek. Jedną z nich wsunął Esme do ust, gdy tylko otworzyła drzwi. ,

Położyła palec na ustach, pokazując rzekomo śpiącego Charliego, i zaprowadziła Louisa na górę, gdzie spędzili w łóżku cały dzień. W tym czasie kochanek zadbał o to, by wszystkie jej fałdki dokładnie oczyścić z mąki. Późnym popołudniem obydwójce okręcili się prześcieradłami i Esme przyglądała się, jak Louis smaży najbardziej smakowite omlety ze zwiędniętymi warzywami, znalezionymi w lodówce. Pili zimne, białe wino, nawet wzniesli toast na tarasie, z którego rozciągał się widok na Dordogne. Esme zastanawiała się, co zrobiła, by sobie zasłużyć na takie szczęście.

Później przyszedł Charlie, by z nimi się napić, tak jak się spodziewała Esme. Chciała, żeby przyjaciel na własne oczy się przekonał, jaki jest Louis. Jak się różni od innych mężczyzn. Jak bardzo ją kocha.

- No cóż, będę uciekał - powiedział po krótkiej, bardzo sztywnej rozmowie Charlie, wypiwszy dużymi haustami kieliszek wina. - Mam dziś randkę w Lalinde. Lepiej, jak

się doprowadzę do jakiego takiego stanu i w ogóle. - Wstał, jakby sztywno się do wyjścia. - Esme mi mówiła, że mieszkasz gdzieś w tamtym kierunku, Louis - powiedział z przesadną obojętnością.

Esme wyobraziła sobie, jak wstaje i wali go po głowie prawie pustą butelką wina. Ale jedynie wpatrywała się bez ruchu w rzekę w dole.

- Owszem - zgodził się Louis.

- Musisz nam dokładnie wytłumaczyć, gdzie. Razem z Esme rozważaliśmy, czy podczas weekendu nie wybrać się w tamte strony na pieszą wycieczkę. Możemy przy okazji cię odwiedzić - powiedział Charlie.

Louis wcale nie okazał zakłopotania.

- Podczas weekendów nie ma mnie w domu - oświadczył, wzruszając ramionami. - Rozwożę pieczywo do okolicznych wiosek.

- To może któregoś wieczoru, zanim pójdziesz do pracy? - zaproponował radośnie Charlie.

Louis znowu wzruszył ramionami.

- Jasne, jeśli macie ochotę - zgodził się. - Kiedy planujecie złożyć mi wizytę? Muszę najpierw uzgodnić to z wujkiem.

Esme aż się zrobiło niedobrze. Bała się, ale musiała przyznać w duchu - chociaż nigdy nie powiedziałaaby tego Charliemu - że też była ciekawa, jak się skończy ta rozmowa. Wstrzymała oddech.

Charlie się roześmiał, nie złośliwie - przecież nie był złośliwy - ale również niezbyt sympatycznie.

- Musisz spytać swojego wujka, czy możesz zaprosić gości? Biedactwo. A wyglądasz na zupełnie dorosłego faceta!

Esme nie mogła tego dłużej znieść.

- Na litość boską, Charlie! - odezwała się tak lekko i beztrąsko, jak tylko mogła. - Daj mu spokój.

- Nie, nie - zgodził się Louis. - Masz rację, to nie jest normalne. Ale moja rodzina nie jest zwyczajna ani typowa.

Mieszkam ze swoim wujem, Louisem, po którym otrzymałem imię, i z ciocią. Jest bardzo chora, niedomaga od lat. Artretyzm - zaciął się na tym słowie. - Jest przykuta do łóżka. Opiekujemy się nią. I oczywiście pracujemy w *boulangerie*.

Ironiczny uśmiezek zniknął z twarzy Charliego. Louis zwrócił się do Esme.

- To dlatego mój wujek pracuje w dzień, a ja piekę chleb - wyjaśnił. - W większości *boulangeries* to żona piekarza prowadzi sklep. Ale *tante* Marie od lat nie może chodzić. Mój wujek ma dobre podejście do klientów, a nocami musi być w domu.

- Och, Louisie, tak mi przykro - powiedziała Esme, ściślej okręcając się prześcieradłem, udrapowanym na kształt togi. Charlie miał na tyle przyzwoitości, by się zawstydić. Ale nie na długo.

- A twoi rodzice? - spytał.

Ciemna chmura przebiegła po twarzy Louisa.

- Co chciałbyś o nich wiedzieć? - spytał. W jego głosie po raz pierwszy można było usłyszeć napastliwy ton.

- Gdzie mieszkają? - spytał niezrażony Charlie. Esme wolałaby, żeby się zamknął, ale z drugiej strony też chciała to wiedzieć. Była tak zajęta pozwalaniem Louisowi, by ją poznawał, że niewiele wypytywała o jego sprawę.

- W Paryżu - odrzekł lakonicznie Louis. - Nie utrzymuję z nimi kontaktu.

- A dlaczego nie, Louisie? - Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać.

- Wybaczcie. - Najwyraźniej nie miał ochoty o tym mówić. Spojrzał na Charliego. - Wspomniałeś, że masz randkę w Lalinde. Powinieneś już iść, *non?*

- Och, kilka minut nie powinno zrobić żadnej różnicy. - Charlie znów usiadł na krześle. - A więc co to za historia z tym Paryżem?

- Moi rodzice przeprowadzili się tam cztery lata temu

wyjaśnił ponuro Louis - kiedy miałem zaledwie szesnaście lat. Nie chciałem z nimi jechać, więc zostałem tutaj z Louistem i Marie.

- Naprawdę? - spytał Charlie z niedowierzaniem. - Wyobrażam sobie, że większość chłopaków w twoim wieku oddałaby życie, by zamieszkać w wielkim mieście. Wszystkie te bar, i nocne kluby, i ładne dziewczęta, i piekarnie.

- Daj spokój - prychnął Louis. - Nazywasz to piekarniami? Nawet małpy potrafią upiec chleb tak, jak to się robi w Paryżu. Wszystkie te *baguettes* z kiepskim mięszem i z łuszczącą się skórką? To nie pieczywo. To nie piekarnie.

- Taką wagę przywiązujesz do bagietek? - zaczął mu dokuczać Charlie i Esme go niemal znienawidziła. Czy nie widzi, jakie to ważne dla Louisa, jak mu na tym zależy?

- Naturalnie, że nie. - Louis się uśmiechnął, odzyskawszy panowanie nad sobą. - Ale złości mnie to, co oferują piekarze, szczególnie w Paryżu, wmawiając ludziom, że to pieczywo. Może jest zrobione z mąki i wody, ale to nie chleb, jaki my znamy, jaki my robimy.

- Musisz przyznać - zwróciła się Esme do Charliego - że chleb Louisa smakuje lepiej od jakiegokolwiek pieczywa, które jadłeś w całym swoim dotychczasowym życiu.

Charlie wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył. Louis uśmiechnął się do Esme.

- A to dlatego, że robimy go tak, jak się powinno robić. Używamy składników z powietrza, pól i rzeki i wyrabiamy je ręcznie, tak samo od blisko dwustu lat.

- A więc jak to jest z twoimi rodzicami? Dlaczego nie mieszkają tutaj nadal, by robić wasz wyborczy chleb własnymi rękami? - Charlie chciał wrócić do tematu rodziny Louisa.

- Mój wuj i ja w pełni się zgadzamy, jeśli chodzi o zasady prowadzenia *boulangerie* - powiedział Louis, a twarz mu znowu pociemniała. - W przeciwieństwie do mojego ojca. Kiedy *boulangerie* przeszła w jego ręce, tata chciał wprowa-

dzić zmiany, wielkie zmiany. Wbrew opinii mojego wujka i mojej. - Urwał i zacisnął mocno usta.

- Jakie zmiany? - nalegał Charlie.

- Prawdopodobnie tego nie zrozumiesz - odpowiedział Louis dość lekceważącym tonem - ale Esme tak. - Aż pokraśniała z zadowolenia, słysząc te słowa. - Piec *pain au levain* tak, jak zawsze to robiliśmy, tak jak to robimy, to... -Szukał właściwego określenia. - To zaszczyt, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. We Francji piekarz zawsze był w centrum życia wioski. Karmi ludzi. I wkłada swój honor, swoją miłość i umiejętności w każdy *boule* z osobna, dzięki temu jest rzemieślnikiem. Robi chleb własnymi rękami. Tym różni się od maszyny. Dlatego chce mu się iść do pracy o północy i nie przerywa jej, póki nie upiecze tyle chleba, by starczyło dla wszystkich. A w każdym bochenku zostawia cząstkę siebie.

Charlie się zmieszał, a Esme ujęła dłoń Louisa i ją ścisnęła.

- Twój ojciec nie chciał tego robić w ten sposób?

- Mój ojciec chciał wziąć kredyt na maszynę, która porcjowałaby ciasto na bagietki, i drugą, która nadawałaby im odpowiedni kształt, a także na elektryczny piec, żeby można było piec dziesięć razy więcej bagietek niż w tym na drewno, którego używamy do tej pory. Chciał zrezygnować z wypieku *boules* i tylko robić bagietki z zamrożonego ciasta, produkowanego przez wielką fabrykę. Nie chciał mieć nic wspólnego z chlebem, zamierzał jedynie robić pieniądze.

Charlie najwyraźniej nie rozumiał, co w tym złego.

- Czy nie po to pracuje większość ludzi? - spytał. - Dla pieniędzy?

- Większość ludzi nie jest piekarzami z powołania - odparł Louis i Esme mocniej ścisnęła jego rękę.

- Więc twój ojciec jest piekarzem w Paryżu?

- Mój ojciec jest przedsiębiorcą w Paryżu - poprawił go ostro Louis. - Jest właścicielem fabryki, która miesza, pozo-

stawia do wyrośnięcia, a potem zamraża ciasto na bagietki, by na koniec dostarczać je wielkimi samochodami chłodniami do *boulangeries* w całym Paryżu. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Jak Esme kochała Louisa w tamtej chwili, tę jego pasję, z jaką traktował swoją pracę. Serce aż jej urosło z dumy.

- Tak, no cóż, lepiej już sobie pójdę - powiedział Charlie. Najwyraźniej na nim nie zrobiło to takiego wrażenia. - Cieszę się, że w końcu miałem okazję cię poznać, Louisie. Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

- Twój przyjaciel mnie nie lubi - odezwał się Louis, kiedy zostali sami.

- Och, to nieprawda - zaprzeczyła Esme. Nie mogła znieść myśli, że dwaj najwspanialszy mężczyźni w jej życiu mogliby się nie polubić. Poza tym uważała, że spotkanie przebiegło znacznie lepiej, niż mogłoby przebiec. - Taki już jest Charlie - dodała bez przekonania. - Jest bardzo, no wiesz...

- Podejrzliwy? - podpowiedział jej Louis, aż Esme przeszedł dreszcz po plecach.

- Zamierzałam powiedzieć „angielski” - wyjaśniła i obydwój się roześmiali.

Tamtej nocy w piekarni była w nim tak zakochana, że mało nie pękła ze szczęścia. Nie miała dosyć jego pieśczoć, gotowa była oddać się mu całym ciałem i całą duszą, nie wiedziała, jak mu okazać swoją miłość. Było to niemal nie do zniesienia, a przy tym takie wspaniałe. I kiedy obserwowała, jak Louis odważa ciasto, opróżnia koszyki i wykrawa swój inicjał na każdym bochenku, zostawiając cząstkę siebie, zapragnęła czegoś więcej.

- Chcę sama upiec chleb - oświadczyła owinięta w płótno ze swojego miejsca na schodach. - Na zakwasie. W domu. Dla ciebie. Chcę wiedzieć, jakie to uczucie.

- Naprawdę? - zapytał Louis, jego skóra błyszczała od potu, a oczy z ciekawości.

- Naprawdę. - Esme skinęła głową.

- Ale nikt we Francji nie piecze chleba w domu. Nigdy! Nie ma takiej potrzeby. Dlaczego ktoś miałby to robić?

Nikt tego nie robi, pomyślała Esme, ponieważ nikt nie chce nikomu sprawić takiej przyjemności. Nikt nigdy nikogo tak nie kochał. I nikt nigdy nie pokocha.

- Nie odmawiaj - nalegała. - Proszę, pozwól mi. Chcę to zrobić. Dla ciebie.

- Wiesz, że *levain* nigdy jeszcze nie opuszczał *boulangerie* - podkreślił Louis, kiedy o świcie całował ją na pożegnanie, wręczając jej wiklinowy koszyk, woreczek mąki i kamienny słój cennego zakwasu. - Mam nadzieję, że ci przyniesie szczęście.

- Już mi przyniósł - powiedziała Esme i jeszcze raz się do niego odwróciła, by poczuć jego miękkie usta na swoich ustach.

- Pomyśleć - mruknął - że będzie trochę mnie i ciebie w chlebie, który upieczesz, Esme.

- Jak dziecko - rzuciła bez zastanowienia, a potem się zarumieniła, zawstydzona.

Zakochani nie rozmawiają o dzieciach, nawet ona o tym wiedziała. Ale Louis nie okazał zakłopotania. Odgarnął lok z szyi Esme i uśmiechnął się tak serdecznie, że aż jej się zachciało płakać.

- Tak - zgodził się. - Chyba tak. Jak dziecko. Poczęte z miłości.

Ani przez chwilę nie potrafiła sobie wyobrazić, by Gordon, kolega Charliego z pracy, zdolny był do powiedzenia czegoś takiego. Romantyczna natura Louisa pozwalała mu mówić rzeczy, które wypowiedziane z angielskim akcentem wywołałyby u niej taki śmiech, że aż by się posusiała. Znów ją pocałował i wszedł do środka.

Esme do końca dnia nie posiadała się z radości. W pełni odzyskała wiarę w ukochanego. I upiekła chleb. Po raz pierwszy w życiu. Jeden śliczny, brązowy, trochę nierówny

boule na zakwasie, tak jak ją nauczył Louis. Oprócz radości z seksu było to najbardziej satysfakcjonujące odkrycie, jakiego dokonała. Czując pod palcami mąkę i wodę, nie mogła wyjść z podziwu, jak konsystencja mieszaniny zmienia się w trakcie wyrabiania, aż w końcu, kiedy zamknęła oczy, niemal uwierzyła, że masuje jędrne ciało Louisa. Spała głęboko i spokojnie dwa razy po dwie godziny, podczas których zostawiła ciasto do wyrośnięcia. I mimo że nie знаła piekarnika w mieszkaniu, patrzyła przez szklane drzwiczki, jak jej *boule* przemienia się z ciasta w chleb.

Nigdy się nie dowie, co ją podkusiło, by tego samego popołudnia osobiście zanieść swój pierwszy wypiek Louisowi do domu. Szukając adresu jego wujka w książce telefonicznej, musiała sobie zdawać sprawę z tego, że w tych okolicznościach to głupi pomysł. Wyjmując z piekarnika pierwszy upieczony przez siebie *boule*, wiedziała przecież, że wcale nie musi natychmiast biec z nim do Louisa. Mogła mu przynieść chleb o północy do piekarni. Nie było powodu, żeby iść do jego domu. Żeby mu zrobić niespodziankę. Żeby go przyłapać.

A może od samego początku wiedziała, że to wszystko jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe? Czy Charlie-mu, systematycznie podającemu w wątpliwość motywy postępowania Louisa, udało się w końcu zachwiać wiarą Esme, chociaż nie uświadamiała sobie tego? Te i podobne pytania miała sobie zadawać nie raz podczas lat, które nadejdą, ale w obezwładniającym upale tamtego letniego popołudnia, gdy szła piaszczystą drogą w kierunku Lalinde, niosąc zawinięty w lnianą ściereczkę przekrzywiony i trochę spłaszczony, słodko pachnący bochenek chleba upieczonego w domu, nie zadawała sobie żadnych pytań.

Kiedy znalazła się przed skromnym domem, ukrytym w chłodnym cieniu kilku rozłożystych drzew, była zgrzana, spocona i zmęczona. Stopy miała pokryte kurzem, a pod pachami plamy potu. Jasnoróżowa jedwabna koszula, zwią-

zana w pasie, i szerokie, białe szorty wydały jej się teraz mało odpowiednim strojem na pieszą wędrówkę.

Zapukała do drzwi i niemal natychmiast otworzyła je ładna, zmęczona kobieta niewiele starsza od niej. Trzymała na biodrze jedno dziecko, a drugie nosiła w brzuchu. Miała proste, brązowe, lekko potargane włosy i cerę jak krew z mlekiem.

- Dzień dobry - odezwała się. Była Angielką. - Pani do kogo?

Esme patrzyła, jak ciemnooki, ciemnowłosy chłopczyk biegnie korytarzem i siada u stóp matki. Kompletnie załamana, niemal widziała, jak jej serce toczy się w dół ze wzgórza, po którym dopiero co się wspinała, zagarnia po drodze patyki, kamienie i kurz i staje się coraz większe z każdym mijanym wykretem.

- Przepraszam - wyjąkała. - Chyba źle trafiłam.

- Tak? - powiedziała kobieta. - A kogo pani szuka?

- Szukam Louisa - niepewnie odpowiedziała Esme, spoglądając na kobietę. Jeszcze tliła się w niej ostatnia iskierka nadziei, że rzeczywiście źle trafiła.

- Czyżby? - Kobieta uniosła brwi. - Po co?

- Chciałam mu to dać - wyjaśniła Esme. Czuła się tak okropnie, że jej blade policzki zapłonęły rumieńcem. Podała tamtej chleb. Kobieta odwinęła ściereczkę, spojrzała na *boule* Esme, po czym znów go zawinęła.

- Proszę mi wierzyć, że jeśli jest coś, czego Louis nie potrzebuje, to właśnie chleba - odrzekła znużonym tonem. - Kim pani jest?

- Mam na imię Esme - z trudem powiedziała Esme, bo zaschło jej w ustach. - Pomagałam - kłamstwo uwięzło jej w gardle - Louisowi w *boulangerie*. - Kobieta nawet przestała udawać życzliwość. - Uczę się piec chleb na zakwasie.

Kobieta poprawiła niemowlę, które trzymała na biodrze, i zmierzyła pogardliwie wzrokiem od stóp do głów zakurzoną, głupią, młodą dziewczynę, stojącą na progu jej domu.

- A kim pani jest? - spytała drżącym głosem zakurzona, głupia, młoda dziewczyna.

- Jestem Diana, jego żona - odpowiedziała Diana, jego żona. - Nie wspomniał o mnie? - Jej oczy stały się twarde, przybrały wzbudzający lęk odcień zimnego morskiego błękitu. Odwróciła się i krzyknęła przez ramię: - Louis!

Esme w tamtej chwili próbowała z całych sił uwierzyć, że mężczyzna, którego wołała ta kobieta, nie jest jej Louisem, Louisem, który w ciągu kilku ostatnich tygodni setki razy zapewniał, że ją kocha. Tym Louisem, który znał jej ciało lepiej od niej samej, który mruczał, kiedy mu szeptała na ucho, co najbardziej w nim kocha, w którego ramionach było jej tak dobrze. Ale kiedy ukazał się w korytarzu, wsuwając białą koszulkę w spłowiałe, niebieskie dżinsy, dżinsy, które mu rozpiniała w snach, a może nawet na jawie, nie było ani cienia wątpliwości, że jej Louis i mąż tej kobiety to jeden i ten sam człowiek.

Uniósł wzrok, zobaczył ją i nawet nie drgnąwszy, podszedł do drzwi i stanął za kobietą. Swoją żoną. Swoją żoną Angielką. Najlepszą przyjaciółką, która przyjechała tutaj, kiedy miał trzynaście lat? „Dobrze sobie nawzajem pomagacie, no nie?” Jak Esme mogła być taka głupia?

- Cześć - przywitał się Louis. - A więc spróbowałaś sama upiec chleb?
- Mówił, zacinając się lekko, co było jedyną oznaką, że jest trochę zdenerwowany.

- Co to za jedna? - zapytała obcesowo jego żona, znowu poprawiając sobie niemowlę na biodrze, i uciszając malca, stojącego za nią.

- Mówiłem ci - odpowiedział Louis. - To Angielka, chce się nauczyć piec *pain au levain*. *Tante Marie* potrzebuje pomocy, Diana. Mogłabyś pójść do jej pokoju?

- Nic takiego mi nie mówiłeś - fuknęła na niego żona. - Nie jestem kompletną idiotką, Louis.

Nie zwracając na nią uwagi, zbliżył się do Esme i rozchylił ściereczkę. Uniósł brwi i pokiwał głową z aprobatą.

- Nieźle - ocenił, patrząc na nią. Odszukał jej wzrok, jakby nie wpatrywał się w jej oczy ledwie kilka godzin temu, deklarując swoje głębokie i wieczne uczucie. - Chociaż musisz jeszcze trochę popracować nad techniką wyrabiania ciasta. Może należało pozostawić je trochę dłużej w koszyku.

Miała trudności z oddychaniem. Żona Louisa patrzyła na nią z taką pogardą, że Esme się dziwiła, iż na jej skórze nie pojawiły się pręgi.

- Przyjdź jutro - zaproponował od niechcienia Louis - to popracujemy nad twoją techniką zagniatania ciasta.

Esme spróbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie, które zazwyczaj były na każde jej skinienie, zastygły ze wstydu i paniki.

- To bardzo miło z twojej strony - odezwała się grzecznie, nawet jeśli trochę niepewnie - ale już wyjeżdżam. Do Anglii. - Louis wzruszył obojętnie ramionami i Esme zastanawiała się, jak ma dalej żyć. - Chciałam tylko powiedzieć - ciągnęła, chociaż łzy płynęły jej z oczu i toczyły się po jej policzkach - dziękuję. - Potem odwróciła się i zaczęła biec.

- Ty sukinsynu! - usłyszała, jak Diana wymyśla Louisowi. -Ty pozbawiony przyzwoitości sukinsynu!

Zaczął protestować, ale Esme uciekała ile sił w nogach od niego, od jego żony i dzieci i było jej obojętne, co Louis mówi. Jego wzruszenie ramion na wiadomość, że Esme wyjeżdża, powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Jakby fakt, że miał żonę i był ojcem dwójki, a raczej trójki dzieci, nie wystarczał. Spała z żonatym mężczyzną! Louis dał jej coś, czego nie miał prawa jej dać. Kiedy biegła do Venolat, przed oczami cały czas widziała pogardliwą minę jego żony. Czowała, jak w jej trzewiach miesza się poczucie winy i obrzydzenie, gdy nogami wzbijała w powietrze tumany pyłu. Charlie miał rację, była głupia; beznadziejnie głupia.

Łzy utworzyły smugi na jej pokrytych kurzem policzkach, kiedy otworzyła drzwi do domu i wbiegła do swojego

pokoju. Wyciągnęła walizkę spod łóżka i zaczęła chaotycznie wrzucać do niej ubrania. Wszystkie mięśnie bolały ją od szlochów, wstrząsających jej ciałem.

Zniosła walizkę na dół, do kuchni i ledwo mogąc myśleć i oddychać, zaczęła bazgrać wiadomość dla Charliego.

Miałeś rację - zdołała w końcu napisać. - *Jest żonaty. Wracam do domu. Esme.*

Słowa „jest żonaty” huczały jej w głowie, gdy szukała w kuchni swojego plecaka. Jak mogła się tak pomylić co do jego osoby? Wydawało się to niemożliwe. Jak jej serce mogło ją zawieść, zdradzić, uśpić jej czujność, by uwierzyła, że zasługuje na taką miłość? A jeśli się nie myliła, jeśli naprawdę ją kochał, cóż, to było jeszcze gorsze, ponieważ nie miała prawa do jego uczucia. Należało do jego ładnej żony i ciemnookich dzieci. A jej nie zostało nic, nic, nic poza tą okropną, czarną, bezdenną rozpaczą.

Wzrok Esme padł na kamienny słój *levain*, stojący na kuchennym blacie. Wzięła go i przycisnęła do rozpalonego policzka. Był zimny jak wody rzeki płynącej w dole. Zamknęła oczy i przestała szlochać. A więc Louis ją okłamał. Oszukał Esme, by oddała mu serce. Czyli nic, co ma z nim związek, nie jest prawdziwe. Nic z wyjątkiem chleba. On jest prawdziwy. Widziała go, wahała i próbowała. Sama go upiekła. Wsunęła kamienny słój do plecaka i wyszła z domu. A więc jednak coś jej po nim zostało.

Rozdział jedenasty

Piętnaście lat później, po drugiej stronie kanału La Manche, siedząc naprzeciwko siebie przy stoliku, nakrytym sztywnym, białym obrusem, Esme i Louis zgodzili się niemal bez słów, że pieczywo jest tu takie, jakie można otrzymać w każdej londyńskiej restauracji, ale nawet w części nie tak dobre, jak chleb Lapoine'ów.

Po kieliszku bollingera, który wypić nieprzyzwoicie szybko, Esme skupiła się na tym, by nie myśleć o konsekwencjach potajemnego spotkania z dawnym ukochanym, nawet jeśli dla niej to też była wielka niespodzianka.

Obserwowała, jak Louis szczupłymi, ciemnymi palcami delikatnie kruszy bułeczkę na talerzyk, patrząc na Esme i uśmiechając się tym swoim zniewalającym uśmiechem.

- Chyba powinnam przestać się zachowywać jak gdyby nigdy nic i spytać, co tu robisz - powiedziała dość pogodnie, chociaż aż do chwili, kiedy usłyszała swoje słowa na własne uszy, była pewna, że wypowiada je tylko w duchu.

- Chyba powinnaś - zgodził się Louis.

Esme uniosła rękę do rozpalonych policzków. Bała się, że jej rumieńce rozleją się na obrus i białe ściany Orrery, a potem na ulicę i na cały Londyn, aż trafią do wiadomości o szóstej i Pog się dowie, że chodzi o nią, i będzie się zastanawiał, co ona u diabła tam robiła.

Louis drobił pieczywo, okruszki opadały na talerzyk.

- Esme - przemówił tak łagodnie, że Esme poczuła jego życzliwość aż w palcach u nóg. - Wszystko w porządku. Odpręż się.

Opuściła ręce na kolana. Nagle poczuła się zmęczona samą sobą. Nie chciała, żeby guma do żucia przykleiła się jej do włosów. Nie chciała się rumienić i jąkać, i nie dopuszczać do siebie tego, co naprawdę pragnęła czuć, poznać. Od dawna tak postępowała. Od Venolat, od Notting Hill, od jeszcze jednego okropnego dnia zaledwie przed miesiącem. To stało się już bardzo wyczerpujące. I żałosne. To było tak głęboko zakorzenione przyzwyczajenie, że zaczęła uważać swoje zachowanie za coś naturalnego. Ale siedząc teraz tutaj z Louisem, uświadomiła sobie, jakie to jest cholernie trudne.

- Jak mogłeś mi to zrobić, Louisie? - spytała go. - Jak mogłeś mi mówić te wszystkie rzeczy - że mnie kochasz, że chcesz być ze mną na zawsze, że jestem wyjątkowa - skoro byłeś mężem Diany i najwyraźniej ją kochałeś, miałeś z nią dzieci? Nie rozumiałam tego, Louisie, i nadal nie rozumiem. Myślałam, że jestem tą jedną jedyną. Byłam pewna, że nią jestem. I nikt inny, tylko ty sprawiłeś, że tak się czułam. Jak mogłeś mi mówić to wszystko, jeśli naprawdę tak nie myślałeś? Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?

W tej samej chwili Louis zwrócił się płynnie do kelnera, który akurat wtedy pojawił się, by przyjąć zamówienie.

- Dla mnie *foie gras* i befsztyk, a dla pani zupa i łosoś - powiedział. Kelner skinął głową i zostawił ich samych, a Esme ciągnęła, jakby nikt im nie przeszkodził.

- Czy wiesz, co to dla mnie znaczyło, Louisie? - spytała, świadoma tego, że otwiera wrota słuzy, ale czując się dziwnie obojętna na groźbę powodzi. - Minęły lata, nim znów pozwoliłam się komuś pokochać. Lata! Dopiero niedawno jakoś się z tym uporałam. Po Venolat nigdy nie potrafiłam uwierzyć w to, co mi mówili mężczyźni. Zakładałam, że wszyscy okażą się tacy jak ty, doskonale umieją oszukiwać

i są bez serca. To, co mi zrobiłeś, Louisie, było okrutne. Niewypowiedzianie okrutne. A jednak nie uważam cię za niewypowiedzianie okrutnego człowieka.

Louis na chwilę odwrócił wzrok, a kiedy w końcu na nią spojrzął, nie dostrzegła w jego oczach słabości czy próśby o wybaczenie.

- Esme, wszystko, co ci powiedziałem, to prawda. Wszystko - zapewnił ją żarliwie, głosem niskim z emocji. Jednak pierwszy raz sprawiał wrażenie lekko podenerwowanego i Esme nagle coś poczuła, choć nie mogła ustalić, czy to satysfakcja, lęk czy coś zupełnie innego.

- Tylko moment był nieodpowiedni - kontynuował Louis. - Przepraszam, ale nie za to, co wtedy powiedziałem. Wszystko, co mówiłem, było prawdą, Esme. - Urwał i pokręcił głową. - Wszystko, co mówiłem, było prawdą.

- Przecież miałeś żonę i małe dzieci. Jak mogłeś mówić prawdę?

- To, że nie zachowałem się tak, jak powinien się zachować dżentelmen, wcale nie oznacza, że nie byłem wobec ciebie uczciwy, Esme.

- Cóż, z całą pewnością wobec jednej z nas nie byłeś uczciwy, Louisie.

- Tak, ale to nie ja uciekłem, Esme, by już nigdy nie wrócić - przypomniał jej.

- Louisie, miałeś żonę, piękną żonę. Poznałam ją. Zostałam przez nią upokorzona i należało mi się to. Zrobiłeś ze mnie dziwkę, Louisie! I skwitowałeś wszystko wzruszeniem ramion. Po tym wszystkim, co było między nami, stać cię było jedynie na wzruszenie ramionami! - Wiedziała, że to wzruszenie ramion było najdrobniejszym z jego przewinień, ale och, jak to bolało.

- To nie był odpowiedni moment, żeby powiedzieć o nas Dianie, Esme. Zrobiłbym to we właściwej chwili, tymczasem pojawiłaś się jak gdyby nigdy nic w naszym domu i wszystko zepsułaś. Gdybyś tylko zaczekała.

Esme słuchała go, czując, że skóra ją szczypie. Jeśli Louis próbował jej powiedzieć, że mogli być razem, nie chciała tego słuchać. Mówił to piętnaście lat za późno.

- A wtedy - ciągnął Louis, zachęcony jej milczeniem - co miałem zrobić? Wiedziałaś, gdzie mnie szukać, Esme, ale gdzie ja miałem odnaleźć ciebie?

Pojawił się kelner i ostrożnie postawił ich potrawy.

- Mogłeś spróbować - odparła Esme zdumiona, że teraz z taką łatwością może mówić o wszystkim, co tak długo w sobie dusiła. - Na litość boską, mogłeś to wyciągnąć z Charliego. Wystarczyło go wziąć pod włos. Został tam jeszcze przez dwa dni.

Louis wyraźnie się zdenerwował.

- Charlie? - syknął, chociaż każdy, kto by na niego patrzył od innego stolika, zobaczyłby jedynie uroczy uśmiech mężczyzny. - Czy ci nie opowiedział, Esme, jak przyszedłem cię szukać? Tej nocy, kiedy wyjechałaś?

Serce w niej zamarło. Pokręciła przecząco głową.

- Przyszedłem do ciebie, a on mi oświadczył, że wyjechałaś. A kiedy go prosiłem, wręcz błagałem, żeby mi powiedział, gdzie jesteś, stłukł mnie na kwaśne jabłko, Esme. - Mówił coraz głośniej, chociaż starał się panować nad swoim głosem. Nachylił się ku niej. - Musieli mi założyć pięć szwów. - Jeszcze bardziej wyciągnął szyję, a Esme się nachyliła i zobaczyła mało widoczną szramę po dawnej ranie, której nie miał, kiedy tyle lat temu poznawała każdy centymetr jego ciała.

Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć blizny, ale zamiast tego spróbowała zupy. Była pyszna. Jednak to, co usłyszała, sprawiło, że poczuła się źle i niepewnie. Co, jeśli rzeczywiście próbował ją odnaleźć? Co, jeśli Charlie go powstrzymał? Co, jeśli piętnaście lat jej życia było jedną wielką pomyłką?

- Mogłeś przyjechać, żeby mnie zabrać z powrotem. - Usłyszała swój głos.

- Ależ, Esme! - zachnął się Louis, nadal wyraźnie poruszony. - Przecież przyjechałem. Przyjechałem do St John's Wood w Londynie i szukałem cię przez cały tydzień. - Pokręcił głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. - Przez cały tydzień, potem zabrakło mi pieniędzy i musiałem wrócić do *boulangerie*. Później - dodał, a oczy mu się zaświeciły na to wspomnienie - umieściłem ogłoszenie w „Evening Standard”, ale to nic nie dało. Nic.

Esme poczuła kolejny skurcz gdzieś głęboko. Louis przyjechał jej szukać i nie udało mu się? Kiedy leżała w ciemnym pokoju, płacząc razem ze swoją babką, która nie uznawała popołudniowych gazet, siedziała przy niej i ją pocieszała, jej ukochany przeczesywał ulice, próbując ją odnaleźć?

- To straszne - szepnęła, nie będąc w stanie zareagować inaczej. - To okropne, Louisie.

- Masz rację - zgodził się i usiadł prosto. - To straszne. Czekałem miesiąc, pół roku, rok, żebyś się odezwała, Esme, ale tego nie zrobiłaś.

- A niby dlaczego miałabym to zrobić, Louisie? Miałaś żonę, dwójkę małych dzieci i trzecie w drodze. Nie należałam do kobiet, które rozbijają rodziny. I nadal nie należę. To ty źle się zachowałeś, Louisie. Jeśli ktoś był winien, to tylko ty.

Louis westchnął i zgarbił się, jakby czuł się zupełnie opuszczony.

- Czy chodzi ci o to, kto postępował dobrze, a kto źle, Esme? - spytał ją cicho. - Czy naprawdę tak myślisz? Że to była pewnego rodzaju rywalizacja i jedno z nas wygrało, a drugie przegrało?

- Co u niej słyszać? - zmieniła temat Esme, patrząc mu prosto w oczy, i wypila do końca swoje sauvignon. - U Diany?

Louis zrobił smętną minę.

- Myślisz, że po tobie mogłem wrócić do Diany? - powiedział tak cicho, że przez chwilę nie była pewna, czy dobrze

usłyszała. - Chociaż na chwilę? Nie mogłem tak żyć, Esme. Czy ty mnie w ogóle nie znasz?

W tamtej chwili coś w niej pękło i gwałtownie przedostało się do strefy pozbawionej emocji, gdzie dla własnego zdrowia psychicznego nie chciała mieć niczego takiego. Aż zabręczały sztućce i szkło, tak gwałtownie wstała od stolika, przeprosiła Louisa i pobiegła do damskiej toalety. Usiadła na desce sedesowej i dostała tak silnych dreszczy, że bała się, iż wszystko zwymiotuje. Trudno jej było znieść jego szczerłość. Otrzymywała niekoniecznie takie odpowiedzi, jakie chciała usłyszeć. Skoncentrowała się na głębokim oddychaniu, starając się nabierać dużo powietrza w płuca, zamiast dyszeć, spanikowana.

Po pięciu minutach zaczęła się uspokajać. Wyciągnęła ręce przed siebie i chociaż widziała, że dłonie jej drżą, pomyślała, że chyba uda jej się utrzymać nóż i widelec. Wyszła z kabiny, dokładnie spryskała sobie twarz zimną wodą, poprawiła makijaż, usunęła resztki gumy do żucia ze spódnicy, przekręciła ją, jak należy, i wróciła do stolika.

Louis uniósł się lekko z krzesła na jej widok.

- Bardzo przepraszam - powiedział, kiedy siadała. Główne danie już na nią czekało. Mimo zamętu, jaki miała w głowie, uznała, że prezentuje się wspaniale.

- Nie powinienem rozdrapywać starych ran.

- Proponuję, żebyśmy wzięli się do jedzenia - powiedziała Esme ze spokojem, który wziął się nie wiadomo skąd.

Delektowała się swoją delikatną, lekko przyprawioną rybą, chociaż czuła gniew, żal, smutek i wyrzuty sumienia. Jedzenie było smaczne. Kiedy uznała, że wystarczająco panuje nad emocjami, żeby się odezwać, zrobiła to.

- A więc nie jesteś z Dianą? - zapytała.

- Nie - odrzekł z naciskiem Louis. - Została w Venolac z Emily i małą Marie oraz Jeanem, który ma już osiemnaście lat. Widuję ich może dwa, trzy razy do roku. Ja mieszkam teraz w Paryżu - dodał. Wrócił do jedzenia.

- To ona była tą najlepszą przyjaciółką, prawda? Louis spojrzał na nią pytająco.

- Najlepszą przyjaciółką, która sprowadziła się do Venolat, kiedy obydwoje mieliście po trzynaście lat? Która uczyła cię angielskiego? A ty uczyłeś ją francuskiego?

Wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Tak - potwierdził. - Tak, kiedyś była moją najlepszą przyjaciółką, ale nigdy nie powinniśmy się byli pobrać. Gdy ojciec pokłócił się z moim wujkiem i razem z matką przeniósł się do Paryża, ja postąpiłem po swojemu. Uważałem Dianę za członka rodziny, tak samo jak Marie i Louisa. A kiedy zaszła w ciążę... Miałem zaledwie siedemnaście lat. Byliśmy za młodzi.

- Czy ożeniłeś się ponownie? - zapytała od niechcienia Esme.

Przestał jeść, widelec zawisł mu w powietrzu między talerzem a ustami. Pokręcił głową.

- Nie. Nigdy ponownie się nie ożeniłem. Nigdy, przenigdy. Były naturalnie inne kobiety, ale żadna nigdy...

- A więc co robisz w Paryżu? - spytała spokojnie, zdumiewając samą siebie. Jak zwyczajnie brzmiała ta rozmowa. Mogli być parą starych przyjaciół, którzy spotkali się po latach, a nie uwodzicielem i jego ofiarą. - Nie mów, że zacząłeś pracować razem ze swoim ojcem?

- Ależ nie, naturalnie, że nie - zachnął się Louis, oburzony tym przypuszczeniem. - Chociaż może cię zainteresuje, że ma teraz sto razy więcej samochodów i rozwozi ciasto na bagietki po całej Francji. - Pokiwał głową, przeżuując jedzenie. - Nadal nie utrzymuję z nim kontaktów - powiedział. - Pracuję w zrzeszeniu mistrzów piekarnictwa. Jeżdżę po świecie i uczę ludzi, jak piec *pain au levain*, no wiesz, tradycyjną metodą, tak jak nauczyłem ciebie, Esme. Nasza tradycja prawie zupełnie zanikła w świecie *supermarchés* i jedzenia typu fast food. Nawet we Francji uczę sztuki pieczenia chleba na zakwasie. To głupie, prawda?

- Byłoby głupotą, gdybyś robił cokolwiek innego - zapewniła go gorąco Esme. Przecież ona sama kochała tę jego pasję. - Wuj musi być z ciebie bardzo dumny. Jak on się czuje?

Louis przestał jeść, opuścił nóż i widelec na talerz. Utkwił tępy wzrok w białym obrusie na stoliku.

- Mój wujek umarł - powiedział cicho - zaledwie miesiąc temu.

Esme poczuła ukłucie bólu, jakby wbito jej włócznię albo ostry nóż gdzieś w pobliże serca. Miesiąc temu? Spojrzała na Louisa, który spojrzał na nią smutno. I właśnie wtedy do niej dotarło, że mogły minąć lata, mogli żyć bez siebie, ale że ona i Louis byli nierozzerwalnie połączeni i nic nigdy tego nie zmieni.

Jego żałoba po śmierci wuja zbiegła się z jej własną czarną dziurą bez pieczenia chleba. Stracił wuja mniej więcej wtedy, kiedy ona patrzyła na doktora Gribblehursta, smutno potrząsającego głową.

Esme dostrzegła nagle iskierkę nadziei. Może jej przyszłość nie będzie na zawsze zatruta tym, co się wydarzyło w Notting Hill. Może doczekała się teraz wybawiciela. Pomimo tego, co się stało w Venolat, pomimo tego, co się wydarzyło w ciągu tych wszystkich lat, może naprawdę był jej przeznaczeniem. Nagle uświadomiła sobie, siedząc naprzeciwko Louisa w modnej londyńskiej restauracji, że czuje do niego dokładnie to samo, co dawno temu, kiedy siedzieli na workach z mąką z pszenicy, zbieranej na polach nad Dordogne.

I gdyby Louis teraz wstał i wyciągnął do niej rękę, wiedziała, że poszłaby z nim. Prawdę mówiąc, na tę myśl czuła mrowienie w pewnych częściach ciała. Częściach, które powinny być mądrzejsze. Częściach, które powinny być zarezerwowane wyłącznie dla jej męża Poga.

Pog. Ujrzała jego dobrą, kochaną, nieskomplikowaną twarz mimo przepaści, jaka pojawiła się między nimi i po-

głębiała przez dwa ostatnie lata. Uśmiechał się do niej. Zamknęła na sekundę oczy. To, co się stało w Notting Hill, nie dotyczyło tylko jej. Dotyczyło też Poga. Spotkało ich wszystkich. Nie ucieknie przed tym sama.

- Tak mi przykro - powiedziała do Louisa - z powodu twojego wujka. Naprawdę. Wiem, co czujesz. Musisz być zdruzgotany, Louisie, szczególnie że byliście tacy życzliwi. Wyobrażam sobie, że czujesz się tak, jakbyś stracił rękę. - Odsunęła od siebie talerz, a potem krzesło, jakby chciała wstać i wyjść. - Ale naprawdę muszę już iść.

Louis patrzył na nią zdezorientowany.

- Ale dlaczego? - spytał. - Esme, proszę.

Lecz Esme już wyciągnęła rękę, szukając na podłodze torby.

- Muszę uciekać, Louisie. Przykro mi. Nie potrafię ci opisać, ile dla mnie znaczyło ponowne spotkanie z tobą...

- Owszem, potrafisz - przerwał jej Louis, nachylając się gwałtownie, tak samo jak poprzednio. - Możesz zostać i wszystko mi powiedzieć. Możemy zamówić sery. Mają tutaj wspaniałe, francuskie sery, Esme. Te, które lubisz.

Pokręciła głową i przez chwilę zastanawiała się, czy reszta jej ciała też mu odmawia. Znieruchomiała, patrząc na jego wilgotne usta, na ich barwę i fakturę, przypominając sobie ich dotyk i kształt.

- Chodzi o to - wyjaśniła, kiedy już znalazła torbę i postawiła ją sobie na kolanach, by stworzyć jeszcze jedną barierę między nimi - że czuję się niezwykle wytracona z równowagi naszym dzisiejszym spotkaniem. Naturalnie przez wszystkie lata myślałam o tym, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że taki będzie miało przebieg. Zawsze myślałam, że będę na ciebie wrzeszczała i nazwę cię sukinsynem, i wyleję ci na głowę *crème brûlée* albo coś w tym rodzaju.

Louis patrzył na nią z wyrzutem.

- Esme - odezwał się w końcu. - Nie mogę uwierzyć, żebyś zmieniła się tak bardzo, by marnować *crème brûlée*.

To był żart, lecz niezbyt śmieszny.

- Właśnie to mam na myśli - odparła. - Czuję się, jakbym nic a nic się nie zmieniła. Czuję się jak tamta głupia, młoda dziewczyna, która zakochała się w wiejskim piekarzu i założyła, że jest kobietą jego marzeń, tak samo gorąco, jak wierzyła, że on jest mężczyzną z jej snów. Śmieszne, ponieważ naprawdę przestałam już być tamtą Esme.

Na twarzy Louisa znów pojawił się uśmiech.

- Byłaś kobietą moich marzeń, Esme - zapewnił ją. - I nadal nią jesteś. Odchrząknęła i odpędziła od siebie myśl, jak leży z nim nago.

- Louisie - oświadczyła - nie jestem nią. Jestem szczęśliwą mężatką. Jestem matką. Żyję na wsi i uprawiam zdrowe warzywa. Farbuje włosy. I ważę ponad pięć kilogramów więcej.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Bardziej mi się podobasz taka okrągłej sza - powiedział. - Dobrze ci z tym.

Esme nagle w pełni uświadomiła sobie każdy dodatkowy gram swoich krągłości (pięć kilogramów, akurat!) i poczuła się niezwykle skrępowana. Nie po raz pierwszy postanowiła sobie, że dołączy do grupki osób, uprawiających jogę w Seabury. Bo nawet jeśli są od niej dwadzieścia lat starsze, to bez wątpienia są też dwa razy bardziej gibkie. Na myśl o Seabury poczuła, jak coś ją ściska w gardle, i wstała.

- Zabieram teraz moje krągłości z powrotem do domu na wieś - oznajmiła, szukając w torbie okularów przeciwsłonecznych, a znalazła, jakżeby inaczej, bochenek chleba, który przywiozła dla Charliego. Serce na chwilę przestało jej bić. Wyjęła chleb z torby i podała Louisowi.

Na twarzy mężczyzny pojawił się zachwyty. Zbliżył bochenek do nosa, powąchał, a potem palcem postukał go od spodu i uniósł brwi (jakby chciała, żeby tego nie robił!), kiedy rozległ się cudownie głuchy dźwięk.

- Idealny *pain au levain* - powiedział półgłosem. - Cóż, może odrobinę za długo pieczony, ale mimo wszystko pieczesz chleb!

- Prawie codziennie - przyznała się - od tamtej pory. Używając zakwasu twojego prapraprapradziadka. Wiesz, że zabrałam go z sobą.

Louis znowu uniósł bochenek do twarzy i zamknął oczy, przycisnął go do policzka i głęboko wciągnął powietrze w płuca. Jego uśmiech działał na jej hormony w sposób, którego nie przewidziała. Starła się ze wszystkich sił nie myśleć o tym, że pragnęłaby znaleźć się na miejscu *pain au levain*. Louis znów otworzył oczy i musiał coś takiego wyczytać z jej spojrzenia, ponieważ odłożył *boule* na stół, wstał i podszedł do Esme tak blisko, że mogłaby się oprzeć o niego i dotknąć ustami gładkiej, brązowej skóry jego szyi.

- Wiesz - szepnął jej do ucha - to nie może być zbieg okoliczności, ty i ja, *pain au levain*, właśnie dziś, po tylu latach. - Cofnął się trochę. - Ktoś - powiedział, unosząc oczy w górę - próbuje nam coś powiedzieć.

Esme cofnęła się nieco.

- Tak - odparła - i tym kimś jestem ja. Próbuję ci powiedzieć, że muszę iść.

Włożyła okulary i zwróciła się w stronę drzwi, ale najpierw zobaczyła jeszcze, jak na ustach Louisa pojawia się uśmiech.

- Tak, próbujesz mi coś powiedzieć - oświadczył - ale wcale nie to.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego ostatni raz.

- Będę tutaj za tydzień o tej samej porze - zakomunikował. -1
chciałbym cię tutaj też zobaczyć, Esme.

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię - przeciągle, delektując się nim - niemal sprawił, że osunęła się na kolana. Uśmiechnęła się i miała nadzieję, że jej uśmiech mówi, że nie będzie jej tutaj w przyszłym tygodniu, chociaż tak naprawdę nie wiedziała tego na pewno. W tamtej chwili w ogó-

le niewiele wiedziała. Wyszła z restauracji, uśmiechając się i dziękując personelowi Orrery. Oszołomiona, skonsternowana, z głową pełną dręczących, mrocznych myśli, odwróciła się, by zejść po schodach. Przystanęła, słysząc piskliwy śmiech, który dobiegł z dołu na długo przed pojawieniem się jego właścicielki. Sądząc po stukocie, rozbrzmiewającym na stopniach, tamta miała wyjątkowo wysokie szpilki.

Esme rozpoznała owe dwa dźwięki, zwłaszcza słysząc je razem, i wiedziała, że za chwilę znajdzie się twarzą w twarz nie z kim innym, jak z Jemimą Jones. Ależ oczywiście! Dlaczegoż by nie? Widocznie tego dnia spotkało ją jeszcze za mało niespodzianek. Ze zdumiewającą prędkością skręciła do malutkiego baru Orrery, u samego szczytu schodów, zaraz naprzeciwko wejścia do restauracji, i usiadła w głębokim, klubowym fotelu z wysokim oparciem.

Na nieszczęście dla niej wkrótce przez te same drzwi weszła Jemima Jones. Była ubrana na białe, otaczało ją ze dwadzieścioro mężczyzn i kobiet w czerni, przepychających się, by znaleźć się jak najbliżej popularnej felietonistki.

Jemima z przesadną afektacją zareagowała na widok Esme, siedzącej na fotelu, przypominającym tron, i udającej, że nie pakuje sobie akurat do ust garści solonych migdałów.

- Esme MacDougall? - zaszczebotała z drugiego końca niewielkiego baru. - Czy to ty, Esme MacDougall?

- Stack - poprawiła ją Esme, ku swemu wielkiemu zażenowaniu przy okazji wypluwając małe kawałki gryzionych migdałów. - Stack.

- Co ona powiedziała? - spytała chuda dziewczyna o biodrach jak u dziewięcioletniego chłopca.

Rumieniec Esme znów rozlał się na cały Londyn.

- Esme Stack - odezwała się ochryple. - Nazywam się Esme Stack.

Po chwili milczenia ludzie ubrani na czarno odwrócili się i zaczęli jak jeden mąż ustawiać krzesła z dala od niej

w taki sposób, żeby mogli siedzieć razem bez konieczności patrzenia na nią.

Jemima wydawała się jednak zachwycona spotkaniem.

- Stack, naturalnie - przyznała ze śmiechem. - Słyszałam, że wyszłaś za mąż i w ogóle.

Esme milczała. Ciekawa była, o jakim „w ogóle” tamta słyszała.

- Przeniosłaś się na wieś, prawda? - ciągnęła Jemima, odrzucając do tyłu swoje długie, złote włosy. - A więc co cię sprowadza do takiego miejsca, moja droga? Z reguły spotyka się tutaj wyłącznie dziennikarzy i biznesmenów.

Odwróciła się i rzuciła olśniewający uśmiech barmanowi.

- Szampana, złociutki - poleciła. - Dla wszystkich. - Spojrzała na Esme. - Ty naturalnie też sobie coś zamów - zaproponowała.

- French 75 - rzuciła Esme bez chwili wahania. Z zadowoleniem zauważyła, że na wszystkich zrobiło to wrażenie.

Mały, złoty łuk, czyli brew Jemimy, uniósł się minimalnie, biorąc pod uwagę to, że - jak Alice bardzo trafnie to ujęła - Jemima kazała sobie wyprasować zmarszczki. Wyglądała jak zawsze ślicznie, ale tyle było w niej życia, co w zwykłym kufrze podróżnym Louisa Vuittona, pomyślała Esme. Poruszała oczami, otwierała usta, kiedy mówiła, lecz reszta jej twarzy pozostawała nieruchoma, bez wyrazu, jak cała Jemima.

Stała obok fotela Esme, wysoka i wiotka, a ona czuła się mała i przysadzista.

- Piszę książkę - niespodziewanie skłamała Esme - o spinkach do włosów. - To był taki dziwny dzień.

Jemima prawie jej nie słuchała.

- Mam spotkanie - oznajmiła, znów odrzucając włosy, tym razem w kierunku ludzi ubranych na czarno, którzy szeptali coś między sobą - w sprawie mojego talk-show w telewizji. Dasz wiarę?

Esme się uśmiechnęła.

- Może kiedy wydasz swoją książkę - dodała Jemima, a jej twarz przypominająca maskę nie pozwalała Esme się domyślić, czy mówi to żartobliwie, czy też nie - wystąpisz w moim programie i o niej opowiesz.

Kelner przyniósł Esme jej French 75, który porwała nerwowo, niemal łapczywie.

- Świetny pomysł - powiedziała, uśmiechając się ujmująco, i wypłała połowę zdradliwego koktajlu. - Dam ci znać, kiedy sprawa będzie aktualna.

Ludzie w czerni zaczęli głośniej rozmawiać w drugim końcu baru i Jemima przewróciła oczami.

- Lepiej już pójdę - powiedziała. - Praca, praca, praca! - i obróciła się na pięcie, by Esme mogła w pełni zobaczyć jej zgrabne pośladki. W niczym nie przypominały tyłka pawiana. Esme duszkiem wypłała swój koktajl.

- Bądźmy w kontakcie - rzuciła Jemima przez ramię, zanim pozwoliła się poczęstować papierosem jednemu z wielbicieli i przystąpiła do rozmowy o interesach.

Esme wstała, chociaż chwiała się lekko na nogach, wzięła torbę, zebrała myśli i skierowała się do wyjścia.

- Dzięki za drinka - powiedziała nieśmiało do pleców towarzyszy Jemimy i wyszła.

- My płacimy za jej drinka? - zapytał jeden z mężczyzn, ubranych na czarno, co ją tak zmieszało, że dopiero na dole schodów przypomniała sobie, iż zaledwie dwie godziny temu Louis Lapoine zerwał strup z rany, jaka pozostała po jej nieodwzajemnionej miłości do niego. Ta rana znów zaczęła ją ćmić i krwawić.

Spojrzała na zegarek. Właśnie uciekł jej pociąg o drugiej trzydzieści do Ipswich i musi zadzwonić do teścia, by przyprowadził Rory'ego od pani McArthur. Będzie się o to na nią boczył przez cały tydzień, jeśli nie miesiąc.

Była to zbyt przygnębiająca perspektywa, by o niej teraz myśleć.

Rozdział dwunasty

- A niech mnie licho - szepnęła babcia Mac z przejęciem, kiedy nazajutrz rano Esme wślizgnęła się do jej pokoju, tak silnie pachnąc świeżym chlebem, że zastarzały smród papierosów nie miał najmniejszych szans. - Jeśli nie świadczy to, że młody Louis Lapoine znów dał znać o sobie, to zjem swój kapelusz!

Jej kapelusz leżał na szafie i prezentował się wyjątkowo nieapetycznie. Kupiła go w 1949 roku, przypominał wtedy ogromną, różową hortensję i z upływem czasu wcale nie zaczął wyglądać lepiej.

Esme ani słówkiem nie wspomniała nikomu o swoim wczorajszym obiedzie, wiedzieli o tym tylko Charlie i garstka kelnerów.

- Co wiesz o Louisie Lapoine? - spytała szybko, wygładzając pościel i gwizdząc nieświadomie piosenkę, którą cicho zawodził Rod Stewart.

- Tyle co i ty - powiedziała jej babka. - Ale wiem, że bez względu na to, jak bardzo człowiek pragnie znów kogoś pokochać, Esme - urwała dla uzyskania większego efektu dramatycznego - pierwsza rana jest najgłębsza.

Esme miała zamiar zakończyć tę rozmowę albo nie zgodzić się ze słowami babki, spróbować z nią dyskutować na ten temat, lecz uznała, że to bezcelowe.

- Wczoraj zjadłam z nim obiad - zakomunikowała więc tylko, sadowiąc się na łóżku.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła babcia Mac. - Wiedziałam, do cholery! No i?

- I prawie wcale się nie zmienił, tyle tylko, że teraz chodzi w eleganckim garniturze i jeździ po świecie, głosząc dobrą nowinę o chlebie na zakwasie.

-I?

- I zjedliśmy bardzo wytworny i smaczny obiad, spóźniłam się na pociąg o wpół do trzeciej, więc Henry musiał pójść po Rory'ego do pani McArthur, dlatego dzisiaj jestem na jego czarnej liście obok Adolfa Hitlera, i chociaż nie zrobiłam nic złego, mam wyrzuty sumienia, i znalazłam wałeczek tłuszczu, którego - jestem pewna - nie miałam miesiąc temu, i...

- Och, proszę, dość - przerwała jej babcia Mac, jak zwykle nie bawiąc się w subtelności. - Nie odbiegaj od tematu, dobrze? Powiedz mi więcej o tym Francuzie.

- A co chcesz wiedzieć?

- Nie przeciągaj struny, Esme. Czy nadal coś do niego czujesz?

- O co ci chodzi? - cicho spytała Esme, by zyskać na czasie, wiedząc, że sama się prosi o kłopoty.

- Czy nadal działa na ciebie tak, jak na mnie Sean Connery?

- Naprawdę, babciu Mac, czy musisz być taka wulgarna? - powiedziała, ale pogardliwe spojrzenie babki sprawiło, że się zaczerwieniła.

- Czy musisz pomijać milczeniem wszystko, co jest chociaż trochę skomplikowane, albo mówić o tym ogródkami? A co dopiero, kiedy sprawa dotyczy czegoś ważnego?

Esme siedziała, nasłuchując bicia własnego serca, i zastanawiała się, co się z nią dzieje.

- Moje dziecko, wiesz, że musisz od czegoś zacząć. - Głos babci Mac jakby złagodniał. - Chyba zdajesz sobie sprawę

z tego, że nigdy nie będzie ci łatwo? Nigdy nie jest łatwo. Ale musisz zacząć o tym zapominać.

W pokoju zapadła cisza, atmosfera zrobiła się ciężka od słów, których nie powiedziała żadna z nich.

- Brakuje mi go - wyszeptała w końcu Esme w mrok.

- Wiem o tym - powiedziała jej babka.

Malutkie światełko nadziei rozbłysło w ciemnościach i Esme uświadomiła sobie, jakby się zachłystując - a może był to szloch - że czuje się jak kobieta, której odrobinę rozluźniono mocno ściśnięty gorset, pozwalając jej swobodnie odetchnąć pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna.

Ale akurat wtedy usłyszała dzwonek do drzwi i natychmiast poczuła, jak ktoś napiera kolanem na jej plecy, żeby znów zasznurować gorset. Wyprostowała się.

- Dzwonek - powiedziała. - Lepiej...

Po chwili gapiła się z osłupieniem na Ramola, który stał na progu jej domu i trzymał na sznurku zabiedzonego osła ze złamaną i źle złożoną tylną nogą. Pożałowała gorzko, że nie udała, iż nie słyszy dzwonka, i nie została na łóżku w pokoju babki z poduszką na głowie, by leżeć tak już zawsze.

- Cóż, naprawdę nie znam się na osłach - wyjaśniła sąsiadowi, wpatrującemu się w nią wielkimi oczami zza grubych soczewek okularów, które jeszcze powiększały tęczówki.

- Oto on - oświadczył Ramol i jakby na potwierdzenie jego słów osioł wybrał sobie właśnie tę chwilę, by wysunąć swój interes, również przeraźliwie wielki, stamtąd, gdzie go chował do tej pory, i jakby stanąwszy na palcach, jeśli osły je w ogóle mają, wysikał się na próg domu Esme.

Ramola wcale to nie zdziwiło, odsunął się zgrabnie, żeby uniknąć najgorszego. Ale Esme tak się przestraszyła, że wrzasnęła i niezdarnie zrobiła kilka kroków do tyłu. Biedny osioł też się wystraszył i zaczął się niezgrabnie wycofywać, przy okazji kierując strumień moczu prosto na no-

wiutkie kalosze Henry'ego. Trzy dni temu pojechał autobusem do Stonyborough, by je kupić. Nie będzie zachwycony.

- O, nie! Tylko nie to! - krzyknęła Esme.

Obuwie Henry'ego zdawało się przyciągać mocz zwierząt niczym magnes metalowe opłki. Ramol szarpnął za postronek i osioł schował swoją wielką fujarę, ale z kałuż na ziemi i podłodze wciąż unosiła się para.

Stukot, który zawsze poprzedzał Henry'ego, obwieścił jego rychłe nadejście. Esme, ogarnięta paniką, w pierwszej chwili załamała ręce, a potem złapała kalosze i cisnęła je przez drzwi do pokoju babci Mac dosłownie na sekundę przed tym, nim pojawił się jej teść.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - spytał, patrząc na zaczerwienioną Esme, wiekowego sąsiada i kulawego osła.

Przynajmniej nie słyszy, pomyślała z ulgą, jak zza drzwi sypialni babci Mac dobiega „Do Ya Think Pm Sexy?” w jej autorskim wykonaniu.

- Na litość boską, proszę jej nie powierzać tego biedactwa - odezwał się Henry do Ramola nad ramieniem Esme.

Poczuła lekkie ściskanie w gardle, że tak niesprawiedliwie została oceniona.

- Nie mów głupstw, Henry - zwróciła się do niego tak łagodnie, jak tylko potrafiła, a potem powiedziała do Ramola: - Koza to nie moja wina. Widocznie dość często ślepną i nie ma to nic wspólnego z łopatami.

Tamten popatrzył na nią, jakby mówiła językiem suahili, i Esme pomyślała, że może sąsiad nic nie wie o przygodzie kozy.

- Nie wiedziałem, że mówię głupstwa - zauważył Henry. - Widziałas moje kalosze?

O, Boże, jęknęła w duchu. Czy zawsze tak musi być?

- Wsadziła je do... - zaczął mówić Ramol, ale Esme wyskoczyła z domu i zatrzasnęła za sobą drzwi tuż przed nosem teścia.

- Dopiero co doszedł do siebie po tym, jak Brown nasi-

kał mu na pantofle - syknęła. - Proszę, muszę mieć trochę czasu, żeby mu powiedzieć o kaloszach.

Ramol spojrzął nerwowo za siebie, na wiatrak, w którym czuł się tak bezpiecznie.

- Gladys z księgarni w Seabury przyprowadziła do nas tego osła - wyjaśnił głosem, pozbawionym emocji. - Potrąciła go furgonetka albo może mała ciężarówka. Złożyła go do kupy recepcjonistka w przychodni dla zwierząt, ale nikt się po niego nie zgłosił, a my nie możemy go zatrzymać, bo nasze podwórze nie jest ogrodzone.

Osiół wyglądał tak żałośnie, że Esme nie mogła na niego patrzeć. Nie potrzebowała kolejnego kalekiego stworzenia, ale z drugiej strony, kto inny zaopiekuje się biedakiem? I chociaż mówiła sobie, że nie przejmuje się tym, co myśli Henry, w rzeczywistości przejmowała się tym, co myślał, i chciała mu udowodnić, że ma nie tylko negatywny wpływ na zwierzęta, ale potrafi im też pomóc.

- Wezmę go - zgodziła się, a Ramol natychmiast zrobił odwrót i bez słowa zaczął się oddalać. - Chodź, Kłapouchu - powiedziała do zwierzęcia, specjalnie się nie wysilając, żeby wymyślić dla niego jakieś imię.

Spojrzął na nią ponuro swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, a Esme zaciągnęła go wolno za dom i przeprowadziła przez furtkę z łożyny tam, gdzie kiedyś był kort tenisowy. Spuściła go z postronka i patrzyła, jak kuśtyka w stronę kępy mleczy.

Bóg wie, co jedzą osły, pomyślała. Albo piją. A biedak z pewnością był spragniony po tym, jak tak widowiskowo opróżnił pęcherz. Skierowała się w stronę domu, myśląc po drodze, że weźmie wiadro i naleje wody nieszczęsnemu kuternodze, ale kiedy zbliżała się do domu, drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu zobaczyła Henry'ego z twarzą pociemniałą z gniewu. W rękę trzymał mokre kalosze.

- Domyślam się, że uważasz to za zabawne - natarł na nią.

- Ależ skądże znowu - zaprzeczyła Esme. - Postawiłam je tam, bo pomyślałam, że zdążę je wyczyścić, zanim je znajdziesz.

Henry aż zatrzęsł się z gniewu.

- Doskonale potrafię sam je wyczyścić.

- Cóż, nie wątpię, ale pomyślałam, że oszczędziłabym ci trudu, ponieważ to ja otworzyłam drzwi osłu.

- Ach, czyli uważasz, że to ja powinienem był je otworzyć? - wściekł się Henry, znów opatrnie ją zrozumiałwszy.

- Na litość boską, Henry - westchnęła Esme, doprowadzona do rozpacz. Jej teść zachowywał się tak, jakby to ona obsikała mu kalosze. Wyciągnęła rękę. - Daj te kalosze. Umyję je.

Henry się cofnął.

- W pokoju twojej babki panuje nieznośny zaduch - powiedział. - Nie powinnaś tam spędzać tyle czasu.

Esme się zaczerwieniła.

- To nie twoja sprawa - bąknęła cicho.

- Ale mój syn to moja sprawa - odparł. - I twój syn. A obu im jesteś tutaj potrzebna.

Esme aż zatkało, kiedy zobaczyła twarde spojrzenie Henry'ego, i jej teść się spłoszył.

- Esme - powiedział, a jego stara, wyrazista twarz skurczyła się z żalu. Nie chciał, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale zobaczył, że tak właśnie się stało. Błagalnie wyciągnął do niej rękę, ale odwróciła się na pięcie i znowu zniknęła w pokoju babci Mac, zatrzaskując za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko i rozplakała się ze złości i żalu. Tak długo powstrzymywała łzy, że już prawie nie wiedziały, po co istnieją.

- No, no - uspokajała ją babcia Mac. - No, no. - Nie próbowała powstrzymywać łez wnuczki. Cieszyła się, że wreszcie popłynęły.

- Henry mnie nienawidzi - szlochała Esme. - Ciagle coś go obsikuje. To nie moja wina. Życie jest takie ciężkie. A Jemima odebrała mi to, co mi się należało.

- Och, Esme - westchnęła babka. - Jak możesz być tak ślepa?

- Muszę być ślepa - płakała Esme. - Gdybym nagle otworzyła oczy i zaczęła wszystko widzieć, umarłabym.

- Cóż, jeśli masz zamknięte oczy, trudno to uznać za życie - zauważyła babcia Mac. - Wymów jego imię, Esme. Po prostu powiedz na głos imię tego siusiumajtka.

- Nie mogę - zawodziła Esme. - Po prostu nie mogę. Nie mogę o nim myśleć, nie mogę o nim słuchać, nie mogę o nim mówić. Po prostu nie mogę. Och, babciu Mac, co mam zrobić? Wszystko jest takie pogmatwane. Wydaje mi się, że to akurat najgorszy moment, żeby spotkać Louisa. Co się ze mną stanie? I z Pogiem? I Rorym? Co się stanie z nami wszystkimi?

- Och, to nie jest taki najgorszy moment - powiedziała uspokajająco babcia Mac.

- Jak możesz tak mówić?

- Powiedz, czy ponowne spotkanie z tym Francuzem poprawiło ci nastrój czy też pogorszyło? - spytała babcia Mac.

- A co to ma do rzeczy?

- Odpowiedz mi, Esme. Poprawiło czy pogorszyło? Esme zamknęła oczy i starała się zapanować nad płaczem, by się zastanowić, jak odpowiedzieć szczerze na to pytanie.

- Wczoraj było mi dobrze - przyznała się. - Ale dzisiaj jest zdecydowanie źle.

- A wiesz, dlaczego było ci dobrze? - ciągnęła ją za język babka.

- Ponieważ sprawił - odpowiedziała Esme - że poczułam się jak dziewczyna, którą byłam kiedyś.

- Cóż - zauważyła delikatnie babcia Mac. - Może w końcu coś osiągniemy.

Na górze zadzwonił telefon. Esme wytarła oczy i wbiegła po schodach. Była zadowolona, że wścibskiej babce nie udało się zacząć grzebać w odległej i nie tak odległej przeszłości, bo wciąż sprawiało jej to ból.

Dzwonił Charlie, też chcąc trochę poniuchać.

- Czy wciąż jest taki cudowny? - próbował ją podpytywać. - Czy nadal jest taki seksowny? Czy cię podniecił, moja droga?

- Co się z wami wszystkimi dzieje? - wybuchnęła Esme. - Dlaczego wszyscy chcecie o tym wiedzieć?

Charlie nie krył zaskoczenia.

- Kto jeszcze chce wiedzieć? Powiedziałaś Pogowi? - spytał. - Myślałem, że zatrzymasz tę swoją randkę w tajemnicy, Es.

- Nikt - zapewniła go. - Nie zatrzymałam. I to nie była żadna randka.

- Cóż, cokolwiek to było, założę się, że ubarwiło twoje życie, nieprawdaż? - Charlie, niezrażony, wypytywał ją o szczegóły. - Czy przypominałaś sobie dawne chwile w piekarni?

- Louis powiedział, że tamtego wieczoru, kiedy wyjechałam z Venolat, przyszedł mnie szukać - powiedziała mu Esme. - Nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

Zapanowało niezręczne milczenie.

- Cóż, czemu miałbym ci o tym mówić, Es? Zresztą, czy by to coś zmieniło? Przez to nie stał się przecież kawalerem.

- Nie, ale gdybym to wiedziała, nie spędziłabym ostatnich piętnastu lat, myśląc, że był całkowitym i skończonym gnojkiem, którego guzik obchodziłam. Bo się okazuje, że jednak go obchodziłam.

- Hola, staruszko.

- Wiedziałaś, że przyjechał do St John's Wood, by mnie odnaleźć, i poddał się dopiero po tygodniu poszukiwań?

- Czyżby? - spytał Charlie i chrząknął. - Uważasz, że to prawda?

- Dlaczego nie miałyby to być prawda? - zaatakowała go Esme. - Jaki byłby sens kłamać po tylu latach?

- Cóż, nie wiem - odrzekł Charlie, nieco zakłopotany. - Nie należał do najbardziej godnych zaufania ludzi na świecie, prawda?

- Jesteś tak cholernie cyniczny, Charlie - ze złością zarzuciła mu Esme. - A on kieruje się w życiu bardziej niezłomnymi zasadami niż ty i ja. Nadal nie korzysta z pieniędzy rodziców i uczy ludzi, jak piec chleb na zakwasie. Chodzi mi o to, że nie można tego powiedzieć o nas, prawda? Ty masz w nosie swoją karierę, a ja nawet nie pracuję zawodowo.

- Uspokój się, Esme. - Charlie też był lekko wytrącony z równowagi. - To tylko przypadkowe spotkanie. Przecież nie zamierzasz z nim uciec. Na te słowa Esme aż przeszedł dreszcz.

- Prawdę mówiąc - poinformowała go - mogłabym z nim uciec, gdybym chciała. Już nie jest żonaty, nie mieszka z dziećmi, podróżuje po świecie, robiąc najpyszniejszy chleb pod słońcem. To z całą pewnością kusząca propozycja dla kogoś, kto stoi po kostki w oślich sikach i wyrzuca sobie, że jest wyrodną matką.

- Essie. - Niepokój Charliego był teraz wyraźny. - Dobrze się czujesz? Myślałem, że obiad z Louistem będzie miłą, podnoszącą na duchu niespodzianką, a nie wsadzaniem kija w mrowisko.

- No cóż, obiad z tobą mógłby mnie podnieść na duchu, ale tamto rozpełtało całą...

Tak się przestraszyła, czując czyjeś usta na karku, że aż ją przeszły ciarki po plecach. Zaniemówiła z wrażenia.

- Co takiego rozpełtało? - spytał stojący za nią Pog, zanim podszedł do kuchenki, by nastawić wodę na herbatę. - Brzmi interesująco. Rozmawiasz z Alice? - Widocznie przyszedł do domu na obiad i nie usłyszała jego kroków na schodach.

- Muszę kończyć - rzuciła Esme do słuchawki. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że okłamuje męża. - Zadzwoń do ciebie później.

Pog klapnął przy kuchennym stole i uśmiechnął się do niej. Serce Esme przepełniały tkliwość i poczucie winy. Co,

u diabła, się z nią dzieje? Może ich miłość, jej i Poga, nie była romansiem stulecia, ale Esme nigdy, ani przez chwilę nie wątpiła, że bardzo ją kochał. Widziała to teraz w jego spojrzeniu, chociaż miał worki pod oczami i wisiała między nimi cienka zasłona spraw, o których nigdy nie rozmawiali. Usiadła naprzeciwko niego.

- Czy wszystko w porządku? - spytała go.

- Tak - odpowiedział, ale odniosła wrażenie, że jego uśmiech jest wymuszony. - Chociaż mój ojciec robi przed domem coś bardzo dziwnego i zdaje mi się, że widziałem jakieś kulawe stworzenie.

Esme przewróciła oczami.

- Lepiej nie pytaj - poradziła mu. Serce jej waliło, kiedy się zastanawiała, co czuje do tego wspaniałego człowieka, i zachodziła w głowę, jak w jej umyśle mogło się jeszcze znaleźć miejsce na Louisa.

- Pomyślałem sobie, że dziś po południu mógłbym pojechać do Stonyborough - powiedział Pog - i rozejrzeć się za jakąś dodatkową pracą. Może znajdę coś ambitniejszego. Pani Murphy tak pstryka długopisem, że boję się, że zrobię jej krzywdę, więc doszedłem do wniosku, że lepiej, jeśli na pewien czas wymknę się z biura. Zdaje się, że ten rozsypujący się, stary pub przy końcu High Street jest na sprzedaż. Ten, kto go kupi, może szukać takiego wybitnego architekta, jak ja. Nie uważasz?

Kiedyś, gdy mieszkali w Londynie, na myśl o tym, że Pog mógłby się przechadzać głównymi ulicami miasta w poszukiwaniu pracy przy remontach, obydwójce roześmialiby się drwiąco, popijając chardonnay. Czy było warto? Czy zrobili właściwy ruch?

- A co z renowacją Seabury? Kiedy będziesz coś o tym wiedział? - spytała.

Pog zrobił zdumioną minę i Esme przypomniała sobie, że już otrzymał wiadomość. Bardzo się zawstydziła, że była tak bardzo pochłonięta sobą i nie miała czasu pomyśleć

O mężu. Wstała, podeszła i przytuliła się do niego. Całowała jego głowę i wdychała zapach włosów, pachnących nim.

- Och, najdroższy - ucieszyła się. - Dostałeś to zlecenie? Moje gratulacje. Tak mi wstyd. To wspaniała wiadomość. Kiedy się dowiedziałeś?

- Och, całkiem niedawno - odrzekł pogodnie. - Nie przejmuj się tym. To drobiazg.

Nie była to prawda i oboje o tym wiedzieli. Ale które z nich pierwsze otworzy puszkę Pandory kryjącą to, co było naprawdę ważne? Pog, przypomniawszy sobie smutną buzię i pytający wzrok Rory'ego kilka dni temu w łódce na Meare, nagle zdobył się na odwagę i pod wpływem chwili postanowił przynajmniej wyłamać zamek.

- Esme - zaczął. - Zastanawiałem się...

- Nad czym?

- Nad zwróceniem się o pomoc do terapeuty.

- Naprawdę? - spytała lekko, ale aż zeszywniała. - Dla kogo?

Dla nas, chciał powiedzieć Pog. Dla ciebie, dla mnie i naszych dwóch kochanych chłopców. Spojrzał na żonę, na jej wyprostowane ramiona.

- Esme - odezwał się cicho. - Nie możemy tak dłużej żyć.

- To znaczy jak? - szepnęła.

- Jak dwoje normalnych ludzi, wiecznie chodzących na paluszkach wokół wielkiej, głębokiej kałuży, którzy nie chcą do niej wejść ze strachu, że utoną.

- Nie - powiedziała błagalnie. - Proszę, Pog, nie.

- Brakuje mi go, Esme - wyznał Pog i głos mu uwiązł w krtani. - Chcę o nim rozmawiać.

Spodziewał się, że ucieknie, ale nie zrobiła tego. Stała sztywno i nieruchomo, patrząc prosto na niego.

- Nie jestem jeszcze gotowa - wyszeptała w końcu ledwo słyszalnie.

- Ale ja jestem - powiedział Pog, a jego głos znów stał się silny. - Ja jestem.

- W takim razie ty o nim pomów - odparła. - Ty zwróć się o pomoc do terapeuty.

Wyglądała na taką wystraszoną, samotną, małą i zagubioną, że Poga opuściła odwaga.

- Przepraszam - powiedział, kręcąc głową. - Nie chciałem cię zdenerwować. Proszę, zapomnij, że o tym wspomniałem.

Nadal stała sztywno, twarz miała nieruchomą ze strachu. Pog poczuł się jak skończony okrutnik. Wiedział, że Esme nie była gotowa. Ale tak jak Rory, zastanawiał się, jak długo będą jeszcze musieli wszyscy czekać.

No cóż, po dwóch latach omijania kałuży obydwój nabrali w tym wprawy.

- Czy mogę liczyć na jakąś kanapkę? - spytał, porzucając okropny temat, i patrzył, jak Esme stopniowo się odprężyła. Od śniadania zdążył już zjeść torebkę chipsów i dwa pączki, ale w kuchni unosił się słodki zapach świeżo upieczonego chleba. A jeśli było coś, co mogło przywrócić Esme dawny spokój ducha i sprawić, by zapomniała o nieudanej próbie Poga nakłonienia jej do otrząśnięcia się z koszmaru, to tylko kromka świeżo upieczonego chleba.

Na twarzy żony pojawił się wyraz ulgi. Esme zerwała się i wyciągnęła nóż do pieczywa.

Nie była jeszcze gotowa, ale ta chwila się zbliżała. Wiedział o tym. Bardzo się niepokoił o Esme podczas owych tygodni, kiedy przestała piec chleb, ale odkąd znów zaczęła to robić, był pewien, że trochę się otrząsnęła. Bez tego wczesnoporannego rytuału życie w Domu w Chmurach wydawało się nie do zniesienia. Bez pieczenia chleba przez Esme Pogowi trudno było uważać ten dziwaczny budynek za własny dom. Właściwie każdy zwyczaj, od składania prania, przez płacenie rachunków do szybkiego bzykanka rodził się stopniowo i stanowił część całego procesu. Kiedy Esme przestała piec chleb, wszystko wydawało się nie takie, jak należy.

Dzięki temu, że robiła dżemy, chutneye i przetwory, nie leżała cały dzień w łóżku - babcia Mac ostrzegła go, że tak się może stać - lecz nie wkładała serca w to, co robiła. Serce wkładała tylko w pieczenie chleba na zakwasie. Ale w końcu, po tych kilku posępnych tygodniach, znów zaczęła go piec i Pog poczuł ogromną ulgę, ponieważ zapowiadało to początek powrotu do normalności, jeśli życie w Domu w Chmurach kiedykolwiek będzie można uznać za normalne. Po raz pierwszy czuł, że postąpił słusznie, dbając o zakwas, chociaż Esme się zarzekała, że już nigdy więcej nie będzie jej potrzebny.

Nie bulgotał i nie burzył się tak, jak wtedy, kiedy Esme go dopieszczała, ale miał ostry, octowy zapach i nie kręcił nosem na mąkę i wodę, którymi Pog go karmił.

A kiedy, kto wie z jakiego powodu - czy Esme kiedykolwiek mu powie? Czy kiedyś się dowie? - wróciła do pieczenia chleba, o co się modlił, znów powstał idealny *boule* i znów było tak, jak dawniej. Chociaż odkąd Esme wróciła do pieczenia chleba, zachowywała się trochę osobliwie. Lecz przecież właśnie to osobliwe zachowanie tak go w niej kiedyś pociągało.

Zauważył ją w drugim końcu sali: wyglądała jak kolorowa tratwa ratunkowa w morzu ubranych na czarno architektów. Włosy miała spięte na czubku głowy, rude loki przypominały dziwaczną fontannę, opadającą na ramiona i plecy. Ubrana była w cytrynowozieloną górę, opinającą jej krągłości, i szeroką, czarną spódnicę. Na nogach miała czerwone platformy, na plecach mikroskopijny plecaczek z czerwonej skóry. Brała z tacy tartinki z wędzonym łososiem. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że z niektórych rozmiękłych krakersów zdejmuje kapary, przekłada je na inne krakersy, a następnie wsadza je sobie do ust.

- Idealnie do siebie pasujemy - zwrócił się do niej przez bufet, sięgając po tartinkę bez kaparów. - Ja nie przepadam za tymi małymi, zielonymi kuleczkami.

Spojrzała na niego wielkimi, szmaragdowymi oczami, lekko spłoszona, że ktoś ją na tym przyłapał, a Pog z miejsca się w niej zakochał.

Wyglądała jak upadły anioł.

Kiedy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, rumieniec zalał jej szyję, a potem twarz. Gdy jednak sobie przypomniała, że nadal ma pełną buzię jedzenia, znów je zamknęła. Pog zapragnął porwać ją w ramiona i jak się wkrótce okazało, niebawem mniej więcej to zrobił. Kapary w ustach Esme, zdezorientowane tym, że ich podróż do żołądka została zakłócona, trafiły nie w tę dziurkę. Esme się zakrztusiła.

Wtedy Pog rzucił się jej na pomoc. Błyskawicznie okrążył stół, objął ją od tyłu, czując, jak sprzączka plecaczka wpija mu się w brzuch, i ścisnął ją tak mocno, że przeżute bliny z kwaśną śmietaną wraz z niedokładnie pogryzionymi kaparami wyleciały jej z ust. Patrzyli okrągłymi oczami, jak kremowa gruda poleciała z powrotem na stół-bufet i wylądowała w samym środku talerza z kulkami z sera i orzechów włoskich.

Zanim którekolwiek z nich zdołało cokolwiek zrobić, ręka należąca do bardzo grubego przewodniczącego jury, który stał tuż obok stołu, zanudzając ładną, młodą żonę architekta opowieściami o swoich przygodach w Cotswolds, sięgnęła po zwróconą przez Esme przekąskę. Nie patrząc na nią, wsadził ją sobie do zaślinionych ust.

Pog znieruchomiał z fascynacji, Esme - z przerażenia. Jednak nikt niczego nie zauważył. Tłusty sędzia tylko oblizał sobie palce i sięgnął po następną przekąskę.

- Uważam, że powinniśmy się pobrać - powiedział Pog, kiedy odzyskał mowę, i wyciągnął rękę, żeby się przedstawić. - Nazywam się Hugo Stack.

- Esme MacDougall - odezwała się Esme. - Uważam, że powinniśmy się zdecydować na tradycyjne przyjęcie weselne. Szwedzki stół może być niebezpieczny. Do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Pierwszą noc spędzili, rozmawiając, śmiejąc się i oglądając stare filmy z Peterem Sellersem. Następnego dnia poszli do Kew Gardens, potem wstąpili do River Café, by coś zjeść - ubóstwia! obserwować ją, gdy jadła! - do późna słuchali jazzu, a rano zaprowadziła go do domu i poczęstowała chlebem na zakwasie własnej roboty. Siedząc w przytulnym, małym mieszkanku nad talerzem zupy fasolowej z pesto i ze swoją pierwszą w życiu, grubą na dwa palce pajdą *pain au levain*, Pog poczuł się tak, jakby w końcu znalazł brakujący fragment rozsypanej układanki.

Od tamtej pory każda minuta bez niej była minutą straconą. Co rano, kiedy się obudził, dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie i wdychał zapach Esme, leżącej obok niego. Bez niej był jak zwietrzała lemoniada, mdły i bez smaku. Ona była źródłem bąbelków, dzięki którym życie nabierało barw.

Od samego początku często ogarniały go wątpliwości, czy jest dla niej wystarczająco interesujący, czy jest jej wart, chociaż Esme zbywała te uwagi śmiechem jako zupełnie absurdalne.

- Wiesz, że noszenie beżowych sztruksów to nie największe przestępstwo na świecie - powiedziała w pierwszych dniach ich znajomości.

- Noszenie sztruksów to przestępstwo? - zapytał ją z rozbawieniem Pog. - Skąd mam wiedzieć o takich rzeczach?

Od samego początku pokochał też babcię Mac. Była dokładnym przeciwieństwem wszystkich członków jego rodziny. Mówiła bez ogródek, co myśli, odznaczała się nienasyconą ciekawością i była bezpośrednia w stopniu graniczącym z bezczelnością. Kochał ją za to, a ona kochała jego. Uznała, że jest idealnym mężczyzną dla Esme, i powiedziała mu to po pierwszej minucie ich znajomości. Esme, która co chwilę się rumieniła, tylko się uśmiechnęła, a potem roześmiała na głos, wcale niez mieszana. Więż między nimi obie-

ma wzbudziła podziw Poga - automatycznie włączały do swego kręgu każdego, kogo pokochała jedna z nich.

Pog, który wiedział, że ojciec i matka go kochają, jednak przez całe życie się zastanawiał, czy go lubią, przekonał się, że wizyty w mieszkaniu pań MacDougall w St John's Wood są nieprawdopodobnie pokrzepiające. Henry i Grace byli dobrymi, ale mało wylewnymi rodzicami. Milo i Pog zostali posłani do szkół z internatem, kiedy mieli siedem lat, i od tamtej pory żaden z nich nie mieszkał na stałe w domu rodzinnym. Odwiedziny, i te krótkie, i te dłuższe, były przyjemne, lecz sztywne. Uczuć się nie okazywało ani się o nich nie mówiło. Rozmowy obracały się wokół pracy Henry'ego, ogrodu Grace, przyszłości chłopców, pogody. Tymczasem u babci Mac emocje biegały samopas, a małe, przytulne pokoje rozbrzmiewały śmiechem i piosenkami Roda Stewarta. Tutaj Pog nigdy nie musiał się zastanawiać, co kto czuje, bo po prostu to wiedział. Było to jasne jak słońce. A ponieważ Pog nigdy nie lubił nad tym rozmyślać, taka wiedza wywołała u niego błogą ulgę.

Ugryzł chleb i poczuł, jak miąższ poddaje się jego językowi, ostry smak dżemu morelowego uderzył podniebienie, a twarda skórka chleba napotkała opór ze strony zębów. Ile zadowolenia daje jedzenie, pomyślał Pog. Przyglądał się żonie, obserwującej go, gdy jadł obiad. Czuł radość i rozpacz, ale był przyzwyczajony do tej kombinacji. Otarł z twarzy okruszki, pocałował Esme na pożegnanie i poszedł do pracy.

Esme też czuła radość i rozpacz, z tych samych powodów co Pog, i z zupełnie innych. Nie dawało jej spokoju to, co powiedział, a także co powiedziała babcia Mac. Serce jej się ścisnęło, kiedy odtwarzała w myślach przebieg wczorajszego obiadu. Czy naprawdę w kółko pytała Louisa, dlaczego złamał jej serce? Czemu to zrobiła? Krzywda została wyrządzona bardzo dawno i niczego się nie zyska, wracając do przeszłości. Ostatecznie terażniejszość była wystarczająco zagmatwana.

Dwa razy podeszła do sznura do bielizny, nim sobie przypomniała, że kosz pełen prania stoi na kuchennym stole, a potem podarła swoje ulubione rajstopy o okropny gargu-lec, który był przy drzwiach frontowych, kiedy kupili dom, a Pog bał się go wyrzucić, by ich potem nie straszył po nocach. Ha! Akurat, pomyślała, patrząc spode łba na to szkaradzieństwo.

Jakby jeszcze tego było mało, Rory powitał ją w przedszkolu zmęczony, naburmuszony i obrażony na cały świat.

- Nienawidzę tych butów - to pierwsze, co powiedział na jej widok. - Są okropne. Chcę do dziadka. - Esme uśmiechnęła się blado do pani Monk, która z kolei spojrzała pobłażliwie na Rory'ego, jakby właśnie powiedział coś najmądrzejszego na świecie.

Pani Monk nosiła zniszczone, brązowe, sznurowane trzewiki ze zdartymi zelówkami, podkreślające jej grube w kostkach nogi. Natomiast Esme włożyła buty od Louisa Vuittona, kupione z przeceny w Londynie kilka zim temu. Esme kochała je całym sercem.

- Cóż, to ulubione buty mamusi - wyjaśniła synkowi łagodniej, niż miała ochotę, krzywiąc się wewnętrznie na widok gniewnej miny na jego okrągłej, dziecinnej buzi. - Myślę, że to się liczy.

- Inne mamy noszą normalne damskie buty, Esme - zauważył Rory i posypał ranę solą, szukając wsparcia u wychowawczyni. - Prawda, pani Monk?

Złośliwy uśmieszek sprawił, że na i tak już pomarszczonej twarzy starej jędzy pojawił się kolejny legion zmarszczek.

- Cóż, są ludzie i ludziska, Rory, jak to się mówi -oświadczyła pani Monk. -1 jestem pewna, że twoja mamusia ma w domu inne buty, które może jutro włoży.

Co za tupet ma ta kobieta, pomyślała Esme. Była zbyt wzburzona, by wymyślić ripostę, przez którą nie zostałaby wypędzona z miasta przez dobre chrześcijanki.

- Chodź, kochanie - zwróciła się do synka i wyciągnęła do niego rękę.
- Idź sobie. Mogę wrócić sam - powiedział ze złością Rory i ruszył w stronę domu, czym zyskał sobie kolejne aprobujące spojrzenie swojej nauczycielki.

Esme stwierdziła, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. Była pewna, że wybuchnie, jeśli w jej stronę zostanie wypuszczona jeszcze jedna ostra strzała.

Rory, ku ogromnej uldze Esme, niezmiernie się ucieszył na widok osła ze sztywną nogą. Rzucił torbę na ziemię, jego buzia się rozpogodziła. Wraz z dziadkiem poszli obejrzeć odchody zwierzęcia, zapewne by sprawdzić, czy nie ma w nich robaków.

Rozdział trzynasty

- Co ty, u diabła, kombinujesz? - rzuciła Alice do słuchawki w niedzielny rano.

Esme wyglądała przez okno na chmury przepływające na wysokości jej oczu. Dzień był smutny, ona też miała kiepski nastrój.

- Nic - odpowiedziała przyjaciółce. - Tylko piórę, froteruję schody, ścielę łóżka, duszę jabłka, znowu froteruję schody, zajmuję się osłem, staram się nie udusić własnego syna, znowu froteruję schody. Przedstawiłam ci zarys sytuacji.

- Wygląda to znacznie bardziej interesująco, kiedy pisze na ten temat Jemima - zauważyła Alice, szeleszcząc niedzielnym wydaniem „Sunday Times” tak głośno, jak tylko mogła, przytrzymując słuchawkę brodą. - Nie zdawałam sobie sprawy, że nadal jest na ciebie tak bardzo cięta. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Jemima? - Esme nie kryła rozbawienia. - A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nic, jedynie występujesz w jej dzisiejszym felietonie, Esme. I do tego w technikolorze.

W nawale myśli, które kłębiły jej się w głowie po obiedzie z Louistem, Esme kompletnie zapomniała o spotkaniu z Jemimą.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - spytała przyjaciółkę

i nagle rozbawienie ustąpiło miejsca strachowi. Miała wrażenie, że zawartość jej żołądka ześlizgnęła się pięć pięter niżej i wylądowała na zimnych kamieniach na parterze, daleko w dole.

- *W samym s'rodku tygodnia zobaczyłam lekko rozczochraną byłą redaktorkę „Fag Mag” - przeczytała Alice - sączącą samotnie koktajl z szampana w barze eleganckiej restauracji Orrery przy Marylebone Street.*

- O, mój Boże! - westchnęła Esme.

- To jeszcze nic - odrzekła Alice i kontynuowała lekturę. - *Smutny, mały rudzielec bez przyjaciół od kilku lat ukrywa się w zabitej deskami wsi w Suffolk, ale widocznie musi czasami podnieść głowę, żeby zaczerpnąć powietrza i pociągnąć łyk tattingera, lecz czyż można kogoś za to potępiać?* - Urwała, żeby usłyszeć, jak na to zareaguje Esme, ale w słuchawce zapadła cisza. Esme z wrażenia straciła mowę. - *Nie spodziewałaś się czegoś takiego?* - spytała Alice. - *A niech mnie. Lepiej przygotuj się na kolejny kawałek, Es.*

Na początku rozmowy była wyraźnie obrażona, że przyjaciółka nie powiedziała jej nic o swojej eskapadzie do Londynu, ale teraz już jej przeszedł zły humor. Zabiegać o to, by o człowieku napisano w niedzielnej gazecie, to jedno, ale trafić tam bez swojej wiedzy to zupełnie co innego.

- *Wszystkie te ciepłe jasne piwa i paszteciki z mięsem, pochłaniane w miejscowym pubie - czytała Alice tak szybko, jak tylko mogła - najwyraźniej nie służą zachowaniu dziewczęcej talii. Nic dziwnego, że ta niegdyś wschodząca gwiazda londyńskiej sceny wydawniczej musi od czasu do czasu wymykać się do wielkiego miasta. A jeśli niektóre z was zachodzą w głowę, nad czym pracuje to czupiradło, odpowiadam: nad książką o spinkach do włosów. Mój Boże, skąd ona bierze te brednie? Nie wiem, gdzie prowadzi badania, ale z całą pewnością nie na własnej głowie. Przekonałam się, że na prowincji nadal nic nie zagraża ugruntowanej pozycji trwałej ondulacji!* A na wypadek gdybyś nie była pewna, z jakim

sarkazmem pisze o tym Jemima, zakończyła zdanie wykrzyknikiem. - Alice w końcu zamilkła. - Jesteś tam wciąż, Es?

Esme była zbyt zdruzgotana, by coś powiedzieć. Jak ta kreatura mogła ją tak upokorzyć? Co ona zrobiła Jemimie?

- Nazwała mnie rudzielcem bez przyjaciół? - To wszystko, co w końcu udało jej się wykrztusić.

- No więc jak, siedziałaś tam samiuteńka, sącząc szampana, czy nie? - zapytała ją Alice. - A jeśli tak, to dlaczego mnie nie poprosiłaś, żebym przyszła?

- Miałam zjeść obiad z Charliem - wyjaśniła Esme. Usta pobladły jej z przerażenia. - Ale nie przyszedł. Napisała, że jestem gruba? Czy ten kawałek o pasztecikach z mięsem ma sugerować, że jestem gruba? Bo jeśli twierdzi, że jestem gruba, to chyba naprawdę ją zabije.

- Myślisz, że to gorsze od nazwania cię „niegdyś wschodzącą gwiazdą”? - chciała wiedzieć Alice. - Kiedy to właśnie ona przyczyniła się do tego, że twoja gwiazda zgasła. Masz jednak rację. Jest podła i trzeba ją zniszczyć. I myślę, że napisała, że jesteś gruba, chociaż to oczywiste kłamstwo.

Esme opadła na krzesło, starając się ocenić, co jej może grozić w związku z tym, że Jemima ją obsmarowała w felietonie. Po pierwsze, ani jej mąż, ani nawet najlepsza przyjaciółka nie mieli pojęcia, że tamtego dnia umówiła się z Charliem na obiad. Wiedziała, że powinna o tym powiedzieć Pogowi, ale nie zrobiła tego, potem zaś było już za późno. Nie potrafiła przedstawić spotkania z Louisem jako niewinnej pogawędki, chociaż tak właśnie było, więc przemilczała, co robiła tamtego dnia. Gdyby natomiast opowiedziała Alice, że spotkała Louisa, to przyznałaby się jej też, że zaproponował jej drugie spotkanie, a przyjaciółka poradziłaby jej, żeby się nie wygłupiała. Chyba więc podświadomie próbowała tego uniknąć.

- Och, Alice! - rzuciła do słuchawki. - Co ja mam zrobić? Pog nie wie, że tamtego dnia pojechałam do Londynu,

ani - o, mój Boże - Henry! Wyciągną błędne wnioski. Jak ona śmiała mnie nazwać smutnym małym rudzielcem! Czy naprawdę nazwała mnie smutnym małym rudzielcem? I czupiradłem? To zbyt okropne, żeby o tym mówić. Nagle ze słuchawki powiało chłodem.

- Nie powiedziałaś Pogowi? Co się dzieje? Jakie znów błędne wnioski mogą wyciągnąć?

- Nie. Nic. Żadne - pospiesznie zapewniła ją Esme. - Absolutnie nic się nie dzieje. Po prostu głupio, bez żadnego powodu, nie powiedziałam Pogowi. Znasz jego stosunek do Charliego. Pog najprawdopodobniej darzy go najmniejszą sympatią ze wszystkich znanych sobie osób, co w gruncie rzeczy niewiele znaczy, ponieważ i tak generalnie go lubi i w ogóle. Ale, cholera, Alice, wiesz, w jakim jestem teraz stanie. Nie zataiłam tego przed Pogiem celowo. Nie chciałam tego. A teraz stałam się obiektem drwin dla tej, tej, tej... - Starła się znaleźć jakieś celne określenie.

- Gnidy? - podpowiedziała jej Alice.

- Tak, gnidy. Tego już za wiele. Czuję, że tego już za wiele.

- Nikt się nie zorientuje, że chodzi o ciebie - oświadczyła z mocą Alice, postanawiając podtrzymać Esme na duchu. - Zresztą, Pog nie czyta niedzielnego wydania „Sun-day Times”, a Henry'ego nie interesują felietony Jemimy. Mówiąc szczerze, powinnaś być wdzięczna, że nie odwiedziła cię w domu. Powinnaś usłyszeć, co miała do powiedzenia po wizycie u Primrose Beckwith-Stuyvesant.

- Naprawdę? - zapytała Esme bez entuzjazmu. Własne problemy wydały jej się zbyt wielkie i skomplikowane, by przejmować się zmartwieniami innych.

- Posłuchaj tylko - zaczęła Alice. - Pisze o tym zaraz po tym kawałku, poświęconym tobie: *Słyszałam, że biedna, droga Primrose postanowiła sama się zająć wystrojem wnętrz, ale nikt mnie nie przygotował na to, że jest taką kompletną igno-rantką, nie mówiąc już o tym, że jest zupełnie pozbawiona gustu. Można pomyśleć, że ktoś, kto nosi takie nazwisko, jak*

Primrose, odróżnia brąz od karmelowego, prawda? I kanarkowy od seledynu? Albo wściekły róż od bordo? Tak czy owak, jestem pewna, że gdzieś w Maroku jakiś właściciel drugorzędnej burdelu z lat siedemdziesiątych zachodzi w głowę, co się stało z całym wyposażeniem jego przybytku uciech. Spróbuj poszukać w Belgravia, Ahmed! Dobrze ci radzę. Główną bohaterką wieczoru miała być Juniper Smythe, siostrzenica męża gospodyni, która ostatnio ogłosiła swoje zaręczyny z królem PR, Lance'em Silverspoonem, ale, szczerze mówiąc, trudno było dostrzec biedną dziewczynę w zalewie bibelotów, jakie się znalazły w salonie Primrose. Miejmy nadzieję, że ślub odbędzie się w miejscu urządzonym bardziej powściągliwie. Na przykład w świetlicy miejscowego przedszkola.

Esme na chwilę zapomniała o własnym nieszczęściu, tak bardzo współczuła biednej Primrose.

- Co z niej za suka - pomstowała, zdumiona aż taką złośliwością Jemimy. Cóż takiego zrobiła biedna Primrose, by sobie zasłużyć na taką publiczną chłostę? - To przypomina najgorszy koszmar.

- W takim razie nie przeczytam ci fragmentu o pierwszym recitalu fortepianowym małej Marie Claire - oświadczyła Alice - ponieważ mogłabyś od tego dostać wrzodów dwunastnicy. A w porównaniu z biedną Primrose naprawdę tak źle nie wypadłaś.

- Nie, jestem tylko grubą, samotną babą, która ma rude włosy, wyglądające jak po trwałej, chociaż to jawne kłamstwo - powiedziała Esme.

- Bóg wie, skąd wzięła tę historyjkę o spinkach do włosów. Ta kobieta najwyraźniej do reszty straciła rozum. Po co zmyślać takie rzeczy?

- Tak. No cóż... - Esme chrząknęła. - Spotkałyśmy się w barze w Orrery i odbyłyśmy bardzo miłą rozmowę. Prawdę mówiąc, nawet postawiła mi drinka, a raczej zrobili to pampersi z telewizji, którzy jej nadskakiwali,. Zresztą wcale nie mieli ochoty zapłacić za mój koktajl. O, Boże, ależ to

życie jest zafajdane! - W głowie kłębiły jej się myśli o barze, restauracji i Louisie.

- Tylko mi nie mów, że będzie miała swój własny program telewizyjny - pisnęła Alice. - Bo jeśli zostanie gospodynią programu telewizyjnego, nie będziesz musiała jej zabijać, ponieważ ja cię wyręcę. Dobrze wyglądała?

- Olśniewająco - odpowiedziała głucho Esme. - Jej twarz trochę przypomina maskę, ale Jemima jest bardzo wysoka, szczupła, ma blond włosy i...

- Ridge! - Alice zasłoniła ręką słuchawkę i krzyknęła do swojego syna: - Ridge, zaczekaj chwilę! Esme, muszę kończyć. Właśnie przyszedł Ridge, a nie widziałam go od trzech dni. Zaczekaj - zwróciła się do niego. - Zadzwoń do ciebie później - rzuciła do Esme - żeby ci opowiedzieć o Ormianinie z trzema brodawkami sutkowymi. Ohyda! Nie martw się. Jeszcze o tym porozmawiamy. Ridge! - i się rozłączyła.

Przez resztę niedzieli Esme była tak bliska łez albo załamania nerwowego, albo wyznania wszystkiego Pogowi (choć powtarzała sobie, że przecież naprawdę nic nie zrobiła), że mąż o wpół do ósmej położył ją do łóżka, jak królik Peter, z filiżanką herbatki z rumianku. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, Esme zamierało serce, a żołądek podchodził jej do samego gardła.

Następnego dnia w kieracie codziennych zajęć tylko czekała, że mąż wpadnie jak burza do domu, wymachując gazetą i krzycząc: „Co to ma znaczyć, ty lafiryndo?”, czego oczywiście nie zrobił. Pog nie miał wybuchowego charakteru, a poza tym Dom w Chmurach prawdopodobnie nie był idealnym miejscem, do którego można wpaść jak burza. Jeśli po pokonaniu pięciu pięter człowiek nadal miał siłę wrzeszczeć i się złościć, to najprawdopodobniej nie był to ktoś, kto lubi płatki kukurydziane z mleczkiem czekoladowym i woli razem z żoną jeść chleb domowego wypieku, niż oglądać z kumplami mecz piłki nożnej.

Następnego dnia po południu Esme zaczęła się uspokajać i myśleć, że może Alice miała rację i prawdopodobnie nikt nigdy się nie dowie, że Jemima pisała o niej. Chociaż właściwie nie miała się czego wstydzić i mogła nadal chodzić z podniesionym czołem.

Pod koniec dnia jednak jej ulga przemieniła się w coś w rodzaju rozżalenia. Posunęła się nawet do tego, by poprosić Alice o przefaksowanie felietonu Jemimy - sama celowo nie kupiła gazety - żeby mogła go przeczytać babci Mac, kiedy „I Was Only Joking” przestanie wszystko zagłuszać.

- To przekomiczne. - Babka wybuchnęła śmiechem. - Och, nie brak jej tupetu. Rudzielec bez przyjaciół! Nie słyszałam tego wcześniej, Esme. Dawno się tak nie uśmieiałam. Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Och, przeczytaj to jeszcze raz, dobrze?

- Nie! - zawołała z oburzeniem Esme. - To wcale nie jest śmieszne, tylko okropne. Upokorzyła mnie!

- Przed kim? - spytała babcia Mac. - Jak słusznie zauważyła Alice, nikt nigdy się nie dowie, że chodzi o ciebie. Śmiem twierdzić, że w pierwszym odruchu większość ludzi uzna, że „Fag Mag” to jakieś pisemko dla pedałów, a nie palaczy cygar. I kto sobie pomyśli, że w środku dnia mogłabyś sama siedzieć w luksusowym barze przy Marylebone, sącząc koktajl? Nikt, moja droga. To śmieszne przypuszczenie.

Babcia Mac jak zwykle trafiła w sedno. Kto mógłby pomyśleć, że Esme w środku dnia siedziała sama w luksusowym barze przy Marylebone, sącząc koktajl?

Nikt. Ot, kto. To śmieszne przypuszczenie. Oni, kimkolwiek są, cały czas wyobrażają sobie, że biega tam i z powrotem po schodach w swoim ustroniu na wsi, z głową w chmurach jak reszta jej domu. Wyobrażają sobie, że unieruchamia złamaną nogę osła, doi ślepą kozę, próbuje okiełznać szalone pszczoły, stara się przypodobać teściowi, dyskutuje

z krnąbrnym synem albo obdarza zgrabne, krągłe, brązowe bochenki chleba tym, co zostało z jej miłości i dawnego pożądania, nie dopuszczając do siebie myśli o tragedii, o której nadal nie potrafi mówić.

- Nie zawsze było to śmieszne przypuszczenie - przypomniała babce.
- Kiedyś nikt by się nie zdziwił, widząc mnie, jak w środku dnia piję French 75 w bajeranckim lokalu. Wprost przeciwnie, byliby zdziwieni, gdybym tego nie robiła. A teraz mówisz mi, że ani jeden czytelnik najpopularniejszej angielskiej gazety niedzielnej nie potrafi dodać dwa do dwóch, żeby otrzymać cztery? Czy stałam się ostatnio taką cholerną kurą domową, że nikogo nie potrafię już niczym zaskoczyć? Od kiedy jestem taka żalosna i przewidywalna?

Babka spojrzała na nią pobłażliwie.

- Czy French 75 robi się z dzinem czy z wiśniówką? - spytała.
- Babciu Mac - powiedziała Esme, siląc się na maksymalny spokój, ze wzrokiem utkwionym w kapeluszu-hor-tensji, leżącym na szafie. - Mam kłopoty. Proszę, pomóż mi.

- Problem nie tkwi w tym, że stałaś się cholerną kurą domową - odrzekła w końcu babka. - 1 problemem nie jest Jemima Jones.

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Zdawało się, że temperatura powietrza spadała. Esme zrobiło się zimno ze strachu. Zaczęła dygotać.

- Problemem jesteś ty, Esme. Ty i twoja strata. - Słowa padały wolno i przesywały ją na wylot. - Najgorsza strata, jaka może spotkać kobietę, matkę.

- To nie to - zapewniła ją Esme, szcękając zębami.

- Nie możesz wiecznie tego od siebie odsuwać i udawać, że nic się nie stało, Esme. To na nic. Szczególnie teraz, kiedy ze mną jest tak, a nie inaczej.

- To nie to - szepnęła Esme. - To nie chodzi o niego.

- Och, Esme, czy nie jesteś tym zmęczona?

Była zmęczona, niewypowiedzianie zmęczona. Zbyt zmęczona, by stawić temu czoło, czego domagała się babka.

- To chodzi o Louisa - utrzymywała, czując się jak tchórz, ale uparcie jak osioł obstając przy swoim. - To chodzi wyłącznie o Louisa.

Niezadowolenie babki było wręcz namacalne, powietrze w dusznym pokoju aż od niego wibrowało.

- W takim razie rób, jak uważasz - oświadczyła w końcu babcia Mac.
- Ale jeśli Louis nie daje ci spokoju, to na litość boską, miej chociaż tyle odwagi, by coś zrobić.

Esmie siedziała bez ruchu w nogach łóżka.

- Chce, żebym jutro znów z nim zjadła obiad - oznajmiła.

- Wiem - odrzekła babcia.

- Chcę się z nim spotkać.

- Wiem - powtórzyła babcia.

W pokoju zapadła cisza i Esmie została tylko z biciem własnego serca i ze swoimi myślami.

- Chcę, bo chociaż ogromnie to wszystko skomplikuje, nasze spotkanie wydaje mi się... - starała się znaleźć właściwe słowo w swojej skołowanej głowie - czymś dobrym. Jak zakończenie czegoś. Albo... - nie chciała nawet myśleć o takiej ewentualności - uchowaj Boże, początek.

- Wiem - powiedziała jeszcze raz babcia Mac. - Żeby w końcu przestać trwać w dręczącej niepewności.

- No właśnie - zgodziła się Esmie. - Czy jest coś, czego nie wiesz?

- Wiem o wszystkim, co robisz - oświadczyła. - Czasami nawet wiem o tym wcześniej od ciebie. Taka jestem przenikliwa.

- Nie uważasz mnie za niegodziwą?

- Och, nie pochlebiaj sobie! Jesteś zwykłą kobietą, która próbuje przejść przez życie, nie robiąc nikomu krzywdy i nie ulegając załamaniu nerwowemu, podobnie jak tylu ludzi na tym świecie. Naprawdę wierzysz w to, że jesteś pierwszą osobą, która przeżyła stratę tak ogromną, że mu-

sisz chować głowę w piasek, bo nie potrafisz stawić jej czoła? Myślisz, że nikt inny nigdy nie próbował uciec przed własnym życiem, marząc o innym? To nic nowego. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej.

- Czy dlatego ma mi być lżej?

- Ty mi powiedz, jak ma to wpłynąć na twoje samopoczucie.

- Naprawdę w takich chwilach nie wiem, dlaczego do ciebie przychodzę, babciu Mac - burknęła Esme, wygładzając miękki, różowy pulower z owczej wełny. Wstała, żeby wyjść.

- Ojej! - zawołała babcia. - Jaka jestem głupia. Ściągnij mi majtki i daj klapsa na gołą pupę - powiedziała niegrzecznie.

Esme wyszła z jej pokoju i zaczęła wspinać się po schodach na samą górę, do kuchni. Musiała ugotować zupę, naprawić spodnie Poga, przyszykować popołudniowy posiłek dla Rory'ego i Henry'ego, poza tym od dawna nie czyściła piekarnika, a okna w pokoju były tak brudne, że prawie nic nie było przez nie widać. Czeka ją dzisiaj dużo pracy, jeśli jutro zamierzała pojechać do Londynu na spotkanie z miłością swojego życia.

- Pierwszą miłością - poprawiła samą siebie na głos.

- Słucham?

Na nieszczęście poprawiła samą siebie na głos, mijając Henry'ego na pierwszym piętrze.

- Och, nic - uśmiechnęła się. - Mówiłam do siebie.

- Tak, cóż, zdaje się, że ostatnio bardzo często ci się to zdarza - zauważył gburowato. - A w moich czasach to biedactwo zarobiłoby kulkę w łeb i nikt by się nad nim tak nie trząśł.

Esme zajęło kilka sekund zorientowanie się, że mówił o biednym Kłapouchu.

- Myślałam, że nie masz nic przeciwko osłu - powiedziała zaskoczona. - Z całą pewnością Rory go polubił. Dobrze,

że zyskał drugiego przyjaciela. - Uśmiechnęła się promiennie, ale Henry rzucił jej spojrzenie tak pogardliwe, że odwróciła się na pięcie i zaczęła wchodzić po schodach.

Rozmroziła trochę bulionu z kurczaka, pokroiła drobno stos marchewek i pasternaku, zszyła w rękę spodnie Poga, które pękły, kiedy się pochylił w domu Enid Enthwistle, by obejrzeć zatkaną rurę. Potem zadzwoniła do Alice do pracy, żeby się dowiedzieć, co słychać u krnąbrnego Ridge'a.

- Dostał pracę w jakiejś restauracji na West Endzie -mówiła Alice do słuchawki. -l myślę, że spędza noce z panią Miller. Prawie się do mnie nie odzywa, tylko coś bąka pod nosem, kiedy przychodzi i wychodzi, a ja nic nie potrafię z tym zrobić. Mało to zabawne.

- A co słychać u pana Millera?

- Sześć tygodni pracuje na platformie wiertniczej, a potem ma sześć tygodni wolnego. Tyle wiem, oczywiście nie od swojego aroganckiego, niewdzięcznego syna. Od Olive z góry.

- Tej, która od rana pije dzin?

- Nie, od poczciwej myszki-bibliotekarki. Och! Ona wcale nie jest bibliotekarką, tylko hostessą w jakimś prywatnym klubie w City, gdzie pełno starych ramoli w eleganckich garniturach. Sączą koniak i robią pod siebie. Kto by pomyślał? Tak czy owak, mówi, że pani Miller nie pierwszy raz zabawia się pod nieobecność męża, i że nie powinnam się zbytnio przejmować, i że, posłuchaj tylko, Ridge to taki miły, młody człowiek. Odbiera jej zakupy z supermarketu i przynosi do domu. Co tydzień. Od blisko roku. Myślałam, że padnę. Jakich to rzeczy człowiek się dowiaduje!

Esme usłyszała dumę w głosie przyjaciółki.

- Zawsze wiedziałyśmy, że w końcu wyrośnie na porządnego człowieka, prawda? Jak mogłoby być inaczej, jeśli ty jesteś jego matką, a oprócz tego ma całą armię psychopatów z trzema brodawkami sutkowymi za „wujków”?

Alice jęknęła.

- Nie mów mi o „wujkach”. Przysięgam, że jeśli wkrótce się z kimś nie prześpię, pęknię w bardzo nieapetyczny sposób przy niszczeniu dokumentów w biurze Kinola. To niesprawiedliwe, że kiedy jestem u szczytu swoich potrzeb seksualnych, nie ma nikogo, przy kim mogłabym je rozładować. Rozważam udanie się do jednego z tych sklepów w Soho, by kupić to coś dużego i różowego z licznymi nasadkami i klawiaturą.

- Rozważasz? - spytała Esme. - Myślałam, że masz już pełną szafę takich rzeczy.

- Opierałam się z tego względu, że gdybym znalazła coś, z czym mogłabym się bzykać, to miałabym w nosie wszystkich facetów.

- Cóż, uważam, że zasługujesz na dodatkowe punkty za optymizm i może medal od księcia Karola.

- Och, jesteś okropna - zaskrzeczała Alice do słuchawki. - Wspominasz o księciu Karolu, kiedy wiesz, że tam w dole aż się wszystko we mnie gotuje.

- Podoba ci się książę Karol? - spytała Esme, zaszokowana. - Myślałam, że przyjęłyśmy pewne zasady, jeśli chodzi o rodzinę królewską.

- Moja droga, ma samochód, pracę i wielkiego wacka w bryczesach, więc pewnie, że mi się podoba! I przynajmniej nie myślę wtedy o księciu Williamie.

- To przestępstwo! - Esme pisnęła.

- Cóż, może nawet będę musiała zadowolić się jednym z tych żalonych gnojzków, z którymi spotykam się w tym tygodniu - powiedziała Alice rzeczowo. - Oto, do czego doszło.

Jeśli Alice naprawdę rozważała oglądanie jednego ze swoich żalonych nieszczęśników bez ubrania, Esme wiedziała, że jej przyjaciółka musiała się znaleźć w sytuacji podbramkowej.

- Alice, życie nie składa się wyłącznie z seksu - powiedziała pocieszającym tonem. - Już o tym rozmawialiśmy.

- Ty o tym mówiłaś, Esme, ponieważ ci tego nie brakuje. Ja tylko słucham i marzę, żeby mieć kogoś takiego jak Pog, do kogo mogłabym się przytulić w nocy, a rano z nim się kochać.

- Mogę ci go pożyczyć, jak zrobiła ta, jak jej na imię, z Kevinem Kline'em w „Wielkim chłodzie” - zaproponowała Esme. - Chociaż bałabym się, że potem nie chciałby do mnie wrócić.

Uświadomiła sobie, że to prawda. Ich niezbyt intensywne współżycie seksualne, a raczej pełna abstynencja, było jeszcze jedną sprawą, o której Pog i Esme woleli nie rozmawiać, ale nie zwierzyła się z tego Alice. Wydawało jej się, że to nieprzyzwoite mieć wszystko na skinienie ręki i nie odczuwać pragnienia.

Przypomniała sobie Louisa i dotyk jego języka na swoim brzuchu.

- Chyba jutro pojedę do Londynu - powiedziała, ściągając wodze wyobraźni - i po pracy możemy się umówić gdzieś na mieście. Co ty na to?

- Co ja na to? - wykrzyknęła Alice.

Kiedy następnego ranka Esme się obudziła, czuła podniecenie, jakie ogarniało ją w dzieciństwie rankiem w dniu Bożego Narodzenia. Gdy zamknęła oczy, niemal czuła spray o zapachu sosnowego igliwia, który babcia Mac kupowała na mieście wobec braku prawdziwej choinki z prawdziwymi igłami.

Pog cicho pochrapywał przez sen. Przekręcił się na bok i położył jedną rękę na jej brzuchu. Esme spojrzała na jego miękko opadające, rdzawe włosy, na twarz, na której odcisnęła się poduszka, i zastanowiła się, jak może tak bardzo go kochać, a zarazem czuć łaskotanie w żołądku na myśl o innym mężczyźnie.

Kiedy zdążyła się zmienić w kobietę, która potrafi kłamać i mieć tak niebezpieczne sekrety?

Delikatnie zdjęła rękę męża ze swojego brzucha, ubrała się i poszła na górę do kuchni, żeby wziąć się do wyrabiania chleba.

Nawet wysoko pod samym niebem Esme czuła zapach deszczu, który padał nocą. Jej zmysły były w stanie największego pogotowia, tak jak wtedy, tyle lat temu w Venolat.

Gdy wyciągnęła ze spiżarni puszkę z mąką, była pewna, że czuje zapach pszenicy na polu i, o ile się nie myliła, słyszała też plusk wody, obracającej młyńskie koło w Paken-ham, gdzie zmielono ziarno.

Do dzbanka ochoczo popłynęła woda z kranu, którą Esme następnie wlała do mąki. Była pewna, że zakwas burzył się bardziej niż zwykle. I mogła przysiąc na wszystko, że pachniał tamtą małą *boulangerie* koło fontanny. Zbliżyła słój do twarzy i wciągnęła powietrze. Zdecydowanie dziś rano unosiło się w nim coś szczególnego.

Zanurzyła ręce w misce i zaczęła miesić palcami mąkę z wodą. Potem ugniatała mieszaninę wewnętrzną stroną dłoni, aż wszystkie składniki się połączyły.

Tańczyła wokół miski, aż mąka i woda utworzyły ciasto, przypominające w dotyku skórę. Zrobiło jej się gorąco.

Wsypała do miski sól i wgniotła ją w masę, czując opór każdego ziarenka, nim rozpląnęło się w tym doskonałym cieście, ale naciskała, popychała i delikatnie je ubijała, aż przestało chrzęścić i znów stało się jedwabiste i gładkie jak skóra.

Wyjęła ciasto z miski i zaczęła je wyrabiać na blacie szafki. Wypukłą częścią dłoni odpychała je od siebie, a potem złożonymi w miseczkę palcami przyciągała z powrotem, raz za razem, aż poczuła, jak kropelki potu spływają jej między łopatkami.

Przy każdym ruchu rąk myślała o Louisie. O swoich zębach na jego skórze, o ustach na jego szyi, o jego palcach w jej...

- Do jasnej cholery, Essie, zrobisz sobie krzywdę! Kiedy usłyszała głos męża, tak się przestraszyła, że przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Tak bardzo

się czuła, jakby została przyłapana in flagranti, iż niemal nie wierzyła, że tylko wyrabiała chleb.

Pog podszedł od tyłu i przytulił się do niej.

- Tak zawzięcie z nim walczysz, Esme - powiedział. - Co ci zrobiły ta mąka z wodą, że sobie na to zasłużyły?

Pocałował ją w szyję i zrobiło jej się wstyd, że jest taka nieszczerą wobec niego. Odwróciła się w jego ramionach i pocałowała go, spychając w najdalszy kąt wszystkie myśli o Louisie.

- Jesteś rozkoszna - oświadczył Pog, odsuwając się i patrząc na nią. - To niesprawiedliwe, by ktoś wyglądał tak wspaniale jak ty o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze.

Podrapał się po brzuchu.

- Nie mogłem już usnąć - dodał, ziewając. - Czy pomóc ci w czymś?

Esme pokręciła głową i wróciła do wyrabiania chleba, nasłuchując, jak mąż szuka w spiżarni płatków śniadaniowych.

- Muszę spędzić kolejne dwadzieścia sześć godzin, rozmawiając z Erniem o jego „loggii”, jak się to teraz nazywa - powiedział, snując się po kuchni. - I zdaje się, że mam dziś spotkanie z deweloperem z Ipswich, który może kupić ten pub w Stonyborough. Chociaż sprawia na mnie wrażenie kombinatora. Nie powinienem zbytnio liczyć, że coś z tego wyniknie. Chociaż nie ma to większego znaczenia, tyle pracy zgromadziła dla mnie pani Murphy. A co ty będziesz dziś robiła? Zaplanowałaś sobie coś ciekawego?

Esme starała się nie przerywać wyrabiania ciasta.

- Właściwie pomyślałam sobie, że mogłabym pojechać do Londynu na zakupy i spotkać się z Alice. Ma okropną chandrę - rzuciła lekko.

- Świetny pomysł - ucieszył się Pog. - Henry wspominał, że prosiłaś go, aby popilnował Rory'ego. Taki wyjazd dobrze ci zrobi, kochanie. Pozdrów ode mnie Alice.

- Czy czegoś potrzebujesz? - spytała. - Coś ci kupić?

Książki? Czasopisma? Jakieś smakołyki u Fortnuma i Masona?

Pog przestał dzwonić łyżką o talerz. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że na nią patrzy.

- O co chodzi? - spytała go.

- Jesteś niesamowita - oświadczył. - I tyle. Po prostu niesamowita. Cóż ja takiego zrobiłem, żeby sobie na ciebie zasłużyć?

Przez całą drogę do Londynu myślała o rozkochanym wzroku męża i o tym, co Pog jej powiedział. Myślała o nim, kiedy siedziała w Orrery przy tym samym stoliku, co poprzednio, bawiąc się serwetką i czekając na Louisa.

Miała cudownego męża, zdrowe dziecko, piękny dom. Dlaczego, u diabła, ryzykuje to wszystko dla jakiegoś dwu-licowego piekarza z Francji, który sto lat temu złamał jej serce? Żyłaby sobie szczęśliwie, gdyby los ponownie ich z sobą nie zetknął podczas katastrofy z gumą balonową na fotelu.

Ale kiedy Louis wszedł do sali, wszystkie wątpliwości Esme zniknęły i natychmiast zastąpiło je przekonanie, że istnieje między nimi pewien rodzaj chemii. Działał na nią w sposób czysto fizyczny i nie mogły tego zmienić żadne rozmyślenia o tym, co wypada, a co nie.

Niespiesznie przeszedł przez salę, chociaż był spóźniony, potem pochylił się i pocałował Esme w oba policzki. Natychmiast zaczęły ją palić. Spojrzał jej w oczy i cały świat zawirował. Wyciągnął rękę nad stołem i ujął dłoń Esme. Pozwoliła mu to zrobić.

Nie potrafiła sobie później przypomnieć, o czym rozmawiali przy małżach, leśnych grzybach i kaczce o chrupiącej skórce.

Wiedziała jedynie, że czuje przemożny głód, którego nie zaspokoi żadne jedzenie. Czowała się pusta od stóp po sam czubek głowy i kiedy napawała oczy widokiem Louisa, pomyślała, że on wie, jak wypełnić tę pustkę.

Nie widziała niczego poza jego ciemną, wyrazistą twarzą tuż przed sobą, zgiełk gwarnej restauracji dobiegał gdzieś z oddali i był niewyraźny jak na pokazach gotowania.

Właściwie nawet nie słuchała tego, co mówił Louis i co sama mówiła, wpatrując się w jego lekko haczykowaty nos, gładkie policzki, wypukłe kości nadgarstków, łukowate brwi, długie rzęsy i drobne zmarszczki pod oczami, będące dla niej czymś nowym.

Ale to, co dusiła w sobie, jęczało i rosło. A było tego dużo. I rozpaczliwie domagało się przestrzeni.

Zapadła między nimi cisza.

Pragnę cię, chciała mu powiedzieć. Pragnę cię teraz. Tutaj. Na tej wyścielanej kanapce. Ale nawet kiedy otworzyła usta, żeby przemówić, wiedziała, że tego nie powie. Znow zamknęła usta. Zamiast niej odezwał się Louis.

- Opowiedz mi o swoich dzieciach - poprosił cicho.

- O dziecku - poprawiła go Esme. - Mam syna, Rory'ego. Skończył cztery i pół roku.

Louis spojrzał z lekkim zdziwieniem, jakby wiedział co innego. Nie odezwał się, tylko patrzył prosto na nią, zabawnie ściągając brwi.

Nagle zrobiło jej się jednocześnie zimno i gorąco, zaczęła szybko oddychać. Toksyczne opary, wydzielane przez dręczące ją zmory, unosiły się tak blisko otwartego ognia, że Esme aż wstrzymała oddech, czując, czym to grozi.

Coś niebezpiecznego próbowało się uwolnić od ograniczeń narzuconych przez jej serce i przez niespełna ułamek sekundy Esme wyobraziła sobie niewyraźnie, jaką ulgę sprawiłoby jej wyrzucenie tego. I właśnie w tym ułamku sekundy owo coś wyrwało się na zewnątrz.

- Mam jednego syna - powtórzyła, zanim w pełni dotarło do niej, że to mówi - który miał brata bliźniaka.

A więc unosiło się to teraz w powietrzu między nimi.

- Teda - powiedziała. - Teddy'ego.

Jak dziwnie zabrzmiało to imię w jej ustach. Było takie samotne i zagubione. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz wymówiła je na głos?

Prawdę mówiąc, dokładnie wiedziała.

Było to dwa lata, dwa miesiące, trzynaście dni, dwadzieścia godzin i czterdzieści siedem minut temu.

Esme miała wrażenie, że uniosła się pod sam sufit restauracji i spojrzała w dół. Zobaczyła siebie, jak zamierza opowiedzieć temu zabójczo przystojnemu mężczyźnie, którego właściwie nie знаła, o dniu, godzinie, minucie i sekundzie, kiedy przestała być dawną sobą i została matką jedynaka.

I łzy, których nie umiała wylać za biednego, małego braciszka Rory'ego, nagle popłynęły jej z oczu w obecności Louisa Lapoine'a - jej dawnego ukochanego, kelnerów i bywalców restauracji Orrery.

Och, jak długo kazały na siebie czekać!

Rozdział czternasty

Esme i Pogowi żyło się dobrze do tamtego zimnego, straszego, wiosennego dnia w Notting Hill.

Ich kariery zawodowe, którym obydwójce poświęcali dość dużo czasu, w końcu weszły na właściwe tory i każde z nich parło całą siłą naprzód.

Pog dzięki dawnemu koledze ze studiów rok wcześniej zdobył niezły kontrakt na remont budynku małej firmy maklerskiej w City. Tak doskonale sobie poradził, że kiedy dom maklerski wykupiła wielka firma z Niemiec, ponownie zwrócili się do niego, by pokierował podobnymi pracami, tylko na dziesięciokrotnie większą skalę, w innym starym budynku w pobliżu katedry St. Paul.

Ostatnio jego firma uzyskała zamówienie na zaprojektowanie trzydziestopiętrowego wieżowca, a Pog, którego szefowie przez wcześniejsze lata praktycznie nie zauważali, został wyznaczony do nadzorowania prac przy projekcie.

Za takie projekty dostawało się nagrody w konkursach. Pog czuł się trochę onieśmielony odpowiedzialnością, a jednocześnie nowe obowiązki sprawiały mu ogromną satysfakcję. Wprawdzie nie należał do tych, co rozpychają się łokciami, lecz kiedy już znalazł się na czele, czuł się w swoim żywiole. Wprost rozkwitał.

Kariera zawodowa Esme też w końcu przestała napotykać przeszkody i wydawało się, że toczy się gładko. Kiedy

przez Jemimę straciła pracę w „TV Now!”, znalezienie nowego zajęcia nie było najłatwiejsze, mówiąc ogólnie.

Czuła się upokorzona utratą pracy i - co typowe dla dwudziestokilkuletniej dziewczyny z Londynu - nie mogła się pochwalić czymś tak pomocnym, jak oszczędności. Zgodziła się kierować magazynem dla palaczy, wydawanym przez producenta fajek i bibułek do papierosów.

Nie był to „Vogue”. Ale Sebastian Goodhart, starszy mężczyzna, wydawca i producent fajek, był dżentelmenem w dawnym stylu. Ubóstwiał Esme od chwili, kiedy wpadła do jego gabinetu z rudą czupryną i umalowanymi na czerwono ustami. Pod jego łagodnym okiem ona i mały, zabawny magazyn rozkwitły.

Prawdę mówiąc, w ciągu niespełna roku nakład uległ podwojeniu, częściowo dzięki ciężkiej pracy i zaangażowaniu Esme, częściowo dzięki nowej modzie na palenie cygar, co skwapliwie wykorzystwała.

Naturalnie Sebastian Goodhart był zachwycony i widząc, jak świetnie Esme sobie poradziła z redagowaniem „Smoke”, nabył czasopismo, zajmujące się odzieżą, „Appa-rel”, niecieszące się szczególnym poważaniem u ludzi z branży. Wkrótce Esme mogła zapisać na swoim koncie kolejny sukces.

Oba periodyki dostępne były jednak wyłącznie w prenumeracie, a marzeniem Esme było zostać redaktorką magazynu sprzedawanego w kioskach. Sebastian Goodhart niedawno rzucił palenie, więc niezbyt się interesował swoim pierwszym czasopismem, a ponieważ zawsze nosił ten sam tweedowy garnitur, więc naturalnie jeszcze mniej interesował się drugim. Dlatego całkowicie się zgadzał z Esme, by zająć się czymś nowym.

Upatrzyła sobie czytany tylko przez garstkę entuzjastów magazyn zatytułowany „Baker”. Niewielka liczba jego egzemplarzy, zazwyczaj z naddartymi i pozaginanymi kartkami, tkwiła w głębi stojaków z prasą we wszystkich

dobrych i wielu bardzo przeciętnych księgarniach, za czasopismami ilustrowanymi drukowanymi na błyszczącym papierze.

Wkrótce Esme była redaktorką trzech czasopism i krążyła między domem w Notting Hill i swoją powiększającą się redakcją nieopodal Oxford Street.

- Och, patrzcie, idzie Rupert Murdoch - mówiła złośliwie babcia Mac, kiedy Esme po pracy wpadała do domu, zazwyczaj jedynie po to, żeby się przebrać i pójść na takie czy inne spotkanie służbowe.

Babcia Mac mieszkała z Esme i Pogiem w rozsypującym się wiktoriańskim szeregowcu prawdopodobnie w najmniej przyjemnej części Notting Hill: przy All Souls Road. Ulica słynęła z handlarzy narkotyków, którzy kręcili się w kolorowych ciuchach, czekając na bogatych, białych chłopaków w kabrioletach, którzy przyjeżdżali i bez zmrużenia oka płacili masę pieniędzy za małe porcje tego, co uważali za haszysz, a co najczęściej było lukrecją.

Babcia Mac wprowadziła się do Poga razem z Esme. Było nie do pomyślenia, aby zrobiła cokolwiek innego, a Pog, niech Bóg błogosławi jego dobre serce, nie tylko nigdy nic nie powiedział na ten temat, ale nawet o tym nie myślał.

Przycinki, które czasem słyszał w pracy, sprawiły, że zdawał sobie sprawę z tego, że zamieszkanie z babką żony nie jest czymś powszechnie przyjętym, ale właściwie koledzy z pracy i tak uważali go za oryginała. Po pierwsze ubierał się inaczej - to znaczy nie na czarno, jak tego oczekiwano od młodych architektów - lecz również pracował solidnie i sprawiał wrażenie, że woli to od biegania podczas przerwy obiadowej do pubu na kilka piw i przeglądanie ostatniego numeru „FHM”.

Kiedy miał dwadzieścia kilka lat, kupił okazji dom, z którego to powodu koledzy też mu dokuczali - posiadanie domu w jego wieku było bezsensowną inwestycją, twierdzili. Jednak w miarę upływu lat w okolicy pojawiło się więcej

takich ludzi jak on i Esme i stopniowo miejsce zaniedbanych mieszkań i kawalerek zajęły domy jednorodzinne dla osób o wysokich dochodach albo o bardzo obciążonej hipotece.

Po finansowej „wpadce” Henry’ego Pogowi udało się przekonać ojca do zainwestowania tego, co mu zostało, w mieszkanie na ostatnim piętrze w domu przy Ali Souls Road. Potem Pog zaplanował generalny remont, po którym zamiast trzech niewygodnych, małych mieszkańek powstałby duży dom, gdzie wszystkim będzie wygodnie.

Babcia Mac odnosiła się do tego pomysłu bardzo sceptycznie. Nie była zachwycona wprowadzeniem się do nich ojca Poga, ale powstrzymywała się od komentarzy, wychodząc z założenia, że póki Henry ma osobny klucz do drzwi frontowych, to właściwie nie jest nikim więcej, jak sąsiadem.

Lecz kiedy się dowiedziała, że w nowym domu będzie bardziej współlokatorem, jej oczy przemieniły się w dwie małe główki od szpilek, a humor znacznie się popsuł.

- To nie jest normalne - oświadczyła jedynie. - Gdybym chciała zamieszkać z jakimś tetrykiem, poprosiłabym Esme, żeby znalazła mi męża.

Esme jednak była w swoim żywiole. Jej czasopisma cieszyły się popularnością, wydawca ją uwielbiał i chociaż nie miała wygórowanych ambicji, mogła chodzić między rówieśnikami z wysoko podniesioną głową, co też robiła.

W następstwie awansu Poga państwo Stack spotykali się z młodymi, zdolnymi architektami i dzięki kontaktom męża Esme miała nawet na oku podupadający periodyk dla projektantów. Wiedziała, że wystarczy, by szepnęła Sebastianowi jedno słówko, a wydawca kupi i ten tytuł.

Była bez pamięci zakochana w Notting Hill i to od zawsze. Robiła zakupy na straganach na Portobello Road, odkąd tylko sięgała pamięcią, a nawet, i to nie raz, siedziała obok Charliego w jego kabriolecie podczas dokonywania

nielegalnego zakupu lukrecji na tej samej ulicy, na której teraz mieszkała.

Z radością zostawiła remont domu swojemu mężowi, ostatecznie znalazła się na tym, a ona miała do Poga całkowite zaufanie. Sama skoncentrowała się na architekturze krajobrazu.

Dom, jak wszystkie na tej ulicy, miał długie, zadrzewione podwórze, do którego po zakończeniu remontu będzie można się dostać z kuchni lub pokoju stołowego. Pog właściwie zostawił je bez zmian, jedynie od czasu do czasu kosił zielony trawnik, wokół którego rosły stare drzewa i gęste krzaki.

Esme miała wielkie plany, jeśli chodzi o tę wolną przestrzeń. Ale najwłaściwsze rozwiązanie przyszło jej do głowy jak oślepiająca błyskawica, kiedy pewnego razu przygotowywała ciasto na chleb na blacie z nierdzewnej stali nieprzyzwyczajenie wcześniej, bo tylko nieprzyzwyczajenie wcześniej miała na to czas.

Wyrabiając ciasto, myślami wróciła do malutkiego wiejskiego placzyku nad krętą rzeką Dordogne, z jego wdzięczną, małą fontanną, w której pluskała woda.

- Chyba żarty sobie stroisz - szepnęła babcia Mac, kiedy Esme pokazała jej własnoręcznie sporządzone plany wykładanego płytkami dziedzińca, łącznie ze strzyżonymi drzewkami oliwnymi w donicach. Całość wieńczyła dwumetrowej wysokości fontanna, otoczona wymyślnym, okrągłym zbiornikiem. Esme starała się jak najwierniej odtworzyć tę, za którą się ukryła, gdy pierwszy raz zobaczyła Louisa, ale trzeba pamiętać, ile lat minęło od tamtej pory.

W Kornwalii znalazła rzemieślnika-kamieniarza, gotowego pomóc w urzeczywistnieniu jej fantazji. Tak samo jak ona, jeśli nie bardziej, zapalił się do tego pomysłu, i już ślęczał nad fontanną w swojej zimnej pracowni, mieszczącej się w dawnej stodole w pobliżu Padstow. Kosztowało to mnóstwo pieniędzy, ale Esme uważała, że efekt końcowy był wart każdego wydanego pensa.

- Nie podoba ci się? - spytała skonsternowana babkę, która zrobiła kwaśną minę.

- Och, jasne, że mi się podoba - odparła z sarkazmem babcia Mac. - Mnie i cholernemu hrabiemu Monte Christo.

- Przecież to dom naszych marzeń - zaprotestowała wnuczka.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to raczej z koszmaru sennego - fuknęła babcia Mac. - Na litość boską, co będziemy robić z tą fontanną?

- Nic się z nimi nie robi. Patrzy się na nie, podziwia się, tworzą nastrój i są ciekawym elementem.

- No cóż, jeśli chodzi ci o nastrój i ciekawy element, to cóż, fontanna jest w sam raz.

Zgodziły się, że każda pozostanie przy swoim zdaniu. A raczej Esme doszła do tego wniosku. Babcia Mac na nic takiego się nie zgodziła i wyśmiewała się z fontanny przy każdej nadarzającej się okazji.

- Może zrobilibyśmy sobie szemrzący strumyk? - spytała grzecznie Poga pewnego razu ze złośliwym błyskiem w oku. - Albo wodospad. Nie myślałeś o wodospadzie?

Pog, jak zawsze, nie dał się sprowokować. Uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami.

- Skoro Esme chce mieć fontannę... - zaczął.

- Ty pantoflarzu! - zbeształa go babcia Mac. - Pozwalasz jej na wszystko!

- Daj spokój, babciu Mac - powiedział łagodnie. - Ciężko haruje, nie można więc mieć do niej pretensji, że chce patrzeć na coś ładnego, kiedy wróci do domu. Zasluguje na to.

Ale babcia Mac nie dała się nikomu przekonać. Nawet to, że zgadzał się z nią Henry, nie wpłynęło na zmianę jej zdania. Przesztano więc rozmawiać o fontannie, a Esme wołała szeptem informować Poga o postępie prac, kiedy babka była już w łóżku.

Na miesiąc przed planowanym terminem rozpoczęcia remontu w domu w Notting Hill wszystko stanęło na głowie.

Okazało się, że Esme jest w ciąży.

Nie zaplanowali tego. To znaczy chcieli mieć dzieci, ale postanowili zaczekać jeszcze parę lat. Matka Natura oczywiście stawia dzieci przed fontannami, więc zaaplikowała Esme dawkę zaburzeń żołądkowo-jelitowych, które zakłóciły rytm jej płodności na wystarczająco długo, żeby dokonał się cud poczęcia.

W domu przy Ali Souls Road zapanowała radosna atmosfera, kiedy młodzi poinformowali o tym starszych mieszkańców. Prawdę mówiąc, Henry nawet się uśmiechnął do babci Mac, a ona nie syknęła na niego jak zwykle.

- Może nawet - zażartowała Esme w łóżku tamtego wieczoru - doszło do świadomego kontaktu fizycznego.

I Henry, i babcia Mac nie kryli przerażenia, widząc, jakie mordercze tempo narzuciła sobie Esme mimo odmiennego stanu.

- Przecież dziecko jest mniejsze od ziarnka grochu - tłumaczyła im, pakując się, by wyjechać służbowo na dzień do Paryża, a dwoje staruszków krążyło wokół niej niczym zwiastuni nieszczęścia. - Co złego może mu zrobić krótki przelot nad kanałem La Manche?

- Mają tam sery! - grzmiał Henry. - Niepasteryzowane.

- Więc nie będę ich jadła - zapewniła go Esme, która kochała niepasteryzowane sery i wcześniej pomyślała, że mogłaby sobie trochę ich pojeść.

- Są tam Francuzi - powiedziała babcia Mac z ponurą miną.

W powietrzu zawisła cisza; Esme dostrzegła skazę na swoim szczęściu - po raz pierwszy, odkąd się dowiedziała, że jest w ciąży.

- Będę nosiła gorset z kryptonitu, by chronić swoje nienarodzone dziecko przed francuską infiltracją - obiecała, a potem spojrzała na babkę tak, jak na nią patrzyła tylko raz, może dwa razy do roku, kiedy naprawdę bardzo jej zależało, żeby staruszka zamilkła.

Plany przebudowy domu schowano w niskim kredensie w pokoju dziennym i rozmawiano wyłącznie o dziecku, a po tym, jak w dwunastym tygodniu ciąży Esme zrobiła USG, wyłącznie o dzieciach.

Kiedy się okazało, że urodzą się bliźniaki, wszyscy domownicy wręcz oszaleli z radości. Esme myślała, że jej mąż pęknie z dumy i szczęścia, a babcia Mac próbowała wykonać taniec siedmiu mieczy, tak była przejęta.

Esme, chociaż miała tak spuchnięte kostki, że jej nogi przypominały kołki w płocie, harowała jak wół, aby mieć pewność, że nikt jej nie zarzuci, iż zaniedbuje sprawy zawodowe pod pretekstem macierzyństwa. Przestała pracować zaledwie dwa tygodnie przed przewidywaną datą porodu.

Babcia Mac i Pog byli przy niej, kiedy chłopcy przychodzili na świat, i był to niewątpliwie najszczęśliwszy dzień w życiu całej rodziny. Pierwszy urodził się Ted, ważący dwa kilogramy dwieście dziewięćdziesiąt, a dwadzieścia minut później Rory, ważący dwa trzysta dwadzieścia.

- Obaj rudzielce! - wykrzyknęła zachwycona babcia Mac, kiedy Pog patrzył w zmęczone oczy żony, tak przepełniony miłością do niej, iż bał się, że zaraz pęknie.

- Zdrowiuteńkie - oświadczyła położna, kładąc noworodki na brzuchu matki.

I tak w walącym się domu przy Ali Souls Road pojawili się nowi członkowie rodziny Stacków. Nawet Henry zapomniał o swoim zgorzknieniu, bujał niemowlęta i ku zdumieniu Esme bawił się z nimi. Dzieci, otoczone miłością i troską, chowały się zdrowo.

Esme, która do tej pory bardzo sceptycznie spoglądała na młodych rodziców, rozplwających się nad swoimi pociechami, wątpiła teraz, czy kiedykolwiek uda jej się wytłumaczyć ludziom bezdzielnym, jak to jest.

- To całkiem nowe uczucie - powiedziała Pogowi, kiedy pewnego niedzielnego ranka leżeli w łóżku, przyglądając

się z zachwytem swoim ślicznym dzieciom. - To jak połączenie płaczu, śmiechu i jeszcze czegoś, zupełnie innego. Pamiętasz, jak kiedyś chcieliśmy spędzić urlop pod namiotem, a skończyło się na tym, że minęliśmy nasze obozowisko, przespaliśmy się w samochodzie, a potem jechaliśmy całą noc, by wrócić do domu, gdzie zjedliśmy cały bochenek chleba, chociaż był tak gorący, że nie mogłam go utrzymać w ręku? Pamiętasz, jak wbijaliśmy zęby w mięsz, kiedy byliśmy tak bardzo głodni?

- To było najprzyjemniejsze uczucie pod słońcem - zgodził się z nią Pog i do oczu napłynęły mu łzy. Teddy małą rączką ścisnął go za palec. - Aż do tej chwili.

Byli zafascynowani swoimi synami bliźniakami. Od samego początku każdy z nich zdawał się świadom istnienia drugiego. Gdy się zabierało jednego, drugi był w pogotowiu, szeroko wytrzeszczał oczy i niemal nadstawiał uszu, by wyłoić jakikolwiek odgłos, który mógłby mu pomóc ustalić, gdzie się znajduje brat.

Początkowo Esme pozwoliła sobie na odrobinę zazdrości o to, że jeden ma drugiego, zawsze go będzie miał i nawet jako ich matka nie będzie mogła ani dzielić tej więzi, ani jej zerwać.

- Powinniśmy być wdzięczni, Es - powiedział Pog, całując ją w nos. - To coś wyjątkowego. Coś nadzwyczajnego. Czy nie chciałabyś mieć drugiej siebie, kiedy dorastałaś? Ja chciałbym mieć.

- Och, tatuśku! - pisnęła Esme. - Co takiego jest z mężczyznami i dwiema dziewczynkami? - Ale jego słowa ją uspokoiły. Zaczęła wierzyć, że jej synowie są wyjątkowi, i tym mocniej ich kochała.

Bycie matką bliźniaków ma też swoje plusy. Esme nie mogła wyjechać podwójnym wózkiem z AU Souls Road, by armia siwowłosych staruszek w płaszczach przeciwdeszczowych i wykoślawionych butach nie pochylała się, by uszczypnąć chłopców w policzki albo połaskotać ich pod

brodą. Teddy to ubóstwiał, wyciągał nóżki i prężył się z zadowolenia, natomiast Rory tego nienawidził i zwijał się, jakby chcąc uciec przed wyciągniętymi rękami.

- Ma temperament rudzielca - krakały stare kobiety, prostując się, a Esme uśmiechała się skromnie w taki sposób, który - miała nadzieję - świadczył, że chociaż sama jest ruda, nie należy do osób o złym usposobieniu.

Chłopcy mogli wyglądać identycznie, ale ich różne charaktery ujawniły się bardzo wcześnie i stanowiły wieczne źródło fascynacji. Teddy był niecierpliwy i głośny, podczas gdy Rory wydawał się spokojniejszy i zamknięty w sobie. Teddy ssał łąpczywie pierś Esme, nigdy nie mając dość, podczas gdy Rory'ego łatwo wszystko rozpraszało i trzeba mu było przypominać, że teraz pora karmienia. Kiedy zaczęli jeść normalne jedzenie, Teddy uznawał tylko żółtka jajek, a Rory białka. Teddy lubił skórkę od chleba, Rory ją wypluwał. Stanowili połówki tej samej małej istoty.

I jak ci chłopcy byli kochani!

Alice też ich kochała, a co dziwne, również dwunastoletni Ridgeley.

- Zawsze bardzo chętnie tutaj przychodzi. - Alice się uśmiechnęła, siedząc pewnego niedzielnego popołudnia na kanapie i popijając kawę, podczas gdy Ridge bawił się z maluchami na podłodze. - To jedyna rzecz, do której podchodzi z entuzjazmem.

- Cóż, właściwie jest w takim wieku, że sam mógłby zostać ojcem - żartowała Esme. - Lepiej zabierz się do dziergania ubranek, babciu!

Alice trzepnęła ją poduszką.

- Jeśli wrodził się we mnie, będzie w wieku matuzalemowym, nim znajdzie kogoś, z kim mógłby je splodzić.

- Jeśli wrodził się w ciebie - przypomniała jej Esme - zostało mu już tylko sześć lat bez dzieci.

- Mama spotyka się z facetem z Ghany - oznajmił poważnie Ridge.

Esme uniosła brwi, ale Alice przecząco pokręciła głową.

- Trzyma w łazience potpourri - powiedziała. - Nic by z tego nie wyszło.

Oczywiście nie wszystko przebiegało bezproblemowo, skądże znowu. Podczas kilku pierwszych miesięcy Esme, jak większość młodych matek, przeżywała najgorsze rozterki, niepewność i przerażenie, i często była rozzalona na cały świat. Kilka razy padała na łóżko tak wykończona, że błagała w duchu o śmierć we śnie. Zdarzały się dni, gdy wpadała niemal w histerię. Chwilami dręczyło ją poczucie osamotnienia, takie brzemie odpowiedzialności, taki strach, że stawało się to niemal nie do zniesienia. A do tego miesiąc po urodzeniu bliźniaków zapytano ją, kiedy rozwiązanie, przez co wpadła w takie przygnębienie, tak płakała i lamentowała, oglądając swoją figurę w lustrze w sypialni, aż Pog bał się, czy jego żona przypadkiem nie postradała zmysłów.

W końcu jednak zygzaki rozstępów zaczęły blednąć, a razem z nimi obawy Esme, że macierzyństwo jest za trudne, żeby mu podołać. Podoła. Wymagało to ciężkiej pracy, ale Esme była do niej przyzwyczajona i wkrótce w kieracie codziennych zajęć zaczęły się pojawiać chwile, podczas których mogła nie myśleć o butelkach, pieluszkach, godzinach snu, i poświęcić się działalności Goodhart Publishing.

Kiedy chłopcy skończyli dziewięć miesięcy, wróciła do pracy, zostawiając dzieci pod opieką pogodnej, serdecznej niani, Australijki Tracey. Esme myślała, że do tego dojrzała, nawet czekała na to z utęsknieniem. Pierwszego ranka miała wyrzuty sumienia, w porze obiadu płakała w toalecie, a o drugiej wymyśliła spotkanie służbowe w Chelsea, złapała torbę i wybiegła z biura, by znaleźć się w domu ze swoimi chłopcami.

Ucieszyli się na widok matki, ale przetrwali pierwszy dzień lepiej od niej. Jak powiedział Pog, wielkim ułatwieniem było to, że są bliźniakami. Nigdy nie byli sami. Za-

wsze mieli siebie nawzajem. A teraz mieli jeszcze niczym się niezrażającą Tracey, a w tle majaczyli babcia Mac i Henry, wypatrujący jak sępy jakichkolwiek oznak, że opiekunka dzieci jest alkoholiczką albo handlarzem niewolników.

Nie była ani tym, ani tym i chłopcy ją pokochali. Babcia Mac nie przekonała się do niej i mówiła, że Tracey przypomina jej koniokrada, którego kiedyś spotkała w Gretna Green, Henry też nie okazywał jej zachwytu. Twierdził, że nie uważa za dobry pomysł zatrudnienia do opieki nad chłopcami kogoś o głosie przypominającym drapanie paznokciami po tablicy.

Esme jednak ufała Tracey i w miarę jak dni przechodziły w tygodnie, a potem w miesiące, odzyskała dawny entuzjizm do pracy, a gdy dodać do tego obowiązki macierzyńskie, nie miała w ciągu dnia niemal jednej wolnej chwili. Była tak zajęta, że musiała sobie zapisywać, co ma do zrobienia, i to w trzech różnych miejscach, by się nie pogubić. Przesunęła kolegia redakcyjne z dziesiątej na dziewiątą rano, bo o innej porze nie miała na nie czasu, a to oznaczało, że dwa razy w tygodniu wychodziła wcześniej z domu. W czwartki pracowała do dziewiątej wieczorem, żeby mieć wolne piątkowe ranki i móc pójść z chłopcami na spotkania z dziećmi z sąsiedztwa. W niedziele organizowała telekonferencje ze swoimi redaktorami, żeby poniedziałki mieć trochę luźniejsze (podczas jednej z nich Rory zwymiotował na Esme). Na samą myśl o środzie dostawała gęsiej skórki. Sebastian ją poprosił, żeby aktywnie promowała ich magazyn poświęcony architekturze, co oznaczało niekończące się rozmowy telefoniczne, obiady i spotkania, a przeznaczyła na to właśnie środy.

Czuła się rozdarta między tysiąc różnych spraw, ale jakoś udawało jej się nad wszystkim zapanować i nawet pozwoliła sobie wierzyć - w rzadkich chwilach, kiedy miała czas na takie myśli - że może uda jej się połączyć karierę

zawodową i macierzyństwo, pozostać i dobrym pracownikiem, i dobrą matką.

Przez cały ten czas piekła chleb. Było to jeszcze jedno czasochłonne zajęcie, ale nikt i nic nie zdołałoby nakłonić Esme do rezygnacji z pieczenia chleba na zakwasie.

- Przecież zawsze możemy kupować pieczywo - powiedział delikatnie Pog pewnego wieczoru, kiedy zobaczył, jak oczy same jej się zamykały, gdy siedziała na kanapie i czekała, by ponownie wyrobić ciasto przed włożeniem go do lodówki; dzięki tej sztuczce mogła zacząć przygotowywać chleb wieczorem. - Jak wiesz, w Chalk Farm jest piekarnia ekologiczna. Możemy poprosić Tracey, żeby tam pojechała, albo posłać jedno ze staruszków autobusem.

Nagle Esme zrobiło się smutno.

- Nie, nie, tak jest dobrze - zapewniła go drżącym głosem. - Wiesz, że to ubóstwiam, Pog. Teraz jest mi trochę ciężko z uwagi na małe dzieci, pracę i całą resztę, ale to jedyna rzecz, która nigdy się nie zmienia. Jeśli kiedykolwiek z tego zrezygnuję - dodała, z trudem podnosząc się z kanapy - będziesz wiedział, że utraciłam poczucie sensu życia, a wtedy równie dobrze możesz mnie gdzieś zabrać i zastrzelić.

Pog zrobił zaniepokojoną minę.

- Wiesz, że nie musisz się tak szarpać - powiedział cicho, idąc za nią do kuchni. - Możesz zrezygnować z pracy albo brać zlecenia, żeby mieć więcej czasu na to, co lubisz robić.

- Lubię pracować - zaproponowała Esme. - I chcemy razem zarabiać dość pieniędzy, żeby doprowadzić dom do należytego stanu, prawda? Zrobić z niego piękny, wielki dom, w którym będą mogli dorastać chłopcy. Chcemy tego. Wiesz, że chcemy. Czy trzeba coś uprasować na jutro?

Jednak Tracey stopniowo traciła pogodne usposobienie. Oto, jak może wpłynąć na słodką istotę z kolonii dziewięć miesięcy pobytu w domu z babcią Mac i Henrym Stackiem.

- Są tacy złośliwi - żaliła się do Esme, gdy ta pewnego

dnia po powrocie do domu zastała nianię płaczącą na schodach pod drzwiami. - Kazali mi wyrzucić śmieci i zamknęli za mną drzwi na klucz. Przez całe popołudnie próbowałam się dostać do środka, a oni tylko stali w oknie, trzymając dzieci na rękach, i mi machali.

Esme kochała swoją pracę, ale lubiła też wracać do domu, do rodziny - z wyjątkiem takich dni, jak ten.

- Zupełnie, jakby się miało czwórkę dzieci - narzekała, kiedy padła na łóżko tamtego wieczoru. - A najmniejsze sprawiają najmniej kłopotu. To te starsze stwarzają same problemy.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - spytał Pog. Bardzo nie lubił, kiedy Esme była zmęczona i zdenerwowana.

- Może chłopcom byłoby lepiej w żłobku. Wtedy Henry i babcia Mac mogliby w dzień ze sobą walczyć i dobór naturalny zrobiłby to, co do niego należy.

- To nie fair - sprzeciwił się Pog. - Musielibyśmy ściągnąć kilku dodatkowych emerytów, by babcia Mac miała godnych siebie rywali. W przeciwnym razie zwycięstwo przysłoby jej zbyt łatwo.

Esme roześmiała się i mocno przytuliła do męża. Chociaż była wykończona, zdenerwowana i mało się nie rozerwała, robiąc zbyt wiele rzeczy naraz, nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, znajdowało się w tym domu, i póki miała swoich chłopców i babcię, było jej dobrze. Więcej niż dobrze.

Ale może nie doceniła, jak ważnym składnikiem tej konstrukcji była Tracey. Kiedy wciąż wzburzona dziewczyna zadzwoniła następnego ranka o siódmej, by powiedzieć, że więcej nie przyjdzie, wywołało to coś w rodzaju dziury w materii szczęśliwej rodziny.

Zanim jeszcze Esme zaczęła się dowiadywać o opłaty za żłobek, babcia Mac i Henry najwyraźniej utworzyli wspólny front i uparli się, że razem mogą zaopiekować się bliźniakami.

- Jak myślisz, czy ci starzy utrapieńcy już dawno temu uknuli taki plan? - spytała Esme Poga przez telefon. - Czy razem torturowali tę biedną dziewczynę przez cały czas, żeby mieć chłopców tylko dla siebie?

Pog nie widział tego w takich ponurych barwach.

- Spójrz na to od innej strony, Es - powiedział. - Kiedy przestaniemy płacić opiekunce, prawdopodobnie będzie nas stać na remont.

- Moja fontanna! - pisnęła Esme.

- Tak, i nowe tynki, nowe schody i dywany, nowa kuchnia i łazienki - wyliczał Pog. - Remont generalny, Esme. Myślisz, że podołamy?

- Tak, tak, tak! - zawołała, nawet się nad tym nie zastanowiwszy. Praca na pełny etat, niesforne dzieci, dwoje złośliwych, starszych ludzi - cóż to za przeszkody?

I tak, kiedy bliźniaki miały osiemnaście miesięcy, zostały oddane pod opiekę dziadka i prababci, którzy, chociaż nienawidzili się nawzajem, świata nie widzieli poza wnukami.

Mimo obaw, jakie ktokolwiek mógł mieć, jeśli chodzi o rozwiązanie kwestii opieki nad dziećmi, bliźniaki dobrze się rozwijały. Teddy w pierwszym tygodniu nowych rządów zaczął chodzić - byli nieco opóźnieni pod względem rozwoju psychoruchowego - a dwa tygodnie później trochę mniej energiczny Rory poszedł w ślady brata, jakimś cudem w sobotę, kiedy rodzice byli w domu i akurat na niego patrzyli.

Teddy odziedziczył po matce umiłowanie do egzotycznych potraw, pochłaniał pasztety, pikantne pasty i pizzę z anchois, a raz nawet zjadł kawior, gdy tymczasem Rory miał raczej upodobania kulinarne takie, jak jego ojciec, preferując jajka na grzance i fasolkę.

Teddy lubił, jak się go tuliło i całowało, podczas gdy Rory uciekał wszystkim od chwili, gdy nauczył się raczkować. Esme kochała różnice między nimi. Podobało jej się to, że

większość ludzi nie umiała ich odróżnić, podczas gdy ona z zamkniętymi oczami potrafiła wymienić siedemnaście różnic, które sprawiały, że byli Tedem i Rorem, a nie po prostu „bliźniakami”.

Była jedyną osobą, która nigdy (z jednym wyjątkiem) ich nie pomyliła. No bo jak można ich pomylić, zastanawiała się często, skoro Rory miał malutki pieprzyk tuż pod lewym uchem, a rzęsy Teddy'ego były przynajmniej dwa odcienie jaśniejsze niż jego brata?

Esme z zaintrygowaniem obserwowała więź istniejącą między chłopcami. Prawie nigdy, nawet kiedy byli malutcy, nie płakali jednocześnie, jakby doszli do wniosku, że lepiej skupić na sobie całą uwagę matki niż tylko połowę, nawet jeśli oznaczało to trochę dłuższe głodowanie lub znoszenie mokrej pieluszki.

Teddy również uprzejmie zaczekał, aż Rory'emu przejdzie ospa wietrzna, nim sam zachorował. Mimo identycznych genów ząbkowali w zupełnie innym czasie, co oznaczało, że Esme i Pog na trochę dłużej mogli rozłożyć bezsenne noce.

Później niż większość dzieci zaczęli też mówić, co, jak początkowo zaniepokojona Esme wyczytała, było dość powszechne u bliźniąt jednojajowych. Pewnego magicznego popołudnia, kiedy pozostali domownicy byli nieobecni albo odpoczywali, widziała, jak po raz pierwszy jej synów coś jednocześnie rozbawiło, i tak mocno ścisnęło ją w dołku, że myślała, że zemdleje.

Bliźniaki, siedząc w kuchni, gdzie Esme odplamiała olbrzymie sterty kiedyś białych niemowlęcych ubranek, wyjrzały razem przez szklane drzwi, zobaczyły to samo, spojrzały na siebie i wybuchnęły tak zaraźliwym śmiechem, że Esme do nich dołączyła. Była w tamtej chwili tak szczęśliwa i beztroska, jak tylko może być matka.

Ta chwila miała jednak swoją cenę. Słyszając śmiech matki, chłopcy oderwali wzrok od siebie i spojrzeli na nią, a ich

wesołość osłabła. Właśnie wtedy Esme sobie przypomniała, że między nimi dwoma istnieje więź, z której ona sama jest wykluczona. Początkowo, kierując się egoistycznymi przesłankami, poczuła się zawiedziona, ale z drugiej strony ucieszyła się, że Rory i Ted zawsze będą mieli siebie nawzajem. Że zawsze będzie ich dwóch. Przywódca i naśladowca. Hałaśliwy i spokojny. Bez troski i poważny.

Rozdział piętnasty

Louis wyciągnął nad stołem obie ręce i ścisnął dłonie Esme, na jego przystojnej twarzy malowała się konsternacja, kiedy słuchał opowieści dawnej kochanki.

- Tak mi przykro - mamrotał pod nosem. - Nie musisz o tym mówić, Esme.

Ale było już za późno: smutne szczegóły, zbyt długo trzymane w ciemnościach, musiały się wydostać na światło dzienne w sali restauracji Orrery.

- Powinnam była wiedzieć - powiedziała Esme, patrząc w oczy Louisowi i widząc jedynie ich czerń. - Jak mogłam nic nie przeczuwać?

Dzień, w którym Rory stał się jedynakiem, od samego rana upływał inaczej niż zwykle i później Esme nie mogła uwierzyć, że nie zauważyła niebezpieczeństwa, wiszącego w powietrzu.

Po pierwsze zasnęła, chociaż był to rano regularnych kolegów redakcyjnych i musiała wyjść z domu najpóźniej o wpół do dziewiątej, w przeciwnym razie cały jej misterny plan zajęć wzięłby w łeb.

W nocy dwa razy wstawiała do Rory'ego, który się przeziębził. Była poirytowana, zanim jeszcze boleśnie uderzyła się o wiertarkę, pozostawioną w holu przez jednego z robotników.

Dom wyglądał jak istne pobożowisko. Podłogi zostały wycyklinowane, ale nie zeszlifowane, listwy przypodłogowe wymieniono, ale ich nie pomalowano, ściany nie były wykończone, w łazienkach założono nową instalację wodno-kanalizacyjną, lecz jeszcze jej nie podłączono. Prace w kuchni już ukończono, podobnie jak w pokoju dziennym i w sypialniach chłopców, dzięki Bogu, więc dzieci miały się gdzie bawić, kiedy robotnicy kontynuowali roboty, rozwiązanie to było jednak dalekie od ideału.

I zapragnąwszy mieć to wszystko z głowy możliwie jak najszybciej, Esme w tym samym czasie sprowadziła specjalistów od zieleni, więc podwórze za domem było tylko częściowo wyłożone płytkami i piętrzyły się na nim wielkie hałdy ziemi, której przeznaczenia nie znała.

Pośrodku tego wszystkiego stała jej fontanna, a raczej elementy, które kiedyś złożą się na fontannę. Kamieniarz osobiście zainstalował zbiornik i przytwierdził go do betonowej podmurówki, ale najważniejsza część leżała na boku, służąc jako oparcie dla dwóch łopat, wielkiego worka kompostu i najrozmaitszych odpadów, pozostawionych przez robotników.

Nie wyglądało to bynajmniej oszałamiająco. Bardziej przypominało miejsce wybuchu bomby, a tydzień deszczowej pogody jeszcze pogorszył sytuację.

A na dodatek, co budziło znacznie większy niepokój Esme, babcia Mac nie zachowywała się tak jak zwykle.

Właściwie Pog zauważył to pierwszy i napomknął żonie, że babka dwa razy nie odgryzła się Henry'emu, gdy ten niewłaściwie się zachował. Esme nie zaprzętała sobie tym specjalnie głowy, póki kilka dni później, idąc za staruszką na górę po schodach, musiała zwolnić, by jej nie wyprzedzić.

Nie pamiętała, kiedy nie musiała biec, by dotrzymać jej kroku.

Przez chwilę pilnie wpatrywała się w babkę i chociaż nie dostrzegła nic szczególnego, pomyślała, że staruszka

chyba nieco zwolniła tempo, jakby wyczerpywały się jej baterie.

- Dobrze się czujesz? - spytała Esme, widząc, jak babka wyraźnie się zastanawia, czy wziąć na ręce Teddy'ego, a potem krzywi się z wysiłku.

- Och, dlaczego mnie szpiegujesz? - odpowiedziała gderliwie babcia Mac. - Czy w dzisiejszych czasach stary człowiek nie może być starym człowiekiem? Zdaje się, że nie. Od wszystkich się oczekuje, że będą jak jakiś cholerny Sebastian Coe. Tak, to ma sens.

Ale tego ranka, kiedy Esme zasnęła, okazało się, że babcia Mac, która zawsze była rannym ptaszkiem, też jeszcze leży w łóżku.

- Nie musisz tak na mnie patrzeć - odezwała się zachrypniętym głosem staruszka. - Nie musisz wzywać MI5 tylko dlatego, że postanowiłam sobie trochę dłużej pospać. Wiedz, że co wolno jednemu, wolno także innym.

- Lepiej zadzwonię do pracy, że nie mogę przyjść - powiedziała Esme, podskakując na jednej nodze i próbując wciągnąć rajstopy. - Nie mogę cię zostawić w domu w takim stanie, a Pog ma ważne spotkanie z Niemcami, na którym musi być obecny.

- Niczego takiego nie zrobisz - kategorycznie sprzeciwiła się babcia Mac, wyskakując z łóżka bardzo żwawo jak na kogoś, komu wyczerpywały się baterie. - Nie jestem „w takim stanie”, nie mów bzdur. A teraz zostaw mnie samą, żebym się mogła ubrać.

Kuchnia, ku wielkiej uldze Esme, stanowiła pewną oazę spokoju. Henry akurat dawał chłopcom śniadanie. Spojrzał na synową z głęboką niechęcią.

- Rozumiem, że dziś wieczorem znowu nie będzie cię w domu - wycedził ze złośliwą ironią.

- Kto, ja? Nie - zaprzeczyła Esme, wsadzając kromkę chleba do tosterka i próbując palcami uczesać włosy, bo to, co miała na głowie, przypominało ptasie gniazdo. Wrzuciła

do brudnej filiżanki torebkę herbaty, zalała ją niezupełnie wrzącą wodą i pijąc, spojrzała na kalendarz na lodówce.

- O, cholera - wymsknęło jej się i zagryzła usta, ponieważ teść nie znoślił, kiedy przeklinała w obecności chłopców, a nawet gdyby nie miał nic przeciwko temu, wiedziała, że nie powinna tak mówić. - Zapomniałam. Dziś w szkole Ri-dge'a jest dzień otwarty i obiecałam Alice, że z nią pójdę.

Ridge nie był ani wybitnie zdolny, ani nie wyróżniał się w żadnej dyscyplinie sportu, i nie miał też ujmującego sposobu bycia i Alice nie znosiła sama chodzić na wywiadowki. Esme powiedziała, że pójdzie z nią, i nie chciała przyjaciółce sprawić zawodu.

Nie musiała patrzeć na Henry'ego, by wiedzieć, że rzuca jej ponure spojrzenie. Sięgnęła do torebki po kalendarz i otworzyła go na dzisiejszej dacie. Poza kolegium redakcyjnym miała obiad z przedstawicielami głównego producenta wyrobów pończosznich, będącymi o krok od podpisania kontraktu reklamowego z „Apparel”, potem musiała przeczytać próbny wydruk magazynu „Smoke”, poza tym akurat dzisiaj wypadło spotkanie z Sebastianem, z którym odbywała narady raz na dwa tygodnie, a o czwartej miała jeszcze oficjalne otwarcie studia kuchennego „Bakera”. Zapowiadał się ciężki dzień.

Teddy uśmiechnął się do niej, siedząc na swoim wysokim krzeselku, i wydmuchał z nosa banieczkę. Kiedy Esme analizowała to z perspektywy czasu, uświadomiła sobie, że była to prawdopodobnie ostatnia szczęśliwa chwila w jej życiu. Kiedy patrzyła na zasmarkaną buzię synka.

Wstała, ucałowała obu chłopców w ich rude główki i odezwała się do Henry'ego:

- Czy mógłbyś zwrócić uwagę na babcię Mac? - Poprosiła go o to tak cicho, jak tylko mogła, bojąc się, żeby przypadkiem babka jej nie usłyszała. - Chyba coś jej dolega...

Henry wsunął do otwartej buzi Teddy'ego łyżeczkę owsianki.

- Są domy dla takich ludzi jak twoja babka - oświadczył.
- Tak - przyznała mu rację. - Takie jak ten. Chrząknął i Esme się zjeżyła, ale potem przypomniała

sobie, że teść też jest tylko starym, samotnym mężczyzną, który potrzebuje miłości i troski, jak każdy.

- Proszę - powiedziała, apelując do jego dobrej natury, bo nie wątpiła, że w gruncie rzeczy poczciwy z niego człowiek, tylko bardzo się z tym kryje. - Jutro wezmę wolny dzień i zobaczę, czy uda mi się ją namówić na wizytę u lekarza, dziś jednak musisz mi pomóc trochę więcej niż zwykle.

- Traktujesz to jak coś oczywistego - oświadczył Henry. - Ale jest mi to obojętne.

Esme, poprawiając w bezsilnej złości rajstopy, zaciągnęła je i poleciało jej oczko. Czy to ten sam człowiek, który błagał, by mu pozwolono opiekować się wnukami? Czyj to był pomysł, że dzieciom najlepiej będzie w domu z dziadkami? Naprawdę Henry był niemożliwy.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się słodko. - To się już więcej nie powtórzy. Obiecuję, że jutro ci to wynagrodzę.

Akurat wtedy uderzył piorun. Esme znów zaklęła w duchu, wyglądając przez nowiutkie drzwi (niepomalowane i bez klamki) do ogrodu. Wielkie, czarne krople deszczu bębniły w płytki i rozpryskiwały się z impetem.

Pog zbiegł po schodach, jego miękko opadające włosy były jeszcze mokre, a policzki zaróżowione. Kiwał głową, słuchając kogoś, kto dzwonił na jego telefon komórkowy.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział bezgłośnie, przewracając oczami, pocałował Esme w policzek i poszedł do kuchni.

- Do widzenia, babciu Mac! - zawołała Esme, przestępując z nogi na nogę i czekając na odpowiedź, chociaż było już strasznie późno.

- Babciu Mac? Czy wszystko...

- Na litość boską! - wrzasnęła babka, pojawiając się na

półpiętrze. - Czy możesz zająć się swoimi sprawami i zostawić mnie w spokoju? - Mocno stąpając, zeszła po schodach, odepchnęła wnuczkę i skierowała się do kuchni.

Esme wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi frontowe. Trzech krzepkich robotników z najróżniejszymi tatuażami na ramionach jednocześnie dmuchnęło jej prosto w twarz dymem marlboro, ale tylko się uśmiechnęła, starając się być ponad to, i pobiegła na stację metra. Po drodze wiatr o mało nie wyrwał jej parasolki z ręki.

Dzień minął bardzo szybko. Nie miała nawet czasu pójść do łazienki, uświadomiła sobie, kiedy Shonel, kierowniczka artystyczna, pospieszała ją do wyjścia. Było już pięć po czwartej i za dziesięć minut miała wygłosić mowę okolicznościową.

- Chodź - ponaglała ją Shonel, stojąc w drzwiach. - Już wszyscy tam są.

Esme rzuciła szybkie spojrzenie na telefon, nim postanowiła - a właściwie bardziej sobie uzmysłowiła, niż postanowiła - że najpierw musi opróżnić pęcherz, a dopiero potem sprawdzi, co słychać w domu. W ciągu dnia kilka razy podnosiła słuchawkę, by zadzwonić i spytać, jak się czuje babka, ale za każdym razem coś jej przeszkodziło.

- Zadzwonię do domu z taksówki - powiedziała do Shonel. - Ty leć i złap jakąś. Muszę iść do ubikacji, bo mi pęknie pęcherz.

Kiedy już siedziały w taksówce, Esme zaczęła grzebać w torebce, w końcu znalazła telefon, by się przekonać, że bateria się wyczerpała.

- Cholera - zaklęła. - Shonel, mogę skorzystać z twojej komórki? - Kierowniczka artystyczna spojrzała cierpko na szefową, a potem na swoje owłosione nogi w sandałach Birkenstocka.

- Powodują raka mózgu - oświadczyła Shonel. - Są gorsze od papierosów.

Kiedy dotarły do studia kuchennego przy Portland Street, Esme natychmiast otoczyli sympatycy, pracownicy i ogłosze-

niodawcy, którzy przyszli, żeby napić się za darmo pinot gris i najeść irlandzkiego sera ze świeżutkim pieczywem. Wystarczyło, że Esme wciągnęła powietrze nosem, by wiedzieć, że nie ma chleba na zakwasie. Będzie musiała z kimś o tym pomówić.

- Czy jest tutaj telefon? - spytała Jenny Gibson, zadziorną nastolatkę z drygiem do ciast, którą wzięła do pomocy w kuchni.

- Raczej mało prawdopodobne - odrzekła Jenny. - Spróbuj powiedzieć British Telecom, że ci zależy na czasie, a zobaczysz, dokąd cię to zaprowadzi.

- Kurde, kurde, kurde - wymamrotała Esme pod nosem. Po chwili przywołała na twarz uśmiech i poprosiła wszystkich o uwagę, bo lada moment miało nastąpić oficjalne otwarcie studia kuchennego.

Już po części oficjalnej złapała kieliszek wina z tacy przechodzącego obok niej kelnera i kiedy piła je łączywie, zauważyła, że patykowaty mężczyzna ubrany na czarno z bardzo znudzoną miną wkłada do kieszeni aparat komórkowy.

- Przepraszam - zaszczębiotała. - Czy mogę skorzystać?

Po ośmiu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Esme ogarnął niepokój. Spojrzała na zegarek. Było wpół do szóstej i chłopcy powinni jeść kolację. Dlaczego nikt nie odbiera telefonu?

Znów wybrała numer i znów po kilku dzwonek włączyła się automatyczna sekretarka. Potem spróbowała się dodzwonić do Poga, ale na próżno. Widocznie wyłączył komórkę na czas trwania spotkania.

- Pozwoli pani? - zapytał ją patykowaty mężczyzna, sięgając po swój aparat, i w tej właśnie chwili Esme zauważyła, że to taki sam przestarzały model, jak jej. Chociaż serce jej waliło, uśmiechnęła się do właściciela telefonu.

- Przepraszam - powiedziała, ściskając aparat, i zaczęła przepychać się przez tłum w kierunku wyjścia, ignorując zdumiony jęk właściciela telefonu.

Zatrzymała taksówkę, wsiadła do niej i wsunęła baterię od telefonu mężczyzny do swojego aparatu. Jakoś mu go odda. To nie było teraz najważniejsze. Przez całą minutę wpatrywała się w malutki wyświetlacz własnego telefonu, aż ją poinformował, że jest włączony, potem, że jest zasięg, by w końcu po serii głośnych, budzących lęk sygnałów powiadomić Esme, że ma jedną, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć wiadomości.

Drżącym palcem nacisnęła guzik, by odczytać pierwszą. „Dzwonił Henry, proszę, zadzwoń do domu”. „Henry prosi o telefon do domu”, brzmiała druga. „Zadzwoń do domu jak najszybciej”, wołały trzecia, czwarta, piąta i szósta.

Esme poczuła, jak kieliszek ciepłego pinot gris podnosi jej się w żołądku i podpływa do gardła. Próbowwała sobie tłumaczyć, że prawdopodobnie nic poważnego się nie stało, ale i tak ogarnął ją paniczny strach. Zaczęła szybko oddychać, czoło pokryła jej warstewka potu, chociaż było chłodno.

- Przepraszam - powiedziała najgłośniej jak mogła i zastukała w szybę, odgradzając ją od taksówkarza, ponownie wykręcając numer domowy. - Czy mógłby pan jechać szybciej?

Telefon zadzwonił osiem razy i włączyła się automatyczna sekretarka.

- Henry - odezwała się Esme, jej wystraszony głos brzmiał jakoś obco. - To ja. Jesteś tam? Proszę, podnieś słuchawkę. - Jej prośba pozostała bez echa. - Jestem w drodze do domu. Dopiero przed chwilą odebrałam wiadomości od ciebie. Przepraszam. Czy wszystko w porządku? - Wciąż cisza w słuchawce. - Czy babci Mac nic nie jest? - Zagryzła usta, zastanawiając się, czy bicie jej serca słychać na taśmie. - Już jadę do domu. Do zobaczenia wkrótce. Przepraszam, Henry.

Dom przy Ali Souls Road wciąż stał, co przynajmniej pozwoliło jej odetchnąć, kiedy rzuciła taksówkarzowi banknot dwudziestofuntowy i wbiegła po schodach.

- Hop hop! - zawołała, kiedy znalazła się w holu. - Henry! - W kuchni nie zastała nikogo, w pokoju dziennym też nie. - Babciu Mac! - znów krzyknęła i ogarnęła ją panika, kiedy zobaczyła, że miga lampka automatycznej sekretarki. Zamarła ze strachu.

- Henry! - zawołała znów, kiedy wyszła na schody.

- Jestem tutaj! - dobiegł z góry jego zirytowany głos. -W łazience. Gdzie ty byłaś, do cholery?

Rozdrażnienie teścia wpłynęło na nią uspokajająco. Poczowała, jak krew zaczyna krążyć w jej żyłach. Odetchnęła głęboko, otwierając drzwi do łazienki.

Henry siedział na skraju wanny, trzymając na kolanach Rory'ego, owiniętego jedynie w ręcznik. Zanim zdążyła zrobić kolejny krok, chłopczyka chwyciły torsje i Henry delikatnie odwrócił go w stronę sedesu, do którego malec zwymiotował odrobinę przezroczystego płynu.

- Och, moje biedactwo - krzyknęła Esme, klękając obok nich, i pocałowała Rory'ego w nóżkę, która była najbliżej. - Od kiedy ma torsje?

- Od drugiej wymiotuje i ma biegunkę - burknął Henry. Esme spojrzała na jego pomarszczoną twarz, ale zobaczyła w oczach teścia strach, a nie złość. - Nie wiem, czym jeszcze może wymiotować, ale wciąż ma torsje.

Esme położyła rękę na czole Rory'ego. Było gorące, ale w miarę. Był jednak zupełnie bezwładny. Otworzył oczy, żeby na nią spojrzeć, lecz nie podniósł główki.

- Gdzie jest Teddy? - zapytała.

- Z twoją babką - warknął Henry. - W jej pokoju.

- Jak myślisz, czy nie powinniśmy zawieźć Rory'ego do lekarza? - spytała Esme. - Albo do szpitala?

- Dzwoniłem do przychodni - odpowiedział jej Henry. -Mówili, że to tylko wirus. Od dwóch dni mają pełną poczekalnię dzieci z takimi objawami. Zapewnili, że powinno mu przejść po dwunastu godzinach. Przypuszczam, że Teddy'ego też to nie ominie.

Esme poczuła wyrzuty sumienia, ale pospiesznie je uciszyła. Powinna tutaj być. Powinna zadzwonić do przychodni. Powinna się martwić, że Teddy też złapał tego wirusa.

- Poradzisz sobie z nim? - zapytała, patrząc na swojego biednego, chorego synka, i wstała.

Henry rzucił jej spojrzenie, które - jak wiedziała - znaczyło: „Czy nie dawałem sobie rady do tej pory?”.

Ulga Esme, że wszystko jest w porządku, nie trwała długo. W chwili, kiedy weszła do pokoju babci Mac, stało się dla niej oczywiste, że coś jest nie tak. Babka leżała na łóżku w ubraniu, choć najwyraźniej nie spała. Kiedy Esme zbliżyła się do niej, nie poruszyła się ani nawet nie spojrzała w jej stronę.

- Babciu Mac! - zawołała Esme.

Nie było żadnej reakcji. Kiedy Esme pochyliła się nad staruszką, z przerażeniem dostrzegła, że połowa twarzy babki jest sparaliżowana, jakby lalkarz, który nią poruszał, poszedł sobie na filiżankę herbaty, zostawiwszy kukielkę na oparciu krzesła.

- Babciu Mac! - znów krzyknęła Esme, tym razem ujmując staruszkę za chude ramiona i lekko przyciągając ją do siebie.

Z ust babki wydobyło się coś jakby rzeżenie. Esme objęła ją mocniej, w głowie kłębiło jej się zbyt wiele przerażających myśli. Dlaczego poszła do pracy? Dlaczego zlekceważyła sygnały ostrzegawcze? Jak mogła być taka niefrasobliwa, bez serca, samolubna, głupia?

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła, kołysząc nieporadnie babkę. - Proszę, proszę, proszę, nie zostawiaj mnie.

Z ust babci Mac znów wydobyło się rzeżenie, tym razem głośniejsze, i Esme nagle pomyślała, że może sprawiła jej ból, że powinna zrobić coś innego, a nie ścisnąć ją i przemawiać do niej błagalnie. Delikatnie ułożyła babkę z powrotem na poduszce.

- Eegggghhhh - jęknęła staruszka. Ślina ściekała jej

z tej strony ust, która uległa paraliżowi. - Eeeegggghhhhy-
yyyyy-

- Zaraz dzwonię po pogotowie - oznajmiła Esme tak kojącym głosem, jak tylko potrafiła, ale nie czuła nic poza przerażeniem i zamętem. Jeśli babcia Mac umrze, to wtedy ona też z pewnością umrze. - Sprowadzę pomoc.

- Eeeegggghhhhh - znów jęknęła jej babka, tym razem wyraźnie bardziej poruszona. - Eeeeegggghhhhy.

Utkwiła w Esme błyszczące, czarne oczy i chociaż była częściowo bezwładna, ściągnęła na siebie oszalały z niepokoju wzrok wnuczki.

- Egg - wymamrotała. - Eggy.

Ted, pomyślała Esme. Teddy. Natychmiast zaczęła szybciej oddychać i zerwała się z łóżka. Gdzie Teddy? Babka wciąż się w nią wpatrywała i nagle do Esme dotarło, że musiało się stać coś strasznego.

Teddy miał być tutaj z babcią Mac, tak powiedział Henry.

Jak idiotka zajrzała pod łóżko.

- Czy jest gdzieś tutaj? - zapytała, chociaż wiedziała, że babka nie może jej odpowiedzieć.

Sprawdziła w garderobie, pewna, że prawdopodobnie tam też go nie ma, i chociaż wiedziała, że nie powinna zostawiać babci Mac samej w takim stanie, wybiegła na schody.

- Henry! - zawołała. - Widziałeś Teddy'ego? - Sprawdziła w sypialni bliźniaków, starając się nie ulec panice, a potem znów wyszła na schody. Henry stał w drzwiach do łazienki, trzymając przelewającego się przez rękę Rory'ego, który odwrócił główkę, żeby spojrzeć na matkę.

- Teddy'ego nie ma z babcią Mac - oświadczyła Esme. - Chyba miała wylew, Henry. Kiedy ostatni raz ją widziałeś? Co mówiła?

- Nie ma go w jej pokoju? - Henry się zmieszał. - Zaprowadziłem go tam dopiero co. Tuż przed twoim przyjściem. Jesteś pewna?

Tuż przed jej przyjściem. Esmę odetchnęła z ulgą. A więc niedawno. Nic mu nie jest.

- Sprawdź w naszym pokoju - poleciła teściowi - a ja jeszcze raz zobaczę na parterze. - Mógł zejść na dół, kiedy była w łazience z Henrym albo u babci Mac. Babcia Mac!

Zbiegła po schodach, wzięła do ręki słuchawkę, wybrała numer 999 i poprosiła, żeby przysłali karetkę.

- Ali Souls Road trzydzieści dziewięć - rzuciła do słuchawki, zaglądając do szafy pod schodami i za kanapę, gdzie chłopcy często się chowali. - Morąg MacDougall. Nigdy nie chorowała, ale jest bezwładna i połowę twarzy ma sparaliżowaną. Czy to wylew? Chciałam powiedzieć, że wygląda to na wylew. Czy to wylew? Czy nic jej nie będzie? -Wiedziała, że mówi bez ładu i składu. Wróciła do kuchni i sprawdziła w spiżarni. Skąd ta kobieta, z którą rozmawia przez telefon, może wiedzieć, czy babci Mac nic nie będzie?

- Dziękuję - powiedziała, kiedy tamta powtórzyła adres. - Jak długo... - ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy nagle zobaczyła to, co poprzednio jej umknęło: że jedne niepomalowane drzwi bez klamki, wiodące z kuchni do ogrodu są lekko uchylone. Rzuciła słuchawkę i wybiegła z domu. Na podwórzu porozciągane były niebezpieczne narzędzia i prawdopodobnie trujące substancje. Mały chłopiec mógł sobie tam zrobić wielką krzywdę.

- Teddy! - zawołała. Nawet nie zauważyła, że deszcz wciąż pada i jest zimno. - Ted! - Było kilka miejsc, w których mógł się schować, wiedziała też, że trzyipółmetrowej wysokości ceglany mur jest nie do przebycia. Gdzie on jest?

Przebiegła przez zdewastowany trawnik. Buty zapadały jej się w błocie. Musiała sprawdzić, czy go nie ma w krzakach wokół podwórka.

- Teddy! - wołała, odsuwając wilgotne gałęzie. - Synku! Nigdzie nie było ani śladu chłopca. Myśli o pedofilach i porywaczach atakowały umysł Esmę, ale je odpędziła. Ted

musi gdzieś tu być. Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Pokój Henry'ego!

Odwróciła się i tak szybko, jak tylko pozwalała jej na to rozmiękła ziemia, pobiegła z powrotem do domu. Kiedy mijała fontannę, poślizgnęła się na kawałku czarnej folii, przykrywającej zbiornik i opadającej na ziemię.

Henry stał w kuchni, wciąż trzymając na rękach Rory'ego, który płakał. Buzię miał wykrzywioną z bólu i żalości.

- Twój pokój! - krzyknęła Esme.

- Już sprawdziłem - odrzekł Henry, przekrzykując zawrodenie malca.

- Sprawdziłem też na górze.

Zadzwoził dzwonek u drzwi i Henry drgnął.

- To pogotowie ratunkowe - wyjaśniła Esme, przeciskając się obok niego. - Jest na górze - poinformowała dwóch sanitariuszy. - Zaprowadzę panów.

Ale potem zatrzymała się i odwróciła w ich stronę.

- Mój syn - powiedziała. - Nigdzie nie możemy go znaleźć.

Nie było go ani na górze, ani na dole. Znów się odwróciła i zaczęła prowadzić sanitariuszy po schodach. A więc Teddy musi być na podwórku.

Znów się zatrzymała.

- Jest w pokoju w końcu korytarza. Po lewej stronie. - Jak może zostawić babcię Mac samą z tymi obcymi mężczyznami? Babka ją zabije. - Henry! - zawołała, wyraźnie zrozpaczona.

- W porządku - powiedział jeden z sanitariuszy i uspokajająco poklepał ją po ramieniu. - Poradzimy sobie z pani babcią. Proszę iść szukać brzdąca.

Esme znowu zbiegła po schodach i wpadła na Henry'ego, szarego na twarzy. Wciąż trzymał na rękach płaczącego Rory'ego. Wyłonił się z szafy pod schodami.

- Sprawdzalam tam - powiedziała Esme. - Szukałam wszędzie. Zajrzałam do wszystkich zakamarków, wszystkich kryjówek i do każdego miejsca, jakie mi tylko przy-

szło do głowy. Nie wiem, gdzie może być. Nie ma go nigdzie...

Słowa zamarły jej na ustach. Razem z Henrym jednocześnie odwrócili się i znów wyrzeli przez drzwi kuchenne. Wzrok obojga padł na zbiornik fontanny, nakryty czarną folią.

- Kto ją tam położył? - spytała Esme, biegnąc do drzwi. Nogi ślizgały jej się na mokrych płytkach, kiedy spieszyła ku fontannie. Padła na kolana tuż obok swojego własnego kawałka Venolat. Chwyliła zwisającą folię, ściągnęła ją i wdrapała się na brzeg zbiornika.

W środku leżał mały, puciołowaty Teddy, twarzą do dołu, z rozpostartymi rączkami, jego rude włoski wyraźnie odcinały się od mrocznej ciemności zbiornika. Krzyknęła czy nie? Z całą pewnością jej usta tworzyły czarną dziurę, kiedy jak oszalała zanurzyła ręce w lodowatej wodzie, złapała go i odwróciła na wznak. Ale wiedziała, że już za późno. Wyciągnęła go z wody i osunęła się na ziemię. Przyciskała bezwładne, mokre, lodowato zimne ciało do piersi, usta miała wciąż otwarte w niemym krzyku, jej oczy wpatrywały się w przeszłość, której wcale nie chciała oglądać.

Padał na nich deszcz, włosy przylepiły jej się do głowy, przybierając taki sam odcień jak włoski jej synka. Tak mocno kontrastowały z czernią wszystkiego wokół.

Wzrok Esme na krótko padł na Rory'ego, próbującego się wyrwać dziadkowi i krzyczącego na widok swojego brata bliźniaka. Jego oczy wypalały w jej sercu dziurę, której nic nigdy nie wypełni.

Sanitariusz w jaskrawożółtej kamizelce przecisnął się obok Henry'ego i jego wnuka i przykląkł koło Esme.

Wziął od niej chłopczyka - zmusił ją, by mu go oddała - a potem ostrożnie położył Teddy'ego na mokrych płytkach, w które bębnił deszcz, odchylił do tyłu jego główkę, zasłonił mu nosek i zaczął wdmuchiwać powietrze w płuca.

Właśnie taki okropny widok ujrzał Pog, który urwał się ze spotkania po tym, jak odczytał wiadomości od Hen-ry'ego.

Esme popatrzyła nad sanitariuszem, próbującym tchnąć życie w jej martwego synka, i ich oczy się spotkały. Czerwony skafander Poga majaczył niewyraźnie, tworząc zamazaną plamę, ale z całą ostrością widziała twarz męża. Zobaczyła to wyraźnie jak w dzień i wiedziała, że tego, co wtedy poczuła, nie poczuje już nigdy więcej. Jak przedtem Rory, teraz Pog wypalił w sercu Esme dziurę swoim bólem. Świat znieruchomiał. Chciała, żeby nastąpił jego koniec.

I pod pewnym względem tak się stało.

Odrętwienie zaczęło się od palców nóg i przesuwało ukradkiem w górę jej ciała, kiedy mózg Esme rejestrował to, czego wciąż nie chciała do siebie dopuścić: że Teddy nie żyje. Paraliż ogarnął ją całą, unieruchamiając ją w silnym uścisku i tak delikatnie zaciskając się na jej sercu, że nadal mogło bić, ale już nigdy nie tak, jak dawniej.

Rozdział szesnasty

- Cudownie wyglądasz! - jęknęła Alice z zachwytem, kiedy Esme weszła do baru Rockwell na Trafalgar Square. Jej przyjaciółka już sączyła daquiri z arbuzem i bazylią. - Cokolwiek to jest - powiedziała, głośno odstawiając swój koktajl na stół - ja też trochę tego chcę.

Esme ukryła rumieniec, szukając czegoś w torbie. Zdjęła żakiet i usiadła na wyściełanej kanapie obok Alice. Rzeczywiście czuła się jakoś inaczej.

Spotkanie z Louistem i rozmowa z nim odmieniły ją. Zanim się z nim pożegnała, bardzo niechętnie, na Marylebone High Street, pocałowali się. O tym pocałunku śniła przez wszystkie długie lata po rozstaniu z pierwszą miłością swego życia. W jej sercu, tak obolałym po tym, jak wyrzuciła z siebie długo skrywane wspomnienia o śmierci Teddy'ego, swojego ślicznego synka Teddy'ego, pojawiły się nadzieja i pożądanie, gdy Louis wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie.

- Moja biedna Esme - powiedział i pocałował ją w ucho, czoło, policzek, na którym jeszcze nie obeschły łzy. - Moja biedna Esme. - Nieznacznie odchyliła głowę do tyłu i nastawiła mu usta do pocałunku. Nie miała wątpliwości, że skorzysta z jej oferty.

Wszystko to rozwijało się w sposób zupełnie naturalny. Czuła się tak, jakby Louis usunął ciężkie, przegniłe war-

stwy, które gromadziły się przez ostatnie dwa lata, i wyłoniła się spod nich dawna świeża, lśniaca, wspaniała Esme.

Jęknęła, kiedy zaczął ją całować, znów poczuła na sobie jego uda, smakowała słoną słodycz jego ust, a kiedy objął ręką jej pierś, dziękowała Bogu, że jej La Perla przetrwała próbę czasu.

Louis odsunął się, oczy miał ciemne i błyszczące, a usta wilgotne.

- Muszę już iść - powiedział. - Ale ciężko mi zostawić cię w takim stanie.

- Nie, nie - zaprzeczyła gwałtownie. - Czuję się dobrze. Zupełnie dobrze.

I była to prawda. Rzeczywiście dobrze się czuła. Opowiedzenie tej strasznej historii o najdroższym Teddym, samo wymawianie jego imienia, opisywanie jego ożywionej i szczęśliwej buzi, przypomnienie sobie malutkich paznokietków, gardłowego chichotu - wszystko to przyniosło jej ulgę i ukojenie. Szczegóły, o których nie mogła rozmawiać z mężem, przyjaciółmi, a nawet ze swoją babką, wytrysnęły z niej gwałtownie niczym szampan Grand Prix, kiedy wpatrywała się w ciemne, głęboko osadzone oczy Louisa Lapoine'a. Nie mogła przestać mówić o tragicznie zmarłym synku. Chwilami jej słowom towarzyszył płacz, chwilami śmiech, ale ani razu się nie zająknęła ani nie umilkła. Czuła się pijana ze szczęścia, było jej tak lekko na duszy, kiedy się przekonała, że może powtarzać jego imię - Ted, Teddy, Teddiks - i nie zaczyna się dusić, a mgła nie spowija jej myśli. Sprawił to Louis. Uwolnił ją od tego koszmaru.

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać twoje życie po tym, gdy Teddy... - Louis spuścił oczy, ale Esme nie czuła teraz nic poza ciepłem na dźwięk tego imienia. - Esme, jesteś dzielną i wyjątkową kobietą.

- Nic podobnego - wymamrotała, choć jego słowa sprawiły jej przyjemność. Czuła się teraz bardziej z nim związa-

na niż kiedykolwiek, ale już był spóźniony, a ona musiała się spotkać z Alice.

Alice. Jak ma zachować rozmowę z Louistem w tajemnicy, myślała, starając się odwlec moment, kiedy będzie musiała spojrzeć przyjaciółce w oczy. Jak się nie wygadać przed najlepszą przyjaciółką, przed którą nigdy niczego nie zataiła? Jak Alice może nie zauważyć, że w Esme dokonała się całkowita przemiana?

- A więc - odezwała się tamta, wrywając ją z zamyślenia - powiesz mi czy mam zgadywać?

Esme w pierwszej chwili ogarnęło zmieszanie.

- Czy to coś, co trzyma się w butelce, czy też robi ci to Pog, zanim wciągnie kalesonki i pójdzie po śniadanie dla ciebie? - dopytywała się Alice.

Na dźwięk imienia męża zmieszanie Esme ustąpiło miejsca wstydom i wyrzutom sumienia. To oczywiste, że nie może powiedzieć Alice o Louisie. Cóż ona sobie wyobrażała? Może się czuć lśniąca i nowa, ale żegluj po mętnych wodach.

- Zmieniłam krem nawilżający - zakomunikowała promiennie, gładząc się po policzkach, i aż się spieszyła, jak łatwo przyszło jej to kłamstwo. - Same naturalne składniki, bez żadnych cudownych dodatków, z Neal's Yard.

- I nie rezygnuj z niego, skarbie - poradziła jej Alice, podając spis koktajli. - Wprost kwitniesz. - Inna oczywista ewentualność przyszła jej do głowy. - Ej, chyba nie jesteś...

Esme pokręciła głową, myśląc, że jej przyjaciółka nie mogłaby bardziej się pomylić, nawet gdyby się starała. Odwróciła wzrok, wiedząc, że Alice odbierze to jako znak, że bez względu na to, ile czasu minęło, Esme nadal nie chce rozmawiać na temat ciąży. Po śmierci Teddy'ego znajomi natychmiast zaczęli jej radzić, by urodziła drugie dziecko, które by jej go zastąpiło. Jakby to było możliwe. Jakby mogła znieść myśl, że nie ma już Teddy'ego, nie mówiąc o tym, by go kimś zastąpić. Jej dobre samopoczucie lekko zmącił smutek.

Alice odstawiła koktajl i wyciągnęła rękę, by uścisnąć dłoń Esme.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała i Esme aż zrobiło się niedobrze na myśl, że jest taka dwulicowa, kiedy usłyszała szczere współczucie w głosie przyjaciółki.

Jak mogła dopiero co podzielić się tym, co kryła w sercu, swoją stratą - choć na myśl o niej ścisnęła jej się gardło - z Louistem, którego ostatecznie prawie wcale nie знаła, a nie mogła tego wyznać Alice, swojej bratniej duszy? Od dnia pogrzebu Teddy'ego wszelkie rozmowy o nim były tematem tabu. Nadal nie mogła myśleć o tamtym posepnym, bolesnym i koszmarnym dniu. Aż do dziś Esme nie potrafiła wymówić imienia tragicznie zmarłego synka w obecności nikogo, nawet Poga, nawet babci Mac. Aż do spotkania z Louistem o wielkich, czarnych, przenikliwych oczach i silnych, ciemnych palcach piekarza.

Coś, co kiedyś razem przeżyli, sprawiło, że mogła mu się zwierzyć ze strasznych szczegółów śmierci Teddy'ego, chociaż wcześniej wydawało jej się to nie do pomyślenia. A w dodatku czuła się jak w siódmym niebie, co napełniało ją przerażeniem. Tak, to bolało. To bolało tak bardzo, jakby człowieka trawił ogień piekielny. I prawdopodobnie zawsze będzie tak bolało, lecz teraz przynajmniej mogła czuć. Mogła naprawdę coś odczuwać. Tak długo była odrętwiała, ale teraz potrafiła znów czuć ból, a razem z nim przyjemność.

Louis uwolnił w niej - znowu - coś takiego, czego nikt inny nie potrafił uwolnić, i Esme czuła się taka lekka ze szczęścia, ulgi, przerażenia i strachu, że ledwo mogła pomyśleć o tym, że zgodziła się z nim spotkać w przyszłym tygodniu. U niego w hotelu.

Mimo fajerwerków, wybuchających w jej głowie, udało jej się wymienić ploteczkami z Alice, kiedy piły kolejny koktajl.

Louis sprawił, uświadomiła sobie, słuchając, jak przyjaciółka paple o nieudanych tańcach dla osób samotnych, że

teraz poczuła się jak Esme, jaką naprawdę była: tą, którą odkrył w małej, rozgrzanej piekarni wiele lat temu. To dlatego mogła z nim rozmawiać o Teddym. Ponieważ była dla niego wyłącznie powabnym ciałem, które go tak zachwyciło, chociaż był żonaty. Nie jego żoną ani synową, wnuczką czy matką. Nie mogła go zdenerwować ani obwiniać, ranić jego i siebie, roztrząsając w jego obecności wydarzenia tamtego strasznego dnia. Przy nim nie musiała być tą kobietą, w którą zmieniła się tamtego okropnego wieczoru. Była Esme, zwyczajnie i po prostu. W prawdziwym życiu nadała sobie inny kształt i dodała konserwanty, bo musiała, ale dla Louisa nadal była Esme, po prostu i zwyczajnie.

- Proszę pani, przebywa pani dziś miliony kilometrów stąd. - Głos Alice wyrwał ją z zamyślenia. - Ten krem nawilżający rzeczywiście działa cuda. Jak się nazywa?

- Wiesz, nie mogę sobie przypomnieć - znów bez zajknięcia skłamała Esme. - Zadzwoń do ciebie po powrocie do domu. No właśnie... - Wzięła płaszcz i torbę. - Wybierz się kiedyś do nas z wizytą, dobrze? - Myśl o powrocie do Domu w Chmurach nagle ją przestraszyła. Teraz wszystko wydawało się inne.

- Wiesz, że mam alergię na wieś - powiedziała Alice, też wstając i szykując się do wyjścia. - Potrzebuję brudu, błota, opryskliwych ludzi i mężczyzn bez jaj, o nieświeżych oddechach i z wulgarnymi tatuażami, inaczej się rozsypuję.

Esme, chociaż prawie wcale nie słuchała przyjaciółki, musiała zrobić rozczarowaną minę, ponieważ Alice nachyliła się, żeby ją pocałować na pożegnanie.

- Dobrze już, dobrze - zgodziła się. - Przyjadę, ale umów mnie z tym cudownym przystojniaczkiem z sąsiedztwa, bo inaczej szybko zrejteruję.

- Z Ramolem? - zdumiała się Esme, zdegustowana. - Musi być z tobą bardzo źle.

Jadąc pociągiem do domu, tysiące razy odtwarzała w myślach pocałunek Louisa. Przypominała sobie, jak je-

go wargi dotykały jej ust, jak ją obejmował, jak wsuwał kciuki pod fiszbiny jej stanika. Ale uczucie zachwytu co chwila ustępowało falom strachu i wyrzutów sumienia. Myślała o Poggu, jak bardzo go kochała. A potem przypominała sobie Louisa i jak na nią wpływał. Między jednym a drugim było tak niewiele wspólnego, że ogarnęło ją śmiertelne przerażenie. Potem pomyślała o albumach ze zdjęciami, których nie mogła oglądać od śmierci Teddy'ego. Zniknęły po pogrzebie chłopca z ich pokoju, ale Esme poczuła falę gorąca i natychmiast się domyśliła, gdzie są. Przypomniała sobie zmieszanie Poga, kiedy po raz pierwszy zajrzała do jego szopy i stosy niepotrzebnych papierzysek, kamuflujących albumy ze zdjęciami. Nagle nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do domu. Chciała zobaczyć dwie rude główki synków, leżące na jej brzuchu w szpitalu, chciała zobaczyć, jak bliźniaki siusiają na dywaniki z owczej skóry, siedzą w nadmuchiwanym brodziku, spacerują z babcią Mac, zanim wylew przykuł ją do łóżka. Poczowała, jak gardło jej się ściska na wspomnienie zdrowej babci Mac, i pokręciła głową. Co to był za dzień. Nie zniosłaby już nic więcej.

Kilka następných dni minęło bardzo szybko. Była tak zaabsorbowana domowymi sprawami, że prawie nie miała kiedy myśleć o tym, co się wydarzyło w Londynie. Nawet kiedy nie zmagiała się z kalekami zwierzętami, nie gotowała i nie sprzątała - nie mogła się zdecydować, czy myśleć o ukradkowym pocałunku Louisa, czy wracać do wspomnień o Teddym, tak długo zakazanych, że teraz, kiedy im pozwalała, stale się pojawiały.

Ale gdzieś w głębi, pod gumowymi rękawiczkami, płynami czyszczącymi i mąką, czuła lekki powiew szczęścia, które przesłaniało wszystko. Pog natychmiast je wyczuł i przypisał jej wyjazdowi do Londynu i spotkaniu z Alice.

- Powinnaś częściej to robić - oświadczył następnego wieczoru, kiedy już leżał w łóżku, ale jeszcze się nie poddał zmęczeniu.

- Co? - spytała Esme, zastanawiając się, czy czuje wstyd czy coś innego.

- Spotykać się z Alice - powiedział. - Wspaniale to na ciebie wpłynęło.

Nie mogła usnąć jeszcze długo po tym, jak mąż już chrapał. Jej powiew szczęścia zniknął i pozostawił po sobie poczucie winy. Zastanawiała się, ile jeszcze czasu upłynie, nim będzie mogła wymówić imię Teddy'ego w obecności jego ojca, tego serdecznego, najdroższego jej mężczyzny, który spał obok. Próbowала sobie wyobrazić, jak to powiedzieć po wszystkim, co przeszli, ale nie wiedziała, w jaki sposób to zrobić.

Serce jej biło miłością do Poga, kiedy pokój rozbrzmiewał jego pochrapywaniem, potem ją zabolalo, a później znów szybciej zabiło. Przewracając się z boku na bok, postanowiła, że nie pojedzie do Londynu i nie spotka się z Louistem. Ofiarował jej cenny dar, umożliwiający powrót do prawdziwego życia, do prawdziwej przyszłości u boku rodziny tutaj, w Domu w Chmurach. Ale ona nie może mu dać nic w zamian. Jeden pocałunek będzie musiał wystarczyć. Lecz zanim wstała, by wyrobić ciasto na chleb, zmieniła zdanie tyle razy, że w końcu nie wiedziała, czy się z nim spotka czy nie. Była taka zmęczona, iż uznała, że i tak nie ma znaczenia, co zrobi.

W niedzielę poszła do sklepu i sama kupiła gazetę. Nawet nie próbowała się oszukiwać, że tego nie chce.

- Kolejne cudowne zdjęcie głupiej krowy - parsknęła, sadowiac się w nogach łóżka babci Mac i kaszląc, bo aż ją zakrećilo w nosie od dymu tysięcy papierosów. - Założę się, że w tym miesiącu zatkają się rurki do odsysania tłuszczu w salonach piękności na Harley Street.

- Mniejsza o twoją złośliwość - burknęła babcia. - Powiedz mi, jak mały Cosmo radzi sobie na lekcjach fizyki nuklearnej.

- Co za młyn! - zaczęła czytać Esme. - Nie mogę wprost

uwierzyć, że w „Sunday Times” pozwalają na tyle wykrzykników. Powinni wprowadzić jakieś ograniczenia.

- Czytaj - poleciła babcia Mac.

- *Nie mam ani jednej wolnej chwili, a mój terminarz wprost pęka od zaproszeń. Proszę! Wykrzyknik. Dość! Wykrzyknik. Rozumiesz, o co mi chodzi? Zupełnie, jakby na świecie nie istniały inne znaki przestankowe.*

- Na litość boską! - jęknęła babcia Mac.

- *Tydzień rozpoczął się niezbyt ciekawie - czytała Esme - od otwarcia wystawy sztuki Graysona McFadgeona, o której dużo pisano, w jakiejś okropnej, pełnej przeciągów pseudohali fabrycznej na „obrzeżach” Pimlico. Jestem zdumiona tym, co obecnie wymyślają ci niedomocy pseudogeniusze. Bo przepraszam, ale kto orzekł, że trzy obcięte paznokcie na kawałku pytłowej grzanki to sztuka? Trudno na coś takiego patrzeć, nie mówiąc już o jedzeniu. I jeśli wszyscy moglibyśmy sobie zażyczyć dwa tysiące funtów za butelkę po coli z własną śliną, jestem pewna, że zrobilibyśmy to natychmiast. I prawdopodobnie smakowałyby lepiej od tej, którą zaprezentował Grayson McFaddeon, chociaż może nie zawierałaby alkoholu. Sądząc po wyglądzie twórcy, nie wydaje on swoich łatwo zarobionych pieniędzy na solidny posiłek (ani na dezodorant, jeśli o to chodzi), ale szkoda, że nie widzieliście, jak ten pryszczaty łobuz pochłaniał caberneta i merlota. Proponuję, żeby raz na zawsze zrezygnował z wystawiania „Wosku z uszu na tamponie” i zamiast tego skupił się na sztuce performance. Pod koniec wieczoru jego biała koszula (bez najmniejszej domieszki włókien naturalnych!) wyglądała jak coś, z czego mógłby być dumny Jackson Pollock.*

- Co? - przerwała jej babcia Mac. - Bez wykrzyknika?

- Prawdę mówiąc, jest jeden - potwierdziła Esme - po włóknach naturalnych.

- Sprawiasz wrażenie dotkniętej, Esme - zauważyła od niechcienia babcia Mac. - Myślałam, że ty i Jemima macie podobne zdanie o sztuce nowoczesnej. Czy się mylę?

- Cóż, nie powiedziałabym, że podobne - odrzekła Esme. - Mam czytać dalej? *Z największą przyjemnością przyjąłam zaproszenie na ślub pozostającej w niełasce super-modelki Evangeline Lithgow z lordem Lachlanem Highfieldem, któremu niedawno udało jej się zawrócić w głowie. Ślub miał się odbyć w ten weekend w rodzinnym zamku jego lordowskiej mości niedaleko Oksfordu. Evangeline przeżywała bardzo trudne chwile po urodzeniu córeczki, również Evangeline - biedaczka musiała przez całe tygodnie łamać sobie swoją małą główkę, by wymyślić imię dla dziecka. Tak czy owak, najwyraźniej był to wielki wstrząs zarówno dla Evangeline, jak i dla jej poprzedniego narzeczonego, dziedzica rodzinnego majątku Geordiego White'a, kiedy mała Evangeline wyłoniła się ze szczyptych bioder swojej matki i okazało się, iż jest uderzająco podobna do pewnego piłkarza, grającego w Lidze Mistrzów, o, że się tak wyrażę, zdecydowanie smagłej cerze. Geordiemu, który ma włosy jasne jak len i niebieskie oczy, tylko tydzień czy dwa zajęło dojście do takiego wniosku, po czym naturalnie udał się w siną dal. Ale minęło zaledwie kilka tygodni i Evangeline pojawiła się na mieście uwieszona ramienia lorda Lachiego, zatwardziałego starego kawalera, powiedziałabym w całym tego słowa znaczeniu, o długim stażu. Naturalnie jak większość osób zaproszonych na uroczystości ślubne nie pobiegłam od razu do butiku Versacego, by wybrać coś małego i w paski. I chociaż bardzo się ucieszyłam z zaproszenia, niezbyt się zdziwiłam, kiedy w poniedziałek zadzwonił do mnie służący Highfielda z informacją, że ślub odwołano ze względu, co można wyczytać między wierszami, na brak zainteresowania. Och, jaka szkoda!*

- Wykrzyknik? - domyśliła się babcia Mac.

- Wykrzyknik - potwierdziła Esme. - *Jeśli chodzi o promocję telefonu komórkowego w Serpentine, przykro mi, ale księżna Ferguson zwyczajnie ostatnio nie staje na wysokości zadania. I jeśli się pisze, że poda się moët et chandon, to, na miłość boską, należy go podać. W naparstkach się nie liczy.*

Założę się, że był tu wykrzyknik, ale redaktor go skreślił -zauważyła złośliwie tylko dlatego, żeby babcia Mac nie przypomniała jej, jak sama często narzekała, że nie ma nic gorszego, niż przedzierać się przez miasto w godzinach szczytu, by przekonać się, że gospodarz zatrudnił skąpego barmana.

Byłam ogromnie spragniona, nim dotarłam na wieczór japoński GQ. Bardzo mi się podoba ten język i jego ojca rozpiera duma. Najpewniej wszyscy uczylibyśmy się japońskiego, gdybyśmy wiedzieli, co dla nas dobre. Jego nauczycielem jest zachwycający gość o nazwisku przypominającym markę samochodu, który nie ma pojęcia o kanapkach. To wasabi naprawdę oczyszcza zatoki! Tak! - powiedziała Esme, zanim padło pytanie.

Dziś po południu Cosmo i ja razem z połową gejów z Londynu i sporą grupą zakonnic wybieramy się na wspólne śpiewanie melodii z „Dźwięków muzyki” niedaleko Leicester Square. Cosmo wystąpi jako pszczołka, mamy niesamowity kostium ze wspaniałej wypożyczalni w Knightsbridge - jestem pewna, że długo będzie go nosił - a ja wcielę się w Leisl w sukience, którą sobie uszyłam na bal przebierańców, kiedy miałam szesnaście lat! Aaach! - Esme odrzuciła głowę do tyłu. - Czy to się nigdy nie skończy?

- Przecież też lubisz „Dźwięki muzyki” - odrzekła z szelmowskim błyskiem w oku babcia Mac. - Nie mówiłaś, że chciałybyś zabrać Rory'ego do Londynu, żeby to zobaczył?

- W sukience, którą uszyłam, kiedy skończyłam szesnaście lat? Nie sądzę. - Rzuciła gazetę na łóżko. Rzeczywiście, z przykrością musiała stwierdzić, że w pełni zgadza się z tym, co pisze Jemima.

- A więc - spytała babcia Mac - zamierzasz znów się z nim spotkać?

Czasami Esme wolałaby, aby babcia Mac nie znała wszystkich jej najskrytszych myśli.

- Nie sędę, bym zdołała się przed tym powstrzymać -westchnęła - chociaż to prawdopodobnie największe głupstwo, jakie mogę popełnić. Ale on w jakiś sposób odsłania we mnie coś, do czego nawet sama nie mogę dotrzeć, babciu Mac, i czuję, że muszę to zrobić. Kiedy mu powiedziałam, no wiesz... - Umilkła, ponieważ nadal wydawało jej się to takie dziwne. - O Teddym... Przez chwilę miałam przedsmak tego, jaka byłam dawniej, i było mi tak dobrze, że muszę to jeszcze poczuć. My tylko, no wiesz, rozmawiamy. Tylko rozmawiamy.

- Czyżby? Czy tak to się teraz nazywa?

- Nie bądź wulgarna - odparowała Esme. - To wcale nie o to chodzi.

Ale nie była tego taka pewna i dobrze o tym wiedziała. A jeśli ona wiedziała, to i babcia Mac wiedziała. Cóż. Nic więcej nie można było dodać.

Przez kilka kolejnych dni Esme ogarniały wyrzuty sumienia, aż gotowa była się samobiczować, przeplatane taką lekkomyślnością, że przyprawiało ją to o zawrót głowy. Tuliła tajemnicę o Louisie do piersi, a razem z nią ukradkowe myśli o swoim aniołku. Czuła się, jakby jednocześnie trafiła do nieba i do piekła.

Pog, który od długiego czasu pilnie ją obserwował i dostrzegał nawet najmniejsze pochylenie jej ramion, wiedział, że żona z czymś się zмага. Martwił się, widząc ją przygnębioną, a teraz cieszyło go jej dobre samopoczucie. Znow, tak jak kiedyś, zaczęła nucić wesoło, fałszując niemiłosiernie. Jej chleb smakował tak wybornie, że na samą myśl o nim ślinka mu płynęła do ust. Tylko w nocy, w łóżku, nadal odwracała się do niego plecami. Wtulała się w niego i trzymała go za rękę, ale na wszelką sugestię czegoś więcej sztywniała albo się odsuwała.

Potrafił jednak czekać. I będzie czekał. Wiecznie, jeśli będzie musiał.

- Pomyślałam sobie, że mogłabym znow pojechać dzi-

siaj do Londynu - rzuciła od niechcienia w czwartek przy śniadaniu. Póki nie otworzyła ust i nie powiedziała tego na głos, wcale nie była pewna, czy pojedzie, ale Pog rozpromienił się nad swoim talerzem owsianki. Tak ją tym zachęcił, że na chwilę zapomniała, po co tam jedzie.

- Koniecznie pozdrów ode mnie Alice, dobrze? - poprosił. - Jak jej sprawy sercowe?

Esme przeszła do porządku dziennego nad jego błędnym założeniem, że umówiła się z przyjaciółką.

- Jak zwykle beznadziejnie - odpowiedziała. - Ten, z którym się spotkała ostatnio, nie zmieniał skarpet, odkąd ukończył szkołę. Alice utrzymywała, że jego nogi śmierdziały jak to, co się wydłubuje z zębów.

Pog pocałował ją na pożegnanie i zbiegł po schodach. Umówił się dziś z Meg D'ath, która chciała przebudować swoją małą szopę na mieszkanie dla teściowej.

Prawie dwie godziny zajęły Esme prysznic i wybór ubrania. Włożyła jedno, potem zdecydowała się na co innego, w końcu przebrała się trzeci raz, by ostatecznie zdecydować się na jasnozielony kostium Agnes B z bardzo krótką spódniczką. Ponieważ krepowała się pokazać w niej Henry'emu, narzuciła płaszcz, nim poszła odszukać teścia i spytać, czy może zaopiekować się Rorym.

- Prawdę mówiąc - odpowiedział Henry, kiedy Esme zajrzała do jego pokoju - nie.

- Słucham? - spytała z niedowierzaniem. Dlaczego wcześniej nie przewidziała takiej ewentualności?

- Wybieram się do Stonyborough na partyjkę brydża z doktorem Masonem i jego żoną - wyjaśnił szorstko Henry, zamykając książkę i otrzepując spodnie. - Zapraszają mnie od jakiegoś czasu i byłoby niegrzecznie znów im odmówić.

Wyjrzała przez okno do ogrodu, gdzie Rory próbował uczesać biednego Kłapoucha miotłą. Biedne stworzenie jakby znajdowało w tym przyjemność.

- Nie szkodzi - zaszczębiotała Esme. - Zadzwoń do pani McArthur. Na początku tygodnia rozważała, czy zapisać Rory'ego do przedszkola na ten dzień, ale się rozmyśliła, mając nadzieję, że w ten sposób powstrzyma się przed wyjazdem. Najwidoczniej nie przeszkodziło jej to, ale nie było mowy, by pani Monk przyjęła go bez uprzedzenia. Została jej tylko pani McArthur, biorąca pięć funtów za godzinę.

Wydawało jej się, że w Domu w Chmurach jeszcze przybyło schodów. Wdrapała się na samą górę, by wziąć notes z telefonami, leżący w kuchni. Po drodze zatrzymała się przed sypialnią i ściągnęła z nóg szpilki. Naprawdę powinna była to wcześniej zorganizować, ale wtedy musiałaby się przyznać przed samą sobą, że pojedzie. To taka różnica jak między nieumyślnym spowodowaniem śmierci a morderstwem.

Okazało się, że numer pani McArthur jest zajęty. Esme próbowała się dodzwonić cztery razy z rzędu, cały czas obserwując przez okno Rory'ego i starając się nie spoglądać na zegarek częściej niż raz na piętnaście sekund. Musiała pojechać pociągiem o jedenastej, jeśli miała się spotkać z Louistem w hotelu o pierwszej, a już było dziesięć po dziesiątej. Myśl, że jej plany mogłyby wziąć w łeb, tak ją zdenerwowała, że zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście motywy, którymi się kieruje, nie pozostawiają cienia wątpliwości. Może jednak chodziło o morderstwo.

- Kurde, kurde, kurde - przeklinała pod nosem, pospiesznie przygotowując dla Rory'ego kanapkę z dzisiejszego chleba z przepysznym, dojrzałym cheddarem.

Gorączkowo przeszukała spiżarnię, nim znalazła małą, zmiętą torebkę chipsów i rozgnieciony batonik czekoladowy. Znowu zbiegła po schodach, po drodze wzięła z jego pokoju mały plecak, włożyła do niego ciepły sweter, płaszczyk przeciwdeszczowy i czapkę oraz pośpiesznie przygotowane drugie śniadanie.

Wsunęła na nogi szpilki, zbiegła na sam dół, a potem do ogrodu, wyciągnęła miotłę z lepkich rączek synka i poinformowała go, że idą do pani McArthur.

- Ale nie mam chusteczek - powiedział z paniką Rory. Miał katar, a Esme wiedziała, że pani McArthur wprost chorobliwie brzydzi się smarków, ale wyciera mu nos tylko w ręcznik kuchenny, który według Rory'ego jest zbyt szorstki.

- Oooch - jęknęła Esme. - Potrzymaj torbę, pobiegnę i ci przyniosę.

Wpadając do domu, niemal skręciła sobie nogę w kostce. Nie miało sensu szukanie chusteczki w pokoju babci Mac, która zawsze używała papieru toaletowego, kiedy miała katar. Nie dla niej takie luksusy jak chusteczki jednorazowe! Chociaż Esme bolały już łydki, nie odważyła się poprosić Henry'ego o jeszcze jedną przysługę i pobiegła piętro wyżej, do pokoju swojego i Poga, by się przekonać, że pudełko z chusteczkami jest puste. Dopiero kiedy przeszukała wszystkie szuflady, przypomniała sobie, że w kącie w kuchni leży prasowanie z całego tygodnia. Tam powinny być chusteczki.

Kiedy zeszła na dół do Rory'ego, zrobiło się za dwadzieścia jedenasta. Złapała go za rękę i pociągnęła prosto do domu pani McArthur. Drzwi były otwarte, jak prawie zawsze. Esme weszła do środka i zobaczyła, że kobieta, odświętnie ubrana, krząta się wokół stołu nakrytego koronkową serwetą, na którym stały różne ciastka.

- Och! - powiedziała, zobaczywszy, kto przyszedł. Esme wydawało się, że słyszy w głosie pani McArthur lekkie rozczarowanie.

- Jestem w kropce - zaczęła trajkotać. - Czy może się pani zaopiekować Rorym? Muszę pojechać do Londynu, a Henry gra w brydża z Masonami, więc nie może go popilnować.

Pani McArthur znacząco zacisnęła usta.

- W brydża? - prychnęła. - Z Masonami?

Esme skinęła głową i szarpnęła Rory'ego za rączkę.

- Cóż, akurat dziś odbędzie się u mnie inauguracyjne spotkanie Klubu Madzonga w Seabury. Prawdę mówiąc, myślałam, że przysłała jedna z moich dziewcząt. Przykro mi, ale nie mogę cię wybawić z kłopotu. Trochę jesteś przeziębiony, Rory? Moje biedactwo. Proszę, masz chrupkę ryżową.

Rory wyciągnął rączkę i ścisnął w niej kruche, suche ciasteczko, a Esme spojrzała na zegarek. Miała niecałe dziesięć minut, by znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się jej synem, i dotrzeć na stację, żeby złapać pociąg. Nie miała wyboru.

- No cóż - powiedziała niefrasobliwym tonem. - W takim razie zmykamy.

Odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak jej tylko na to pozwalały wysokie obcasy, podjazdem, a potem ulicą. Zdąży, jeśli zabierze Rory'ego ze sobą. Synek dreptał obok niej.

- Co się stało, Esme? - zapytał.

- Pojedziesz z mamusią do Londynu - wyjaśniła.

- Dlaczego? - Zaczął biec truchtem, by za nią nadążyć.

- Dlatego - usłyszał w odpowiedzi. W przeszłości służyło to jako odpowiedź na wiele pytań i tym razem też będzie musiało wystarczyć.

Dopiero kiedy usiedli, zgrzani i zdyszani, w pociągu, ruszającym ze stacji Seabury, do Esme dotarło, że wprawdzie teraz zdąży na swoją randkę z Louistem, jednak całą sprawę dodatkowo skomplikuje obecność Rory'ego.

Dotarcie na miejsce to dopiero połowa sukcesu. Nawet nie chciała myśleć o tym, co zrobi później.

- Spotkamy się z Alice? - spytał Rory, wyglądając przez okno na migający krajobraz.

Poczuła się okropnie i postanowiła, że pójdzie z nim do sklepu z zabawkami Hamleya, a potem zjedzą gdzieś obiad, może też spotkają się z Alice, a nawet pójdą do kina. Nie wykorzysta okazji odkrycia na nowo dawnej miłości, cho-

ciężka taka możliwość została jej niemal podana na srebrnej tacy i perspektywa zrezygnowania z niej sprawiała, że Esme mało nie pękło serce.

Podczas następnych stu pięćdziesięciu kilometrów zmieniała zdanie raz, potem znowu, i znowu, i znowu, aż w końcu już sama nie wiedziała, jakie ma zamiary, i zdecydowała jedynie, że pójdą w okolice hotelu Louisa. Ostatecznie było to niedaleko od sklepu Hamleya, a ponieważ przez większość swego dorosłego życia pracowała w tej części miasta, знаła tam wiele przyjemnych barów.

To rozsądne rozwiązanie, powiedziała sobie.

Rozdział siedemnasty

Godzinę później Esme stała na ulicy, czując, jak wiatr smaga jej łydki. Na dodatek zaczął padać drobny deszcz. Rory pochlipywał cicho obok, a ona się zastanawiała, czy kiedykolwiek się opamięta.

Znalazła hotel, w którym zatrzymał się Louis, i przeszła obok niego trzy razy, nim w końcu pociągnęła Rory'ego do skrzyżowania, gdzie przystanęła, podenerwowana i u kresu wytrzymałości. Nie mogła zebrać myśli, jakby niespotykany o tej porze roku wiatr porywał je niczym zeschnięte liście i rozwiewał na wszystkie strony.

Było to po prostu zbyt odległe od tego, co sobie wyobrażała w zeszłym tygodniu, przez ostatnie tygodnie, przez te wszystkie lata.

Oczami duszy zawsze widziała, jak ona i Louis kiedyś znów się spotykają, ale miało to być coś szalonego i beznadziejnie romantycznego. Coś mglistego, o zamazanych konturach, jak stary, czarno-biały film z Katherine Hepburn. W ciągu kilku ostatnich dni wyobrażała sobie siebie wiele razy, jak puka do drzwi pokoju Louisa, który, otworzywszy, porywa ją w ramiona i niesie na łóżko z baldachimem, by się z nią kochać w taki sposób, że tym starym workom z mąką robi się głupio.

W swoich fantazjach nigdy nie stała na deszczu w samym środku nieciekawej części miasta z małym, słodkim,

trochę zasmarkanym czterolatkiem, marudzącym, że chce mu się siusiu.

Nigdy w życiu nie czuła się mniej podobna do bohaterki granej przez Katherine Hepburn. Oto stała tutaj w mokrych butach - i bardzo prawdopodobne, że nienada-jących się już nigdy do włożenia - z ciemnymi plamami potu pod pachami, w płaszczu ochlapanym przez autobus linii siedemnaście, ozdobiony podobizną pozbawionej zmarszczek Jemimy Jones, który minął oboje kilka sekund po tym, gdy wyszli ze stacji metra.

W ubiegłym tygodniu straciła ponad kilogram, ale nadal czuła, że spódnica ciśnie ją w pasie. I, jeśli miałyby być całkiem szczerą, w kroczu też była spocona. Czuła się wymięta, potargana, brudna i licha.

Trzeba przyznać, że bogowie sprzysięgli się przeciwko niej. Bez względu na to, jak bardzo chciała czuć gładką, śniadą skórę Louisa na swojej, nie było jej to pisane.

Spojrzała na wilgotne, rude loki synka. Czy naprawdę myślała, że zabierze ze sobą Rory'ego na spotkanie z Louistem? Czy też przyjechała z dzieckiem, by powstrzymać samą siebie przed zrobieniem czegoś nieodwracalnego? Czy Rory przekreślał jej szanse czy ratował jej życie? Jej małżeństwo? Jej zmaltrretowane i sponiewierane serce?

- Chodź, Ror - powiedziała w końcu, stawiając tamę wszystkim swoim myślom i podjąwszy decyzję. - Znajdziemy toaletę i napijemy się gdzieś herbaty. - Wzięła jego małą rączkę i ruszyła ulicą.

Rory natychmiast się ożywił.

- Czy będę mógł zjeść jedno z tych małych ciasteczek, które są pół brązowe, pół białe? - spytał z nadzieją w głosie, drepcząc trochę z tyłu za Esme. - I będę miał czajniczek herbaty tylko dla siebie?

- Naturalnie, że tak, skarbie.

Spojrzała na zegarek. Jej spotkanie z Louistem wydawało się coraz mniej prawdopodobne. W tej chwili, kiedy cią-

gnęła za sobą Rory'ego, jej uczucia były tak złożone, że ledwo mogła je określić. Targały nią sprzeczne myśli.

Zresztą, czy chciała być kobietą, która okłamuje swojego męża? Czy naprawdę taka była? Czy miała w sobie coś z oszustki? Cudzołożnicy? Dziwki?

Ta jej część, która miała nadzieję, że nie, poczuła ulgę, kiedy Esme oddalała się od hotelu.

A jeśli Louis naprawdę jest wielką miłością jej życia? Czy kiedykolwiek znajdzie szczęście, rezygnując teraz z niego? Drugi raz? Tą częścią siebie, która go pożałowała po wszystkim, co w niej obudził, poczuła wielki żal i rozczarowanie.

- Esme - zawodził Rory, pogłębiając jej rozterkę. - Za szybko idziesz. Chce mi się siusiuuuu!

Jego mała buzia była czerwona z wysiłku, rozpaczliwie ścisnął rączką spodnie. Esme poczuła się okropnie. Na dodatek jest jeszcze niedobłą matką. Wciąż jest niedobłą matką.

Zatrzymała się i rozejrzała wokoło. Byli zaledwie trzy przecznice od siedziby Goodhart Publishing, gdzie kiedyś pracowała. Wiedziała, że w pobliżu nie ma miejskich toalet, są tylko biura, kilka sklepów meblowych i jej dawna siłownia, Body Works. I to zaraz po drugiej stronie ulicy. Ależ oczywiście!

- Dobrze, Rory - zdecydowała. - Pójdziemy tam, gdzie mamusia kiedyś się gimnastykowała. - Pociągnęła go przez jezdnię, a potem po schodach do informacji, gdzie ta sama dziewczyna, która tu pracowała, kiedy Esme chodziła na siłownię, zanim wyprowadzili się na wieś, piłowała jak dawniej paznokcie i czytała coś, co wyglądało na to samo, stare czasopismo.

- A niech mnie, nie widzieliśmy pani kopeć lat - przywitała ją recepcjonistka. Esme nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

- Szkoda gadać! - powiedziała tylko. - Mam tutaj małego chłopca, któremu bardzo chce się siusiu. Czy mógłby...?

- Jasne. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Ale będzie go pani musiała skierować do męskiej toalety. Mielśmy skargi, rozumie pani. - Przewróciła oczami, a Esme skinęła głową ze zrozumieniem.

Zaprowadziła Rory'ego do męskiej szatni, otworzyła drzwi, kazała mu jak najszybciej znaleźć ubikację, zrobić siusiu i od razu wracać.

Czekając pod drzwiami, usłyszała dziecięcy śmiech i klaskanie w dłonie. Kiedy dotarło do niej, co oznaczają te odgłosy, w jej głowie tak nagle zrodził się pomysł, że nie miała siły z nim walczyć.

W siłowni była sala zabaw dla dzieci. Płacąc piątaka za godzinę, można było zostawić dziecko pod opieką wykwalifikowanej niani, podczas gdy samemu ćwiczyło się na przyrządach albo w sali do aerobiku. Esme, mając w domu dwie osoby, zajmujące się jej dziećmi, do tego za darmo, nigdy nie korzystała z tego rozwiązania, ale jej dawne koleżanki - jak najbardziej.

Ta jej część, która nie chciała być kobietą, mającą romans, przekonywała ją, żeby o tym nie myślała, żeby została tu, gdzie jest, i zaczekała na swojego syna. Druga część, która pragnęła Louisa, podszeptowała jej, że jeśli się pospieszy, może jeszcze zastanie go w hotelu.

Esme nie mogła się zdecydować. Mogła nic nie zrobić i wrócić do domu, do męża, i do obecnego życia, łącznie z komplikacjami z przeszłości, albo mogła posłuchać swoich feromonów i odnaleźć na nowo upojną, wszechogarniającą, cudowną miłość, którą przeżyła z Louisem, zanim wydarzyło się wszystko inne w jej życiu.

Esme przestąpiła z nogi na nogę. Do tej pory okoliczności sprzysięgały się przeciwko niej, a raczej przeciwko Louisowi. Jednak przyszła tu z dzieckiem, które potrzebowało opieki, i akurat znajdowało się tutaj odpowiednie miejsce. Czyż to nie przeznaczenie?

Naturalnie nie chodziła już na siłownię, ale znajoma z recepcji (bez względu na to, jak miała na imię) mogła

przymknąć na to oko. Może to właśnie będzie decydujący czynnik.

- Czy mogłaby mi pani wyświadczyć przysługę - zwróciła się do dziewczyny. - Mam jeszcze zakupy do zrobienia, a mój syn pada z nóg. Czy mogłabym...? - Tamta sprawdziła szybko, czy nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby usłyszeć ich rozmowę. Esme widocznie nie była pierwszą osobą, która prosi o taką przysługę.

- Dwadzieścia funciaków - oświadczyła. - I lepiej niech pani wróci za dwie godziny, bo go oddam Cyganom.

Rory wyłonił się z łazienki z szerokim uśmiechem na buzi. Esme wsunęła mu koszulę w spodnie i wytłumaczyła, jaka jest sytuacja. Był bardziej niż szczęśliwy z takiego obrotu sprawy. Tak jak jego ojciec nie lubił chodzić na zakupy i kiedy się zorientował, że zmiana planów oznacza, że jego ulubione ciastko nie czeka tuż za rogiem, był zadowolony, mogąc uniknąć popołudnia w sklepach z butami i torebkami. Naklejanie kolorowych papierków na inne kolorowe papierki i rozrzucanie plasteliny po całym pomieszczeniu było według niego całkiem ciekawą propozycją.

Esme potargała włoski Rory'emu i uśmiechnęła się do garstki dzieci w sali zabaw, ale ręka jej drżała, kiedy pisała swoje nazwisko na identyfikatorze. Przez chwilę nawet rozważała, czy nie wyrzucić kartonika do kosza na śmieci, zabrać synka i wrócić do domu.

Ale tego nie zrobiła. Przyczepiła mu do piersi identyfikator, pocałowała go na pożegnanie, poinformowała opiekunkę, że wróci mniej więcej za godzinę, wybiegła na ulicę i ruszyła do hotelu Louisa.

- Przestań myśleć - powiedziała sobie na głos. - Po prostu zrób to i już.

I tak niespełna pięć minut później gapiała się na szyld hotelu Excelsior i znajdowała się o krok od popełnienia czegoś, co - jak dobrze wiedziała - na zawsze odmieni jej życie.

Prawdę mówiąc, nie spodziewała się czegoś takiego, jak hotel Excelsior. Był to rozsypujący się wiktoriański budynek w rodzaju tych, które często przerabiano na prywatne hotele albo pensjonaty. Farba na fasadzie się łuszczyła, a żaluzje w oknach wykuszowych po obu stronach drzwi były różne. Ale Esme wytłumaczyła sobie, że w dzisiejszych czasach hoteliki są rozmaite.

Jednak znalazłszy się w środku, zaczęła się zastanawiać, czy to rzeczywiście hotelik. Recepcja była słabo oświetlona i kiepsko wyposażona, a wszędzie unosił się zapach stęchlizny.

Gdy zadzwoniła, pojawił się tłusty, niski mężczyzna w grubych okularach, z włosami zaczesanymi na łysinę. Oblizywał palce i mocno pachniał octem.

- Czy zatrzymał się tutaj pan Lapoine? - spytała go Esme, nagle pewna, że źle trafiła i jakieś nieznane siły pokrzyżowały jej zamiar.

- O, tak - jęknął grubas. - Monsieur Lapoine. Pokój szesnaście. Pierwsze piętro, złotko, trzecie drzwi po lewej.

W hotelu Excelsior nawet nie było windy. Dlaczego Louis zatrzymał się w takim miejscu? - zastanawiała się Esme, wchodząc wąskimi schodami. Przekonała się, że na piętrze wcale nie pachnie ładniej.

Szóstka wisiała na jednym wkręcie, więc na drzwiach pokoju widniał zupełnie inny numer.

Esme zapukała i zaczekała. Czy możliwe, że to jakaś pomyłka?

Lecz kiedy otworzyły się drzwi, ujrzała przed sobą twarz Louisa. Po jego minie zorientowała się, że już stracił nadzieję.

- Esme! - wykrzyknął i zaskoczył ją, rzucając się gwałtownie przed siebie, by pocałować ją w oba policzki. Aż się lekko zachwiała i cofnęła na korytarz, ale Louis złapał ją za rękę, zaczął wylewnie przeproszać i wciągnął do pokoju.

- Myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział, a w oczach błyszczała mu nowo obudzona nadzieja. - Czekałem godzinę,

co w Londynie, jak wiesz, zazwyczaj wystarcza. Kiedy nie przyszłaś, pomyślałem sobie... - Wzruszył ramionami. - Ale jesteś!

Pokój był malutki, z podwójnym łóżkiem - bez baldachimu - jednym chybottliwym krzesłem i zniszczoną toaletką. Daleko odbiegało to od wyobrażeń Esme.

- Czy wszędzie, dokąd jeździsz, zatrzymujesz się w podobnych miejscach? - spytała, starając się, żeby nie zabrzmiało to płaczliwie. - Wyobrażałam sobie, że zastanę cię w nieco bardziej... - Rozejrzała się wokół, szukając właściwego słowa. - W hotelu ze środkowej półki.

Louis pociągnął ją, by usiadła obok niego na łóżku, które głośno zaskrzypiało. Esme przycupnęła sztywno na samym skraju.

- Nie tracimy pieniędzy na luksusowe pokoje hotelowe w *la fédération* - powiedział lekceważąco. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Zdejmij płaszcz, Esme. Jesteś cała przemoczona.

Przyglądał się jej łakomym wzrokiem, kiedy mocowała się z guzikami. Czowała się głupio, chociaż miała jeszcze wiele warstw ubrania do zdjęcia, a mogła być dumna ze swojego kompletu bielizny.

Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Louisa.

- Nie bój się, Esme - powiedział cichym, hipnotyzującym głosem, rozumiejąc jej wątpliwości. - Dobrze zrobiłaś, że przyszłaś.

Nachylił się i tak delikatnie ją pocałował, że poczuła się, jakby sączyła szampana. Ta jej część, która nie była lojalna wobec męża, zareagowała natychmiast. Krew szybciej zaczęła krążyć jej w żyłach i usłyszała własny jęk.

Louis wolno położył ją na łóżku i Esme poczuła na szyi jego usta.

Odsunęła od siebie myśli o Pogu. Było to bardziej nieuczciwe wobec niego niż pocałunek na progu restauracji. To było to. Nie ma już powrotu. Jej ciało mówiło, że nie cofnie się w drodze do Louisa Lapoine'a.

Louis całował jej dekolt; jego namiętne wargi przesuwały się po jej skórze. Esme zaczęło się robić gorąco, nieopisanie gorąco, wspaniale, niebezpiecznie, niezaprzeczalnie gorąco.

Wolno przesuwał usta w górę po jej szyi, potem wzdłuż brody, przez policzek, aż ich wargi się spotkały i wpiła się w niego wygłodzona, rozpaczliwie pragnąc zaznać rozkoszy, którą tylko on potrafił jej dać, której już raz zaznała wiele lat temu, a teraz wszystko miało się powtórzyć od nowa.

Całowali się całą wieczność. Zamknęła oczy i wróciła myślami do przeszłości; gdyby wystarczająco głęboko nabrała powietrza, poczułaby piec opalany drewnem, żółte, wydeptane stopnie za swoimi plecami i smak tej pierwszej okruszyny chleba na zakwasie, okruszyny, która dostarczy jej rozkoszy, o jakiej wcześniej tylko śniła.

Odczuwała przyjemność nie do opisania. Kipiała nią. I to tylko po pocałunku! Louis cofnął się i spojrzał na nią, napawając się jej podnieceniem. Potem, nie odrywając od niej wzroku, wolno przesunął palce (nie, niewystarczająco wolno!) w dół, aż do jej bioder. Dotknął kciukiem miękkiego brzucha. Znow zaczął ją całować.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że smakował inaczej, niż to sobie zapamiętała. Nawet inaczej niż wtedy, na progu Orrery. Ale nadal przemawiał do niej ten smak. Chłoneła go. Napawała się nim. Tak długo na to czekała.

Dyszał, kiedy znow się od niej odsunął, oczy mu błyszczały z zadowolenia, na czole pojawiła się cieniutka warstewka potu.

- Esme - jęknął z tym swoim obcym akcentem i uklęknął nad nią. Przygładził ręką włosy, jakby próbował się opanować. Och, radość bycia kochaną! Esme znow przypomniała sobie tamto uczucie.

Wyciągnęła dłoń i jednym palcem przesunęła wzdłuż jego szyi, od kącika ust do ucha, jego tak smakowitego ucha, a potem w dół, do kołnierzyka koszuli. Zatrzymała palec na jego wydatnej grdyce, potem chwyciła krawat, już poluzowa-

ny, i po raz pierwszy zauważyła, że to ten sam, który miał, kiedy spotkali się ostatnio. I kiedy spotkali się pierwszy raz w sklepie. Prawdę mówiąc, był ubrany w ten sam garnitur i może w tę samą koszulę. Teraz, kiedy uważniej się przyjrzała, zobaczyła, że koszula ma lekko przybrudzony kołnierzyk.

Wyczuwając jej wahanie, Louis sam ściągnął krawat, a potem rozpiął zakiet Esme i dotknął ustami jej jedwabnej bluzki. Gryzł sutki przez nowy stanik i sprawiał, że nie była pewna, czy krzyczeć o więcej, czy kazać mu przestać.

Straciła kontrolę nad swoim ciałem. Zaczęła się mocować z guzikami koszuli Louisa, rozpięła ją do pasa, a potem ściągnęła z jego zachwycających ramion.

Usiadła i wpiła się w niego ustami, rozkoszując się ich smakiem. Były słone i kwaśne jak chleb. Zsunął się niżej i włożył ręce pod jej spódnicę. Esme poczuła, jak dotknął palcami jej miękkiego, delikatnego uda.

Jęknęła i przesunęła się bardziej na środek łóżka. Nagle poczuła, że coś ją uwiera pod łopatką.

- Auu! - krzyknęła, kiedy Louis położył się na niej i to, co było pod nią, wbiło się jej w ramię.

Louis leżał teraz na niej, mocując się z paskiem, czuła na udzie jego twardey członek.

- Esme - jęknął Louis. - Och, Esme.

Przewróciła się, by odsunąć to, co ją uwierało, spod siebie. To coś znajdowało się w kieszeni marynarki Louisa i Esme nigdy już nie miała się dowiedzieć, co ją skłoniło do włożenia tam ręki, ale to zrobiła. Znowu szła po zakurzonej drodze do domu wuja Louisa.

Wyciągnęła niemowlęcy smoczek. Różowy i trochę lepki. Osłupiała, poczuła nagle, jak odzyskuje kontrolę nad swoimi feromonami.

- No proszę - powiedziała, patrząc na niego i zastanawiając się, jak jego czarne oczy nadal mogą tak błyszczeć. Dzieci Louisa były teraz nastolatkami. I nawet z nimi nie mieszkał.

- To nie jest tak, jak myślisz - wykrztusił, ale już przestał być taki twardy.

Podparł się na łokciu, a drugą ręką przesunął po włosach. Esme nagle zauważyła, że były źle obcięte. Za długie z tyłu. I kiedy się golił, ominął kilka miejsc na gładkich, śniadych policzkach.

Zepchnęła go z siebie, a potem usiadła i rozejrzała się po pokoju. Nie zobaczyła walizki. A nawet teczki. Drzwi do łazienki były otwarte, ale obok umywalki nie stały przybory toaletowe. Poczowała, jak serce jej wali, jednak nie tak, jak to zwykle sprawiał Louis.

Coś było nie tak. Na szafce przy łóżku stała mała, płaska butelka brandy, otwarta i do połowy opróżniona, na Biblii leżały dwa trójkąty kanapek z supermarketu.

- O, mój Boże - szepnęła Esme.

Kanapki z supermarketu? Uniosła ręce do rozpiętej bluzki, odsłaniającej prawie całą pierś i kawałek miękkiego, białego brzucha. Spódnica jej się przekręciła i była podniesiona, rajstopy miała ściągnięte do kolan. Ogarnęły ją mdłości.

Spojrzała na smoczek.

- Czyje to jest? - spytała, starając się panować nad swoim głosem. - Do czyjego dziecka należy?

Louis, wciąż bez koszuli, w rozpiętych spodniach, wyciągnął do niej rękę.

- Esme - odpowiedział swoim uwodzicielskim tonem. - Czy to ważne?

Zamknęła oczy, niemal słysząc, jak marzenie jej życia wrzucono do toalety i spuszczone po nim wodę.

- Jak mogłam być taka głupia? - zapytała samą siebie. Przesunęła się na skraj łóżka, włożyła pantofle i zaczęła poprawiać spódnice. Cała dygotała.

- Nie, nie, nie - jęknął Louis. - Proszę, Esme. Powinniśmy to zrobić. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Ty i ja. No, chodź.

Ale ona przestała już patrzeć na świat przez różowe okulary. Jej bajka się skończyła.

Jedyne, co widziała, to niechlujnego mężczyznę w obskurnym, tandetnym hoteliku i mężatkę, postać bardzo tragiczną, próbującą wrócić do tego, co już dawno minęło.

- Niech zgadnę. Nie jesteś już mężem Diany, tylko innej kobiety - powiedziała, bardziej zdumiona niż rozgniewana, zapinając guziki bluzki. - I domyślam się, że czeka w jakimś eleganckim hotelu albo robi zakupy w Harvey Nicks, albo została w Paryżu i je obiad z przyjaciółkami.

Poprawiła rajstopy w kostkach, ale zrezygnowała z podciągnięcia ich, bo nie chciała pokazywać ud. Louis siedział z opuszczonymi ramionami i jej się przyglądał.

- Nie musiało tak być - powiedział.

- Już jest, do cholery! - odparła gwałtownie Esme. - Jak mogłeś mi to zrobić drugi raz? Po tym wszystkim? Po tym, jak rozmawialiśmy, jak bardzo mnie skrzywdziłeś ostatnim razem i jak przez całe wieki nie potrafiłam nikogo pokochać? Po tym, jak mnie zapewniałeś, że wszystko, co powiedziałeś, to prawda, tylko chwila była nieodpowiednia? Na litość boską, opowiedziałam ci o Teddym. Z nikim nie potrafiłam o nim rozmawiać. Nigdy! Zaufałam ci. Znowu. Zaufałam ci, a ty mógłbyś mi zniszczyć życie.

Louis miał smutną minę.

- Twoje życie już jest zniszczone, Esme - oświadczył.

- Nieprawda. - Była przerażona. - Mam wspaniałe życie.

- O, tak - odparował Louis. - W takim razie co tutaj robisz?

- Myślałam, że możesz mnie uratować - tłumaczyła mu, uświadamiając sobie, gdy mówiła te słowa, że to prawda. - Myślałam, że potrafisz sprawić, żebym się poczuła tak, jak wtedy, kiedy cię poznałam. Kiedy wszystko inne się nie liczyło. Jakby od tamtej chwili nic się nie wydarzyło.

Louis, wyczuwając, że jej determinacja zaczyna słabnąć, nachylił się do Esme.

- Mogę, najdroższa - zapewnił ją żarliwie. - Mogę. Popatrzyła na niego ze zdumieniem, kiedy sięgnęła po płaszcz, a potem go włożyła.

- Nie możesz - odparła. O, Boże, nie tego pragnęła! Nie jego pragnęła.
- Nikt nie może nikogo uratować - powiedziała. - A już z całą pewnością mnie.

- Twój przyjaciel Charlie uważał inaczej - oświadczył Louis, wstając i doprowadzając się do porządku. Esme znieruchomiała. Co Charlie miał z tym wspólnego?

- Co to ma znaczyć? Louis wzruszył ramionami.

- Nic - odrzekł. - Nie ma o czym mówić.

- Co Charlie ma z tym wszystkim wspólnego? - nalegała Esme, nagle zaniepokojona.

Louis znów wzruszył ramionami.

- Może ponowne spotkanie z tobą nie było takim zbiegiem okoliczności, Esme. I tyle.

Przypomniała sobie obiad, telefon od Charliego, spotkanie z Louisem, kiedy czekała na przyjaciela. Co mówił Louis?

- Charlie to wszystko zaaranżował? - spytała ledwie słyszalnym szeptem.

Czy naprawdę zrobiłby jej coś takiego? Spojrzenie Louisa stało się twarde. Zapinał teraz spodnie i przekładał pasek przez szlufki.

- Jakiś czas temu spotkałem go w barze. Przeprosił mnie za to, że kiedyś rozkwaślił mi nos, powiedział, że wciąż o mnie pamiętasz, że często o mnie myślisz, i zaproponował, że postawi nam obiad. W Orrery. Uznał, że to cię podniesie na duchu i uszczęśliwi. Dobry z niego przyjaciel, prawda? Nawet przysłał mi ten garnitur. Nie noszę takich kolorów, ale zawsze.

Esme wolno opadła na rozchybotane krzesło, bo w głowie jej się zakręciło. A więc to wszystko było ukartowane? Nie spotkała Louisa przypadkiem? Wszystko zostało zaplanowane i ustalone. Przeznaczenie nie miało z tym nic wspólnego.

Zauważyła, że Louis wsunął nogi w zdarte buty. Nosił brązowe skarpetki. Pił w dzień. Jadł kanapki z supermarketów i miał na tyle małe dziecko, że potrzebowało smoczka.

- Czy przynajmniej pracujesz w zrzeczeniu piekarzy? -zapytała bezbarwnym głosem.

- Och, Esme, jaka z ciebie romantyczka. Zdusiła w sobie szloch.

- Nie istnieje nic takiego, jak zrzeczenie piekarzy - odrzekł ze znużeniem. - Mistrzowie piekarnictwa we Francji to mała grupka ludzi, która jeszcze się zmniejsza. Nikt się nimi nie przejmuje! Nikt się nie przejmuje *pain au levain*. Musiałabyś mieć dużo szczęścia, żeby go znaleźć w Paryżu, nie mówiąc już o wsi, skąd pochodzi, i gdzie jego miejsce. Nie ma nic magicznego w chlebie na zakwasie, Esme. Może kiedyś myślałem, że tak jest, ale teraz już nie.

- Nie możesz tego mówić serio, Louisie. Właśnie ty. Co się stało z *boulangerie*? Co się stało z twoim zakwasem, zakwasem, który zaczął robić twój praprapradziadek dwieście lat temu?

Louis spochmurniał.

- Mojemu wujowi zaproponowano kupę forsy, więc sprzedał piekarnię - odezwał się zgorzkniałym głosem. -Nie było mnie stać na kupno, a jego nie było stać na jej prowadzenie. Teraz jest tam kawiarenka internetowa.

- A czy twój wuj naprawdę zmarł? Louis był zaszokowany.

- Ależ oczywiście! Nie mógłbym powiedzieć czegoś takiego, gdyby to nie była prawda.

- Cóż, Louisie, poza tym stać cię na każde kłamstwo. Czy naprawdę mnie szukałeś, gdy wyjechałam z Venolat?

Widziała po jego minie, że rozważa, czy znowu ją okłamać. Już samo to stanowiło bolesną odpowiedź.

- Nie - przyznał się w końcu. - Diana bardzo się gniewała. Moja ciotka źle się czuła. Nie mogłem wtedy wyjechać.

- Ale mieszkasz teraz w Paryżu? Nadal jesteś piekarzem? - Rozpaczliwie chciała, żeby coś o Louisie było prawdą.

- Mieszkam w Hounslow, Esme - odpowiedział. Jego skóra była szara w słabym świetle obskurnego pokoju. Nie zostało w nim nic z dawnego życia. Teraz Esme to widziała. - Mieszkam ze swoją przyjaciółką Katariną i naszą córką Eleanor. Jestem kierownikiem w Prêt A Manger.

Esme była zbyt oszołomiona, żeby płakać. Czowała się, jakby leciała w powietrzu nad wąwozem bez dna. Ogarnęły ją mdłości.

- Przyjaciółka? Prêt A Manger? Jak mogłeś mi to zrobić?

- Nie ma ludzi idealnych, Esme - oświadczył Louis. Wyglądał żałośnie. - Bez względu na to, jak bardzo byś tego chciała.

Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła.

- Ale jak mogłeś, Louisie, jak mogłeś? Po tym, jak twoja rodzina piekła chleb w tamtej piekarni przez te wszystkie lata. Przecież to ty powiedziałaś, że tajemnicą chleba na zakwasie jest zachowanie ciągłości, a potem sam z niej zrezygnowałeś!

Louis znów wzruszył ramionami. Wyglądał staro.

- Jesteś naiwna, myśląc, że to coś więcej niż zwykły chleb - powiedział i wtedy Esme zrozumiała, że nie jest tym Louisem, co kiedyś, tak jak ona nie była tamtą młodą dziewczyną, i żadne z nich nie może cofnąć czasu.

Wziął brandy i napił się prosto z butelki. Otarł usta rękawem i spojrzał na Esme.

- Zapłaciłem za pokój - poinformował ją, wziął marynarkę i skierował się do wyjścia.

Ale zanim zamknął za sobą drzwi, odwrócił się w jej stronę.

- Twój chleb, twój *pain au levain*, był dobry - pochwalił ją z pewnym rozrzewnieniem, którego chyba nie potrafiłby udać. - Oczywiście inny niż chleb Lapoine'ów, ale dobry. - Powiedziawszy to, zniknął.

Oniemiała Esme usiadła na łóżku, w głowie jej się kręciło, aż w końcu dotarło do niej, że czuje jedynie ogromną ulgę.

- Dzięki ci, Boże - wyszeptała. - Dzięki ci.

Mogła się zachwiać, ale nie upadła. Nie była oszustką, cudzołożnicą ani dziwką. Mało brakowało, ale nie.

Jak mogła drugi raz tak zgłupieć z miłości do niego? Jak mogła być tak naiwna? Myśli wciąż kłębiły jej się w głowie, lecz tym razem były sensowniejsze niż wówczas, i przynajmniej wszystkie wskazywały jeden kierunek: dom.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta. Pójdzie po Rory'ego, może zajrzą do sklepu Hamleya, a potem wróci do swoich najbliższych, gdzie jej miejsce.

O Louisie zapomni. Z Charliem rozprawi się później. Charlie! Czy naprawdę myślał, że wyświadcza jej przysługę? Czy takie miał pojęcie o pomaganiu bliźnim? Nie mogła się doczekać, kiedy Pog ją obejmie.

Szła pospiesznie ulicami. Oczywiście wciąż padał deszcz. Weszła do siłowni, pokonując po dwa stopnie naraz. Jej znajoma-recepcjonistka tylko uniosła brwi, kiedy Esme skierowała się ku sali dla dzieci, próbując wypatrzeć pomarańczowe loki Rory'ego w kalejdoskopie kolorów.

- Czegoś pani zapomniała? - spytała ją niania. Esme się roześmiała.

- Nie - powiedziała. - Przyszłam po Rory'ego. Dziewczyna pobladła.

- Nie ma go - odpowiedziała. - Odebrał go pani kierowca. Niedługo po tym, jak go pani zostawiła. Nie ma go już od ponad godziny.

Padając na podłogę, Esme uderzyła głową w niziutki stolik. Było to nie tyle omdlenie, ile zasłabnięcie. Już raz straciła dziecko. Znała to uczucie. I właśnie teraz tak się poczuła. Jakby sama zabłądziła. I nie było szans, że kiedykolwiek się odnajdzie.

Tym razem jednak zasłużyła sobie na to. I ból był nie do zniesienia.

Rozdział osiemnasty

Policjant, który niespełna dziesięć minut później pojawił się w gabinecie kierowniczki siłowni, miał trudności ze zrozumieniem tego, co mówi Esme.

Wpadła w histerię i nic nie wskazywało na to, że zacznie myśleć logicznie.

- Nie mamy samochodu - szlochała. - A mój synek Teddy zginął tragicznie dwa lata temu.

- Bardzo mi przykro - powiedział policjant. - Ale będę pani musiał zadać kilka pytań.

Esme zupełnie uległa panice. Ktoś zabrał jej syna, kiedy ona zachowywała się jak jakaś podrzędna dziwka w filmie pornograficznym klasy D. Ktoś go zabrał. Rory przepadł jak kamień w wodę. Straciła obu synów. I wszystkiemu winna była tylko i wyłącznie ona. Poprzednia tragedia niczego jej nie nauczyła.

Cała dygotała, starając się nie myśleć, co jeszcze może stracić. Najważniejszy był Rory, naturalnie najważniejszy był tylko i wyłącznie Rory. Ale poza tym wyjdą na jaw jej własna głupota i niewierność. Wszyscy się o tym dowiedzą i chociaż się starała, nie mogła przestać o tym myśleć.

Rory trafi do gazet jako chłopczyk, którego matka miała potajemną schadzkę w podejrzanym hotelu, kiedy go...

- O, Boże! - jęknęła, znowu zalewając się łzami. - Co ja zrobiłam?
Zmieszany policjant poruszył się na krześle i chrząknął.

- Pani Stack - odezwał się do niej delikatnie. - Gdyby mogła mi pani poświęcić kilka chwil...

Esme starała się uspokoić. W ten sposób nie pomoże Rory'emu. Porozmawia z policją, pomoże jej znaleźć synka, a potem się zabije. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Nawet nie jestem katoliczką - wyznała z żalem. Wiedziała jednak, że odebrano jej syna - jej jedyne go syna - żeby ją ukarać za to, że niemal zdradziła Poga. Była podła i w pełni sobie na to zasłużyła. Ale przecież cóż on był temu wszystkiemu winien!

Policjant spojrzał na nią tak, jakby właśnie powiedziała coś bardzo sensownego, i skinął głową.

- Czy sprowadzono lekarza do pani Stack? - spytał kierowniczkę siłowni, matkę dwójki dzieci, która chociaż była wściekła, że w sposób tak rażąco niezgodny z przepisami skorzystano ze świetlicy dla dzieci, nie mogła nie współczuć zrozpaczonej Esme. Pokręciła głową.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział policjant. - Mogłaby to pani zorganizować? - Potem znów zwrócił się do Esme. - No, pani Stack. Wiem, że pani jest ciężko, ale ważne, żebyśmy jasno myśleli. Żebyśmy nie wyciągali pochopnych wniosków. Czy to możliwe, że pani mąż poprosił kogoś o odebranie syna?

Esme pokręciła głową.

- O niczym nie wie - wyjaśniła. - Nawet nie chodziłam na siłownię. - Mało nie powyłamywała palców, tak wykręcała sobie ręce ze zdenerwowania. - Kto to zrobił? - krzyknęła. - Kto to zrobił?

- Cóż, właśnie to musimy spróbować ustalić - odparł spokojnie policjant. - Ale powinniśmy skontaktować się z panem Stackiem, żeby mieć pewność, że to nie on odebrał państwa syna. W większości takich przypadków, Esme -mogę do pani mówić Esme? - okazuje się, że to tylko drobne nieporozumienie. Myślała pani, że to pani ma odebrać Teddy'ego, gdy tymczasem pani mąż...

- Rory'ego - poprawiła go Esme ponuro, ale wyraźnie. -Rory'ego. - Utknęła w głębokiej, czarnej dziurze i nigdy się z niej nie wydostanie.

- Oczywiście - powiedział policjant, czując się okropnie. - Rory'ego. Teddy to tamten drugi syn. Biedna kobieta. Było mu jej żal. Może to rzeczywiście drobne nieporozumienie, ale może i coś gorszego. Ostatecznie ten świat jest kompletnie zwariowany.

- Więc gdyby zechciała pani zadzwonić do niego... -zwrócił się do niej łagodnie. - Do swojego męża...

Po policzkach Esme popłynęły łzy.

- Poszłam na spotkanie z przyjacielem - wyjaśniła. - Do hotelu.

Policjant zrozumiał natychmiast.

- Ach, tak - mruknął i jego współczucie wyraźnie zmalowało.

- Rory miał zostać w domu, ale był przeziębiony, a jego dziadek czuje do mnie antypatię, więc musiałam zabrać syna z sobą - chlupała Esme. - Przyszłam tutaj, zobaczyłam salę dla dzieci i... Myślałam, że są jakieś przepisy - łkała. -Myślałam, że tylko ja mogę go odebrać.

Nawet policjant musiał się z nią zgodzić, że tak powinno być. Że opiekunka dzieci zachowała się bardzo lekkomyślnie. Ona też była zrozpaczona. Zabrano ją do innego pokoju, by ją przesłuchać i spróbować sporządzić portret pamięciowy porywacza.

- Pani Marshall mówi, że pani syn zachowywał się tak, jakby znał tego mężczyznę - poinformował ją policjant, patrząc w swój notes. - Czarnoskóry, w wieku dwudziestu kilku lat.

Esme nie mogła opanować płaczu. Jak to przeżyje Pog? Dowiedzieć się o stracie drugiego syna i o niewierności żony, i to właściwie podczas jednej rozmowy telefonicznej? To go zabije. A był takim kochanym, słodkim, delikatnym

człowiekiem. I wtedy zapragnęła go, rozpaczliwie, beznadziejnie, głupio. Jakie to okrutne, że jedyną osobą, do której chciała się zwrócić, kiedy wpadła w tarapaty, był mężczyzna, którego zdradziła, przez co właśnie znalazła się w tarapatkach. Pog był dla niej opoką, nie zawsze najlepszą, ale dającą poczucie bezpieczeństwa.

Pewnie, że nie są idealną rodziną - a które małżeństwo jest? Należało rozmawiać z nim o Teddym, zawsze o tym wiedziała, ale z upływem czasu było jej coraz trudniej wypowiedzieć na głos imię tragicznie zmarłego syna. On też nigdy z nią nie rozmawiał o synku. Byli jak dwa malutkie ziarenka grochu, unoszące się na bezkresnym oceanie nieszczęścia; każde spoglądało na drugie, by mieć pewność, że nie zbacza z kursu, ale powstrzymywało się przed rzuceniem liny z obawy, by nie pociągnąć obydwójga na dno. Jedyne, na co mogli się zdobyć przez te mroczne, pełne rozpacz dwa ostatnie lata, to jakoś iść przed siebie i oddychać, być rodzicami, synem, synową, wnuczką. Kto miał siłę na dodatkowe wyzwania - roztrząsanie szczegółów, rozdrapywanie ran? Kto mógłby to znieść? A musiała się jeszcze zmagać ze świeżym bólem, związanym z babcią Mac. Powinna była zwrócić się do męża podczas tych kilku ostatnich tygodni, a nie odpychać go i próbować szukać pomocy w przeszłości.

Siedząc teraz w gabinecie kierowniczkini, straciwszy syna i przekonawszy się, że jej ukochany jest oszustem, widząc, że jej życie legło w gruzach, Esme pragnęła tylko Poga. Ale on jej nie zechce. Nie po tym, co zrobiła. Jej obrzydliwa, smutna, mała tajemnica kosztowała ich wszystko, co mieli.

- Nawet nic nie zrobiliśmy - Esme szlochala w obecności policjanta. - To było ukartowane! To Charlie wszystko wykombinował.

Słyszając to, policjant się ożywił.

- Charlie? - powtórzył. - Czy chodzi pani o porywacza, pani Stack? Czy zna go pani?

- Z Louistem! - krzyknęła Esme. - W hotelu. Niczego nie zrobiliśmy. Nie Kocham go. Kocham Poga. Zamierzałam tylko przyjść, zabrać Rory'ego, wrócić do domu, a potem żyć długo i szczęśliwie. Tego właśnie chciałam! Uświadomiłam to sobie ile? Pół godziny temu? A teraz jakie mam szanse? Czy ktokolwiek z nas je ma?

Policjant, który sam nie tak dawno naraził na szwank własne życie rodzinne, odstawiwszy numerka podczas wypadu z kolegami do Amsterdamu, co tydzień później zakończyło się brzydką wysypką i gęstym tłumaczeniem się żonie, znów zaczął jej współczuć. Widział, że Esme nie jest lekkomyślną matką, jakich tyle się spotyka co krok. I nie chciałby być w jej skórze.

- Jestem pewien, że to zwykłe nieporozumienie - pocieszał ją. - Wszyscy popełniamy błędy, Esme. Może pani zapomniała, że mówiła pani komuś o tej świetlicy dla dzieci?

- Przecież nawet nie wiedziałam, że tu przyjdziemy - odrzekła Esme. - Przyszliśmy tutaj tylko, żeby skorzystać z toalety. Potem zobaczyłam salę zabaw... - Serce zamarło jej w piersiach. - Czy mógł go ktoś zobaczyć w szatni? Nie weszłam tam. Podobno jacyś ludzie się skarżyli. Sam tam poszedł. Och, proszę, proszę, proszę...

Policjant stracił nadzieję, ale starał się tego nie okazywać.

- Cóż, w recepcji będą mieli nazwiska wszystkich osób ćwiczących w siłowni w tamtym czasie, więc nie powinniśmy mieć kłopotów z dotarciem do porywacza, jeśli tak było - powiedział. - Wiem, że w tych okolicznościach to delikatna sprawa i może niełatwo się pani na to zdobyć, ale muszę nalegać, żeby zadzwoniła pani do pana Stacka.

Minęły ponad dwie godziny od porwania Rory'ego, a jej mąż, któremu niczego nie można było zarzucić, nadal pozostawał w błogiej nieświadomości tego, co się wydarzyło. Esme wiedziała, że policjant ma rację.

- Pójdę i zobaczę, jak postępują prace przy portrecie

pamięciowym. - Lekko ścisnął ją za ramię dla dodania otuchy i wyszedł.

Cisza była nie do zniesienia. Przed oczyma Esme pojawiały się kolejne przerażające sceny. Gdzie jest teraz Rory? Co się z nim dzieje? Dlaczego poszedł z tym mężczyzną? Jak to możliwe, by znał kogoś, kogo ona nie zna?

Nie pozwoliła sobie na rozważania, gdzie Rory może teraz być i co może się z nim dziać. Jej serce nie zdołałoby znieść takiego bólu. To wszystko jej wina. Jej najdroższy synek znalazł się w największym niebezpieczeństwie, jakie mogło grozić czteroletniemu dziecku. I dlaczego? Ponieważ jego podłej, głupiej, rozpustnej matce zachciało się ponownie przeżyć dawno minioną, pierwszą miłość.

Jak może zadzwonić do Poga? Jak ma mu powiedzieć, co zrobiła?

Nie mogła. Ale musi coś zrobić, żeby pomóc Rory'emu. I nie da rady zrobić tego sama.

Wytarłszy oczy i nos, Esme podniosła słuchawkę i wolno, drżącymi palcami, wybrała numer do Alice do pracy. Odebrał sam Kinol.

- Alice - szepnęła Esme do słuchawki. - Alice.

- Nie ma jej - warknął. - Ale jeśli ją pani zobaczy, proszę jej zakomunikować, że właśnie rozmawiam z jej następczynią. - I rozłączył się.

Esme gapiła się na słuchawkę, płacząc. Miała kompletny mętlik w głowie. Myśli jej się plątały i nie mogła oddzielić jednych od drugich. Przypominało to łowienie ryb w ciemnych i nieprzejrzystych wodach. Szukała jakiegoś jednego rozsądnego wyjścia, ale bezskutecznie. Co powinna zrobić teraz? Nie mogła znaleźć odpowiedzi. A czas płynął, odsuwając Rory'ego coraz dalej od niej.

Kiedy sobie to uświadomiła, zrozumiała, że nie może zwlekać ani chwili dłużej.

Ściągnęła na siebie takie kłopoty. Ściągnęła na nich wszystkich takie kłopoty. I Pog musi o tym wiedzieć.

Znów podniosła słuchawkę i wciąż płacząc, wybrała jego numer do pracy. Prawie natychmiast odezwała się pani Murphy.

- Czy mogę mówić z mężem? - powiedziała Esme, bardzo się starając nie oddychać zbyt szybko i głęboko ze strachu.

- Dobrze by było - burknęła jego asystentka. - Ktoś do niego zadzwonił z Londynu i pognął tam na złamanie karku - oznajmiła. - Zostawił mnie tutaj, żebym broniła fortecy, mogę dodać, że bez żadnego wsparcia. Cóż za brak szacunku cechuje obecnie ludzi. Kompletny brak szacunku.

- Do Londynu? - powtórzyła Esme jak echo. - A po co?

- Proszę mnie nie pytać - odparła pani Murphy. - Nie zwierza mi się. Ja tu tylko sprzątam. Przypuszczam, że nie powiedziałby mi nic, nawet gdyby się paliło. Ale kiedy trzeba zrobić kserokopie, ta idiotka tutaj...

Esme się rozłączyła. Czowała się jak bohaterka kreskówki, która oberwała w głowę. Wokół niej krążyły ptaszki i świergotały. Rozsądek nie miał już do niej dostępu. Usłyszała, że otworzyły się drzwi za nią, i kiedy poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, uświadomiła sobie, że wrócił policjant, a razem z nim specjalista od sporządzania portretów pamięciowych.

- Ludkin uważa, że ma całkiem dobry portret - odezwał się wesoło policjant. - Zdaje się, że opiekunka dzieci z miejsca zapalała sympatią do porywacza, chyba nawet z nim flirtowała, i chociaż jest teraz zrozpaczona i wyrzuca sobie lekkomyślność, dostarczyła Ludkinowi aż nadto szczegółów, by mógł sporządzić dość wierną podobiznę.

- Pani Marshall bardzo nam pomogła. - Ludkin rzeczywiście wyglądał na zadowolonego z siebie, kiedy okrzyknął policjanta, żeby pokazać Esme gotowy portret.

- Ocenia, że miał z metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, był odrobinę wyższy ode mnie - oświadczył Ludkin, który w najlepszym razie mierzył metr siedemdziesiąt osiem. -

Dość ładnie się wyrażał, ubrany był schludnie, na sportowo, i - jak już pani wie - znany był ofierze. - Natychmiast się zorientował, że popełnił gafę. - To znaczy pani syn go znał.

Ale Esme go nie słuchała.

Gapiała się na rysunek ołówkiem, który miała przed sobą, a on gapił się na nią.

Mętlik w jej głowie nagle zaczął się rozjaśniać, kiedy proste linie i subtelne światłocienie zaczęły się układać w znajomą twarz.

A więc nie wszystko stracone. To tylko drobne nieporozumienie.

W jednej chwili łyzy Esme obeschły, a z jej ust wyrwało się coś podobnego do śmiechu. Spojrzała na policjanta błyszczącymi oczami i wskazała rysunek.

Znała porywacza. I wcale nie był porywaczem. Ani czarnoskórym, dwudziestokilkuletnim mężczyzną. Raczej szesnastoletnim chłopakiem o cerze koloru kawy.

To Ridge.

Ridge zabrał Rory'ego.

Esme poczuła ulgę, jakby jej podano kroplówkę z Valium. Rory'emu nic nie groziło. Był z Ridge'em. Dlaczego, nie miała pojęcia, ale wiedziała również, że jej synek jest bezpieczny. Można to będzie jakoś wytłumaczyć. Policja nie ma tu już nic więcej do roboty. Esme może wrócić do domu. I Rory. I Pog.

Jeszcze kilka chwil temu całe życie leżało w gruzach u jej stóp. Teraz jego fragmenty zaczęły się łączyć i chociaż na razie znajdowały się poza zasięgiem jej rąk, wiedziała, że kiedy je podniesie i od nowa poskłada, wszystko będzie w porządku.

Pozwoliła sobie na jeszcze jeden przyływ poczucia winy w związku z tym, że jej ulga, chociaż niemal całkowicie wywołana faktem odnalezienia się Rory'ego, była spowodowana jeszcze czymś: że nie wyda się jej potajemna schadz-

ka w hotelu Excelsior. Jej małżeństwo nie jest zagrożone. Mogła być spokojna o swój sekret.

Znów złapała telefon i wystukała numer domowy Alice. Zaraz po pierwszym sygnale usłyszała zaniepokojony głos przyjaciółki.

- Mówi Esme. Jest u ciebie Rory?

- Tak! - krzyknęła Alice. - Nic mu nie jest. Nic a nic. Chciałam powiedzieć, że nie mam pojęcia, co jest grane, ale Rory'emu nic nie jest, Esme.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą Esme. - Nic mu nie jest - poinformowała policjanta, który, widząc jej radosną minę, nie potrafił udać niezadowolenia, że niepotrzebnie zwracano mu głowę. Czasami, pomyślał, cholernie lubi swoją pracę.

- Kto tam jest? - spytała Alice. - Gdzie jesteście, Esme?

- Policja - odpowiedziała jej Esme. - Jestem na siłowni razem z policją. Myśleliśmy, że Rory'ego porwano, Alice. Odchodziłam od zmysłów.

- Cóż, rzeczywiście został porwany - przerwał im specjalista od portretów pamięciowych, dotknięty do żywego, że nawet mu nie podziękowano za pomoc w rozwiązaniu tajemnicy zaginięcia chłopca.

- Och, Esme! Chyba nie wniosą oskarżenia? - Alice wpadła w panikę. - To by mu zrujnowało życie, a zrobił to tylko dlatego, bo... bo tak bardzo kocha Rory'ego i jest trochę zwariowany, ale nigdy, przenigdy nie pozwoliłby, żeby włos mu spadł z głowy, żeby komukolwiek włos spadł z głowy. Wiem, że jestem ci teraz potrzebna, ale powiem szczerze, że mam ochotę cię zabić, Esme. Udusić cię. Ridge opowiedział mi o tym Francuzie. Jak mogłaś? Za plecami Poga. Za plecami nas wszystkich. Jestem taka wściekła, Esme. Wiem, że było ci ciężko w związku z babcią Mac i w ogóle, ale wszystkim nam jest ciężko. A teraz nawet jeszcze ciężiej. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Och, proszę, nie pozwól im wnieść oskarżenia. Proszę!

- Skąd Ridge wie o Louisie? - spytała Esme, zniżając głos.

- Widział cię, Es. W zeszłym tygodniu na Marylebone High Street, jak się całowaliście. I dziś przed hotelem. Pracuje zaraz obok, mówiłam ci, prawda? W bistro. Poszedł za tobą do siłowni. Och, Esme, to nie jego wina. To jeszcze dzieciak, który nie wszystko rozumie. Proszę, nie niszcz mu życia. Wie, że źle zrobił. Zadzwoił do mnie, jak tylko Rory zaczął pytać o ciebie.

Esme z bijącym sercem uświadomiła sobie, że nadal istnieje poważne niebezpieczeństwo, że jej głupota i niewierność wyjdą na jaw. Rory'emu już nic nie zagrażało, ale jej sytuacja nie wyglądała najlepiej. A jeśli chodzi o Ridge'a, którego policja mogła oskarżyć o porwanie dziecka, oczywiście, że trzeba go bronić. Przed czym, nie wiedziała, ale na razie zanosilo się, że i bez niego dość ludzi będzie miało złamane życie.

- Nie zrobię tego - oświadczyła cicho. - Nie zrobię tego, Alice.

- Naturalnie. - Jej przyjaciółka odetchnęła z ulgą. - Naturalnie. Musiałam się tylko upewnić. Nie powinien był tego zrobić, Es. Wie o tym. Nie powinien był nic robić.

- Czy Pog wie? - spytała Esme, wiedząc, że wszystko wskazuje na to, że przyjazd jej męża do Londynu nie jest zbiegiem okoliczności. Zapadło milczenie.

- Tak - przyznała w końcu Alice. - Ridge najpierw zadzwonił do niego. Chyba opowiedział mu wszystko, a potem Pog zadzwonił do mnie. Założył, że muszę wiedzieć, co kombinujesz z Louisem. Nigdy mi nic o tym nie mówiłaś, Esme. - Alice zaczęła płakać. - Tak mi przykro. Zawsze mi się wydawało, że ty i Pog mimo wszystko jesteście idealnym małżeństwem. - Esme z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. - Jak mogłaś zrobić coś takiego? - łkała jej przyjaciółka do słuchawki.

- Nic się nie stało - oświadczyła z mocą Esme. - Z Lou-

isem. Przypadkowo wpadłam na niego na mieście tego dnia, kiedy Jemima zobaczyła mnie w Orrery. Dwa razy poszliśmy na obiad, opowiedziałam mu o Teddym, a potem do niczego nie doszło. Absolutnie do niczego. To wszystko była pomyłka.

Wszyscy popełniamy błędy, powiedział jej ten sympatyczny policjant.

Ale jej błędy wydawały się poważniejsze. A właściwie na czym polegała jej wina? Na tym, że okazała się głupia i pragnęła, by spełniło się jej marzenie. Przez co niemal straciła swojego najdroższego synka i z całą pewnością straciłaby męża.

- Pog jest w drodze tutaj - powiedziała Alice. - Lepiej też przyjedź.

Esme bez słowa skinęła głową i odłożyła słuchawkę na widełki. Policjant obserwował, jak z jej twarzy znikają ulga i radość.

- Podrzucę panią - zaproponował, kręcąc głową, i dał ręką znak podenerwowanemu lekarzowi, który pojawił się na progu z kierowniczką siłowni. - Chyba lepiej w taki dzień jak dziś unikać metra.

Esme gapiła się na niego tępym wzrokiem. Zapomniała, jak się nazywał, nie była pewna, czy w ogóle jej się przedstawił.

- Czy mogę im się pokazać na oczy? - spytała go, jakby naprawdę mógł jej pomóc. - Właśnie spieprzyłam całe swoje życie. Chciałabym wierzyć, że to jakiś koszmar, ale wiem, że nie śpię, ponieważ pasek od spódnicy wpija mi się w talię, bo jest za ciasny, i to czuję. Ale czy to normalne nie wiedzieć, czy się żyje, czy się umarło?

Policjant, który wstał, żeby wyjść, westchnął i znów usiadł.

- Myślałam, że nad wszystkim panuję - ciągnęła Esme. - Myślałam, że znalazłam sposób, jak dalej żyć, i przez prawie dwa lata całkiem dobrze mi się to udawało. Wie pan?

Naprawdę. A potem babcia Mac dostała drugiego wylewu. A później zachorowała na zapalenie płuc. - Wpatrywała się w podłogę, kiwając głową. - I wszystko zeszło na psy. Ja też zeszałam na psy.

W pokoju zapadła cisza, ale wcale nie była niezręczna.

- Nie może być łatwo - powiedział w końcu policjant - dalej żyć, kiedy straci się dziecko.

Esme z rozpaczą skinęła głową. Życie po śmierci Teddy'ego mało przypominało życie. Właściwie było to raczej udawanie, że się żyje. Dlaczego nie zobaczyła tego wcześniej? Tak bardzo chciała, żeby wszystko wróciło do normy, żeby wszyscy wrócili do normy, tak bardzo chciała wypełnić pustkę powstałą po śmierci Teddy'ego, że cały czas udawała, że coś robi, żeby wszyscy byli szczęśliwi. W rzeczywistości jednak usychała w środku, rozkoszując się własnym odrętwieniem. Pamięć o synku stała się twardym, zasuszonym, uwierającym ziarenkiem, tkwiącym gdzieś w niej i Louisowi jakimś cudem udało się coś z niego wyhodować. Babcia Mac to widziała. Ale to zrozumiała.

- Człowiek ma mętlik w głowie - mówił policjant. - Wyobrażam sobie, że zdolny jest do różnych głupstw. Tak na nas działa smutek. Widziałem to tysiące razy. - Urwał i zaczekał, aż Esme na niego spojrzy. - Przypuszczam, że to samo dotyczy pana Stacka - dodał, zachęcająco unosząc brwi.

- Dlaczego jest pan dla mnie taki dobry? - spytała go Esme.

- Ponieważ wygląda pani jak ktoś, komu przydałaby się chwila wytchnienia - odpowiedział policjant z uśmiechem, wstał i wskazał głową w kierunku drzwi. - Pojedziemy?

Przyszłość malowała się Esme w ponurych barwach. Ale czy mogło być coś gorszego, zapytała samą siebie, pozwalając policjantowi wyprowadzić się z siłowni, od miękkiej, ckiej i mrocznej niedawnej przeszłości?

Rozdział dziewiętnasty

Przed domem Alice siedział rozwalony na schodach ubrany w fioletowy dres ze stretchu wielki grubas. Kiedy Esme wysiadła z radiowozu, na twarzy wciąż miała ślady łez, a w głowie kłębiło jej się od domysłów.

Policjant, który po drodze nieśmiało się przyznał, że też ma na imię Ted, starał się najlepiej jak umiał pomóc jej w pokonaniu lęku, podkreślając fakt, że synek jest cały i zdrowy, a przecież ostatecznie to najważniejsze.

Kiedy jednak zapytała, dlaczego inni ludzie całe życie romansują i uchodzi im to na sucho, a ona jeszcze właściwie nie zaczęła romansować, a już porwano jej syna i wszystkie jej tajemnice zostały ujawnione wszem wobec, zabrakło mu pomysłu, czym mógłby ją podnieść na duchu.

- Musi pani do wszystkiego się przyznać - poradził jej, pamiętając, jak ukrywał swoją przygodę z amsterdamską dziwką, kiedy zdenerwowała go żona, ale nigdy nie czuł się z tym dobrze. - Wszystko wyjaśnić.

- Dziękuję panu, Ted - powiedziała, kiedy zatrzymał się przy krawężniku.

- Powinienem zajrzeć na górę i upewnić się, że chłopcu nic nie jest - oświadczył. - Proszę na mnie nie czekać. Jak tylko zaparkuję samochód, przyjdę do pani.

Chciał, żeby miała chwilę tylko dla siebie. Już i tak doznała wystarczająco dotkliwego upokorzenia; nie trzeba,

żeby jeszcze pojawiła się w mieszkaniu przyjaciółki u boku policjanta.

Fioletowe monstrum na schodach było jednak dalekie od podobnej wrażliwości na stan Esme. Prawdę mówiąc, zdaje się, że mężczyzna wcale jej nie zauważył.

Skierowała się na lewo od niego, zanim do niej dotarło, że z tej strony nie ma wystarczająco dużo miejsca, więc potem spróbowała go obejść z prawej, ale tam też było ciasno.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała tak grzecznie, jak tylko potrafiła. - Chciałabym przejść.

- Dobra, dobra - wysapał grubas, ocierając czoło tłustym, fioletowym ramieniem, ale ani drgnął. - Nie ma potrzeby tak się żołądkować.

Esme jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zbrukana i zlekceważona, jak w tamtej chwili.

- O, Boże! - jęknęła w udręce. Jedyne, co wiedziała, to że nie chce patrzeć na pofałdowaną, srebrzystą skórę grubasa, widoczną między za małą bluzą, zapinaną na suwak, a równie ciasnymi, elastycznymi spodniami. Odwróciła się na stopniu o tyle, o ile jej pozwalała zwalista postać mężczyzny, uniosła nogę i kopnęła go zgrabnie prosto w dupsko. - Zjeżdżaj mi z drogi, do jasnej cholery! - wrzasnęła.

Grubas spojrział na nią ze zdumieniem i zmarszczył czoło.

- Spokojnie - powiedział, masując serdelkowatymi palcami miejsce, gdzie go kopnęła, ale jednocześnie przesunął się, by zrobić jej przejście. - Wystarczyło poprosić, ty głupia, ruda krowo.

Esme już go minęła i naciskała guzik domofonu z numerem mieszkania Alice.

- To ja, to ja! - krzyknęła do mikrofonu i drzwi się otworzyły.

Nim dotarła na trzecie piętro, była zdyszana, poły płaszcz obijały jej się o nogi, włosy przykleiły do karku. Zaczęła walić w drzwi mieszkania Alice.

Jej przyjaciółka, z twarzą ściągniętą i obcą, otworzyła je na całą szerokość i spojrzała w stronę pokoju od ulicy. W powietrzu unosił się jej gniew, gorący i ciężki, ale Esme nie miała już więcej miejsca na poczucie winy.

Weszła do pokoju i zobaczyła Rory'ego. Siedział na kanapie, podparty poduszkami, cały i zdrowy, udając, że czyta swoją ulubioną książeczkę, „Madeline”, którą znał na pamięć.

Tłumiąc szloch, Esme uklękła na podłodze, czując z niesmakiem, że rajstopy zsuwają jej się w kroku, bo nie podciągnęła ich jak należy. Jak mogła narazić rodzinę i synka na to wszystko swoim żalonym, obrzydliwym postępowaniem? Jak będzie mogła żyć po tym, co zrobiła? Przyciągnęła Rory'ego do siebie, przytuliła go mocno i poczuła czysty zapach małego chłopca, kiedy połaskotała go w szyjkę i pocałowała.

- Tak mi przykro, skarbie - zdołała jedynie powiedzieć. - Tak mi przykro.

Rory przez kilka chwil znosił to cierpliwie, ale potem delikatnie ją odepchnął.

- Dobrze już, Esme - powiedział. - Ulepiłem wielką pandę z plasteliny, a później przyszedł Ridge i mnie zabrał. Jechaliśmy autobusem i metrem, i kupił mi cukierki i napój pomarańczowy. - Spojrzał na nią z miną winowajcy. - Znowu musiałem zrobić siusiu - wyznał. - To chyba przez ten napój.

Ridge nerwowo kręcił się obok kominka, patrząc na nią spode łba. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że stać go na coś takiego. Zaczęła coś mówić, ale jej przerwał wzburzony.

- Nie zasługujesz na niego, do cholery! - warknął. - Masz wszystko tuż przed nosem i nawet tego nie widzisz. Niedobrze mi się robi na twój widok!

Esme aż oniemiała. Chłopak wprost się trząsał ze złości.

- Bardzo przepraszam... - zaczęła mówić, chociaż Ridge

był winien w takim samym stopniu jak ona, a może nawet bardziej. Ale teraz nie mógł już zapanować nad oburzeniem.

- Masz męża, który cię wielbi - kipiał gniewem - i tego dzieciaka, który myśli, że jesteś Bóg wie kim, a rzucaś to wszystko dla jakiegoś głupiego, obłudnego, francuskiego palanta, któremu zależy tylko na jednym: żeby cię przelecieć. To odrażające!

- Ridge! - odezwała się ostro Alice, stojąca na progu.

- To prawda, mamó - odpowiedział jej syn.

Biła od niego taka młodzieńcza bezkompromisowość, że Esme nie mogła powstrzymać łez. To, że omal nie zniszczyła własnej rodziny, to jedno, ale zranienie Alice i jej syna było czymś niewyobrażalnym.

- Od lat próbujesz znaleźć kogoś, kto cię pokocha - ciągnął chłopak, patrząc na matkę. - Umawiasz się z tymi wszystkimi skończonymi łobuzami, a ona ma kogoś idealnego i sra na niego. To nie fair!

- Ridge - znowu odezwała się Alice, ale już nie tak ostro. Esme poczuła się jeszcze podłej. - Zamilcz. Nie powinno cię to obchodzić.

- Ale ty mnie obchodzisz - powiedział Ridge do matki i głos mu się załamał, a do oczu napłynęły łzy.

- Proszę - zwróciła się do niego Esme, klęcząc na podłodze. Twarz miała mokrą od łez. - Proszę, wybacz mi, Ridge. Tak mi przykro.

- Tak? Cóż, może to jest zbyt...

- Byłam głupia! - krzyknęła Esme. - Ale nie chciałam skrzywdzić ciebie ani Alice, ani nikogo. Ja tylko...

- Ty tylko nigdy o nikim nie myślisz poza sobą! - wrzasnął zawstydzony tym, że płacze w ich obecności, co jeszcze podsycalo jego gniew. - Jesteś zwyczajną...

Na szczęście dla wszystkich akurat w tej chwili domofon obwieścił przybycie Poga.

- Nie zasługujesz na niego - syknął Ridge, kiedy Alice wyszła do przedpokoju.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - odezwała się cicho Esme, siadając na kanapie obok Rory'ego. Nie wiedziała, jak przetrwa kilka najbliższych minut, nie mówiąc już o reszcie życia.

Alice otworzyła drzwi i wszedł Pog. Prawie jej nie zauważył, od razu skierował się do żony i synka.

- Och, Esme - powiedział bez śladu nienawiści.

Esme nawet nie mogła na niego spojrzeć. Płakała ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Pog uklęknął i objął synka, ale Rory miał już dość przytulania i szybko się uwolnił.

Pog położył rękę na kolanie żony.

- Esme - powtórzył łagodniej, co sprawiło, że jeszcze bardziej zaczęła płakać.

- Dlaczego jest pan dla niej tak cholernie dobry? - krzyknął Ridge; łzy sprawiły, że jego głos stał się bardziej chrapliwy. - Dopiero co bzykała się za pana plecami z jakimś oślizgłym żabojadem.

- Dostyc tego! - rozległ się głos Henry'ego.

Esme uniosła głowę i zobaczyła nieszczęśliwą twarz teścia i całą jego nieszczęśliwą postać. Stał w drzwiach obok wzburzonej Alice. Esme uniosła dłonie do twarzy, żeby otrzeć łzy, których nie mogła powstrzymać, i ukryć swój wstyd. Dlaczego Henry też przyjechał?

- Przecież dopiero co... - zaczął Ridge.

- Dość! - Tym razem odezwał się Pog. - Przestań, Ridge. Esme ma dość zmartwień i bez ciebie, więc daj jej spokój.

Zwrócił się do Esme i położył drugą rękę na jej drugim kolanie. Wciąż nie mogła mu spojrzeć w oczy. Rory nieznacznie przysunął się do niej.

- Nie powinien pan... - znów zaczął Ridge, na jego twarzy mieszały się łzy i złość.

- Proszę - zwróciła się do niego błagalnie matka. - Przestań się wtrącać.

- Nie wiesz wszystkiego, co należałoby wiedzieć, Ridge - przemówił Pog znużonym głosem. - Nie wiesz, przez co przeszła Esme. Nie ma ideałów na tym świecie.

- Właśnie, że wiem - upierał się Ridge. - Przecież znam ją przez całe swoje życie, prawda? Znam ją dłużej niż pan.

- Tak, ale dwa ostatnie lata i te dwa ostatnie miesiące były dla niej wyjątkowo ciężkie i nie...

- Wiem, straciła syna, a potem umarła jej babka...

- Dość tego - znów zagrzemiał Pog. To niezwykle, że podniósł na kogoś głos. - Nie zapominajmy, jaką rolę odegrałeś dziś w tym wszystkim ty, Ridge.

Cisza aż gęsta od tajemnic i wyrzutów sumienia zawisła nad smutną grupką zgromadzonych w pokoju. Była tak dusząca, że Esme niemal zapragnęła, żeby Ridge znów zaczął krzyczeć.

Znów zadzwonił domofon i wszyscy drgnęli. Czekali w bolesnym milczeniu, aż Alice otworzy drzwi Tedowi, który tylko spojrzał na Esme i małego chłopca, spytał: „w porządku?” i wycofał się, kiedy smutno skinęła mu głową.

- Alice, może zabrałabyś Ridge'a do pubu - zaproponował Pog po wyjściu policjanta. - Nie chciałbym cię wyrzucać z własnego mieszkania, ale chyba powinniśmy na chwilę zostać sami.

Alice skinęła głową z wyraźną ulgą. Obserwowanie, jak rodzina, którą uważała za ideał, rozpada się na jej oczach, nie należało do przyjemności. A uczucia do Esme mieszały jej się w żołądku jak nadmiar koktajli i późno zjedzony kebab. Kochała ją i współczuła jej, ale zarazem była na nią zła i chciała, by przyjaciółka poniosła karę.

- Zabierzemy Rory'ego - zaproponowała Alice, wyciągając do niego rękę, ale chłopiec uchylił się szybko, mocniej przytulił się do matki i pokręcił głową.

- Zostaję z Esme - oświadczył.

- Chcesz, żeby był świadkiem tego wszystkiego? Żeby to wszystko słyszał? - spytała Alice Poga.

- Nigdzie nie pójdę. - Rory wydał usteczka. - Zostanę z Esme.

- Nie powinien tego wszystkiego słuchać, Pog - zauważyła delikatnie Alice.

- Och, Alice - westchnął Pog tak smutno, że Alice znów napłynęły łzy do oczu. - Musi tego wysłuchać. Wszyscy musimy. Naprawdę już najwyższy czas.

Alice złapała rozzłoszczonego syna i chociaż się opierał, wypchnęła go za drzwi mieszkania.

Po ich wyjściu nikt nic nie mówił i pokój wypełniało jedynie łkanie Esme. Nie miała pojęcia, jak wskrzesić swoje życie, i wiedziała, że prawdopodobnie nigdy nie będzie już takie samo, ale była gotowa naprawić krzywdy, które wyrządziła innym, bez względu na to, jakie to okaże się trudne i ile będzie wymagało poświęceń.

Wreszcie uniosła głowę i napotkała spojrzenie Henry'ego. Siedział teraz na krześle pod oknem, lekko odwrócony do niej bokiem.

- Przepraszam, Henry - powiedziała, nim znów zaczęła łkać. - Wiem, że zawsze sprawiałam ci zawód. To, co się stało, dowodzi, że od samego początku miałeś rację, ale naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

Ku dodatkowej udręce przez materiał płaszcza poczuła na udzie małą, ciepłą rączkę. Spuściła wzrok i zobaczyła, że Rory, znowu udając, że czyta, głaszcze ją po nodze, starając się ją w ten sposób pocieszyć.

Patrzyła, jak na jasnym materiale pojawiają się ciemne kropki od padających z jej oczu łez. Kiedy ślady się zmniejszyły, znów spojrzała na Henry'ego, gotowa, czując wsparcie synka, odebrać należną karę.

Ku jej przerażeniu Henry wcale się nie wściekał, tylko też płakał, jego czerwonofioletowa dłoń ze starczymi żyłami drżała, kiedy ją podniósł, by wytrzeć nos.

- Nie - powiedział głosem pełnym bólu. - To ja powinienem przeprosić ciebie. - Załkał i całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. - Byłem okrutny - wyznał - i niesprawiedliwy. I byłem tchórzem. - Głos mu się załamał, nie mógł mówić dalej.

Zmieszana Esme na chwilę zapomniała o tym, jaka jest nieszczęśliwa.
- Nie mów głupstw, Henry! - zawołała. - Tchórzem? Nie jesteś tchórzem. O co ci chodzi?

Henry pozwolił sobie na jeszcze jeden zdławiony szloch, potem wziął głęboki oddech, usiadł prosto na krześle i spojrzał na nią czerwonymi, udreńczonymi oczami.

- To ja... - zaczął. - To ja zakryłem fontannę folią. Esme siedziała bez ruchu.

- Twoja babka z samego rana mi powiedziała, żebym to zrobił - ciągnął Henry. - Jak tylko zaczęło padać. Ale nie posłuchałem jej. Nie zrobiłem tego z przekory. Nakryłem fontannę dopiero w południe, gdy twoja babka poprosiła mnie jeszcze dwa razy. Wtedy zbiornik był już pełen wody. - Ramiona mu się trzęsły, kiedy próbował zachować panowanie nad sobą. - Powinienem był go opróżnić, ale pomyślałem, że wystarczy, jeśli nakryję fontannę. Nie przeszło mi przez myśl, że ktoś, że Teddy... - Usta mu drżały, szybko mrugał powiekami, aby powstrzymać dalsze łzy. - Gdyby nie ja, Teddy by żył - wybuchnął, jego usta były spuchnięte od płaczu. - Żyłby i nic by się nie wydarzyło.

Słyszając, jak Henry wymawia jego imię, Esme doznała takiego wstrząsu, że aż łzy przestały jej lecieć z oczu. Imię chłopca odbijało się od ścian pokoju.

- Teddy - powiedziała na głos. Nic się nie stało. Wzięła małą rączkę Rory'ego w swoją dłoń i uścisnęła. - Teddy - powiedziała znowu. Rory spojrzał na Esme i się uśmiechnął.

- Teddy - powtórzył. - Rory i Teddy.

Serce jej krwawiło, ale nagle spłynął na nią dziwny spokój. Przeniosła wzrok na Poga, utkwiała go w jego niezgłębionych, niebieskich oczach. Tylko czekał, żeby ich spojrzenia się spotkały.

- Dlaczego nie mogłam o nim rozmawiać? - spytała swojego męża. - Dlaczego było mi tak trudno wymówić jego imię?

- Nie tylko tobie - przypomniał jej Pog. - Nam wszystkim.

- Ale ja jestem jego matką - odparła Esme. - To ja byłam na otwarciu studia kuchennego, kiedy on został... - Usta miała suche jak pieprz. - ...w domu i mnie potrzebował. To ja zbyt długo go szukałam. To ja nie pomyślałam, żeby sprawdzić, czy go nie ma w zbiorniku. I to ja wpadłam na pomysł tej kretyńskiej fontanny.

- Ale ja tam byłem - oświadczył Henry. - Byłem tam, miałem baczenie na wszystko i od samego początku mogłem nie dopuścić, aby coś takiego się wydarzyło. To moja wina i mieliście prawo mnie za to nienawidzić.

- Nikt cię nie nienawidzi, tato - obruszył się Pog. - Chociaż potrafisz być przykry i niewdzięczny w stosunku do Esme, która jest najwspanialszą kobietą na tej ziemi.

- Esme mnie nienawidzi - upierał się Henry. - Od początku mnie obwiniała i miała rację. To wszystko moja wina.

- Nic podobnego, Henry! - wykrzyknęła Esme. - Myślisz, że mam na to czas? Stale obwiniam samą siebie. To nie twoja wina. Jestem jego matką i to ja powinnam tam być, pilnować go, to ja powinnam go znaleźć, zanim było za późno. Nie chodzi o folię. Do diabła z folią! Nieważne, czyj to był pomysł. Dobrze zrobiłeś, przykrywając fontannę. To było słuszne, rozsądne. To był tylko...

- To był tylko nieszczęśliwy wypadek - powiedział Pog, wstając z podłogi i wciskając się obok Esme na kanapę. Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. - To jedna z tych okropnych rzeczy, które się zdarzają; człowiek myśli, że spotykają tylko innych ludzi, ale tym razem spotkała nas.

Esme zamknęła oczy i zobaczyła rude loczki Teddy'ego, unoszące się na lśniącej, czarnej plamie wody.

- To prawda, Esme - dodał cicho Pog. - Wiem, że uważasz, że to była zła organizacja czasu z twojej strony, z mojej strony, z naszej strony, ale inni ludzie też ciężko pracują i są zajęci, a ich dzieci nie giną tragicznie.

Siedząc z zamkniętymi oczami, Esme wyciągnęła Teddy'ego z wody i znów przytuliła go do piersi.

- Uważam, że słusznie zrobiliśmy, wyjeżdżając z Londynu - ciągnął - zostawiając tamto życie za sobą, przeprowadzając się do Domu w Chmurach i zaczynając wszystko od nowa. Naprawdę. Było to dobre dla Rory'ego, a także dla babci Mac.

Pozostałe tajemnice Esme drapały ściany w rogach pokoju, próbując się wydostać.

Henry pociągnął nosem. Esme miała zamknięte oczy, głowę oparła na poduszkach kanapy, ale Rory i tak wdrapał się na kolana matki i przytulił się do niej.

- Czasami, Esme - powiedział rzeczowo - rozmawiam z Teddym.

Łzy potoczyły się po jej policzkach; objęła go mocno.

- Wiem, że go tutaj nie ma - dodał Rory, na wypadek gdyby uznali go za małego głuptaska - ale i tak z nim rozmawiam.

Pog odchrząknął, po raz pierwszy wyraźnie walcząc ze wzruszeniem.

- No, no, Ror - wykrztusił.

- Esme? - Rory pociągnął ją i Esme otworzyła oczy, by spojrzeć na synka.

Znalazła w jego oczach coś, z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy, ale teraz zastanawiała się, jak kiedykolwiek wcześniej mogła tego w nich nie widzieć. Pocałowała chłopca i dodało jej to sił.

- Tak, kochanie - powiedziała. - Wiem.

- Jak chcesz, to o babci Mac może być naszą małą tajemnicą - szepnął do niej Rory i przytulił się do niej. W tamtej chwili był dla niej najcenniejszy pod słońcem.

- Przez parę ostatnich miesięcy nie byłam sobą - przyznała się w końcu. - Miałam kłopoty. Zmagałam się. Wszystko wydawało mi się nie takie, jakie powinno być. Nic nie pasowało. Czułam się okropnie. Wszystko się poplątało.

Przypomniała sobie zamęt, który opanował jej myśli, i zastanawiała się, czy teraz, kiedy wszystko wyszło na jaw, uwolni się od niego.

- Zawsze jesteś tak cholernie radosna - zauważył Henry. - Skąd mamy wiedzieć, kiedy coś jest nie tak?

Esme niemal się roześmiała.

- Cóż, nie możecie - odpowiedziała. - Taką już mam naturę. Zawsze taka byłam. Zawsze możecie liczyć, że was rozśmieszę i sprawię, żebyście poczuli się lepiej. Właściwie to jedna z cech, którą najbardziej w sobie lubię.

- Ale, Esme - odezwał się Pog, a w jego głosie wyraźnie słychać było cierpienie - nie można przejść przez to, przez co ty przeszłaś, i wciąż dźwigać to wszystko w samotności. To za trudne.

Esme wiedziała, że to prawda, ale tylko do pewnego stopnia.

- A gdybym wlażała do łóżka z butelką dzinu i przez cały rok spała i płakała, co byś zrobił?

Znał odpowiedź równie dobrze, jak ona.

- Też bym wlażał do łóżka - odparł. - Żeby być z tobą.

Ciche poświstywanie, dobiegające z kolan Esme, uświadomiło jej, że synek, powiedziawszy to, co miał do powiedzenia, podzieliwszy się z nią magiczną częścią siebie, usnął. Odgarnęła mu loki z czoła.

- Nie mogłam tego znieść - wyznała cicho, żeby go nie obudzić. - Nie dopuszczałam do siebie myśli, że ktokolwiek może czuć ten sam dotkliwy, piekący, silny, straszliwie rozdzierający ból, co ja. To oznaczałoby mój koniec;

- On nigdy by do tego nie dopuścił - powiedział Henry ze swoim zwykłym zaciętrzewieniem. - Za bardzo cię kocha. Na dobre i złe.

- To prawda - potwierdził Pog. - Cholernie cię kocham, Es. - I zaczął płakać z takim żalem, że Esme pomyślała, iż po prostu tego nie zniesie. Milczała, jej serce wypełnił ból nie do zniesienia.

Henry wstał z krzesła, zabrał śpiącego Rory'ego z jej kolan i bez słowa wyszedł z pokoju.

Atmosfera była aż gęsta od niewypowiedzianych myśli i gwałtownych uczuć. Ale właśnie wtedy Pog zdobył się na wyjawienie tego, z czym od dawna się nosił.

- Tak bardzo cię kocham - oświadczył. - Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo, Esme. - Po jego policzkach toczyły się łzy i spadały na dywan. - Po prostu... - Głos mu zadrżał, ale Pog nabrał powietrza i mówił dalej: - Nie potrafię właściwie oddać tego słowami, Es. Nie znam odpowiednich słów, nie wiem, co mówić, żeby sprawić, byś poczuła się lepiej. Wiem tylko, że ubóstwiam cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem, i gdybyś miała mnie zostawić... - Ta myśl wywołała nowe łzy, ale się opanował. - Gdybyś miała mnie zostawić, byłbym zdruzgotany. Chociaż to nieodpowiednie słowo. To byłoby, Boże, piekło na ziemi, Esme. Po prostu piekło na ziemi. - Spróbował powściągnąć swoje emocje, nim znowu przemówił. - Ale myślałem o tym przez całe popołudnie, to znaczy rozważałem taką ewentualność od lat i jeśli chcesz odejść z Louisem, aby zamieszkać w jakiejś cholernej piekarni w samym środku Francji, to cóż, z jednej strony mam ochotę ze wszystkich sił tobą potrząsnąć, Esme. Jak mogłaś to zrobić? Mnie? Nam? Z drugiej jednak strony pragnę jedynie twojego szczęścia, ponieważ zasługujesz na nie, naprawdę, bez względu na wszystko, więc pomogę ci się spakować, Esme. Poskładam twoje ubrania, rozczeszę ci włosy, wetrę ci płyn lawendowy w nogi, zanim odejdziesz. Potem mogę umrzeć albo przynajmniej już nigdy nie będę żyć naprawdę, ale jeśli tylko z Louisem możesz być szczęśliwa, to nie zamierzam cię zatrzymywać, Esme. Naprawdę. Przysięgam.

Miał jeszcze dużo do wyrzucenia z siebie. Esme płakała cichutko obok niego.

- Tylko czy on kiedykolwiek będzie cię tak kochał jak ja? Czy będzie kochał to, w jaki sposób sterczą ci włosy z jednej strony z samego rana, albo jak się uśmiechasz

przez sen, albo tę małą fałdkę skóry tuż obok pachy? Czy wie, że nie znosisz marmolady, ale palcami wyjadasz ze słoika dżem morelowy? Czy rozumie, że zawsze jesteś lojalna wobec przyjaciół, chociaż oni cię zaniedbują, wykorzystują i nie przejmują się tobą. I czy mu powiesz, że musisz łyknąć panadol na godzinę przed tym, nim zaczniesz depilować woskiem okolice bikini, bo inaczej krzyczysz z bólu? Esme nigdy w życiu nie słyszała niczego tak wyraźnie.

- Wiem, że jest piekarzem. Wiem, że piecze chleb. Wiem, że właśnie za to go kochasz, Esme, ale życie to coś znacznie więcej niż jakiś cholerny chleb. Człowiek nie może żyć samym chlebem, Esme. Wszyscy myślą, że jesteś taka silna, taka zdolna, taka zabawna, taka zdumiewająca, i jesteś, na Boga. Ale ja rozumiem cię tak, jak nikt nigdy cię nie zrozumie. Rozumiem, że musiałaś zaczekać, nim mogłaś rozmawiać o Teddym. Rozumiem, że nie możesz patrzeć na Rory'ego, nie zastanawiając się, jak wpłynie na niego to, że jest jednym z bliźniaków. Rozumiem, że babcia Mac była prawdziwą miłością twojego życia, i kocham cię za to, Esme, naprawdę. I nawet jeśli odejdziesz z Louisem i już nigdy więcej cię nie zobaczę, nadal codziennie po przebudzeniu będę dziękował Bogu za to, że cię znałem i cię rozumiałem, ponieważ każdy dzień z tobą był cudownym darem i uwielbiam każdą spędzoną z tobą chwilę.

Co ja takiego zrobiłam, żeby zasłużyć sobie na takiego mężczyznę, myślała Esme, kiedy patrzyła, jak Pog otwiera przed nią serce, siedząc na środku pomarańczowo-brązowej kanapy w pokoju Alice. Jak mogła kiedykolwiek wątpić, że jej miejsce jest przy nim?

Uklękła przed Pogiem, ujęła jego ręce, w których znów ukrył twarz, i położyła je sobie na ramionach.

- Z Louisem do niczego nie doszło - oświadczyła cicho. -Dwa razy zjadłam z nim obiad, Pog, a dzisiaj poszłam do jego hotelu, ale do niczego nie doszło, przysięgam ci. - Umilkła. Jak mogła cokolwiek ukrywać przed mężem, kiedy on dopie-

ro co tak odważnie obnażył przed nią swoją własną poharataną duszę?
- Myślałam, że to możliwe - powiedziała, pociągając nosem, kiedy jej łzy obeschły. - Że może się to wydarzyć. Z nim, Pog. Z Louisem. Opowiedziałam mu o naszym dziecku, o naszym Teddym, i sprawiło mi to tak ogromną ulgę, że myślałam, że to musi coś znaczyć. Ale kiedy tam się znalazłam i zobaczyłam, jaki jest naprawdę, po prostu... - Przypomniała sobie smoczek, który uratował ją przed popełnieniem największej pomyłki w życiu. Bez tego mogłaby nie dostrzec, jaki naprawdę jest Louis, zanim byłoby za późno i zdradziłaby już męża. Może jednak przeznaczenie odegrało jakąś rolę. Odchrząknęła. - Nie kocham Louisa - oznajmiła, a te słowa wcale nie zabrzmiały gorzko w jej ustach. - Czułam się zagubiona i przerażona, myślałam, że ponowne spotkanie z nim było znakiem, że mogę odnaleźć tamto szczęście, które poznałam, kiedy byłam młodą, niewinną i ufną dziewczyną, a nie zrozpaczoną matką tragicznie zmarłego chłopczyka.

Pog przytulił ją mocno i zaczął płakać, ukrywając twarz w jej lokach.
- Ale się myliłam, Pog - ciągnęła. - Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek była tak szczęśliwa, jak wtedy. Myślę, że coś takiego człowiek przeżywa tylko raz w życiu.

Poczuła, jak jej mąż drży z bólu, i dotarło do niej, że nie ujęła tego tak, jak chciała.

- Ciiii... - uciszyła go. - Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że nie pragnę już tamtego szczęścia. Uważam, że mogę mieć nowe. Że mam je. Jest lepsze. Z tobą.

Odsunęła się i skierowała jego twarz ku sobie tak, aby na nią spojrzeć.
- Kocham cię, Pog, od chwili, kiedy wyplułam tamtą na wpół przetrwonioną kulkę sera. Na całym świecie nie mam lepszego przyjaciela od ciebie. Zawierzyłabym ci swoje życie. Zawierzyłam ci swoje życie. Jesteś najlepszym, najdroższym, najbardziej cierpliwym i kochającym mężem, o jakim mogłaby marzyć każda kobieta, i jesteś ojcem mo-

jego syna, moich synów. Nie ma w całym wszechświecie innego mężczyzny, z którym chciałabym mieć dzieci. Przez te wszystkie lata kochałeś mnie, opiekowałeś się mną i sprawiałeś, że czułam się, jakbym była królewną, i nie mogę uwierzyć, że chciałam to wszystko zniszczyć, Pog. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to, ale nie mogę, o czym dobrze wiesz. I wiesz, do jakiego momentu bym go cofnęła. Pog skinął głową, do oczu znów mu napłynęły łzy.

- Musimy dalej żyć - ciągnęła Esme, odzyskując jasność umysłu. - Musimy zacząć patrzeć przed siebie, a nie oglądać się wstecz. Nie rozumiałam tego naprawdę aż do teraz, ponieważ przyszłość bez Teddy'ego wydawała się tak ponura, ale teraz wiem, że razem nam się to uda. O, Boże, Hugo Stack, kocham cię! Z całego serca. Naprawdę. Wiem, że wszystko popsułam, wiem, że na to nie zasługuję, ale czy myślisz, że kiedykolwiek będziesz mógł mi wybaczyć?

Pog spojrział na nią uważnie.

- Nie chodzi o wybaczenie, Esme, tylko o pewność, że kochasz mnie tak bardzo, jak ja kocham ciebie, bo jeśli jest inaczej, to tego nie zniosę.

- Ależ kocham! - wykrzyknęła Esme. - Naprawdę! Tego mnie nauczyła cała ta okropna historia. Przysięgam, Pog, nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna niż właśnie tego.

Przez chwilę milczał, a kiedy przemówił, jego głos brzmiał, jakby był obłany czekoladą.

- Wiem, że uważasz, iż składasz się ze zwykłej mąki i wody, Es. I że Louis był twoim zakwasem, ale to nieprawda. To nigdy nie była prawda. My jesteśmy mąką i wodą, a ty jesteś naszym zakwasem. Jesteś tym najlepszym, co mogło nas spotkać w życiu - powiedział, a ona się pochyliła i pocałowała męża, czując jego słone łzy i widząc obietnicę wspólnej przyszłości.

Smakowała wybornie.

Rozdział dwudziesty

Esme i Alice siedziały na łóżku babci Mac, a między nimi leżał zmięty magazyn „Hello!“. Przyniosły go tutaj, żeby przejrzeć, ale zupełnie o nim zapomniały.

- Co robiłaś?! - spytała zaszokowana Alice przyjaciółkę.

- Rozmawiałam z nią - odpowiedziała Esme, a policzki jej się zaróżowiły. - Wiem, że brzmi to głupio, ale robiłam to. Poradziła mi, żebym znowu zaczęła piec chleb, i zachęcała mnie do spotkania z Louistem.

- Ależ, Esme, najdroższa, przecież babcia Mac nie żyje - jęknęła Alice. - Umarła dwa miesiące temu.

- Wiem o tym. Dlatego może się wydawać głupie, że z nią rozmawiałam - oświadczyła Esme takim tonem, jakby to Alice zwariowała. - Jednak zobaczyłam ją tutaj, siedziała jak żywa tamtego dnia, kiedy Brown obsikał buty Hen-ry'ego. I to ona odezwała się pierwsza. I tak zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać.

Na twarzy przyjaciółki malowało się osłupienie. Alice gapiła się w sufit i wykrzywiała usta, jakby nie wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć.

- Och, nie patrz tak na mnie - poprosiła Esme. - Chciałaś, żebym od tej pory wszystko ci mówiła, więc ci mówię. I nie wróżyłam sobie z kryształowej kuli ani nie dzwoniłam do wróżki. Zapewniam cię też, że nie wierzę w duchy. Ale

nie wydaje mi się, żeby ona była duchem. Po prostu miała jeszcze coś do załatwienia ze mną. Albo w ogóle na tym świecie. Albo może był jeszcze inny powód.

Twarz Alice skurczyła się, pojawił się na niej niepokój.

- Ależ, Esme - jęknęła. - Przecież to jakieś wariactwo! W prawdziwym świecie ludzie nie powstają z martwych. To się zdarza tylko na filmach.

- Wiem. - Esme westchnęła i przez chwilę milczała. - Po prostu, jeśli pominąć to, że nie żyła i nie wróciła tutaj, to wcale nie jest takie bezsensowne.

- Naprawdę? Jak to?

Esme długo i usilnie o tym myślała i miała własną teorię, w którą na tyle mocno uwierzyła, żeby wiedzieć, że nie zwariowała.

- Wiesz, kiedy umarł Teddy - zaczęła - myślałam, że póki mam babcię Mac, wszystko będzie w porządku. Tylko to mnie trzymało przy życiu, Alice: myśl, że ona jest ze mną. Wiem, że miałam męża, ale Teddy był też jego synem, więc Pog przeżywał to wszystko, co ja, czy to okazywał, czy nie. Nie mogłam pozwolić na to, żeby sam pogrążony w żałobie, jeszcze musiał pocieszać mnie. Ale miałam babcię Mac. Tylko dla siebie. Była moja. Nigdy by mi nie pozwoliła schować się jak ślimak w skorupie i zostać tam już na zawsze, a jak wiesz kobiety z rodu MacDougallów mają takie skłonności. Ani przez chwilę nie dopuszczałam do siebie myśli, jak będzie wyglądało moje życie bez niej, więc kiedy odeszła, tak niespodziewanie, chyba coś mi się przestawiło w głowie i nie dałabym rady tego poukładać na nowo bez jej pomocy.

- Esme, nie wolno ci mówić takich rzeczy.

- Ale to prawda, Alice! Wiesz, że nie istnieje recepta, jak przeżyć śmierć własnego dziecka. Człowiek chwytą się czegokolwiek, co mu nie pozwoli utonąć, a dla mnie stała się tym babcia Mac. Była moją aparaturą, podtrzymującą funkcje życiowe. To nie znaczy, że rozmawialiśmy

o nim, znaczy się o Teddym. Ale była tutaj i niczym tratwa ratunkowa utrzymywała mnie na powierzchni. Myślałam, że sama zdecyduję, kiedy będę mogła z niej zrezygnować, że będę miała czas, aby się jakoś na to przygotować, tymczasem doktor Gribblehurst wyszedł z jej pokoju po jednej z wizyt i poinformował nas, żebyśmy się spodziewali najgorszego, bo to kwestia godzin. I rzeczywiście tak było.

- Esme, twoja babka przez dwa lata była przykuta do łóżka. Ledwo mogła mówić. Musiałaś wiedzieć, że to może nastąpić w każdej chwili.

- Nie mogłam tego znieść - wyznała Esme. - Zwyczajnie nie mogłam się z tym pogodzić, Alice. Po prostu nie mogłam pozwolić jej odejść.

- I dlatego - powiedziała Alice z powątpiewaniem - wróciła z tamtego świata, by żyć po śmierci.

- Skądkolwiek - odrzekła Esme. - Nie śmieję się ze mnie! Wiem, że to wygląda, jakbym straciła rozum. Mój Boże, myślisz, że o tym nie wiem? A teraz siedzę tutaj tak, jak przedtem, i myślę, że może tylko ją sobie wyobraziłam. Może sama do siebie mówiłam rzeczy, o których już wiedziałam, nakłaniałam się do zrobienia tego, co w głębi serca miałam ochotę zrobić. Ale ten pokój był jakiś inny, Alice. Był pełen niej. I pachniał nią. No wiesz, papierosami Embassy Regal. I zawsze było słychać Roda Stewarta. Wiesz, jak lubiła jego piosenki. Sączyły się ze ścian, Alice.

Powiodła wzrokiem po ścianach, teraz świeżo pomalowanych na delikatny, żółty kolor. Zapach dymu zniknął. Torebki zniknęły. Kapelusz także. Rod Stewart umilkł. Zastłony były rozsunięte i słońce wpadało do pokoju, w którym Esme spędziła tyle dziwnych chwil z babką.

- Sama przyznaj - zwróciła się do przyjaciółki - czy kiedykolwiek zabrakło babci Mac, kiedy jej potrzebowałam? Zawsze była moim aniołem stróżem.

Alice dostała gęsiej skórki.

- Nie ma jej tu teraz, prawda? - zapytała, a jej sceptycyzm zbladł.

- Gdyby była - odpowiedziała Esme - siedziałabyś na niej i czy byłaby martwa, czy żywa, wiedziałabyś o tym.

- A kiedy tu była - chciała wiedzieć Alice - czy mogłaś widzieć przez nią na wylot, czy jej postać była niewyraźna, i czy w pokoju unosiły się różne przedmioty?

- Nie! To nie tak. Po prostu kiedy wchodziłam do pokoju, siedziała na łóżku, więc kradłam kilka chwil dla siebie i z nią rozmawiałam. Nie było to upiorne ani nic z tych rzeczy.

- Ale czy ją widziałaś?

- Nigdy nie odsłaniałam okna. Lubiła mrok.

- Więc czy naprawdę tutaj była?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, Alice, ani tobie, ani sobie, ale tak, z całą pewnością tutaj była.

- I ją słyszałaś.

- Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- A czy Pog wie o tym?

- Opowiedziałam Pogowi wszystko.

- I co on na to?

- Wyznałam Pogowi wszystko oprócz tego - wyjaśniła Esme. - Ale powiem mu. Pomyślałam tylko, że najpierw spróbuję powiedzieć tobie i zobaczę, jaka będzie reakcja. I muszę się przyznać, że nie wiem, czy mogę to uznać za oszałamiający sukces.

- Cóż - zauważyła Alice. - Nie sądzę, żeby rada, abyś się bzykała z Louisem, była najlepszym pomysłem, jaki kiedykolwiek miała babcia Mac. Ale właściwie nigdy tego nie zrobiłaś, a przy okazji ta mała gnida pomogła ci się przełamać po śmierci Teddy'ego. - Zagryzła usta. Tak się przyzwyczaiła omijać ten temat, że nadal czuła się niepewnie, poruszając go.

Esme uśmiechnęła się melancholijnie.

- Brakuje mi go - wyznała i Alice znów wstrzymała od-

dech. - Ale wydaje mi się, że mogę teraz o nim myśleć, nie czując do siebie nienawiści. I pamiętam więcej niż jego zasmarkaną buzię tamtego ostatniego ranka. - Głos jej się załamał. Alice przysunęła się bliżej i ją objęła. - Ale czuję się lepiej - szepnęła Esme. - Lepiej niż kiedyś, kiedy nie mogłam patrzeć na Rory'ego, by nie widzieć tamtej buzi. Była zawsze taka sama, nigdy się nie zmieniała, zawsze miał dwa latka z kawałkiem.

- Och, Esme, tak ci współczuję.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Esme, choć do oczu napłynęły jej łzy. - Naprawdę. Jestem teraz znacznie szczęśliwsza. - Ramiona trzęsły jej się od płaczu, lecz zamiast walczyć ze smutkiem i odpychać go, pozwoliła, by ją objął, a potem spłynęło na nią, jak się ostatnio przekonała, ukojenie.

- Był wspaniałym chłopcem, prawda? - powiedziała Alice, delikatnie kołyszając w ramionach przyjaciółkę.

- Tak - odrzekła Esme, pociągając nosem, łzy przestały jej płynąć z oczu. - Był. Pamiętasz ten wieczór, kiedy ich pilnowałaś, a on zjadł zawartość swojej pieluszki?

Alice się roześmiała.

- Jak mogłabym zapomnieć? Na litość boską, musiałam mu z tego wyczyścić ząbki. A pamiętasz, jak Ridge zamienił im ubranka, a staruszkowie tego nie zauważyli, i dopiero kiedy kąpałaś dzieci następnego dnia, odkryłaś, co zrobił, i wszystko odkręciłaś?

- O, nie! - krzyknęła Esme. - Słuchając tego, można by pomyśleć, że byłam okropną matką!

- Jesteś najlepszą matką pod słońcem - zapewniła ją Alice. - I może Teddy nie cieszył się tobą długo, ale nie mógł lepiej trafić. Nie wzruszaj ramionami, Esme, to prawda. Wiem, że martwisz się o Rory'ego, kto by się nie martwił w tych okolicznościach, ale świetny dzieciak z niego i nic mu nie będzie. Może stracił braciszka, jednak nadal ma dwójkę wspaniałych rodziców, kochającego dziadka,

przyjaciół, którzy go uwielbiają, i osła z największym kutasem, jakiego widziałam w całym swoim życiu.

Esme się roześmiała i ten śmiech zabrzmiał echem w całym pokoju, przepędzając raz na zawsze wszystkie duchy przeszłości.

Alice znów ją uścisnęła. Siedziały i w milczeniu patrzyły na zmiętą Elizabeth Hurley na okładce „Hello!”, leżącego między nimi, kiedy nagle Esme usiadła prosto.

- Pora włożyć chleb do pieca - zakomunikowała przyjaciółce. - Chodź, napnij te mięśnie pośladków.

- Rozwiń flagę, Szerpo - powiedziała zrzędliwie Alice, ciężko podnosząc się z łóżka babci Mac, i po chwili zaczęły się wdrapywać po schodach.

W kuchni na górze ciasto Esme stało dumnie w koszyku wyłożonym płóciem. Esme lubiła rzucić na nie okiem ostatni raz przed wstawieniem do pieca. Otworzyła drzwiczki piekarnika i wyciągnęła kamień do pieczenia, którego używała, by wyrównać temperaturę i by jej chleb był bardziej chrupki na spodzie, a także by miał apetyczniejszą skórę.

Ostrożnym, ale zdecydowanym ruchem odwróciła koszyk tuż nad rozgrzanym kamieniem i wypadł z niego *boule*. Rozległ się niemal niesłyszalny syk, kiedy dotknął gorącej ceramicznej powierzchni.

Szybko wzięła przygotowane wcześniej radełko i zrobiła nim kilka nacięć na cieście, potem zamknęła drzwiczki i trzy razy w niewielkich odstępach czasu uruchomiła dysze z parą.

Chociaż robiła to już tysiąc razy, nie mogła się powstrzymać, żeby nie przykucnąć i nie popatrzeć na swój chleb przez szklane drzwiczki piekarnika. Nadal czuła jakąś magię w każdym bochenku i była pewna, że zawsze tak będzie.

- Esme - przypomniała sobie nagle Alice, siedząca przy kuchennym stole - nigdy mi nie opowiedziałaś do końca, co się stało z Charliem.

Esme nastawiła wodę na herbatę. Tak. Charlie.

Naturalnie pierwszą myślą Esme, kiedy z całą rodziną znów się znalazła w Domu w Chmurach tamtego straszego, cudownego dnia dwa tygodnie temu, było wynająć płatnego mordercę i zlecić mu zabicie Charliego.

Tyle ryzykował, jednak nie własnym kosztem, odgrywając Boga, że Esme wątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mogła na niego spojrzeć, nie mówiąc już o rozmowie z nim. Ale to Pog, dobry, łagodny, wyjątkowy Pog w końcu przeprowadził długą rozmowę z Charliem przez telefon, a potem zasugerował, że może Esme powinna pojechać i się z nim spotkać, by wysłuchać tego, co przyjaciel ma jej do powiedzenia.

I tak w poprzedni piątek w samo południe Esme patrzyła na Charliego znad kieliszka bardzo drogiego rieslinga, za którego on zapłacił, i zastanawiała się, czy wywoła sporo zamieszania, jeśli zaraz, teraz go udusi.

Była pora obiadowa, siedzieli w Assaggi na górze, w Notting Hill, tak daleko od pułapek Marylebone High Street, jak tylko Charlie mógł to sobie wyobrazić.

- Moja droga, tak się cieszę, że w końcu zgodziłaś się zjeść ze mną obiad - zaczął. - Ostatnie dwa tygodnie były okropne. Gdybyś jeszcze raz rzuciła słuchawkę, przysięgam, że zamierzałem... sam nie wiem... nie powiesić się, ale zrobić coś równie drastycznego. Byłem zupełnie załamany.

Esme pociągnęła łyk wina i pomyślała, jakie to podobne do Charliego.

- Tak - zauważyła powściągliwie, nie potrafiąc jeszcze mu wybaczyć - to musiało być dla ciebie straszne.

- Och, Esme - westchnął Charlie i odstawił na bok swoje wino, nie słysząc jej sarkazmu. Ale musiała przyznać, że wyglądał kiepsko. Blask, który zazwyczaj bił od niego, zniknął, i wyglądał zupełnie normalnie, co było wcale niepodobne do Charliego. - Proszę, proszę, wybacz

mi, Esme. Nie chciałem cię zranić, to oczywiste. Nigdy bym tego nie zrobił. Już szybciej bym... co? Wbił sobie igły w oczy? Nosił syntetyczne bokserki? Ujawnił swoje naturalne skłonności? Och, proszę, nie skreślaj mnie, Esme. Nie zniosę tego.

Esme zakręciła kieliszkiem z winem słomkowego koloru. Naturalnie nie przyjechała taki kawał drogi, by nadal się na niego gniewać, i chciała, by o tym wiedział, zanim kelner ich zapyta, co zamawiają, żeby mogła sobie zażyczyć coś drogiego i nie mieć wyrzutów sumienia, że to funduje Charlie.

Musiała mu jednak wygarnąć, co o tym myśli. Musiała mu zadać kilka pytań.

- Dlaczego, Charlie? - To było główne pytanie. - Dlaczego zrobiłeś taką straszną rzecz?

- Cóż, powiedziałbym ci to przez telefon, gdybyś nie ciskała słuchawką - odrzekł Charlie, ale jego policzki zaczęły odzyskiwać normalną barwę. Wyczuł u Esme pewną gotowość do pojednania. Westchnął i wziął głęboki oddech. -To najgorsze, co mi się przytrafiło w życiu. Naprawdę. Pewnego wieczoru wybrałem się do jakiegoś hiszpańskiego baru niedaleko Tottenham Court Road - wyjaśnił - niedługo po tym, jak cię odwiedziłem na wsi. Zobaczyłem tam tego małego gnojka, jak podpiera bar i użala się nad sobą, opróżniając butelkę rioja.

- Użalał się?

- Właściwie nie, ale miał smętną minę. Tak czy owak, od razu go poznałem. Chyba myślałem o nim po tym, co usłyszałem od ciebie tamtej nocy, no wiesz, że tylko on może ci zapewnić szczęście. Och, nie patrz tak na mnie, Esme! Co ja wiem o takich rzeczach? Mówiłaś, że kiedy masz ciężkie chwile - a miałaś ciężkie chwile, prawda? -to zastanawiasz się, jak by to było, gdybyś związała się z Louistem. A on teraz siedział tuż obok mnie. No i wtedy

wpadłem na ten pomysł. Co by było, gdybyś mogła znów go zobaczyć? Naturalnie założyłem, że wystarczy, jeśli raz na niego spojrzysz, a zrozumiesz, że takie życie, jakie masz, jest jednak najlepsze. Chciałem ci tylko dać odrobinę dawnego szczęścia, Es. Pomyślałem sobie, że zjecie romantyczny obiad na mój koszt, może się pocałujecie, a potem każde z was pójdzie w swoją stronę. Myślałem, że cię to podniesie na duchu.

- Ale kupiłeś mu garnitur, Charlie. Przemieniłeś go w kogoś, kim nie był - zaprotestowała Esme.

- Esme, on już był kimś, kim naprawdę nie był! - zaproponował Charlie.
- On zawsze był dla ciebie kimś innym niż w rzeczywistości. - Pociągnął łyk wina. - No dobra, zgadzam się, że ten garnitur to błąd. Właściwie kupiłem go dla kogoś innego, ale... Nieważne. Tak czy owak, to ty przemieniłaś Louisa w przystojnego księcia z bajki, nie ja. I bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłem, a kiedy sobie pomyślę, jak źle mogło się to skończyć, aż się kulę z przerażenia, moja droga, słowo daję, że aż się skręcam ze wstydu, ale nie zrobiłem tego, żeby cię zranić. Myślałem, że wyświadczam ci przysługę. Dodaję trochę pieprzu do twojego życia. Próbowałem być dobry.

- A dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć, że pracuje w sklepie z kanapkami w Hounslow, i pozwolić mi zobaczyć go takim, jaki naprawdę jest?

- No tak - zgodził się Charlie. - Teraz widzę, że tak byłoby lepiej, ale wtedy chciałem, żeby spełniło się twoje małe marzenie, Es. Kochasz te wszystkie romantyczne historie. Zawsze kochałaś. Wiesz, że sam tego nie rozumiem, ale kocham cię za to, że ty to kochasz. I wyobraziłem sobie, jaka byłabyś wniebowzięta, gdybyś znów spotkała tego faceta, wyglądającego olśniewająco i światowo i propagującego chleb na zakwasie na całym świecie. Naturalnie miał cię zapewnić, że jest szczęśliwy w małżeństwie i ma nadzieję, że ty też jesteś szczęśliwa,

ale widocznie ten gnojek raz na ciebie spojrział i stwierdził, że ma na ciebie ochotę.

- Czy nie rozumiesz, że zrobiłeś coś strasznego? - spytała go Esme. - Charlie, a gdyby Rory'ego naprawdę ktoś porwał? Gdyby Louis stał się agresywny? Albo Pog mnie zostawił?

- Tak, tak, tak - przyznał się Charlie. - Torturowałem sam siebie takimi możliwościami, mówiłem ci, i aż się kuliłem ze strachu. Jednak to wszystko naprawdę nie moja wina. Ten łobuz miał zniknąć po pierwszym obiedzie. Nie miałem pojęcia, że zamierza tak bardzo cię oszukać, Esme. Znowu cię zranić. Wielki Boże, to ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Jesteś dla mnie taka ważna. Jesteś moją najstarszą przyjaciółką. Kocham cię bardziej niż swojego nowego roleksa. Zauważyłaś go, Es? Dwudziestoczerokaratowe złoto. Tak czy owak, jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę tę zakłamaną, nieuczciwą, podstępłą ropuchę, znowu oberwie ode mnie w nos, obiecuję ci.

- Cóż, jeśli kiedykolwiek będziesz w Hounslow i przyjdzie ci ochota coś przekąsić - powiedziała mu Esme - nie wahaj się ze względu na mnie.

Pojawił się kelner i Charlie spojrział na nią z niepokojem, marszcząc czoło. Krzywda została wyrządzona. I naprawiona. Jednym uśmiechem skwitowali całe to wydarzenie, zamówili ogromne ilości jedzenia i jeszcze jedną butelkę wina.

Bo prawda była taka, że Charlie też był Esme drogi. Nigdy nie zrozumie, czym jest prawdziwa miłość ani co ona uważa za prawdziwą miłość, ale ostatecznie niedawno całkowicie zmieniła zdanie na temat prawdziwej miłości. I nie mogła się gniewać na przyjaciela. Cała ta żalсна historia to wyłącznie jej wina.

Głupio zrobiła, mówiąc mu, że uważa Louisa za klucz do szczęścia, i po stracie babci Mac naprawdę uwierzyła, że tak jest. Wróciła myślami do przeszłości i wyszarpnęła

z niej najbardziej żywe, nieskomplikowane szczęście, jakie znalazła, a potem wymarzyła sobie, by je przeżyć na nowo. Jak się okazało, jest to rzecz niewykonalna. Nie wspominając już o tym, że głupia.

- Jakie to zabawne - powiedziała z zażenowaniem do Alice, kiedy siedziały wysoko pod niebem Suffolk, popijając drugą filiżankę herbaty - że mimo całego okropień-stwa, dramatu, zamieszania, które wywołałam, teraz wszystko jest lepiej.

Lepiej, niż było podczas tamtych dwóch długich, okropnych lat. Przekonała się teraz, jak bardzo kocha Poga. Wiedziała też, jak bardzo on kocha ją, i było to tysiąc razy więcej niż Louis, niż ktokolwiek, kiedykolwiek mógł ją kochać. Henry, w końcu uwierzywszy, że Esme nie ma do niego pretensji, stał się zupełnie innym człowiekiem i chociaż wspólne mieszkanie z nim nie było czymś najprzyjemniejszym pod słońcem, ale nie było też przekleństwem. A Rory, cóż, Rory: serce wprost rosnęło jej z zachwytu. Kiedy się uwolniła od milczącego, tajemnego ducha Teddy'ego, mogła zacząć kochać Rory'ego tak, jak przedtem wydawało jej się to niemożliwe. I nie winiąc siebie za to, że odebrała mu brata bliźniaka, mogła zobaczyć, wyraźnie, jak na dłoni, że tak jak jego ojciec, Rory też ją kocha. Po prostu nie posiadała się z radości.

Pog wpadł do kuchni i zaczął wciągać powietrze nosem. Wygląda bardzo chłopięco, pomyślała Alice.

- Czy przyszedłem w porę? - spytał, całując żonę i uśmiechając się do jej przyjaciółki.

- Przysięgam - oświadczyła Esme - że stajesz się prawie tak dobry, jak ja.

Podeszła do piekarnika, włożyła rękawice kuchenne, otworzyła drzwiczki i pozwoliła, by owionęły ją ciepło i silny zapach chleba. Z nabożeństwem wyjęła *pain au levain* i położyła go na przeznaczonym wyłącznie do tego celu

drewnianym stojaku, już czekającym na blacie szafki. Chleb spoczywał na nim, wyrośnięty i z chrupiącą skórką, rozciągając ciepło i cudowny zapach.

Kuchnia natychmiast wypełniła się tą słodką i słoną wonią. Oczy Poga i Esme spotkały się nad *boule* i uśmiechnęły się do siebie. Pomijając ich smutek, wszystko wydawało się w porządku na tym świecie.

Nawet Alice oblizwała wargi.

- Co to jest? - spytała, spoglądając nad ramieniem Esme.

Na bochenku nie było widać litery E, którą Esme z taką wprawą nacinała przez te wszystkie lata, tylko wyobrażenie domu, w którym teraz byli.

- To chleb z Domu w Chmurach - wyjaśnił jej Pog, wyjął ze spiżarni słoik dżemu morelowego, z lodówki masło, a z szuflady deskę i nóż do pieczywa.

- Słucham? - spytała Alice, siadając znowu, kiedy Esme przyniosła chleb na stół.

- Ty jej powiedz - zaproponowała Esme.

- Co ma mi powiedzieć?

- Mam ci powiedzieć, żebyś maksymalnie wykorzystwała pokój babci Mac, póki jeszcze możesz - wyjaśnił Pog, wręczając żonie nóż. - Ponieważ za miesiąc lub dwa dokładnie tam, gdzie siedziałyście i plotkowałyście, będzie wielki piec, opalany drewnem dębowym.

Alice była zdezorientowana.

- Nie rozumiem - oświadczyła, spoglądając na Esme pytająco. - Czy ma to jakiś związek z odprawianiem egzorcyzmów?

- Mówiłam ci, że mamy dużo zaległości do nadrobienia - odrzekła Esme. Wzięła nóż i z wprawą przekroiła grubą, twardą skórkę. Ten dźwięk przyjemnie łaskotał jej ucho, a w powietrzu rozszedł się zmysłowy, bardziej miodowy zapach. Cudowne pory w jasnożółtym mięszu błyszcząły

zdrowiem. - Otwieramy piekarnię - zakomunikowała - tutaj, na parterze domu Stacków. Chleb z Domu w Chmurach. Co o tym myślisz?

- Myślę, że muszę położyć się na chwilę, zanim łóżko babci Mac zostanie porąbane na tysiące kawałków i wrzucone do pieca - jęknęła Alice. - Zamierzacie na parterze własnego domu piec chleb i pozwolić ludziom tu przychodzić i go kupować?

- Ludzie i tak tu przychodzą - zauważył Pog. - Żeby podziwiać warzywa Esme i zostawiać jej zwierzęta, niekontrolujące czynności fizjologicznych.

Esme się roześmiała, smarując grubą pajdę dżemem domowej roboty.

Alice gryzła już swój całkiem pokaźny kawałek chleba na zakwasie.

- Myślałam, że twój chleb jest tylko dla ciebie, Esme - powiedziała z ironią. - Nie dla każdego. Że nie możesz go produkować masowo. Że to coś osobistego.

Esme tylko się uśmiechnęła.

- No cóż, Alice - odparła. - To tylko chleb. To podstawa pożywienia. Ludzie smarują go masłem i dżemem i zjadają.

- Naprawdę Esme zamierza sprzedawać chleb własnego wypieku?

- Tak - odpowiedział Pog. - Nikomu bardziej nie zależy na chlebie na zakwasie niż mojej żonie, a piekarze-rzemieślnicy to dziś wymierająca rasa, nawet we Francji, prawda, Esme?

- Prawda - potwierdziła Esme, uśmiechając się szeroko. Przepęłniała ją miłość do męża.

- Ej, wy dwoje! - Alice była zdegustowana. - Nie zapominajcie, że jest tutaj smutna, samotna kobieta.

- W takim razie zostawię was same - oświadczył Pog. - Jestem pewien, że macie sobie jeszcze dużo do powiedzenia. Mówiłaś jej, wiesz, o kim?

Alice zrobiła zmieszana minę.

- Myślałam, że mu nie powiedziałaś? - zwróciła się do Esme.

- Nie powiedziałam.

- O czym? - chciał wiedzieć Pog.

- O niczym, Pog. O czymś, co mówiła babcia Mac. O paru rzeczach, które powiedziała. Powiem ci później.

Pog zniknął na schodach.

- Co tu się dzisiaj dzieje? - zażądała wyjaśnień Alice. -Kto to jest ten „wiesz, kto”?

- Jemima Jones - oświadczyła Esme, przełykając ostatni kęs chleba, i zatęskniła za nim, jak tylko go zjadła. -Znów wpadłam na Jemimę Jones.

To było tego samego dnia, kiedy umówiła się na obiad z Charliem, wyjaśniła przyjaciółce. Musiał wrócić do pracy, a ona postanowiła przejść się na Portobello Road i wypić kawę w Electric, zanim pójdzie na stację, by wsiąść do pociągu i wrócić na wieś.

Ale ledwo usiadła ze swoją *latte* o niskiej zawartości tłuszczu w mleku, kiedy kto wpadł przez drzwi, jak nie Jemima, w rozpiętym płaszczu od Armaniego, rysując szpilkami deski podłogi.

- Wódka z tonikiem, podwójna, i to szybko - rzuciła barmanowi, opadając na fotel przy stoliku tuż obok Esme. Postawiła torbę na sąsiednim krześle i zaczęła w niej grzebać, aż wyciągnęła z niej opakowanie chusteczek i głośno wydmuchała nos.

Esme wcisnęła się w swój fotel i lekko się odwróciła od Jemimy, mając nadzieję, że stanie się niewidzialna. Ale niestety.

- Och - zdziwiła się Jemima Jones, kiedy uniosła wzrok i ją zobaczyła.
- Esme.

Bez słowa skinęła głową.

- Jak tam postępują prace przy książce? Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Jeśli się obawiasz, że znajdzie się w moim felietonie -odezwała się Jemima - to możesz być spokojna. Wykopali mnie. Dostałam w dupę. Przez pieprzoną Primrose Beckwith--Stuyvesant. Skąd miałam wiedzieć, że jej wuj jest najwidoczniej świętym patronem wszystkich szefów gazet i ojcem chrzestnym połowy News International.

Barman przyniósł wódkę, którą Jemima wypłała niemal jednym haustem.

- Jeszcze raz to samo - poprosiła, a potem oparła jedną smukłą nogę na kolanie drugiej i zdjęła pantofel. - Już nie wytrzymam z tymi cholernymi odciskami - powiedziała, masując palce. - Cóż za szalony pedał, nienawidzący kobiet, zaprojektował takie buty?

I ku zdumieniu i przerażeniu Esme, wspaniała Jemima wybuchnęła płaczem.

Esme i barman przez chwilę patrzyli na siebie, a potem mężczyzna cicho postawił wódkę na stoliku i usunął się, zostawiając obie kobiety same. Nie wiedząc, co innego można zrobić, Esme usiadła obok płaczącej Jemimy i ostrożnie pogłaskała ją po kościstych plecach. Materiał płaszcza był cudowny.

- Gregory odchodzi ode mnie - szlochała Jemima. -I tym razem na dobre. Widocznie nie jestem dla niego wystarczająco przedsiębiorcza. Znalazł sobie jakąś osiemna-stolatkę z Europy Wschodniej, modelkę i kelnerkę, która nie ma nic przeciwko temu, żeby brudził jej bieliznę - póki jeszcze może - więc chce z nią zamieszkać. GQ nie wychodzi ze swojego pokoju, odkąd się o tym dowiedział. Bóg jeden wie, co tam robi z tym swoim cholernym komputerem, przypuszczam, że ogląda pornografię, taki z niego dziwny chłopak. A Marie Claire wkrótce puści nas z torbami. I już niedługo będziemy się cieszyć naszym domem.

Tusz do rzęs robił okropne rzeczy z jej zadbaną twarzą. Po gładkich policzkach Jemimy płynęły łzy.

- Wszystko okropnie się ułożyło i nie wiem, co zrobić -łkała żałośnie.

- A co z twoim programem telewizyjnym? - spytała słabo Esme.

- Ci cholerni pampersi! - krzyknęła Jemima. - Chcieli, żebym to sfinansowała. Pozbyli się mnie, kiedy sobie uświadomili, że tak się nie stanie. To takie niesprawiedliwe! Świat jest okropny.

Esme wciąż ją gładziła po plecach. Jemima przestała płakać.

- Przepraszam - powiedziała i znów wydmuchała nos. -Naprawdę bardzo przepraszam.

- Nie ma o czym mówić - oświadczyła promiennie Esme. - Ja wiecznie płacę nad wódką z tonikiem.

- Nie - odparła Jemima, pociągając nosem. - Przepraszam za wyrolowanie cię z „TV Now!“. Zawsze byłaś dla mnie bardzo dobra, a ja odpłaciłam ci w tak podły sposób.

- Och, tamto - zaszczebotała Esme, jakby ledwo pamiętała. - To naprawdę drobiazg.

-I przepraszam, że w taki sposób napisałam o tobie w swoim felietonie.

- A było o mnie? - spytała Esme. Jemima odchrząknęła.

- Pewna osoba z „Sunday Times" opowiedziała mi o twoim synku. Nie wiedziałam, że to dlatego wyjechałaś z Londynu, przytyłaś i w ogóle. Nigdy nie napisałabym niczego takiego, gdybym o tym wiedziała. Jestem matką. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musiało być okropne. Czuję się podle, naprawdę.

Znów zalała się łzami. Przytyłam? - powtórzyła Esme w duchu i aż ją swędziały palce, żeby uszczypnąć Jemimę.

- Moje życie jest takie pogmatwane - chlupała Jemima. - Żałuję, że nie mieszkam na wsi i nie piszę książek o spinkach do włosów, tak jak ty.

Jak długo jeszcze to cholerne kłamstwo będzie ją prześladowało, zastanawiała się Esme. Spojrzała na żalną postać przed sobą i nie mogła się nadziwić, jak funkcjonuje ten świat.

- Prawdę mówiąc - powiedziała, postanowiwszy raz na zawsze wszystko wyjaśnić - nie istnieje żadna książka o spinkach do włosów, Jemimo. Proszę, przestań płakać. Słuchaj, jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży. Co powiesz na filiżankę herbaty?

Usłyszawszy to, Alice nie wytrzymała i przerwała Esme.

- Zapytałaś ją, czy chce się napić herbaty? Byłaś dla niej miła? Esme, ty naprawdę straciłaś rozum. Słowo daję!

Esme była na to przygotowana.

- To wrak człowieka, Alice. Obraz nędzy i rozpacz. To było straszne. - Wzięła tacę, którą przygotowała dla Henry'ego i Rory'ego, i zaczęła schodzić po schodach, dając Alice znak, by poszła za nią. - Właściwie ona niczym się od nas nie różni, próbuje jakoś sobie radzić i wszystko poukładać, nie ulegając załamaniu nerwowemu ani nie zabijając nikogo. W gruncie rzeczy jest taka sama jak ty czy ja.

Czuła wzrok przyjaciółki na swoich plecach.

- O, Boże - jęknęła Alice. - To jeszcze nie wszystko, prawda?

Esme skinęła głową, pokonując kolejne stopnie.

- Myślę, że i tak byś się dowiedziała, że na przyszły weekend przyjeżdża do nas mały Cosmo.

- Poddaję się - odezwała się z niesmakiem Alice. - Naprawdę się poddaję. - Ale zanim zdążyła cokolwiek dodać, ich uwagę zwrócił głośny śpiew, dobiegający gdzieś z dołu. Ktoś niemilosiernie fałszował.

Kiedy znalazły się na parterze, zobaczyły Rory'ego, siedzącego na stopniu przed drzwiami, ściągniętego kalosze i chrypiącego zdecydowanie z celtyckim akcentem.

- „Jeśli chcemy jego ciała - powtórzyła za nim Alice -i uważamy, że jest sexy”?

Alice odwróciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę.

- To ciało małego chłopca - powiedziała zdumiona.

- Ale głos starej Szkotki? - dokończyła za nią Esme. -Teraz mi wierzysz?

- Teraz - odparła Alice - jestem gotowa uwierzyć we wszystko.

Chleb na zakwasie

50 g mąki żytniej

450 g dobrej pszennej mąki

**175 g zakwasu*

10-15 g (2-3 łyżki) soli

330-350 ml wody

W dużej misce wymieszać ręką wszystkie składniki oprócz soli i wyrabiać je przez pięć minut.

Jeśli ciasto jest dość wilgotne, to znaczy trudno je wyrabiać (większość masy przylepia się do rąk), można wziąć 330, a nie 350 ml wody. Odstawić na pięć minut i dodać sól. Wyrabiać przez 5-10 minut na stolnicy, nie podsypując mąką, aż ciasto stanie się gładkie i elastyczne. Przełożyć je do natłuszczonego naczynia (to znaczy do tej samej miski), przykryć lekko, żeby miało do niego dostęp powietrze, i zostawić na 3-4 godziny.

Znowu delikatnie zagnieść ciasto i odstawić na kolejną godzinę. Wyjąć ciasto z miski i delikatnie uformować bochenek, odwrócić go i odłożyć na 10 minut. Potem ostatecznie go uformować, posypać mąką i włożyć do koszyka (średnicy około 25 cm), wyłożonego ściereczką, obficie po-

*** Zakwas na chleb.**

sypaną mąką. Wetrzeć mąkę dobrze w ściereczkę i nie prać jej po użyciu. Jeśli będzie za mało mąki, chleb nie wyjdzie z koszyka, kiedy trzeba go będzie umieścić w piecu.

Tak przygotowany chleb można odłożyć na pół godziny lub włożyć go na noc do lodówki, a potem wyjąć i trzymać przez godzinę w temperaturze pokojowej przed włożeniem do piekarnika.

lub:

Pozostawić ciasto na trzy godziny w koszyku, a potem je wyjąć, najlepiej na ogrzany kamień do pieczenia pizzy.

Bardzo ostrym nożem naciać powierzchnię chleba w kilku miejscach, żeby mogły z niego uchodzić gazy, powstające podczas pieczenia, i piec 20 minut w temperaturze 250°C i 10 minut w temperaturze 200°C, pamiętając, żeby po włożeniu chleba do piekarnika była w nim para. Można to uzyskać, spryskując ścianki piekarnika wodą z plastikowej butelki, po czym szybko zamknąć drzwiczki. Dzięki temu skórka będzie bardziej chrupiąca.

Upieczony bochenek powinien być orzechowobrazowy i wydawać głuchy dźwięk, kiedy popukać go od spodu.

Uwaga: Esme piecze chleb zgodnie z recepturą, stosowaną przez słynną piekarnię Poilane w Paryżu, a przytoczony przepis dostałam od piekarza i miłośnika chleba na zakwasie, Deana Brettschneidera. Ze wszystkich przepisów, które wypróbowałam, ten jest najbardziej spójny.

Pierwszy dzień: Wycisnąć sok z trzech jabłek z ekologicznego sadu, przecedzić i postawić w częściowo przykrytym słoju lub dzbanie.

Pięć do dziesięciu dni później, kiedy sok wyraźnie zacznie musować i fermentować, wlać go do szklanej lub ceramicznej miski albo plastikowego pojemnika i dodać do niego 200 g mąki i 200 ml wody. Przykryć folią spożywczą,

w której trzeba porobić dziurki, albo luźno obwiązać torbą plastikową i odstawić.

Jedenasty dzień: Ponownie dodać 200 g mąki i 200 ml wody i odstawić.

Dwunasty dzień: Wylać połowę mieszaniny, dodać 200 g mąki i 200 ml wody.

Trzynasty dzień: Powtórzyć powyższe i robić to o tej samej porze codziennie, aż zakwas stanie się aktywny i mocny, to znaczy będzie się podnosił wokół ścianek naczynia między poszczególnymi „dokarmieniami”, musował i nabierze ostrego zapachu, przypominającego zapach jabłeczniaka. Jeśli chcemy szybciej otrzymać gotowy zakwas, trzeba go „dokarmiać” dwa razy dziennie.

Kiedy zakwas stanie się wystarczająco aktywny, należy go wykorzystać do upieczenia bochenka bardzo smacznego *pain au levain* domowej roboty. Im zakwas jest mocniejszy, tym chleb będzie bardziej wyrośnięty, w miąższu pojawią się wspaniałe, lśniące pory, a skórka stanie się cierpka, niemal serowa w smaku.

Zakwas można przechować w lodówce bez dokarmiania do dwóch tygodni, ale później trzeba go wyjąć, doprowadzić do temperatury pokojowej i karmić przez parę dni, nim ponownie użyje się go do ciasta. Najlepiej dodawać zakwas do ciasta na chleb 8 do 12 godzin po ostatnim jego dokarmieniu.

Jeszcze jedna uwaga: Aktywnymi składnikami zakwasu są naturalne drobnoustroje zawarte w powietrzu w miejscu zamieszkania, więc w niektórych rejonach otrzymuje się go szybciej, a w innych wolniej. Nie można dopuścić do zbyt długiego przegrzania ani ochłodzenia zakwasu i należy chronić go przed przeciągami. A przede wszystkim trzeba pamiętać o jego dokarmianiu i utrzymywaniu w dobrym stanie. Może nawet zająć konieczność usunięcia spleśniałego kożucha z wierzchu, by wykorzystać płyn, znajdujący się

pod spodem. Ja tak zrobiłam! Otrzymałam dobry zakwas po ponad dwóch miesiącach, obfitujących w liczne próby i błędy (zużywszy dużo mąki i wody). Ale efekt końcowy jest tego wart. Nie ma nic lepszego od grubej pajdy chleba na zakwasie domowej roboty z kremowym serem pleśniowym, dżemem z pigwy i świeżymi orzechami włoskimi.

Smacznego!